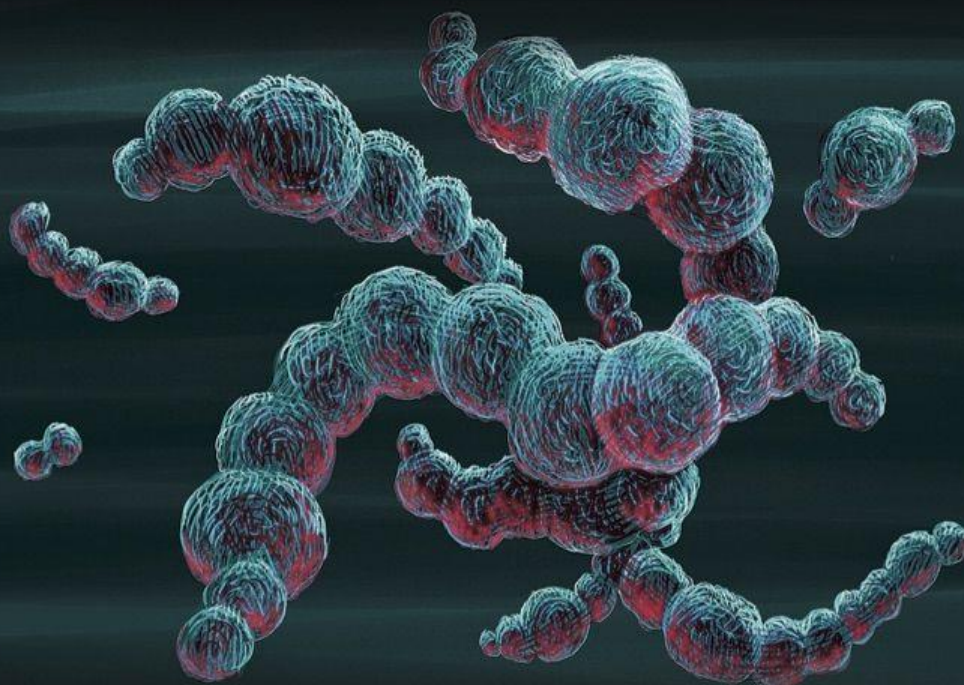


MICHAEL PALMER

Bezłitośni bioterroryści, którzy tracą kontrolę nad własną bronią



Staphylococcus

ODPORNY

O książce

Nie mają sumienia ani litości.

Mimo mikroskopijnych rozmiarów są najbardziej bezwzględnymi wrogami.

Mikroby Sądnego Dnia, jak nazwała je prasa.

Odkryte i zmodyfikowane na zlecenie Stu Bliźnich, grupy republikańskich fanatyków, miały pomóc w wywarceniu nacisku na amerykański rząd i zmuszeniu go do wprowadzenia ustaw ograniczających programy socjalne. Tymczasem mikrob wymknął się spod kontroli i światu grozi epidemia o niespotykanych dotąd rozmiarach. W amerykańskich szpitalach pojawia się coraz więcej pacjentów, którym Mikrob Sądnego Dnia dosłownie pożera ciało.

Jednym z nich jest Hank Duncan, przyjaciel Lou Welcoma. Targany poczuciem winy Lou, który uważa, że to przez niego Hank trafił do szpitala, gdzie został zarażony, zrobi wszystko, by ocalić przyjaciela. I choć nie ma pojęcia, z kim przyjdzie mu się zmierzyć, szybko się orientuje, że wróg jest silny, zdesperowany i gotowy na wszystko.

MICHAEL PALMER

ODPORNY

Z angielskiego przełożyła
MARIA GĘBICKA FRĄC



Wydanie elektroniczne

MICHAEL PALMER
(1942-2013)

Amerykański pisarz, z zawodu lekarz internista. Praktykował w szpitalach w Bostonie i Massachusetts, zajmował się także leczeniem uzależnień. Pełnił funkcję wicedyrektora Massachusetts Medical Society. Autor około dwudziestu thrillerów medycznych tłumaczonych na 35 języków. Najbardziej znane to: Krytyczna terapia, Szczepionka, Piąta fiołka, Pierwszy pacjent, Ostatni chirurg, Jedno uderzenie serca, Przysięga i Polityczne samobójstwo.

Tego autora

PACJENT
RECEPTA COREYA
SZCZEPIONKA
PRZEBŁYSKI PAMIĘCI
STOWARZYSZENIE HIPOKRATESA
PIĄTA FIOŁKA
SIOSTRZYCZKI
EKSPERYMENT
DRUGA DIAGNOZA
PIERWSZY PACJENT
OSTATNI CHIRURG
KRYTYCZNA TERAPIA
CICHA KURACJA
JEDNO UDERZENIE SERCA
PRZYSIĘGA
POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO
ODPORNY

*Z miłością dla moich synów:
Matthew, Daniela i Luke'a*

Jednym z obowiązków państwa jest troska o tych obywateli, którzy w wyniku niesprzyjających okoliczności stali się niezdolni do samodzielnego zaspokojenia nawet podstawowych potrzeb życiowych. Taką odpowiedzialność przyjmuje każdy cywilizowany naród. [...] Rząd musi pomagać nieszczęsnym obywatelom – nie z miłosierdzia, ale ze społecznego obowiązku.

Franklin D. Roosevelt, *Pogadanki przy kominku*, 1933

Od zarania dziejów los ludzki był niepewny z powodu chorób, ubóstwa, kalectwa i starości. Ekonomiści i socjologowie entuzjastycznie klasyfikują te naturalne elementy życia jako zagrożenie dla bezpieczeństwa ekonomicznego jednostki, podczas gdy w rzeczywistości są one ceną, jaką każdy musi zapłacić za swoje istnienie.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

PROLOG

Czarna chmura zawisła nad bostońskim szpitalem White Memorial.

Stan Bekki Seabury się pogarszał.

Po oddziałach i gabinetach słynnej instytucji, która przez dwa lata z rzędu zajmowała pierwsze miejsce na liście szpitali ogólnych w całym kraju, pocztą pantoflową rozeszły się z prędkością błyskawicy najświeższe pogłoski. Tego ranka miała zapasć decyzja – decyzja, którą prawie wszyscy związani z White Memorial, od salowych przez laborantów do pracowników administracji, odbiorą osobiście.

Niebawem zespół specjalistów – ortopedów, chirurgów i lekarzy chorób zakaźnych – miał postanowić, czy kontynuować bitwę z bakterią, którą prasa i inne media zaczęły nazywać Mikroblem Sądnego Dnia, czy skapitulować i amputować nastolatce prawą rękę tuż poniżej stawu barkowego.

W pokoju osiemset trzydzieści siedem budynku Landrewa zgromadziła się grupa starannie dobranych lekarzy i pielęgniarek. Ochrona przy drzwiach, a także przy każdej windzie i klatce schodowej pilnowała, żeby nikt z mediów i spoza niezbędnego personelu nie miał tam dostępu.

Od ponad dwóch tygodni, od dnia, kiedy Becca ponownie została poddana zabiegowi, żeby zwalczyć zakażenie w miejscu pierwotnej operacji, informacje o jej stanie zdrowia trafiały na pierwsze strony gazet.

MIĘSOŻERNA BAKTERIA KOMPLIKUJE LECZENIE
CHEERLEADERKI

Na etapie finałów stanowych siedemnastoletnia kapitan mistrzowskiej drużyny szkolnej doznała skomplikowanego złamania stawu łokciowego. Nagranie tego poważnego wypadku zostało umieszczone na YouTube i natychmiast zapewniło Becce światową popularność. Po udanej rekonstrukcji przeprowadzonej przez doktora Chandlera Beebe'a, ordynatora ortopedii, pacjentce przez kilka dni podawano dożylnie antybiotyki, po czym podjęto ostrożną decyzję, żeby odczekać jeszcze jeden dzień i odłączyć kroplówkę.

Wtedy Becca Seabury zaczęła gorączkować.

Oddany do użytku niespełna dwa lata temu budynek Landrewa był najnowszym klejnotem w coraz większej koronie White Memorial. Na ósmym piętrze znajdowały się cztery izolatki, w których panowało ciśnienie niższe niż na zewnątrz – hermetyczne pomieszczenia z systemem wentylacyjnym wypompowującym więcej powietrza, niż było wtłaczane. Gdy pielęgniarka odprowadziła rodzinę Bekki do poczekalni, w przestronnym pokoju zostało siedem osób w rękawiczkach, fartuchach i czepkach.

Mierzący prawie dwa metry wzrostu Chandler Beebe górował nad

pozostałymi.

Niemal niewidoczna wśród nich wszystkich, leżała nieruchomo blada dziewczyna o jasnej karnacji, z włosami w kolorze złota. Miała suche, spękane usta i rumieńce, które ani trochę nie wyglądały zdrowo. Z zawieszzonego na stojaku plastikowego worka krople ściekały do igły wbitej w zdrową rękę. Na karcie odnotowano temperaturę trzydzieści dziewięć stopni i dwie kreski, zbitą z czterdziestu, a ciśnienie krwi osiemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt.

Chandler Beebe, niegdyś rozgrywający w drużynie koszykówki Uniwersytetu Harvarda, zaliczał się do tych, których trudno wyprowadzić z równowagi. Teraz jednak pod maską i czepkiem był równie blady jak pacjentka. Wiedział, że to przez zapach. Pomimo wielu operacji przeprowadzonych w strefie wojny i podczas misji medycznych do krajów Trzeciego Świata nigdy w pełni nie przywykł do smrodu ropy i gnijącego ciała. Zerkając na monitor, z pomocą pielęgniarki podtrzymującej rękę Bekki zaczął odwijać bandaż, który własnoręcznie założył osiem godzin wcześniej. Sam miał dwoje nastoletnich dzieci, chłopaka i dziewczynę, uprawiających sport i osiągających doskonałe wyniki w nauce, równie dzielnych i zrównoważonych jak jego pacjentka. Nie mógł jednak wyobrazić sobie, żeby któreś z nich miało podejmować taką decyzję.

Kolejne warstwy bandaża były najpierw wilgotne od krwawego wysięku, a później zupełnie nim przemoczone. Wydzielina z długiej na dwadzieścia centymetrów rany pooperacyjnej cuchnęła, świadcząc o niepohamowanym rozwoju bakterii. Tkanki ściemniały. Dwa tygodnie wcześniej Beebe wraz z chirurgiem ponownie otworzyli nacięcie, które zrobiono, by skrupulatnie zrekonstruować staw. Infekcja zaatakowała z szybkością i zjadłością dywizji pancerniej. Gorączka, dreszcze, opuchlizna, silny ból, odwodnienie, spadek ciśnienia krwi – wszystko to świadczyło o zakażeniu. Tamtego dnia nie mieli wyboru. Musieli przeciąć szwy, usunąć martwe tkanki, przepłukać ranę i założyć dreny.

Teraz nadszedł czas na kolejną decyzję.

Dół łokciowy Bekki Seabury – zagłębienie po wewnętrznej stronie – wyglądał jak zostawiona na słońcu mielona wołowina. Włókna mięśniowe, ścięgna i więzadła połyskiwały w blasku przenośnej lampy operacyjnej, skąpane w gęstej, zielonkawej ropie. Beebe usłyszał, jak doświadczona szefowa rezydentów głośno zasysa powietrze, i w duchu przysięgł w odpowiednim momencie skarcić ją za taką reakcję. W następnej chwili postanowił jednak tego nie robić.

– Becco, to ja, doktor Beebe. Słyszysz mnie?

Poza urywanym jękiem nie doczekał się odpowiedzi. Z zaciśniętymi zębami spojrzął nad łóżkiem na ordynatora oddziału chorób zakaźnych.

– Sid?

Sidney Fleishman wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Jak pan widzi, objawy infekcji nie ustępują. Zakażenie bez zmian, nie

działa żaden antybiotyk z naszego arsenału. Liczba białych krwinek nieco spadła, ale nie ma żadnych innych oznak, że wygrywamy. Mamy zezwolenie na wypróbowanie jednego z najbardziej obiecujących leków eksperymentalnych, testowanych na paciorkowcach i gronkowcach złocistych, ale ten Mikrob Sądnego Dnia... te bakterie nie przypominają niczego, co widzieliśmy. Paciorkowiec, ale niezupełnie, oporny na metycylinę, wankomycynę i karbapenemy.

– Wnioski?

– Sądzę, że mamy trochę czasu. Niewiele, ale to więcej niż nic, zwłaszcza że zakażenie wciąż jest ograniczone do łokcia.

Beebe wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Fleishman, bystry jak nikt w White Memorial, zalecał kontynuowanie zachowawczego podejścia w połączeniu z podawaniem nowego eksperymentalnego leku, który wykazywał skuteczność przeciwko opornemu na metycylinę gronkowcowi złocistemu.

Jak sądzisz, ile czasu? – miał już zapytać Beebe, kiedy Jennifer Lowe, pielęgniarka stojąca w nogach łóżka, chrząknęła na znak, że chce coś powiedzieć. Dotąd zajęta masowaniem lewej stopy Bekki, teraz przeniosła uwagę na prawą.

– Doktorze Beebe, lepiej, żeby pan na to spojrzął – powiedziała. – Godzinę temu niczego tu nie widziałam.

Odchyliła prześcieradło i wskazała stopę. Wszystkie palce były zaczerwienione, a sama stopa obrzmiała do połowy podbicia.

Beebe podszedł i zbadał nowe zmiany – najpierw wzrokiem, następnie dłońmi w rękawiczkach.

– Sid?

Fleishman przyjrzał się stopie, po czym sprawdził, czy węzły chłonne w prawej pachwinie pacjentki nie są powiększone, co często jest oznaką rozprzestrzeniającego się zakażenia.

– Jeszcze nic – oznajmił – ale to wyraźnie nowa infekcja, prawdopodobnie spowodowana przez bakterie z ręki.

Chandler Beebe przeciągnął językiem po wargach i głęboko odetchnął.

– Jennifer, sala operacyjna gotowa? – zapytał.

– Tak.

– Zadzwoń i powiedz, że wieziemy Rebeccę Seabury na amputację prawej ręki. Porozmawiam z jej rodziną. Dziękuję wszystkim za współpracę. Mój zespół naprzód. Spotkamy się w sali operacyjnej. Aha, Jennifer, zadzwoń, proszę, do patologii i powiedz, że później wyślemy im na dół próbki.

Pokój szybko i po cichu opustoszał. Byli profesjonalistami, najlepszymi z najlepszych, ale każdy z nich był poważnie wstrząśnięty.

Jennifer Lowe, trzydziestoletnia weteranka sześciu misji do wiosek w Kongu, pochylała się nad pacjentką. Niedawno się zaręczyła i za pół roku miała wyjść za fizjoterapeutę. Była przebojową kobietą, córką i wnuczką pielęgniarki.

– Bądź silna, mała – szepnęła. – Jakoś przez to przebrniemy. Po prostu bądź silna.

W tej chwili poczuła swędzenie pomiędzy palcem środkowym i serdecznym lewej ręki. Zawsze przed rozpoczęciem pracy zdejmowała skromny pierścionek zaręczynowy i nosiła go na mocnym łańcuszku na szyi. Cierpiała na egzemę, ale o łagodnym przebiegu i nigdy nie miała świądu akurat w tym miejscu.

Ani trochę nieprzejęta, podeszła do umywalki i ściągnęła lateksowe rękawiczki. Skóra między palcami była zaczerwieniona i popękana.

ROZDZIAŁ 1

Wolność warta jest więcej niż każda perła w oceanie, każda uncja wykopanego złota. Dla człowieka jest cenna niczym powietrze, równie niezbędna do życia jak bijące serce.

Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

Dwieście sześć... dwieście siedem... dwieście osiem...

– Śmiało, Wielki Lou. Tak dobrze boli. Powiedz to!

– Dobra, dobra – jęknął Lou Welcome. – Dwieście dziewięć... Tak dobrze boli... Dwieście dziesięć... Tak dobrze boli... O cholera, jak dobrze! Zaraz... pęknie... mi... brzuch... Dwieście dwanaście...

Lou robił brzuszki na dywanie pomiędzy łózkami w pokoju sto siedemdziesiąt siedem szacownego pensjonatu Chattahoochee Lodge. Chrup Duncan, z ogoloną na łyso, lśniąca głową, nagi do pasa i już w spodenkach do biegania, klęczał przy jego stopach, trzymając go za kostki. Jego szeroki uśmiech jak zwykle przypominał gwiazdę przegradzającą się w supernową. Chrup zrobił trzysta brzuszków, zanim Lou wygramolił się z posłania, i wyglądało na to, że z łatwością mógłby wycisnąć drugie tyle.

Facet z krwi i kości, w każdym calu.

Pięćdziesięciodwuletni Bahamczyk, najbliższy przyjaciel Lou i od dziesięciu lat jego sponsor w AA, miał ciało, które wyglądało jak wyrzeźbione przez jednego z potomków Michała Anioła. Jego przydomek, Kapitan Chrup, pochodził z czasów kariery zawodowego boksera, przede wszystkim od dźwięku, z jakim pękały łamane przez niego nosy.

Był czternasty kwietnia – czwartek. Lou przybył do Georgii na polecenie swojego zwierzchnika, psychiatry Waltera Filstrupa, nadętego szefa OOL-u, Ośrodka Opieki dla Lekarzy.

Słodka żona Filstrupa, Marjory, będąca biegunowym przeciwieństwem męża, leżała na OIOM-ie w szpitalu w Marylandzie z powodu arytmii serca, która nie reagowała na kardiowersję elektryczną. Filstrup, jako jeden z dwóch kandydatów na stanowisko dyrektora Narodowej Federacji Programu Zdrowia Lekarzy, miał zaś wygłosić przemówienie na dorocznym kongresie, który tym razem odbywał się w górskim pensjonacie na północ od Atlanty.

Żona na OIOM-ie kontra przemówienie w Georgii. Niech pomyślę...

Lou wcale się nie dziwił, że Filstrup miał olbrzymi problem z dokonaniem wyboru. Dopiero gdy Marjory zareagowała alergicznie na jeden z leków nasercowych, przekazał mu tekst swojej przemowy wraz z zaproszeniem na konferencję i funduszem reprezentacyjnym, który miał pokryć koszt posiłków, pod

warunkiem że będzie spożywać tylko jeden dziennie.

Hura!

– Zwalniasz, Welcome – powiedział Chrup. – W ten sposób nie dojdiesz do trzystu.

– Wcale... nie mam... takiego zamiaru.

Chrup, w którym rzadko gasł duch rywalizacji, z zadowoleniem powtarzał, że trening większości ludzi dla niego jest rozgrzewką. Lou, dziewięć lat młodszy, mający metr osiemdziesiąt wzrostu, czyli około dwóch czy trzech centymetrów więcej, wierzył w to bez zastrzeżeń. Ich znajomość zaczęła się w dniu, kiedy Lou zameldował się w Harbor House, ośrodku przejściowym dla trzeźwiejących alkoholików w jednej z podlegszych dzielnic Waszyngtonu. Chrup, a tak naprawdę Hank, pracował tam jako lider grupy, jednocześnie przymilając się do kolejnych banków, żeby zebrać fundusze na własne centrum treningowe. Dwanaście miesięcy później Lou wyszedł z nałogu, a klub Kontra stał się rzeczywistością. Dwaj przyjaciele, jeden czarny jak bezksiężycowa noc, drugi biały, błękitnooki, twardy, obdarzony determinacją rottweilera, z korzeniami sięgającymi być może do Pielgrzymów, trenowali razem trzy razy w tygodniu.

Po kolejnym roku, milionie spotkań i wypracowaniu nowej, znacznie spokojniejszej filozofii życia Lou odzyskał prawo wykonywania zawodu lekarza i wrócił do gry.

– No dobra – powiedział Chrup – zrób, ile możesz. Obniżanie poprzeczki nie jest przestępstwem. Byle nie za nisko.

– Czy zawsze... musimy... ze sobą... rywalizować? Dwieście dwadzieścia... dwieście dwadzieścia jeden...

– Po przebieżce pójdziemy na śniadanie. Nie jestem zwolennikiem rywalizacji w jedzeniu, jeśli to ci pomoże.

– Jasne. To byłaby jedyna dyscyplina, w której skopałbym ci tyłek.

Chattahoochee Lodge został zbudowany w latach dwudziestych ubiegłego wieku dla myśliwych; w 1957 roku, w tym samym, w którym Elvis kupił Graceland, poddano go renowacji. Rozległy rustykalny kompleks leżał w lesie w górach, wysoko nad brzegami wartkiej rzeki Chattahoochee. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych rozkwitła ekoturystyka, stał się centrum wypoczynkowym dla podróżników, ornitologów amatorów, turystów i uczestników konferencji, z pokojami rezerwowanymi często z rocznym wyprzedzeniem.

Lou, licencjonowany lekarz medycyny wewnętrznej i ratunkowej, nigdy nie przepadał za uczestnictwem w konferencjach medycznych, obojętnie jakiego rodzaju. Gdy poskarżył się Chrupowi na nieuchronnie zbliżający się wyjazd, w odpowiedzi usłyszał, że jedynym żyjącym krewnym przyjaciela jest podstarzała ciotka mieszkająca niedaleko Atlanty. Uznał to za dar niebios. Ponieważ pracował w pełnym wymiarze godzin na oddziale ratunkowym szpitala Eisenhower

Memorial i na pół etatu w OOL-u, miał w swojej małej szkatule więcej, niż potrzeba na drugi bilet na południe. Całkiem przyzwoity czynsz za mieszkanie nad pizzernią Dimitri's, znajdującym się przy tej samej ulicy co sala gimnastyczna, sprawił, że udzielenie pożyczki sponsorowi stało się jeszcze mniej bolesne.

Ponieważ pomysł nie był od rzeczy, Chrup prawie bez targowania przyjął zaproponowaną przez Lou wymianę – w zamian za bilety dwa miesiące cotygodniowych sesji na ringu dla niego plus dodatkowe cztery lekcje dla jego nad wiek rozwiniętej córki Emily. Chrup chciał mieć miejsce przy oknie.

Pomimo konieczności znoszenia Filstrupa Lou uwielbiał pracę w OOL-u. Zarobki były kiepskie, ale ogromnie bawiła go ironia losu – z niedawnego klienta został przecież zastępcą dyrektora. Organizacja zapewniała wsparcie lekarzom, którzy cierpieli na choroby psychiczne i fizyczne, byli uzależnieni od środków odurzających, naruszyli granice kontaktu fizycznego z pacjentem i mieli problemy behawioralne. Większość nowych kontraktów OOL-u wymagała, żeby przeżywający trudności lekarz rozpoczął program od leczenia albo rehabilitacji szpitalnej, a następnie odbywał regularne spotkania z przydzielonym mu terapeutą i wyraził zgodę na częste, niezapowiedziane badania moczu pod kątem obecności alkoholu i narkotyków.

Lou był zdecydowanie przeciwny, by niektórym lekarzom doradzać czy wysyłać ich na psychoterapię, ale głęboko wierzył, że bez względu na to, czy ktoś jest lekarzem czy nie, uzależnienie to choroba, a nie kwestia moralna. Walter Filstrup się z tym nie zgadzał.

Kiedy Filstrup w końcu przekazał mu swoje starannie wydrukowane przemówienie i program konferencji, Lou naprawdę zapalił się do podróży. Nie dość, że będzie biegał z Chrupem po górach, to jeszcze, gdy przyjaciel pojedzie odwiedzić ciotkę, wybierze się na sponsorowaną wycieczkę do Centrum Kontroli Chorób – CDC¹.

Kolejny ironiczny zbieg okoliczności.

Lou prawie dziesięć miesięcy spędził w Atlancie, ale nigdy nie był nawet w pobliżu sławnego na całym świecie instytutu. Ostatni raz odwiedził miasto dziewięć lat temu z okazji spotkania ze swoją grupą terapeutyczną w Centrum Terapii Uzależnień Templeton.

Nadszedł czas, by zamknąć pewne sprawy.

ROZDZIAŁ 2

Jeden człowiek może marzyć, garstka ludzi planować, tysiąc uderzyć, ale tylko stu, którzy zajmują odpowiednie stanowiska i są skutecznie wykorzystywani, może zmienić oblicze świata.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Nazywał się Douglas Charles Bacon, ale kilku uczestników wideokonferencji znało go jako B-38. Litera B oznaczała bliźniego.

U podstaw Stowarzyszenia Stu Bliźnich, założonego w tajemnicy na początku lat czterdziestych dwudziestego wieku, leżał traktat filozofa politycznego Lancastera Hilla, *Stu Bliźnich*. Hill napisał swoje najważniejsze dzieło i kilka późniejszych prac w odpowiedzi na ekonomiczne i społeczne reformy Franklina Roosevelta, znane jako Nowy Ład. Początkowo było tylko dwunastu Bliźnich, strategicznie rozmieszczonych w całym kraju. W ciągu roku osiągnięto zalecaną przez Hilla liczbę stu członków, stu Bliźnich. Ni mniej, ni więcej.

Bacon był jowialnym, zażywnym południowcem, obdarzonym tęgim umysłem do liczb i posiadającym encyklopedyczną wiedzę na temat szkockiej whisky. Wciąż świetnie strzelał z remingtona, chociaż w wyniku wypadku podczas polowania stracił trzy palce u lewej stopy i odtąd kulał. Jako prezes stowarzyszenia uczestniczył z urzędu we wszystkich siedmiu bieżących projektach. Dwa dni temu dostał informację, że projekt Janus, będący najbardziej ambitnym i dalekosiężnym przedsięwzięciem w historii organizacji, jest zagrożony.

Bacon pociągnął łyk macallana 18, jednego z ulubionych gatunków szkockiej, i uśmiechnął się blado. Nikt nigdy nie widział, żeby stracił nad sobą panowanie. Może właśnie szkockiej zawdzięczał zimną krew.

B-80, doktor Carlton Reeves, był profesorem chirurgii z Michigan. Kiedy Bacon dowiedział się o bakteriach Janus, kazał Reevesowi dokładniej się im przyjrzeć. Później, gdy uświadomili sobie ich oszałamiające możliwości, mianował lekarza koordynatorem projektu i pomógł mu stworzyć zespół współpracowników. To Reeves zwołał tę wideokonferencję komitetu doradczego.

Członkowie Stowarzyszenia Stu Bliźnich wtapiali się w otoczenie równie skutecznie jak kameleony w dżungli. Do pracy chodzili w garniturach i krawatach, we flanelowych koszulach, w mundurach albo fartuchach laboratoryjnych i często nosili aktówki. Mieszkali w miastach i miasteczkach w niemal każdym stanie i niezależnie od swoich talentów byli jednakowo szanowani za na pierwszy rzut oka niedostrzegalne umiejętności, jakimi wykazywali się w pracy. Różnili się wyglądem i zajmowanymi stanowiskami, ale łączyło ich wytrwałe dążenie do celu.

Wszyscy, zgodnie z najpowszechniejszą definicją, byli terrorystami.

Cel organizacji, bezpośrednio wynikający z koncepcji Lancastera Hilla, był całkiem prosty. Stu Bliźnich zobowiązało się do zlikwidowania za wszelką cenę dławiących naród rządowych programów pomocowych, które sprawiły, że Ameryka balansowała na krawędzi bankructwa.

Bacon złożył krótką przysięgę w 1993 roku, przejmując funkcję prezesa po kobiecie, która podupała na zdrowiu i zrzekła się kierowania stowarzyszeniem. Był to rok rozpoczęcia przez Billa Clintona pierwszej kadencji na urządzie prezydenta, a także rok zamachu bombowego na World Trade Center przeprowadzonego przez islamskich fundamentalistów. Bacon, zdeklarowany demokrat i powszechnie szanowany bankier inwestycyjny, storpedował wysiłki mające na celu umieszczenie go na krótkiej liście kandydatów na stanowisko w gabinecie Clintona. Było ono zbyt eksponowane i ograniczałoby mu swobodę ruchów.

Biuro miał w północnej wieży WTC. Nie było go tam w czasie zamachu. Jego urlop zdecydowanie nie był kwestią przypadku, zważywszy, że sfinansował przedsięwzięcie, za którym stał Ramzi Yousef, i sam wyznaczył dzień eksplozji ciężarówki z bombą. Bliźni dążyli wówczas do podkopania zaufania publicznego do szefa Komisji Izby Reprezentantów do spraw Sił Zbrojnych, co miało doprowadzić do jego rezygnacji.

– Jesteśmy gotowi, B-80? – zapytał Bacon. – Z pewnością B-9 zaraz do nas dołączy, możemy więc zaczynać.

Jego twarz, podobnie jak twarze pozostałych, była cyfrowo zniekształcona. Na dole dużego ekranu widniały prostokąty zakodowanych przekazów wideo każdego uczestnika, podczas gdy środek był zarezerwowany dla osoby zabierającej głos. Obraz z kamery Bacona jako jedyny był widoczny w lewym górnym rogu na monitorze każdego uczestnika wideokonferencji.

Komitet doradczy zbierał się po to, żeby pomagać w planowaniu projektów albo podejmować decyzje dotyczące któregoś członka. Bacon miał decydujący głos w radzie, ale wiedział, że gdy nie będzie mógł dłużej pracować, zostanie wykluczony ze stowarzyszenia, a jego numer przejdzie na następcę. Lancaster Hill siedemdziesiąt pięć lat wcześniej przeznaczył zasady sukcesji:

Bliźni, który z powodu choroby nie może dłużej służyć sprawie, powinien zostać emerytowany przez radę, a jego numer przekazany następcy.

Pomijając problemy zdrowotne, nikt nigdy nie odszedł ze stowarzyszenia z własnej woli. Członkowie byli czasami usuwani, kiedy utracili stanowisko lub zmalały ich wpływy, ale szybko znajdowano następców. Rzadko ktoś sam nalegał na odejście, bo wtedy uznawano go za zagrożenie dla bezpieczeństwa. W takim przypadku do akcji wkraczali specjaliści od eliminacji, otrzymujący honorarium od

komitetu doradczego za dyspozycyjność.

Ostatni ekran wyjaśniał, gdy Selma Morrow, B-9, włączyła kamerę. Była szefową strategii i logistyki w Phelps & Snowdon, firmie uważanej za jeden z najsilniejszych funduszy hedgingowych w kraju. Takie samo stanowisko zajmowała w Komitecie Doradczym Stowarzyszenia i z tego powodu konsultowała wszystkie projekty. Jako faworytka Bacona miała go zastąpić, kiedy nadejdzie czas. Na razie nie miało to znaczenia.

Liczył się tylko szczep Janus.

– Miło was widzieć – powiedział B-80 – przynajmniej w takim stopniu, w jakim to możliwe. Nie zwoływałbym tego zebrania, ale musicie wysłuchać najświeższych wiadomości o projekcie Janus. Dla przypomnienia: bakterie Janus przyciągnęły naszą uwagę jakiś czas temu dzięki B-71, który przypadkiem się na nie natknął podczas badań nad innymi drobnoustrojami. Mikrobiologia Janusa jest zbyt skomplikowana, żeby się nią tutaj zajmować. Powiem tylko, że zasadniczo większość bakterii dzieli się na dwie grupy, w zależności od tego, jak ich ściany komórkowe barwią się przy zastosowaniu metody Grama, opracowanej pod koniec dziewiętnastego wieku i wciąż powszechnie stosowanej. Bakterie Gram-dodatnie pod mikroskopem są fioletowe, a Gram-ujemne pod wpływem dodatkowego czerwonego barwnika, safraniny, stają się różowe.

– Przepraszam – odezwał się B-26, specjalista od psychologii mas – powiedziałaś, że większość bakterii jest albo Gram-dodatnia, albo Gram-ujemna. To znaczy, że nie wszystkie?

– Zgadza się.

– Czyżby bakterie Janus nie należały do żadnej grupy?

– Właśnie. Prawie wszystkie bakterie są albo Gram-dodatnie, albo Gram-ujemne. Nieliczne, w porównaniu z prawdopodobnie dziesiątkami milionów gatunków, są gdzieś pomiędzy, ani fioletowe, ani różowe. Niektóre nawet są Gram-zmienne, czyli barwią się dodatnio lub ujemnie w zależności od fazy wzrostu po wyjęciu z pożywki. Ale Janus jest inny. Jego kod genetyczny umożliwia zmianę z dodatniego na ujemny i z powrotem. Inne właściwości też ciągle się zmieniają.

– Jak zmiennokształtny – zauważyła B-97. – Dlatego jest odporny na wszystkie antybiotyki.

B-97, inżynier mechanik i matematyk, sześć lat po zrobieniu podwójnego doktoratu na MIT, była najmłodsza z Bliźnich. Jej iloraz inteligencji wynosił sto osiemdziesiąt dwa.

– W istocie – zaczął B-80 – postać Gram-dodatnia, jak się wydaje, jest wrażliwa na pewne antybiotyki, ale już Gram-ujemna absolutnie odporna na wszystkie, to znaczy z wyjątkiem jednego, a w zasadzie jednej sekwencji antybiotyków. B-71 niemal przypadkiem odkrył połączenie związków chemicznych, które, stosowane w ściśle określonej kolejności, całkowicie

unicestwiają bakterie Janus. Antybiotyki zostały przetestowane na zarażonych świniach, później na małpach i w końcu na ludziach. Zakażenie zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Bez skutków ubocznych?

– W ciągu trzech ostatnich lat żadnych nie zaobserwowaliśmy. Ale teraz pojawił się problem.

– Znaczący wyzwanie – poprawił Bacon.

– Oczywiście. Wyzwanie. Szczep Janus działa zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Pod tym względem nikt w rządzie nie ma wątpliwości, że jesteśmy w stanie spełnić naszą groźbę.

Nazwa szatańskiego mikroba została starannie wybrana. Mający dwa oblicza Janus był rzymskim bogiem dwoistości – początku i końca, komedii i tragedii, narodzin i śmierci, zdrowia i choroby. W samej nazwie było coś niepokojącego i właśnie na tym zależało komitetowi doradczemu. Na wywołaniu zaniepokojenia.

Baconowi podobał się sposób, w jaki szef projektu Janus udzielał wyjaśnień. Niestety wiedział, co będzie dalej.

– Ale sytuacja się zmieniła – powiedział, kończąc za B-80. – Nasza terapia już nie jest skuteczna.

Pociągając następny łyk szkockiej, Bacon starał się zapanować nad emocjami. Po latach prób i eksperymentów, pokonywania przeszkód i zmierzania małymi krokami do ostatecznego celu – postawienia Kongresu i prezydenta w obliczu zagrożenia, którego nikt nie będzie mógł zbagatelizować – w końcu zyskali możliwość zrealizowania misji, spełnienia marzeń. I teraz oporność bakterii mogła zniweczyć ich plany. Musi być jakiś sposób na poradzenie sobie z tą komplikacją.

– Otóż to – zgodził się B-80. – Wyzwanie, jak trafnie to ująłeś, polega na tym, że szczep Janus jest po prostu za dobry.

– Za dobry? – powtórzył pytająco B-44.

Był wysoko odznaczonym admirałem w stanie spoczynku, obecnie senatorem z Rhode Island. Miał obowiązek pośredniczyć w kluczowych dla projektu Janus rozmowach z rządem, zachowując w tajemnicy swoją przynależność do stowarzyszenia. Asystowała mu B-9, z którą do czasu tej niespodziewanej komplikacji byli blisko, bardzo blisko sukcesu. Pomiot Rooseveltońskiego Nowego Ładu znalazł się na skraju wymarcia, a wizja Lancastera Hilla zaraz miała się urzeczywistnić.

Ameryka już nie będzie zakładnikiem własnego rządu i kraj zacznie rozkwitać, w końcu wyzwolony z finansowych oków świadczeń. Opieka społeczna, ubezpieczenia zdrowotne dla ludzi w podeszłym wieku i tych o niskich dochodach staną się anachronicznymi symbolami pasożytniczej, destrukcyjnej polityki programów pomocowych. Olbrzymi dług publiczny stopi się jak zaspą wiosennego

śniegu. Do szpitala będą przyjmowani tylko ci, których na to stać.

– Najpierw – powiedział B-80 – zakażenie rozprzestrzeniło się bardziej, niż przewidywaliśmy. Następnie, kiedy próbowaliśmy je zahamować, podczas gdy władze w Waszyngtonie rozważały naszą propozycję, odkryliśmy, że Janus stał się oporny na nasze antybiotyki.

– Przybliź zagadnienie – poprosił B-44.

– B-9 rejestruje wszystkie zgłoszone przypadki infekcji.

– Rzucę je na ekran – zaproponowała szefowa strategii i logistyki.

Na ekranie pojawiła się mapa Ameryki. W niektórych stanach widać było czerwone kropki – każda kropka, zgodnie z legendą, oznaczała przypadek zarażenia tym, co media ochrzciły mianem Mikroba Sądnego Dnia.

– To mapa sprzed dwudziestu miesięcy – wyjaśniła B-9. – Wszyscy zostali zarażeni przez osoby, które do tego zwerbowaaliśmy. Każda z nich jest godna zaufania i w pełni popiera naszą filozofię oraz cele. A tutaj mapa sprzed dziewięciu miesięcy. Zakładaliśmy, że zakażenie się rozprzestrzeni, i właśnie to tutaj widzimy. W tym czasie Goodings, sekretarz Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, zwróciła się do nas z prośbą, żebyśmy przestali zarażać i leczyci naszymi antybiotykami tych już zainfekowanych, dopóki nie spotka się z prezydentem. Wtedy zaczęły się kłopoty.

Nowa mapa zastąpiła starą i Bacon natychmiast poczuł skurcz w piersi. Zamiast czerwonych kropek w piętnastu stanach zobaczył czerwone kropki w każdym stanie, przy czym ich liczba tam, gdzie były już wcześniej, czterokrotnie się zwiększyła.

– Myślałem, że bakterie potrzebują głębokiej rany, żeby zarazić organizm – powiedział.

– Również tak myśleliśmy – odparł B-80. – Janus nie tylko stał się oporny na nasze antybiotyki, ale też rozprzestrzeniło się w niespodziewany sposób. Swoją drogą, to dość niezwykle. Nasi naukowcy nigdy nie widzieli tak szybkiej adaptacji.

– B-44, jak obecnie wyglądają nasze negocjacje z sekretarzem Goodings? – zapytał Bacon.

– Wszyscy panikują z powodu wycieku informacji. Wiedzieliśmy, że będą grać na zwłokę, dopóki ich mikrobiolodzy nie opracują skutecznego leku. O ile nam wiadomo, jeszcze im się to nie udało. Zbliżyła się wyznaczony przez nas ostateczny termin, ale oczywiście ta nowa oporność zmienia sytuację na naszą niekorzyść. Gdy tylko rząd zrozumie, co się dzieje, stracimy atut w negocjacjach.

– Szybka adaptacja zaskoczyła nas wszystkich – powiedział B-80. – Początkowo, jak wspomniałeś, bakterie wymagały głębokiej rany, żeby spowodować infekcję. Obecnie może wystarczyć każde większe skaleczenie, nawet zadarta skórka przy paznokciu. Lekarze będą musieli zastosować nadzwyczajne środki zabezpieczające, żeby odpowiednio chronić siebie i pacjentów przed

zarażeniem.

Bacon poczuł rumieńce na policzkach. Bał się odpowiedzi na pytanie, które musiał zadać.

– Jak według twojego modelu będzie wyglądać sytuacja za rok?

– To tylko przewidywania – wtrąciła B-9 – ale sędzę, że nie spodoba ci się to, co zaraz zobaczysz.

Mapa zniknęła z ekranu i jej miejsce zajęła kolejna. Bacon zassał powietrze przez zaciśnięte zęby. Kraj wyglądał tak, jakby cierpiał na ciężki przypadek odry. Tysiące zarażonych, nawet w najmniej zaludnionych stanach.

– Dobry Boże, jaka jest przewidywana liczba ofiar śmiertelnych?

– O ile nie znajdziemy sposobu na zwalczenie infekcji, liczba ofiar będzie systematycznie wzrastać. Poza tym, oczywiście, projekt Janus też umrze gwałtowną śmiercią. Nasza karta przetargowa przepadnie i rząd rozpocznie szeroko zakrojone polowanie na członków naszego stowarzyszenia. Raczej wcześniej niż później FBI zaoferuje tyle, że ktoś pęknie.

Bacon się wzdrygnął i zgarbił w wygodnym skórzanym fotelu, czując wsączający się w kości ziąb od wilgotnej kamiennej podłogi. Zamiast ratować Amerykę, Stowarzyszenie Stu Bliźnich doprowadzi do jej zniszczenia.

– Nie jesteśmy ludobójcami – oznajmił. – Przyświeca nam szczytny cel... Jakies pomysły?

Po minucie ciszy głos zabrała B-97, matematyk-inżynier.

– Jesteśmy przekonani, że jeśli zainicjujemy strategię powstrzymywania, zdołamy ograniczyć liczbę ofiar śmiertelnych do mniej niż tysiąca. Ale pozwolę sobie zaznaczyć, to tylko prognoza. W chwili obecnej ogon kręci psem.

– Jaką strategię powstrzymywania masz na myśli?

– Będziemy musieli zabić wszystkie zainfekowane osoby – odparła bez emocji – i przestać zarażać nowe. Pozostając przy psich analogiach, trzeba jednak liczyć się z tym, że pies być może urwał się już z łańcucha.

Bacon wykrzywił usta.

– Jesteśmy tak blisko. Prezydent i sekretarz Goodings wiedzą, jak Janus może wpłynąć na publiczne zaufanie do służby zdrowia. Są o krok od ustąpienia. Teraz w żadnym wypadku nie możemy się wycofać. B-80?

– Uważam, że musimy być bardziej aktywni, jeśli chodzi o opracowanie skutecznej metody zwalczenia bakterii. B-71, który dokonał odkrycia leżącego u podstaw projektu Janus, intensywnie pracuje nad zmodyfikowaniem protokołu leczenia. Oczywiście od chwili, gdy przedstawiliśmy naszą propozycję, rząd też pracuje nad znalezieniem rozwiązania.

– Są blisko?

– Mają mikrobiologa kierującego tajną grupą zadaniową – odparł B-80. – Wprawdzie agencja NSA często uniemożliwia nam przechwytywanie wiadomości,

które wymienia z zespołem, ale wydaje się, że robią postępy.

– W takim razie musimy go przekonać, żeby pracował dla nas – zdecydował Bacon. – Musimy mieć i truciznę, i odtrutkę, bo inaczej wszystko będzie stracone. Możemy do niego dotrzeć?

– Dzięki przezorności B-9 już od samego początku projektu Janus mamy plan awaryjny uwzględniający taką możliwość. B-45 jest naszą wtyczką, z pewnością mu się uda.

W końcu Bacon mógł się uśmiechnąć.

Nieco odprężony, pociągnął łyk szkockiej i zarządził:

– To do dzieła.

ROZDZIAŁ 3

Co się tyczy człowieka, prawa biologiczne nie robią wyjątku dla inteligencji czy bogactwa. Prawa boskie żądają zaś tylko, żebyśmy w danym nam czasie robili, co w naszej mocy, by uczynić świat miejscem, gdzie opieszałość i gnuśność nigdy nie będą nagradzane.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

Lou dwa razy upadł na śliskich od deszczu skałach i korzeniach i skończył bieg z Chrupem w wolniejszym tempie. Gdy obaj, ubłoceni i podrapani, wlekli się przez rustykalny hol pensjonatu, przyciągali zaciekawione spojrzenia.

– Chyba dziś zrezygnujemy z biegania! – zawołał ktoś za nimi. – Za bardzo przypomina sport kontaktowy.

Poobijany Lou ruszył pod prysznic, a Chrup przysiadł nad mapą, by wybrać najlepszą trasę do domu ciotki w Buford. Dwadzieścia minut później Lou wyszedł z zaparowanej łazienki, gotów do ponownego ataku na las.

– Wygląda na to, że wrócę po kolacji, więc będziesz jadł beze mnie – powiedział Chrup.

– Żaden problem. Pewnie i tak będę musiał poagitować za Filstrupem.

– Jak sądzisz, jaki będzie wynik głosowania?

– Szczerze...? W napisanym przez niego przemówieniu brakuje pasji – odparł Lou. – Mógłby je wygłosić Abraham Lincoln i nawet wtedy wypadłoby nijak.

– Uch.

– Wielu lekarzy należących do organizacji, które dbają o kondycję fizyczną i psychiczną swoich kolegów po fachu, też jest na takim czy innym odwyku. Podejście Filstrupa... cóż, nawet przy najprzychylniejszej ocenie, jest wyprane z emocji. Dużo pompatyczności, mało charakteru.

– Dlaczego w takim razie startuje w wyborach?

– Przecież to facet, który odkąd tu jesteśmy, kilka razy dzwonił z pytaniami o wybory, chociaż jego żona wciąż leży na OIOM-ie. Ma rozbuchane ego.

– I tak jestem pewien, że dasz z siebie wszystko.

– Wierz mi, stary, znacznie bardziej mnie obchodzi stan Marjory Filstrup niż wynik wyborów Waltera. Poza tym, nawet gdybym miał czas i chęci, żeby popracować nad przemówieniem, Filstrup by mnie wypatroszył, gdybym zmienił choć jedno słowo. Dostaną to, co spółdził, i na tym koniec.

– Jeśli chcesz, jutro po bieganiu posłucham, jak czytasz.

– Nie spodoba ci się.

– Daj spokój, od wieków nie miałem urlopu i naprawdę się cieszę, że tu

jestem, więc przynajmniej niech pomogę tobie i twojemu szefowi.

– Cieszę się, że wycieczka wypaliła, w znacznej mierze dzięki furorze, jaką zrobiłeś tam na dole.

– Etam.

Lou wyszedł, gdy Chrup brał prysznic. Mikrobus wynajęty na wycieczkę do CDC mruczał przy wejściu do pensjonatu. Lou przez chwilę wątpił, czy uda mu się zająć miejsce przy oknie, ale z zaskoczeniem stwierdził, że oprócz niego jest tylko dwoje pasażerów. Plakietki informowały, że ma przyjemność towarzyszyć doktor Brendzie Greene, internistce z Oregonu, i doktorowi Harveyowi Plimptonowi z Connecticut, który po pięćdziesiątce stracił zainteresowanie swoją specjalizacją, gastroenterologią, i uzyskał dyplom Amerykańskiej Izby Leczenia Uzależnień.

Greene, rudowłosa, gadatliwa i towarzyska, była bardzo zdegustowana niską frekwencją.

– Chyba ludzie nie rozumieją, jakie to będzie niezwykle doświadczenie. Centrum Kontroli Chorób nawet nie proponuje zwiedzania, udostępnia tylko muzeum. Mój były, Roger, pracuje w biurze public relations i musiał pociągnąć za odpowiednie sznurki, żeby nam to załatwić. Wycieczka po CDC z przewodnikiem trafia się raz w życiu.

– Ludzie zajmujący się zdrowiem lekarzy bywają trochę ograniczeni – powiedział Plimpton. – Co sprawiło, Lou, że się zapisałeś?

– Nigdy tam nie byłem. Nie miałem pojęcia, że nie organizują wycieczek. Zawsze uznawałem takie miejsca za coś w rodzaju Disneylandu mikrobiologii, złożonego z Robakolandu, Epidemiolandu, Krainy „Andromeda znaczy śmierć” i tak dalej.

Wielu uważało, że Centrum Terapii Uzależnień Templeton zapewnia najskuteczniejsze na świecie leczenie i wyprowadza lekarzy z różnego rodzaju nałogów. Uzależnienie Lou, przede wszystkim od amfetaminy, pogłębiało się, w miarę jak brał coraz więcej nadgodzin, żeby pomóc ojcu, związkowcowi na rencie inwalidzkiej, płacić chesne swojego młodszego brata, Grahama. Zgodnie z umową Graham się o niczym nie dowiedział. Obaj byli uparci i Lou obawiał się, że ujawnienie prawdy zerwałoby kruchą więź pomiędzy nimi. Tak się złożyło, że nigdy nie byli sobie bliscy.

Ostatni raz Lou był w Atlancie rok po tym, jak przyjechał do Templeton. W tym czasie wielu z jego „klasy” wróciło do nałogu, a wielu innych zmarło.

Ciężka choroba.

Wspomnienia, zatarte przez lata i kolejne mityngi, kłębiły mu się w głowie, gdy mikrobus jechał ulicami miasta, w którym jego życie zaczęło się zmieniać.

Przejechawszy osiem kilometrów od centrum, dotarli do dzielnicy Druid Hill, gdzie znajdował się kompleks CDC, a także kilka najbardziej eleganckich rezydencji Atlanty. Mikrobus z trojgiem pasażerów skręcił w uliczkę prowadzącą

do głównego wejścia, mijając logo centrum – niebieski prostokąt z wielkimi literami CDC na tle białych promieni. Kierowca zatrzymał się przed głównym budynkiem i poinformował pasażerów, o której zabierze ich z powrotem do pensjonatu.

– Mogłabym tu spędzić wiele dni – rozplęwała się Greene.

– Czy twój eks wyjdzie nam na powitanie? – zapytał Lou.

– Wątpię. Mamy dobre relacje, ale się rozeszliśmy, bo mu powiedziałam, że jest za mało ambitny, żeby cokolwiek osiągnąć.

Lou osłonił oczy przed porannym słońcem. Powietrze, wolne od chemicznego zapachu laboratoriów, pachniało kwitającymi kwiatami i drzewami. Wskazał ręką strzelisty ceglany komin wznoszący się za budynkiem z lustrzanego szkła. Rozległy kompleks wydawał się idealny do hodowania i tajemnic, i kultur bakterii.

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że przyjmują ochotników do eksperymentów na ludziach, jeśli chce się przedłużyć pobyt – powiedział.

– Żartujesz.

– Niestety, ludzie zawsze tak zakładają.

Lou wszedł za pozostałymi do gustownie urządzonego holu, chłodnego na tyle, że dostał gęsiej skórki. Zaczął myśleć o pokojach z niższym ciśnieniem, o filtrach powietrza HEPA i o innych procedurach bezpieczeństwa biologicznego stosowanych w różnych obszarach kompleksu, żeby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się śmiertelnych patogenów.

– Jeśli kiedyś się zastanawiałeś, jak wygląda sklep ze słodyczami dla bioterrorysty – odezwała się Greene, jakby czytała mu w myślach – to właśnie tak.

W tej chwili podeszła do nich brunetka w dopasowanej granatowej garsonce. Identyfikator w klapie informował, że ma na imię Heidi i pracuje w dziale public relations. Zerknęła na podkładkę z klipsem, być może sprawdzając, czy ma właściwą liczbę plaketek dla gości.

– Dzień dobry, witajcie – powiedziała z ledwo słyszalnym obcym akcentem.

– Jestem Heidi Johnson i będę dziś waszą przewodniczką. Pani to pewnie doktor Greene?

– Brenda Greene, zgadza się.

– Mam wiadomość od Rogera Greene’a. Niestety przez cały dzień ma spotkania i żałuje, że nie może osobiście oprowadzić pani po tym najlepszym tego typu ośrodku na świecie, ale wie, że wzorowo go zastąpię. A teraz, zanim ruszymy, o ile nie ma pytań, muszę sprawdzić listę obecności.

– Z pewnością pani wie, że jesteśmy uczestnikami konferencji poświęconej zdrowiu lekarzy – podkreśliła Greene.

– W Chattahoochee Lodge. Z reguły nie organizujemy wycieczek, ale pan Greene, mój szef, osobiście załatwił wam zwiedzanie.

Lou spojrział na Brendę i odgadł, że myśli o związku swojego eks z Heidi.

– Spodziewałam się większej grupy, ale mniejsza oznacza, że zobaczymy więcej – dodała przewodniczka.

Ogrody na zewnątrz, połyskujące wnętrze i idealny uśmiech Heidi utwierdzały Lou w przekonaniu, że CDC skutecznie bagatelizuje swoją ważną, często niebezpieczną pracę. Jednak uśmiech Heidi nieco przygasł, gdy skończyła rozdawać plakietki z nazwiskami.

– Niestety, doktor Chopra, dyrektor Wydziału Chorób Bakteryjnych, wyjechała w sprawach służbowych, więc nie możemy obejrzeć jej laboratorium. Mamy dwie możliwości. Przed wycieczką po terenach centrum i wizytą w muzeum możemy zwiedzić Wydział Chorób Wirusowych albo Zakład Oporności na Antybiotyki.

Choroby wirusowe... Oporność na substancje antybakteryjne... Sklep ze słodyczami dla terrorystów. Wyobraźnia Lou pracowała pełną parą.

Harvey Plimpton, małomówny w przeciwieństwie do Brendy Greene, ożywił się, gdy usłyszał propozycję.

– Oporność na substancje antybakteryjne... Zanim zmieniłem specjalizację, prowadziłem badania nad mutacją E. coli. Możemy tam pójść?

– Jeśli wszyscy się zgadzają – zaznaczyła Heidi.

Lou i Greene wymienili spojrzenia i pokiwali głowami.

– Świetnie, tam zaczniemy – powiedziała Heidi. – Zadzwoń i uprzedzę doktora Scupmana, że się do niego wybieramy. Z pewnością uznacie, że jest... hm, dość interesujący.

– Co pani przez to rozumie? – zapytał Lou.

Odpowiedziała enigmatycznym uśmiechem, nie dodając ani słowa.

ROZDZIAŁ 4

Rząd istnieje po to, żeby zapewnić ład, zaś Stu Bliźnich – żeby określić, jaki ten ład powinien być.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

W porannej duchocie i dwudziestu czterech stopniach mała grupa pod przewodnictwem Heidi Johnson dreptała w stronę powstałego niedawno Zakładu Oporności na Antybiotyki, który znajdował się pół kilometra od głównego gmachu CDC. Okazały parterowy sześcian podobny do bunkra został zbudowany z szarych pustaków żużlobetonowych. Otaczały go gęste, niskie zarośla, mające niewiele wspólnego z architekturą krajobrazu. Lou zastanawiał się, czy projektanta wystraszyła myśl o drobnoustrojach, czy po prostu kazano mu tak zaplanować całość, żeby budynek nie wyglądał zbyt zachęcająco.

Jakby na potwierdzenie tych domysłów, przy wejściu rozpoczęły się procedury bezpieczeństwa. Zza małego, skromnego biurka w równie spartańskim holu wyszedł uzbrojony strażnik – młody i wysportowany, ale ani trochę nie ujmujący. Wziął dokumenty i pobrał odciski palców, używając skanera biometrycznego. Chwilę później przez stalowe drzwi z klawiaturą numeryczną wszedł drugi. Poprowadził Lou i pozostałych w głąb długiego korytarza bez okien, gdzie po obu stronach wisiały zdjęcia w antyramach. Były to niezbyt przyjemne dla oka kolorowe zdjęcia z mikroskopów optycznego i elektronowego, przedstawiające drobnoustroje, głównie bakterie.

Powietrze, prawdopodobnie filtrowane przez jakiś system recyrkulacji, miało nieświeżą nutę. Przechodząc przed szklanymi wewnętrznymi drzwiami, Lou wypatrzył na końcu korytarza po prawej stronie trójkę naukowców w długich do kolan białych kitlach laboratoryjnych. Widział ich tylko przez chwilę, zanim zniknęli za drzwiami czegoś, co mogło być kolejnym korytarzem... albo klatką schodową.

Dreszcz przebiegł mu po plecach.

Zagadka, co się znajduje za drugimi drzwiami, podsycała jego ciekawość i zrodziła podejrzenie, że ośrodek pod ziemią jest większy niż na powierzchni. W laboratoriach przechowywano mikroorganizmy odporne na antybiotyki. Intrygowały go bitwy toczone w tych odpychających murach. Ile śmiertelnych, mikroskopijnych form życia hoduje się tutaj i bada? Czy naukowcy, których widział, pracują nad czymś innym niż antybiotyki? Może nad bronią masowej zagłady? Lou szedł równo ze swoimi towarzyszami, ale jego wyobraźnia wybiegała daleko do przodu.

Przemierzyli labirynt krótszych korytarzy i weszli do pomieszczenia bez

żadnego sprzętu naukowego – był to pokój konferencyjny i biblioteka z regałami od podłogi do sufitu. Ustawione w rzędzie, opatrzone etykietami tomy i oprawione periodyki zajmowały całe dwie ściany. Z przodu, przed dużym płaskim telewizorem, stało sześć krzeseł.

Czekały tam na nich dwie osoby, mężczyzna pod sześćdziesiątkę i kobieta może dwadzieścia lat młodsza, oboje w fartuchach bez identyfikatorów: ani nazwiska, ani nazwy wydziału. Mężczyzna miał szeroki, płaski nos, zielone oczy nakryte ciężkimi powiekami i zmierzwione siwobrazowe włosy z niedbałym przedziałkiem po lewej stronie. Bładość wskazywała na to, że wiele godzin spędza pod dachem, prawdopodobnie w tym ubogim w witaminę D sarkofagu. Błękitna koszula pod rozpiętym kitem nigdy nie wygrałaby konkursu na najlepiej wyprasowaną. Kobieta z kolei miała kruczoczarne włosy uczesane w ciasny kok i wyglądała na intelektualistkę, co podkreślały okulary w grubych oprawkach. Filigranowa i całkiem urocza, przypominała trochę szarą myszkę. Odnosiła się do nich z dużą rezerwą i sprawiała wrażenie zaniepokojonej wizytą.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna grobowym głosem, celowo lub nie. – Nazywam się Scupman, doktor Samuel Scupman. Jestem szefem Zakładu Oporności w CDC. Współpracuje ze mną doktor Vicki Banks. Będzie mi towarzyszyć podczas dzisiejszej prezentacji. Pan Greene z public relations powiedział, że wszyscy jesteście lekarzami.

– Oprócz mnie – zaznaczyła Heidi. – Pracuję z panem Greene’em.

Lou znowu dostrzegł błysk w oku Brendy.

– Doktor Brenda Greene – przedstawiła się. – Pan Greene i ja jesteśmy... byliśmy małżeństwem. To doktor Harvey Plimpton i doktor Lou Welcome. Uczestniczymy w krajowej konferencji organizacji zajmujących się zdrowiem lekarzy. Wizyta w CDC jest dla nas ogromnie ekscytująca.

Scupman miał taką minę, jakby ani trochę go nie obchodziło, kim są. Skinął głową, nie próbując nawet wymienić uścisków dłoni. Zmrużył oczy, prawdopodobnie na myśl o konieczności zadawania się z osobnikami złożonymi z więcej niż jednej komórki. Zachmurzył się.

– Wyznam, że byłem zaskoczony, gdy pani mąż zaproponował wizytę w naszym zakładzie. Większość wykonywanej przez nas pracy jest ściśle tajna. Wprowadzenie was do serca naszego laboratorium świadczyłoby o karygodnym braku odpowiedzialności. Rozumiecie, w tym obiekcie mamy ponad dziesięć tysięcy różnych gatunków bakterii...

– Ścisłej mówiąc, z ostatnich obliczeń wynika, że mamy ponad dwadzieścia tysięcy – poprawiła Vicki Banks.

– Tak, oczywiście, dziękuję – burknął Scupman. – Dwadzieścia tysięcy różnych szczepów drobnoustrojów, z których wiele jest tak zabójczych, że stanowią zagrożenie nawet dla ludzi wyszkolonych pod tym kątem,

zaznajomionych z większością najnowszych procedur dotyczących bezpieczeństwa biologicznego i laboratoryjnego. Wiem, że chcielibyście zobaczyć wszystko, ale dla waszego dobra dzisiejsza wycieczka ograniczy się do bezpiecznego pokazu slajdów.

– Rozumiemy – powiedziała Brenda, wyraźnie rozczarowana.

– Proszę zająć miejsca – poleciła im Banks. – Doktor Scupman ma inne obowiązki, więc nie marnujmy czasu.

Gdy tylko wszyscy usiedli, światła przygasły i na ekranie pojawił się pierwszy kolorowy slajd o wysokiej rozdzielczości. Przedstawiał różowe pałeczki bakterii w różowej pożywce.

– Widzimy tutaj – zaczął Scupman – ruchliwe Gram-ujemne bakterie, zwane *Burkholderia pseudomallei*. Te mikroskopijne stworzonka wywołują zakaźną chorobę melioidozę. Bez odpowiedniego leczenia śmiertelność zainfekowanych organizmów wynosi dziewięćdziesiąt procent. Wymioty, wysoka gorączka, kaszel i ostry ból w piersi prowadzą do bezlitośnie powolnej śmierci w męczarniach. Te bakterie, występujące endemicznie w niektórych częściach Azji, Australii i Afryki, obecnie są klasyfikowane jako broń biologiczna grupy B. Są na tyle wytrzymałe, łatwe do hodowania i zachowują taką stabilność, że mogą być wykorzystane jako broń. Robi wrażenie, prawda?

Scupman pokazywał slajdy przedstawiające różne mikroorganizmy, opowiadając o cudownych cechach każdego z nich w taki sposób, jakby były genialnymi dziećmi. Im bardziej się nad nimi rozplątywał, tym bardziej niespokojny robił się Lou. Jedną rzeczą była miłość mikrobiologa do pracy, a zupełnie inną ubóstwianie bestii, które próbował pokonać.

– Ludzie są wyposażeni w bardzo wiele mechanizmów obronnych chroniących przed takimi zagranicznymi intruzami – kontynuował Scupman. – Mimo całego imponującego postępu w dziedzinie nauki i medycyny wciąż jednak nie rozwikłaliśmy zagadki, jaką jest zdolność ludzkiego organizmu do samoobrony. Przejście od reakcji genetycznej do efektu antybakteryjnego wciąż jest dla nas równie tajemniczy jak pochodzenie samego życia. Możecie być pod wrażeniem zdolności naszego ciała, ale powiem coś, co może wydawać się przerażające: jest bardzo mało bitew, których bakterie nie są w stanie wygrać.

Mikrobiolog przemaszerował przed ekranem.

– Jak to się dzieje, że mikroorganizm w rodzaju *B. pseudomallei* przez lata, niczym dziki lokator, koczuje wewnątrz ludzkiego ciała, niewykryty przez układ immunologiczny, a potem nagle bez żadnego ostrzeżenia uaktywnia się i rozprzestrzenia, dopóki życiodajna krew ofiary nie przemieni się w truciznę? To... – uniósł palec – to tylko jedno z pytań, na które nasi badacze szukają odpowiedzi. Los naszej planety, nasze przetrwanie, zależy od uzyskania dostępu do tej wiedzy, od oddzielenia pożytecznych dla nas bakterii od tych, które są

genetycznie zaprogramowane, by niszczyć gospodarza. Codziennie prowadzimy wojnę przeciwko armadzie pozbawionych sumienia mikroskopijnych wrogów, których jedynym celem jest reprodukcja i metabolizm, wrogów tak uwarunkowanych przez geny, by odnieść ostateczne i totalne zwycięstwo, nawet za cenę życia swoich gospodarzy.

W słabo oświetlonym pokoju Lou niemal widział, jak Scupman się poci, porwany własnym entuzjazmem. Zapadła martwa cisza – nikt nie był pewien, jak zareagować na jego tyradę. W końcu Brenda przerwała milczenie.

– Doktorze Scupman, czy jest jakiś komponent genetyczny, który mogłby wyjaśniać, dlaczego bakterie u niektórych ludzi pozostają w stanie uśpienia?

Scupman wydawał się mile zaskoczony, być może jej erudycją. Zapalił światło.

– Doktor Banks, zechce pani to omówić?

Wyraz twarzy asystentki sugerował, że wolałaby zachować milczenie. Mimo to zabrała głos i pewnie udzieliła odpowiedzi, bez cienia egzaltacji swojego szefa.

– Czy wszyscy słyszeli o receptorach toll-podobnych? – zapytała.

Troje lekarzy pokiwało głowami.

– W takim razie wiecie, że są to białka, które inicjują walkę przeciwko śmiertelności bakteriom. TLR są jak dziesięciocyfrowe kody alarmowe. Każdy kontakt patogenu z komórką układu immunologicznego powoduje wprowadzenie kodu i jeśli drobnoustrój nie jest łagodny, rozlega się alarm aktywujący systemy obronne organizmu. Jednakże *B. pseudomallei*, jak mikroskopijny magik, oszukuje układ przez wprowadzenie kodu nieszkodliwej bakterii, więc ciało nie jest świadome obecności intruza. Odpowiedź na pani pytanie brzmi twierdząco. Tak, jesteśmy przekonani, że ze względu na jakiś komponent genetyczny niektórzy ludzie, choć zainfekowani, nigdy nie zachorują. Daleko jednak jeszcze od wykorzystania tej wiedzy do opracowania skutecznej szczepionki czy antybiotyku.

– Dziękuję, Vicky – powiedział Scupman.

Banks uśmiechnęła się skromnie i Lou stwierdził, że jest atrakcyjniejsza, niż uznał na pierwszy rzut oka. Wbrew sobie zauważył, że nie ma obrączki, a właściwie żadnej biżuterii.

– To pytanie do obojga państwa – odezwał się. – Czy takie bakterie jak *B. pseudomallei* zwykle mutują po zainfekowaniu gospodarza, czy też ich cechy się nie zmieniają?

– A kim pan jest? – zapytał Scupman.

– Welcome. Lou Welcome. Jestem lekarzem SOR-u w Eisenhower Memorial w Waszyngtonie, ale również internistą.

– Dobre pytanie, doktorze Welcome. Jedną z rzeczy, jakich się nauczyłem podczas dwudziestu pięciu lat studiowania bakterii, jest to, że natura bezustannie je przygotowuje i modyfikuje, czyniąc z nich niezrównanych wojowników. Jak

powiedziałem, to żołnierze idący na wojnę bez sumienia i lęku. W bitwie o przeżycie gatunków stanowią najpotężniejsze zagrożenie, z jakim kiedykolwiek spotka się ludzkość. Próbę wyjaśnienia i zwalczania mutacji bakterii w organizmie gospodarza można porównać do wystawienia dziecięcej drużyny piłkarskiej przeciwko klubowi Manchester United, który nie tylko jest silniejszy w chwili, gdy zabrzmi gwizdek, ale też bezustannie zmienia strategię i wciąż gra według innych zasad. Ujmując to inaczej, bakterie są znacznie lepsze w sztuce przetrwania niż my w opracowywaniu skutecznych szczepionek czy antybiotyków.

Lou oderwał wzrok od Vicki.

– Właśnie o tym chciałem powiedzieć – mówił Scupman. – Ludzie są niechlujni, mikroby zaś idealne, tworzą idealne społeczeństwo, w większości niewidzialne dla naszych oczu, a jednak istniejące wokół nas i w nas. Jak wspominałem, mikrob nie rozumuje, nie waha się, nie opóźnia nieuchronnego ataku. W sytuacji zagrożenia te bezmyślne maszyny do zabijania ulegają przemianie, na pozór mutując w coś, czego się nie da pokonać. Działają błyskawicznie bez skruchy i bez względów na innych. Widzi pan, doktorze Welcome, jedna bakteria zawiera wszystko, co niezbędne do wzrostu i reprodukcji. Bakterie nie zastanawiają się nad swoim istnieniem. Nie są ani upośledzone, ani genialne. Ich jedynym celem jest prosty stan bycia. Kierując się ślełą ambicją powielania samych siebie, te wspaniałe organizmy istnieją bez brzemienia ludzkich głupstw. W wielu wypadkach jesteśmy bezradni, niezdolni do wystąpienia przeciwko ich potędze.

Powietrze w pokoju stało się ciężkie i gęste, jak w duszny dzień w środku lata.

– Może wrócimy do pokazu slajdów? – zaproponowała Vicki.

Przez dwadzieścia minut wyświetlała przeźrocza ilustrujące funkcje laboratorium i prace nad skutecznymi antybiotykami. Oprócz tego kilka minut poświęcili na omówienie różnych rodzajów organizmów, które rząd uznał za potencjalnie groźne dla bezpieczeństwa publicznego. Stanowili ciekawą parę. Vicki była spokojna i obiektywna, natomiast Scupman ledwie nad sobą panował, targany emocjami.

Lou pomyślał, że gdyby przemówienie Filstrupa choćby w jednej dziesiątej było tak entuzjastyczne jak podejście Scupmana do pracy, miałby on niemałe szanse na wygranie wyborów. Ale było inaczej. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na Vicki Banks i zobaczył, że kobieta na niego patrzy.

Spokojnie, stary, przykazał sobie w duchu. Tylko spokojnie.

– Mam pytanie – odezwał się Harvey Plimpton, kiedy Scupman skończył mówić.

– Proszę bardzo, tylko potem naprawdę muszę już iść.

– Pokazał nam pan wiele przerażających bakterii. Czy jest wśród nich jakiś

szczególny gatunek, który budzi w panu największy lęk przed zarażeniem?

– Oczywiście – odparł Scupman, błogo składając ręce. – Wielu moich kolegów może dowodzić, że najbardziej śmiertelne ze wszystkich są zjadliwe szczepy enterobakterii, odporne na karbapenemy. To fakt, są potężne. Jednakże dla mnie, osobiście, koszmarem byłoby zarażenie się najnowszym szczepem *Streptococcus pyogenes*, który powoduje stan znany jako martwicze zapalenie powięzi. Pożeranie żywcem od środka, amputacja jednej kończyny po drugiej... to najgorsza śmierć, jaką można sobie wyobrazić.

ROZDZIAŁ 5

Konfrontacja z najstraszliwszymi prawdami wymaga dyscypliny.

Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

To koniec.

Jennifer Lowe przysięgła, że po raz ostatni weszła na salę operacyjną, przynajmniej na jakiś czas. Minęło osiem dni od amputacji prawej ręki Bekki Seabury. Nastolatka znowu wróciła na stół. Tym razem miała stracić prawą nogę.

Becca była zakażona, poważnie zakażona. Poza nogą infekcja zaatakowała wnętrze ciała – płuca i serce, a także otaczające je naczynia. Widok był straszny. Jennifer towarzyszyła jej codziennie, pełniąc dziesięcio- czy dwunastogodzinne dyżury, bez dni wolnych. Przełożona w White Memorial ją przestrzegła, żeby nie próbowała wprowadzać jakichkolwiek zmian w grafiku i brać dyżurów za inne pielęgniarki, ale ona i tak to robiła. W przeszłości uczestniczyła w trwających dwa, a nawet trzy tygodnie misjach w Kongu, gdzie pracowała praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

– Mam mieszkanie i w domu czeka na mnie nowy materac – mówiła każdemu, kto prosił, żeby w końcu zrobiła sobie przerwę. – Co mają ci ludzie?

Rozbiły ją nie godziny opieki nad Beccą, ale bezradność i frustracja. I czekanie. Przesunęła się na podwyższeniu, żeby mieć lepszy widok nad prawym ramieniem chirurga. Od czasu triumfalnej rekonstrukcji łokcia przypadek nastolatki niewiarygodnie wyczerpał cały zespół, ale to doktor Beebe najgorzej przeżywał rozwój infekcji. Znacznie się postarzał od odebrania pierwszego telefonu z ortopedii, że z ich pacjentką gwiazdą dzieje się coś złego.

– Skalpel... ssanie... klamra... druga klamra... skalpel... bardziej odciągnąć, proszę

W uszach Jennifer słowa doktora Beebe'a zlewały się w biały szum. Jedyne, co czuła, to ulgę, że Becca jest głęboko znieczulona.

– Kleszczyki... ssanie, proszę... tutaj... ssak tutaj, proszę. Bart, krew jest nieco ciemniejsza. Wszystko w porządku?

– Saturacja tlenem nieco spadła. Pracuję nad tym.

Jennifer poczuła pot pod maską chirurgiczną. Nieświadomie potarła miejsce między trzecim i czwartym palcem lewej ręki. Egzema – była pewna, że o to chodzi – stawała się coraz bardziej dokuczliwa, swędzenie się nasilało. Zważywszy na chorobę wyniszczającą jej pacjentkę, byłaby głupia, nie biorąc pod uwagę możliwości, że w niej rozwija się to samo. Ale jeśli coś wygląda jak kaczką i kwacze jak kaczką, to musi być kaczką. Wysypka wyglądała jak egzema.

Jennifer po prostu na wszelki wypadek poczytała trochę o bakteriach, które

zajęły leczoną chirurgicznie rękę Bekki – o bakteriach nazwanych przez prasę Mikroblem Sądnego Dnia. Świat medycyny i pacjenci sami prosili się o kłopoty od czasu wynalezienia penicyliny i bakterie odpowiadały coraz większą opornością.

Niektóre choroby wirusowe, jak opryszczka i grypa, można skutecznie wyleczyć, ale żadne antybiotyki nie działają na zapalenie oskrzeli, zapalenie ucha środkowego czy przeziębienie. Studentom pierwszego roku medycyny wbija się do głów, że nie należy stosować antybiotyków, o ile nie pobrano próbki i nie wyhodowano z niej bakterii. Najlepiej, żeby próbka została poddana testowi wrażliwości na antybiotyki. Mimo to lekarze, którzy chcą zadowolić swoich pacjentów, tak żeby nie uciekli do konkurencji, co roku miliony czy dziesiątki milionów razy przepisują antybiotyki.

Pierwsze doniesienia o nowym szczepie pojawiły się zupełnie niedawno. Nazwa nadana mu przez jakiegoś reportera budziła przerażenie i była chwytliwa, ale jeszcze nie trafiła do nagłówków na pierwszych stronach. Przypadek tu, przypadek tam. Po prostu kolejny oporny na antybiotyki mikrobia. Wydawało się, że nikt tak naprawdę się tym nie przejmuje. Co więcej, przypadek Bekki Seabury był zaledwie piątym udokumentowanym w Bostonie i drugim w White Memorial, będącym przecież jednym z największych szpitali na świecie. Ponadto wszystkie zakażenia, o których czytała Jennifer, w Bostonie i innych miejscach, przypominały zakażenie nastolatki – każda zarażona osoba miała rozległe, otwarte złamania albo rany pooperacyjne.

Znacznie powszechniejsze były zakażenia bakteriami MRSA – gronkowcem złocistym opornym na metycylinę – ale o ile wiedziała, stopniowo je opanowywano. Miała wrażenie, że Mikrobia Sądnego Dnia, ziarniak o szczególnych wzorach barwienia, jest nietypowym czynnikiem zakaźnym w rodzaju ospy wietrznej, która w większości wypadków przebiega łagodnie i tylko w nielicznych prowadzi do śmierci.

Egzema. To była przyczyna świądu. Ni mniej, ni więcej.

Boże, spraw, żeby Becca z tego wyszła. Niech się jej polepszy, niech żyje z pozostałymi ręką i nogą i z protezami, jakie można dla niej zrobić.

– Bart, jak idzie? – zapytał cicho Beebe. – Krwawienie ustało, ale niezupełnie jestem zadowolony z koloru skóry pacjentki.

– Pracuję nad tym, Chandler. Ciśnienie lekko spadło. Zacząłem podawać dopaminę.

– Piła gotowa, Bart. Zaczynać czy nie?

W tym momencie nastąpiła przerwa w wymianie zdań. Cisza się przedłużała, zakłócana tylko przez popiskiwanie monitora saturacji tlenem.

– Zaczynać – powiedział w końcu anestezjolog.

Proszę, pomyślała znowu Jennifer. Błagam.

Beebe spojrział na nią.

– Jennifer, trzymasz się?

– Tak dobrze, jak tylko mogę w tej sytuacji – odparła przez maskę.

– Zważywszy na ogólny stan Bekki, powinno być dobrze, ale mamy przed sobą najtrudniejszą część. Zamierzam użyć piły oscylacyjnej, żeby uwolnić ją od tej infekcji. Gdy infekcja zniknie, pacjentka zacznie wracać do zdrowia. Pewnie o tym wiesz, ale wolę się upewnić, bo zdaję sobie sprawę, że jesteś bardzo zaangażowana w opiekę nad małą.

– Widziałam już pilę oscylacyjną używaną podczas operacji.

Jennifer rozmyślnie nie dodała, że było to wyjątkowo stresujące i nieprzyjemne doświadczenie.

– W porządku, to wiesz, jaki to hałas. Jak wiertło dentystyczne.

Jak sto wiertel dentystycznych.

– Wiem – powiedziała.

Zacisnęła zęby, słysząc zgrzyt potężnej piły z tarczą wykonującą ruchy nieobrotowe, lecz szybkie posuwisto-zwrotne. Nigdy nie czuła się dobrze w gabinetach dentystycznych. Była dzielną pielęgniarką – niektórzy nawet mówili, że nieustraszoną – ale hałas i świadomość tego, co się dzieje pod dużą lampą, sprawiły, że odwróciła wzrok. Mimo że Becca była przykryta jałową serwetą operacyjną, co trochę pozbawiało ją tożsamości, Jennifer nie mogła zapomnieć, że na stole leży osoba, która stała się dla niej prawie młodszą siostrą.

Amputacja nogi Bekki tuż poniżej biodra dobiegała końca. Wtedy zaczęły się kłopoty. Jennifer w porę uniosła głowę, żeby zobaczyć zmianę na ekranie monitora – dodatkowe skurcze serca, prawie na pewno przedwczesne pobudzenia komorowe. Najpierw jedno, potem dwa, później nagle cztery naraz. Czuła, że jej samej puls przyśpiesza.

– Bart? – odezwał się Beebe głosem, jakiego używał na sali operacyjnej. – Co się dzieje?

– Mamy nagłą arytmie i spadek ciśnienia. Podaję amiodaron.

Jennifer jeszcze bardziej się spięła. Amiodaron, lek przeciwarytmiczny, podawano w celu ustabilizowania nieregularnego rytmu serca. Arytmia mogła minąć albo zapoczątkować coś znacznie gorszego.

– Janet, dzwoni na kardiologię – powiedział anestezjolog.

Gdy Jennifer po raz kolejny spojrzała na monitor, ciśnienie spadło do czterdziestu. Becca miała zapaść sercowo-naczyniową. Jej serce, osłabione przez infekcję, osiągnęło kres możliwości.

– Mamy kryzys, Chandler. Kończ jak najszybciej.

Saturacja spadała.

Ciśnienie trzydzieści.

Dodatkowe skurcze uległy nasileniu, potem przeszły nagle w szybki, całkowicie nieregularny rytm.

– Migotanie komór! – krzyknął anestezjolog. – Reanimacja. Ucisk klatki piersiowej, wózek ze sprzętem, przygotować się do defibrylacji.

Jak na filmie w przyspieszonym tempie, aktywność na sali operacyjnej natychmiast wzrosła. Ze swojego miejsca na podwyższeniu Jennifer patrzyła jak zahanotyzowana. Przeszła szczegółowe szkolenie z resuscytacji, lecz nie należała do zespołu reanimacyjnego, więc mogła się tylko przyglądać. Rozpaczliwie chciała pomóc, ale wiedziała, że tłok jedynie utrudni działania. Zbyt liczny zespół reanimacyjny to zawsze kłopoty. Najlepiej w takiej sytuacji nie przeszkadzać.

W chwili, gdy usłyszała o reanimacji, wiedziała już, że los Bekki jest przesądzony. Mogli ją intubować i defibrylować, ale nie byli w stanie usunąć przyczyny ustawiania pracy serca.

– Nie widzę etCO₂, Danielle. Przyspieszyć i głębiej uciskać klatkę.

– Prawie skończyliśmy, Bart. Jak z nią?

– Źle. Przygotuj się do defibrylacji, Mary.

– Elektrody gotowe. Ile?

– Dwieście dzuli. Gotowi? Odsunąć się. Impuls.

Jennifer zobaczyła, że ciało Bekki podskoczyło. Linia na monitorze się nie zmieniła.

Migotanie komór.

– Podjąć ucisk na klatkę! – krzyknął anestezjolog. – Miligram epinefryny, kontynuować ucisk przez dwie minuty.

Jennifer wiedziała, że zespół nie podda się bez walki, zwłaszcza nie wtedy, gdy bój toczył się o życie nastolatki. Kolejne minuty miały być decydujące.

Z miejsca, gdzie stała, widziała twarz Bekki. Dziewczyna miała oczy zaklejone plastrem, ale mimo to, mimo rurki intubacyjnej, uciskania klatki piersiowej i innych zabiegów była ostoją spokoju.

Pielęgniarka stała bez ruchu, gdy zespół podawał kolejne leki i używał defibrylatora. W końcu, po kilku minutach, które wydawały się wiecznością, było po wszystkim. Wyraźnie wstrząśnięty anestezjolog spojrzał na zegar, podziękował zespołowi i podał dokładny czas zgonu.

Jennifer poczuła pod maską początek powodzi łez. Wciąż stała na swoim miejscu, nieświadomie pocierając dziwnie swędzące miejsce pomiędzy palcami.

ROZDZIAŁ 6

Gdyby ktoś zaproponował rolnikowi, że za darmo zaorze mu pole, rolnik byłby głupcem, gdyby sam to zrobił.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

– Obawiam się, że nie zrobiłem takich postępów, na jakie miałem nadzieję.

Głos doktora Andrew Pollacka płynący z głośników był idealnie czysty, tym razem ani trochę niezniekształcony. Najnowszy program szyfrujący sprawiał, że rozmowa była ledwie słyszalna. Przynajmniej to idzie jak trzeba, pomyślał ponuro Kazimi.

– Przyślij mi, co masz – poprosił.

– Będziesz rozczarowany, Kaz.

Kazimi się zawahał. Po trzech latach jeszcze się nie przyzwyczyił, że zwracają się do niego w ten sposób. Nazywał się jednak Ahmed Kazimi, przynajmniej według prawa jazdy, paszportu, aktu urodzenia, numeru ubezpieczenia społecznego i tych, którzy kontaktowali się z nim osobiście albo w sieci. Komplet dokumentów nie był wytworem jakiegoś pokątnego fałszerza, otrzymał je dzięki uprzejmości rządu federalnego Stanów Zjednoczonych Ameryki. Stanfordzki mikrobiolog, który przyszedł na świat pod innym nazwiskiem, po prostu zaginął – pewnego dnia przepadł jak kamień w wodę, dosłownie. Zdaniem policji, uniwersytetu i wszystkich, którzy go znali, utonął podczas wyprawy żeglarskiej na swoim małym słupie.

– Ostatnio przywykłem do rozczarowań – rzekł w końcu.

– Dobre i to, że przynajmniej nie mamy do czynienia z prawdziwym kryzysem.

Kazimi zdusił pragnienie wyprowadzenia z błędu Pollacka, który był przekonany, że należy do pracującej online grupy roboczej, złożonej z wojskowych i naukowców, a nawet autorów bestsellerowych thrillerów. Genialny entomolog z Uniwersytetu Northwestern wierzył, że ich misja, obmyślona i zorganizowana przez samego prezydenta, polega na tworzeniu scenariuszy dotyczących bioterroryzmu, a następnie opracowywaniu sposobów zapobieżenia niebezpieczeństwu.

Kazimi zwinnie poodbijał nogą piłkę, czekając na transmisję danych. Po latach bezustannych wysiłków w końcu on i jego wirtualny zespół ekspertów zaczęli robić prawdziwe postępy w pracy nad antybiotykiem makrolidowym czy beta-laktamowym, skutecznym w zwalczaniu Gram-dodatniej postaci bakterii nazwanej Mikroblem Sądnego Dnia. Niestety, ku jego konsternacji, próby znalezienia skutecznego środka przeciwko postaci Gram-ujemnej wciąż nie

przynosiły spodziewanych rezultatów.

Pocieszające było to, że Kazimi miał do dyspozycji nieograniczone zasoby finansowe rządu federalnego. Laboratorium, w którym pracował, mieściło się w piwnicach domu w Brightwood, spokojnej waszyngtońskiej dzielnicy w pobliżu północnego krańca Dystryktu. Dla zapewnienia tajemnicy rząd, tak jak zasugerował, zgodził się ukryć laboratorium niemal na widoku. Nikt, nawet Stu sprytnych Bliźnich, nie wpadłby na pomysł, żeby szukać rządowego laboratorium mikrobiologicznego w dzielnicy mieszkalnej.

Zanim Kazimi zniknął, zbudowano laboratorium zgodnie z jego ścisłymi zaleceniami. Miał inkubatory, mikroskop elektronowy, komory bezpieczeństwa biologicznego plus kilka komputerów. Nie miał – przynajmniej na razie – antybiotyku zwalczającego Mikroba Sądnego Dnia.

– Odebrałeś mój przekaz? – zapytał Pollack.

Kazimi pomyślał, że usłyszał lekkie przesunięcie fazowe w jego głosie. Może po prostu słuch płatał mu figle, zresztą nie po raz pierwszy. Czternaście godzin pracy z krótkimi przerwami w podziemnym laboratorium, brak światła słonecznego i nieczęste bezpośrednie kontakty z ludźmi z łatwością mogły spowodować zaburzenia słuchu. Tak, zdecydował, na pewno o to chodzi. Program idealnie odkodował dane przysłane przez Pollacka.

– Mam – powiedział.

– Zobaczysz, że moja ostatnia metoda hamuje syntezę białek bakterii i utrudnia przemieszczanie rybosomalne. Głównym problemem pozostaje prędkość, zabijanie tych maleńkich bestii tak szybko, żeby nie zdążyły być gotowe do mutacji i wykształcania oporności. Jeśli zdołamy tego dokonać, te same elementy, które działają przeciwko nam, zaczną pracować dla nas.

– Doskonale – odparł Kazimi. – Daj mi chwilę na bardziej szczegółowe przejrzanie materiału.

Po kilku sekundach dostrzegł problem. Inny naukowiec potrzebowałby może kilku dni, by wykryć feler, ponieważ przypominało to szukanie igły w stogu danych, ale nie Kazimi.

– Czynniki bakteriostatyczne, którego używasz, będzie stanowił przeszkodę – zawyrokował.

– Możliwe... Nie, czekaj. Rozumiem, w czym rzecz. Doskonale rozumiem. Pozwól, że przetestuję lek z innym czynnikiem.

– I z żadnym.

Kazimi znowu pomyślał, że usłyszał coś w transmisji Pollacka, jakby elektroniczne migotanie, które na chwilę zniekształciło jego głos.

Czyżby zostali zdekonspirowani?

Nie wolno było lekceważyć twórców Mikroba Sądnego Dnia. W wyniku ich starań powstał organizm bardziej wyrafinowany niż wszystko, co dotychczas

widział. Nie byłby ani trochę zaskoczony, gdyby zyskali dostęp do kodowanych transmisji. Jeśli rzeczywiście tak było, mogło to przyspieszyć wprowadzenie w życie ich planu.

Kazimi zadrżał na tę myśl i zaczął się zastanawiać, czy wspomnieć o tym nowym podejrzeniu w swoim codziennym raporcie. Falszywy alarm może wzbudzić obawy o jego stan umysłowy. Słyszy głosy, powiedzą, wpada w paranoję. Każdy człowiek, nawet samotnik z zamyślenia, ma pewną granicę wytrzymałości. Bał się przechylenia szali na stronę, która zagrozi jego udziałowi w projekcie. Za daleko zaszedł, zbyt wielu rzeczy się wyrzekł, żeby nie zobaczyć, jak to się skończy.

– Wcale nie jestem rozczarowany – powiedział, pocierając piekące oczy. – Brawo, doktorze Pollack.

– A co z innymi uczestnikami gry?

Gry.

Znowu dopadły go wyrzuty sumienia z powodu oszustwa, ale ten parawan był niezbędnym środkiem ostrożności. Nikt nie mógł się dowiedzieć o rzeczywistym niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad Ameryką. O ile się orientował, szczegóły jego badań znał tylko prezydent, wiceprezydent i kilku wybranych członków gabinetu. CIA i FBI, agencje prowadzące śledztwo pod różnymi kątami, zgromadziły mnóstwo informacji o Stu Bliźnich, ale jedynie wąskie grono było w pełni świadome zagrożenia, jakie stanowili terroryści. Nawet najmniejszy przeciek o niebezpieczeństwie zagrażającym narodowi mógł spowodować wybuch paniki na niewyobrażalną skalę.

– Podrzucisz mi kolejny problem czy może wolisz, żebym kontynuował pracę nad tym? – zapytał Pollack.

– Dalej pracuj nad tym. Inni też będą musieli przyjrzeć się tym danym. Świetnie nam idzie.

Kolejne kłamstwo. Kazimi rozdawał je jak halloweenowe cukierki, odkąd zrezygnował z normalnego życia, żeby pracować pod przykrywką. Prawda była taka, że czas się kończył.

– Wiesz, naprawdę mnie bawi to nasze małe ćwiczenie – powiedział Pollack. – Znacznie bardziej, niż myślałem, kiedy się ze mną skontaktowałeś. Cieszę się, że postanowiłem dołączyć do ekipy.

Znowu słyszalna zmiana fazy w jego głosie. Kazimi zdecydował, że wspomni o tym w raporcie. Może się mylił, ale trzeba było zaryzykować. Jeśli nawet to nic takiego, eksperci NSA prawdopodobnie każą do jutra zainstalować nowy program kodujący.

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar elektroniczny. Siedemnasta trzydzieści. Niedługo musi wyrecytować iszę, piątą modlitwę dnia praktykujących muzułmanów. Zawsze modlił się sam w sypialni na górze, nigdy z innymi

wiernymi, choć stało to w sprzeczności z obowiązkiem wobec wspólnoty. Jednak, zważywszy na wyjątkową sytuację, można mu było to wybaczyć.

Postanowił, że po iszy i kolacji, i może krótkiej drzemce, wróci do laboratorium. Kompletnie wyczerpany, niemal chory ze zmęczenia, ze spuszczoną głową i rękami wiszącymi bezwładnie u boków, szedł po kręconych schodach do jedyne go wyjścia z laboratorium. Był przystojnym, brązowoskórym mężczyzną pod czterdziestkę, wysportowanym, ale nie muskularnym, o szczupłych barkach i wąskiej talii. Stres związany z pracą w połączeniu z brakiem słońca i ćwiczeń przydał mu lat. Zastanawiał się, czy rozpoznaliby go dawni koledzy ze Stanfordu.

Na szczycie schodów przyłożył oczy do skanera tęczówek. Czerwone światelko na naściennych klawiaturze zmieniło się na zielone. Z kieszeni spodni wyjął mały gadżet wielkości karty kredytowej – kreator kodu. Wcisnął guzik i na ledowym ekranie wyświetliła się pięciocyfrowa liczba, którą wstukał na klawiaturze. Zaraz potem usłyszał szmer wysuwanych tytanowych prętów zamykających drzwi. Wychodzenie z laboratorium było równie ściśle kontrolowane jak wchodzenie.

Po drugiej stronie drzwi czekali na niego dwaj mężczyźni i kobieta, troje agentów specjalnych FBI. Poza zapewnianą przez nich ochroną kamienica była zabezpieczona przez alarmy okienne i drzwiowe, a także kamery z czujnikami ruchu. Kazimi nie wnikał w szczegóły zabezpieczeń. Chroniący go agenci zmieniali się mniej więcej co trzy tygodnie, żeby nie znużyła ich rutyna, i byli wymieniani co trzy, cztery miesiące. Ochrona człowieka, który pracował sam, tylko z przerwami na sen i modlitwę, musiała być piekielnie nudna.

Kazimi miał nadzwyczajną pamięć do twarzy. Po drugim spotkaniu znał nazwiska wszystkich przydzielonych mu agentów. Wymieniali uprzejmości i odbywali krótkie pogawędki, ale o ile się orientował, żaden z nich nie wiedział o pracy, którą wykonywał w laboratorium w piwnicy. Z reguły ochraniało go trzech strażników. W niektóre dni zjawiało się dwóch. Kiedy wychodził, by kupić jedzenie czy ubrania, bywało nawet czterech. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek pilnowała go jedna osoba.

Agenci się go spodziewali.

Codziennie uprzedzał, o jakiej porze będzie odmawiać modlitwy. Alexander Burke, nowy w zespole, prowadził, gdy szli na górę do sypialni na drugim piętrze. Był chudy, miał włosy koloru kukurydzy i szare oczy. Za nim szła Maria Rodriguez, następnie Kazimi i na końcu Timothy Vaill. Rodriguez i Vaill, profesjoniści w każdym calu, sympatyczni i otwarci, byli małżeństwem. Rodriguez o skórze w kolorze mokki, energiczna i zadziorna, miała metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, mniej więcej trzydzieści centymetrów mniej niż Vaill, solidnie zbudowany, małomówny facet, który bezustannie ćwiczył ze ściskaczem do rąk albo hantlami.

– Wraca pan do pracy po modlitwie? – zapytał Burke, gdy szli po wąskich schodach na najwyższe piętro.

Vaill i Rodriguez wyszczerzyli zęby.

– Doktor Kaz zawsze wraca do pracy – powiedział Vaill.

Burke uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Tak, powinienem się tego domyślić. Czy pan nigdy nie wychodzi, doktorze?

– Moja praca jest zbyt ważna, żeby ją zostawiać na dłużej – odparł Kazimi.

– A co z kobietami? Czy nie chciał pan kiedyś... no wie pan... umówić się na randkę? Chodzi mi o to, że długo pan siedzi w zamknięciu...

Kazimi się zatrzymał. Jego rysy stwardniały.

– Przede wszystkim jestem muzułmaninem, a dopiero potem Amerykaninem – odrzekł z miażdżącym spojrzeniem. – Moja wiara zakazuje pozamałżeńskich kontaktów cielesnych. I, panie Burke, wolałbym, żeby ograniczał się pan w rozmowach do tematów zawodowych.

– Chłopak dopiero się uczy. – Rodriguez zachichotała.

Burke uniósł rękę.

– Mój błąd. Dopiero zaczynam łapać, o co chodzi. – U szczytu schodów otworzył drzwi sypialni. – Tylko szybka kontrola, doktorze, zanim zostawimy pana samego.

– Nie musi pan tłumaczyć. Przechodziłem przez to tyle razy, że stało się to rutyną.

Oprócz dwóch materaców, stolika z elektronicznym budzikiem, lampy podłogowej, zwiniętego dywanika modlitewnego w kącie, Koranu i leżących na nim kilku periodyków mikrobiologicznych w sypialni nie było nic więcej. Ani zdjęć, ani roślin, absolutnie nic, co ociepliłoby wnętrze. Tutaj Ahmed Kazimi spał, modlił się i na tym koniec. Sprawdzenie łazienki, zajrzenie pod łóżko i do szafy zajęło Burke'owi zaledwie minutę. Skinął na doktora, który czekał kilka stopni poniżej szczytu schodów. Rodriguez i Vaill ruszyli za nim, ale zatrzymali się na progu.

Zwykle po sprawdzeniu sypialni agenci wracali do pokoju na pierwszym piętrze. Tym razem Burke został przy oknie i patrzył w dół.

– Doktorze Kaz, czy ta ciężarówka często stoi w uliczce? – zapytał głosem podszytym niepokojem.

Rodriguez i Vaill weszli w głąb.

W chwili, gdy Kazimi podszedł do okna i spojrzał w dół, Burke błyskawicznie się obrócił i wyciągnął broń. Huknęły dwa ogłuszające strzały. Doktor krzyknął i odruchowo padł na kolana, zasłaniając uszy. Smród prochu wypełnił pokój i palił go w nosie. Trzy metry dalej głowa Marii Rodriguez eksplodowała, rozerwana przez kule.

Tim Vaill sięgał po broń, kiedy Burke oddał dwa kolejne strzały. Kazimi leżał już na podłodze, wstrząsany gwałtownymi dreszczami, przyciskając ręce do uszu. Vaill, trafiony w pierś, zatoczył się do tyłu. Jego przerażenie spowodowane śmiercią żony miało pozostać w pamięci Kazimiego tak długo jak straszny widok jej zwłok. Vaill balansował na szczycie schodów, kiedy padł drugi strzał. Jego głowa przekręciła się w prawo, krew trysnęła z miejsca tuż nad lewą skronią. Poleciał do tyłu i stoczył się po stopniach.

Burke poderwał Kazimiego z podłogi i zaczął otwierać okno.

– Prawdę mówiąc, to nasza śmieciarka zaparkowała w pańskiej uliczce – powiedział. – Nie ma obawy, doktorze, została dobrze wyścielona.

Zanim Kazimi cokolwiek zrobił, stwierdził, że już spada. Dwa piętra niżej wylądował miękko na stosie gumy piankowej. Nie zdążył się nawet ruszyć, gdy Burke upadł obok niego. Ryknął silnik i śmieciarka wyjechała tyłem na główną ulicę. Kazimi poczuł ukłucie na szyi. Burke wyciągnął strzykawkę i przycisnął jego ręce do boków.

W ciągu niecałej minuty wszystko ściemniało.

ROZDZIAŁ 7

Po zasiłkach dla bezrobotnych można się spodziewać tylko zwiększenia bezrobocia i niczego więcej.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Konferencja oficjalnie rozpoczęła się na drugi dzień po wycieczce do CDC. Podczas gdy Chrup gościł u ciotki, Lou uczestniczył w warsztatach i prelekcjach dotyczących zmian w zasadach cofania prawa do wykonywania zawodu w różnych stanach, badań naukowych nad skutecznością monitorowania lekarzy, etyki lekarskiej, leczenia uzależnień i, niestety, zapobiegania samobójstwom. Jego praca w OOL-u może czasami była emocjonalnie wyczerpująca i frustrująca, ale dopóki Walter Filstrup trzymał się z daleka, zawsze sprawiała mu satysfakcję.

Przemówienie programowe wygłoszone przez człowieka, którego Filstrup miał nadzieję zastąpić, dotyczyło pytania, czy program poświęcony zdrowiu lekarzy powinien się ograniczać wyłącznie do informowania, że zawieszony w czynnościach doktor przestrzegał warunków umowy. Zupełnie przeciwstawną propozycją było pozwolenie dyrektorowi, żeby zaproponował komisji licencyjnej wnikliwą, subiektywną ocenę rekonwalescencji i prawdopodobieństwa nawrotu, przypominając, że bez względu na to, czy chodzi o lekarza, nauczyciela, futbolistę czy pilota linii lotniczych, nic nigdy nie jest pewne.

Nigdy.

Na szczęście terapeuta Lou i szef programu w Centrum Terapii Uzależnień Templeton twardo stanęli po jego stronie i współpracownicy z Eisenhower Memorial posłuchali. W przeciwnym razie tysiące godzin studiowania i lata szkolenia poszłyby na marne.

Gdy Chrup o dwudziestej pierwszej wrócił do hotelu, Lou był już po konferencji, bardzo zadowolony, że następnego dnia zacznie się od biegania po górach.

Chrup miał inny pomysł.

– Wciąż chcesz jutro biegać? – zapytał, gdy szli do pokoju. – Przed wyjazdem do ciotki zajrzałem do siłowni w piwnicy. Jest całkiem niezła. Moglibyśmy tam pójść i trochę powyciskać, zamiast mozolić się na szlaku.

– Mają worki treningowe?

– Nie widziałem.

– W siłowniach hotelowych nigdy nie ma sprzętu do boksu. Jestem za bieganiem. Konsjerż zaproponował nowy szlak do wypróbowania. Powiedział, że poprowadzi nas jeszcze wyżej w góry, gdzie rozciąga się wspaniały widok na Chattahoochee.

– Ale prognoza pogody wywieszona w holu zapowiada mglisty i deszczowy ranek. Pomyślałem, że może po prostu go prześpię. Dzisiaj sporo czasu spędziłem za kółkiem.

Lou, nie kryjąc rozczarowania, zdał sobie sprawę, że wciąż jest nieco zawstydzony dwoma wczorajszymi upadkami. Im szybciej wróci na szlak, tym lepiej się poczuje.

– Znasz przecież zasady bezpiecznego biegania po górach – powiedział, zanim zdążył ugryźć się w język i uniknąć manipulacji. – Nie biegaj bez partnera, partnerze. Jutro muszę przeczytać przemówienie, które będzie bardziej nijakie niż rozjechane na placzek zwierzę, jeśli wcześniej nie pobiegam.

– Mówiłeś, że będzie nijakie niezależnie od tego, co zrobisz.

– Możliwe, ale Filstrup zamówi kopię nagrania tego cholerstwa. Nie uwierzy, że to nie ja zawałem sprawę, jeśli przegra wybory.

– Co, jak mówisz, tak czy inaczej się stanie.

– To tylko moje podejrzenie, ale tak. Daj spokój, stary, nie zostawiaj mnie na lodzie.

Chrup w końcu się zgodził, choć bez typowego dla siebie entuzjazmu.

Poranne powietrze obudziło Lou lepiej niż kubek kawy. Z frontowej werandy pensjonatu spojrzął na gęste pasmo mgły otulającej las. Wywieszona w holu prognoza pogody zapowiadała, że mżawka i mgła za kilka godzin przejdą, ustępując słonecznemu niebu.

Słońce weszło jakieś dwadzieścia minut temu. Mżawka była lekka, ale wystarczająca, by zmoczyć ziemię i sprawić, że skały zrobiły się śliskie. Będą musieli zachować wyjątkową ostrożność. Mimo niekorzystnych warunków Lou wręcz nie mógł się doczekać, kiedy po raz kolejny zanurzą się w las. Spokój i naturalne piękno tego miejsca były balsamem dla jego duszy i przysiągł znaleźć jakiś sposób, żeby bieganie po górskich szlakach stało się częstszym elementem jego życia – może zapisze się do jakiegoś klubu.

Chrup rozciągał ścięgna podkolanowe na trawniku, wyglądając na niewiele bardziej przytomnego niż w chwili, gdy Lou zbudził go przed półgodziną. Wypełzył z łóżka, mamrocząc coś o zapowiadanej mgle, mżawce i deszczu. Ale, jak zwykle, szybko dochodził do siebie.

– Dobra, stary, rozgrzałem się – oznajmił, znów z miną zdeterminowanego sportowca, którym przecież był. – W którą stronę ruszamy?

Lou rozłożył mapę poziomicową.

– W górę do szlaku Blue Ridge, tutaj. Wygląda na to, że będziemy całkiem wysoko, więc możemy dostać małej zadyszki.

– Masz GPS?

– W plecaku – odparł Lou, podnosząc go. – Z przekąskami i wodą.

Mając w pamięci poprzednie wywrotki, sprawdził, czy w obu plecakach jest

zestaw biegacza przełajowego. Mieli opatrunki ochronne na stopy, dwie rolki dziesięciocentymetrowych bandaży, nóż, małą latarkę, mapę, plastry z opatrunkiem, gazę i szynę na palec. Zapakował również wzięty z SOR-u specjalny bandaż hemostatyczny, przydatny w tamowaniu krwawienia, od zwykłego skaleczenia do poważniejszej rany. Nie wątpił, że ekwipunek się przyda.

– Jak daleko pobiegniemy? – zapytał Chrup.

– Godzina w jedną stronę i godzina w drugą, tak powiedział konsjerż.

– No to w drogę.

Lou narzucił żwawe tempo i Chrup musiał dotrzymać mu kroku. Zanim opuścili teren hotelu, już mieli przemoczone buty. Biegli jeden za drugim, kierując się znakami prowadzącymi na szlak Blue Ridge. Odbijał on od tego, który przemierzali poprzednim razem. Z początku wiódł stromo pod górę przez gęsty las, potem przez chwilę było płasko, by zaraz znów trzeba było się wspinać. Pięknie. Absolutnie wspaniale. Zachmurzone niebo pojaśniało, gdy przeredziły się otaczające ich drzewa. Mżawka jakby słabła. Lou szybko zestroił się ze swoim ciałem. Nogi wydawały się silniejsze, a nachylenie zbocza nie powodowało trudności w oddychaniu – przynajmniej na razie.

– Wciąż myślę o łóżku – powiedział Chrup za jego plecami.

– Zaraz wybiegamy tę myśl z twojej głowy! – odkrzyknął Lou.

Stwierdził, że szlak Blue Ridge kwalifikowałby się jako wyczynowy, gdyby ukształtowanie terenu było bardziej urozmaicone, formacje skalne stanowiły większe wyzwanie, rozpadliny były szersze, korzenie odsłonięte i szybciej następowałyby zmiany wysokości. Innymi słowy, spełniałby kryteria, gdyby Lou mógł odpowiedzieć twierdząco na pytanie: czy wyląduję w szpitalu, jeśli nie zachowam ostrożności? Zwolnił. Przy takiej pogodzie szlak pasował do jego definicji szlaku wyczynowego z odpowiednikiem summa cum laude na dyplomie Yale.

Po trzydziestu minutach biegu zaczęło palić go w płucach. Rozdymały mu się nozdrza, gdy wkładał więcej wysiłku we wdychanie powietrza. Za sobą, trochę na lewo, słyszał tupot nóg Chrupa na luźnych kamieniach pokrywających lekko zbitą, błotnistą glebę. Z wyjątkiem kilku krótkich odcinków wciąż biegli pod górę. Droga powrotna, głównie w dół, zapowiadała się interesująco. Lou już czuł ją w nogach i zastanawiał się, jakiej klasy biegaczem jest konsjerż z hotelu. Szlak był piekielnie trudny.

– Biegnij po moich śladach! – krzyknął przez ramię. – Wyraźnie widzę, gdzie stawiać stopy.

– Jestem z tobą, brachu.

Wyglądało na to, że Chrup nie jest ani trochę zadyszany. Żadna niespodzianka.

Chwilę później, zdekoncentrowany przez paskudne klucie w boku, Lou

pośliznął się na sękatym korzeniu. Chrup złapał go za ramię i pomógł mu zachować równowagę.

– Spokojnie, stary, damy radę – powiedział.

– Niezły chwyt.

Biegli już prawie godzinę i minuty dzieliły ich od zawrócenia. Ciało Lou znowu zaczęło się uspokajać, ale następny odcinek okazał się jeszcze większym wyzwaniem. Czuł kwas mlekowy w mięśniach i postanowił, że po powrocie do domu więcej czasu poświęci na ćwiczenia z monitorowaniem pracy serca. Za ostrym zakrętem natknęli się na górę gładkich porośniętych śliskim, wilgotnym mchem. Lou przystanął, teraz ciężko zadyszany. Nawet Chrup wydawał się zadowolony z krótkiej chwili wytchnienia.

– Wspinamy się? – zapytał, mierząc wzrokiem przeszkody.

Lou sprawdził czas. Pięćdziesiąt trzy minuty. Zastanawiał się, czy nie przeliczyli się z siłami, i po raz pierwszy pomyślał o zwolnieniu do spacerowego tempa.

– Jeśli nie chcesz zawrócić – odparł. – Jesteśmy niedaleko miejsca, gdzie planowaliśmy to zrobić.

– Skończmy to, co zaczęliśmy. Byle ostrożnie.

Przytrzymując się rękami, gramolili się po skałach i w końcu wylądowali w płytkiej błotnistej kałuży po drugiej stronie.

Trzeba odrobinę zwolnić, pomyślał Lou. Tylko odrobinę.

Dalej znowu było stromo. Serce biło mu coraz szybciej, aż w końcu poczuł je w gardle. Płatana grubych, śliskich korzeni. Żaden problem. Labirynt wielkich skał. Bułka z masłem. Spojrzał za siebie i zobaczył, że Chrup wytrzymuje tempo, wciąż biegnąc lekkim krokiem i z pewnością siebie.

– Spisałeś się! – krzyknął.

– Ty też, amigo.

W tej chwili Lou uświadomił sobie, że oddycha z większą łatwością. Już nie kłuło go w boku. Złapał drugi oddech, psychicznie i fizycznie. Doświadczał czegoś, co – jak przypuszczał – było euforią biegacza spowodowaną produkcją endorfin. Jego umysł się uspokajał, zmysły się wyostrzały. Pod jaśniejącym niebem wilgotne lasy mrucały energią i odgłosami natury. Śpiew ptaków. Brzęczenie owadów. Krople deszczu spadające z liści. Kontrapunkt tupotu ich stóp. I gdzieś daleko w dole stromego zbocza po lewej stronie biały szum rzeki Chattahoochee.

Byli w gęszy, daleko od cywilizacji, i z każdym krokiem ich związek z lasem był silniejszy.

Tymczasem robiło się coraz stromiej. Lou był w pełni świadomy i uważny, ale też odprężony. Jego umysł i ciało cudownie współpracowały. Kiedy minęła godzina i sto osiemdziesiąt sekund, znów był w pełni sił, w szczytowej formie.

– Z mapy wynika, że zaraz będziemy w najwyższym punkcie naszej trasy –

powiedział. – Chcesz prowadzić?

– Nie, nie, w porządku. Bawi mnie wypatrywanie widoków innych niż widok twojego tyłka.

– Widzę, że jesteś całkowicie wypompowany. Tempo daje ci w kość, co?

– Trzeba było zabrać rękawice, tobyśmy przystanęli i stoczyli kilka rund.

Nic nie wskazywało na to, że jest między nimi prawie dziesięć lat różnicy.

– Byłby ubaw. Zamiast powalić mnie na deski w sali, znokautowałbyś mnie na szczycie góry.

– Tutaj upadek trwałby trochę dłużej... Wiesz co, Lou?

– Tak?

– Cieszę się, że namówiłeś mnie na tę przebieżkę.

Lou wyszczerzył zęby i ruszył dalej. Euforia drugiego oddechu minęła, ale czuł, że ma w zapasie dość energii na powrót.

Naprzód... nie stawaj.

Chrup biegł za nim, dopóki ścieżka się nie poszerzyła. Gdy go dogonił, oddychał z większym trudem niż dotychczas. Biegli ramię w ramię, zaledwie parę kroków od skraju urwiska. Od czasu do czasu w porośniętej drzewami, zasłanej kamieniami dolinie widzieli rzekę – cienki szary wąż wijący się wśród niezliczonych odcieni zielonych wiosennych liści.

– Niezły widok, co nie, brachu? – odezwał się Chrup.

– Jak powiedziałaaby Dorotka z Czarnoksiężnika z Krainy Oz: sądzę, że już nie jesteśmy w Kansas.

Lou próbował ocenić zbocze na prawo od Chrupa, ale było zbyt strome, żeby zobaczyć, co jest u podnóża. Przez kilka kroków miał dobry widok. Zawsze kręciło mu się w głowie, gdy patrzył w dół z miejsca wyższego niż balkon na drugim piętrze. Skurczył mu się żołądek, gdy zobaczył, jak wysokie i strome jest zbocze. Szlak biegł krawędzią urwiska nachylonego pod kątem pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu stopni, schodzącego do zasłanej gładzi lesistej doliny i znów opadającego. Aviomarin, proszę...

Lou miał zaproponować, żeby znów biegli jeden za drugim, kiedy coś usłyszał. Chrup niezgrabnie podskoczył obok niego. Pośliznął się na ledwie widocznym, płaskim i mokrym kamieniu. Lou z początku był zaskoczony i nawet trochę rozbawiony. Zaraz potem zrozumiał jednak powagę sytuacji. Chrup rozpaczliwie młócił powietrze rękami, żeby nie stracić równowagi. W jego oczach błysnęła panika. Wyraźnie był w tarapatach. W poważnych tarapatach.

Próbując wyhamować, Lou pośliznął się i potknął, ale nie upadł. Chrup, na ringu mistrz pracy nóg i równowagi, niepewnie balansował na krawędzi urwiska, stojąc tyłem do niego. Lou wyciągnął ręce. Złapał palcami szelkę plecaka. Za słabo. Tułów Chrupa już był wychylony poza krawędź i jego ciężar wyrwał szelkę z palców. Chrup wykręcił się i sięgnął w tył, szukając wyciągniętej ręki przyjaciela.

W ostatniej chwili ich dłonie się spotkały, a palce zacisnęły.

Wytrzymaj, proszę... proszę! – błagały oczy Chrupa.

Jego palce zamknęły się na ręce Lou, ale był to skurcz mięśni, nie prawdziwy chwyt. Moment później grawitacja rozdzieliła ich dłonie. Chrup machał rękami w powietrzu, jakby płynął na grzbiecie. Nagle zsunął się ze skraju urwiska i zniknął.

Lou, oszołomiony do tego stopnia, że nie pojmował, co się dzieje, upadł na kolana. Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszał wrzask i chrzęst łamanych gałęzi. Gdy dźwięki ucichły, podpełzł bliżej krawędzi, ledwie świadom, że błotniste podłoże opada tuż przed nim. Rozdygotany, wstał, z trudem trzymając się na nogach. W końcu dobiegł go zrazu cichy, potem głośniejszy krzyk Chrupa.

Serce mu zamarło, a po chwili zaczęło łomotać jak szalone.

– Chrup! Jestem tu! Idę! Idę po ciebie! Trzymaj się, bracie! Trzymaj się!

Ruszył w prawo i wypatrując drogi w dół, szedł tak blisko kruszącej się krawędzi, jak tylko mógł. Po przejściu jakichś ośmiu metrów zobaczył, że niżej zbocze nie jest już takie strome. Zsuwał się na brzuchu, czepiając się ziemi i skał, korzeni i krzaków. Co chwilę przystawał, żeby nadłuchiwać głosu Chrupa, za każdym razem wierząc, że go słyszy.

Półtora metra... trzy metry...

Na oddziale ratunkowym Lou szczyił się tym, że jest opanowany nawet wtedy, kiedy ma do czynienia z najtragiczniejszymi przypadkami, z najstraszliwszymi złamaniami.

Teraz jednak spanikował; zupełnie nad sobą nie panował.

Jeszcze jeden metr... i jeszcze jeden.

Zsuwając się, poruszył kamienie, błoto i żwir, które runęły na niego, zasypując mu usta i oczy. Był pewien, że po prawej stronie słyszy jęki.

– Trzymaj się, stary! Jestem prawie przy tobie!

Wdech... wydech. Na litość boską, Welcome, weź się w garść! Cokolwiek się stało, on cię potrzebuje. Potrzebuje cię najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałeś!

Spadek złagodniał. Lou zatrzymał się i spojrzał pomiędzy drzewami. Nic. Ale dźwięki dochodziły z bliska. Z bardzo bliska. W końcu wypatrzył Chrupa trzy metry dalej, leżącego na plecach na względnie równym kawałku skalistego podłoża. Pojękiwał, w ogóle się nie ruszając. Twarz i łysą głowę miał zalane krwią ze skaleczenia na czole.

Śpiesznie pokonując dzielącą ich odległość, Lou dostrzegł, że prawa noga przyjaciela jest wykrzywiona pod nienaturalnym kątem. Po chwili zrozumiał, co widzi. Strach ścisnął go za gardło. Z rany na udzie Chrupa sterczała poszarpana, zakrwawiona włócznia białej kości – złamanie trzonu kości udowej.

ROZDZIAŁ 8

Opieka nad tymi, którzy nie umieją o siebie zadbać, jest obowiązkiem rodziny, nie rządu.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Dla brudnego, przemoczonego Lou scena wglądała surrealistycznie.

Chrup żałośnie jęczał. Poszarpany trzon prawej kości udowej, otoczony przez podobne do spaghetti włókna mięśni, makabrycznie sterczał z długiej na dwadzieścia pięć centymetrów rany – najgorsze złamanie otwarte, jakie Lou kiedykolwiek widział. Drzewo? Głaz? W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, co spowodowało złamanie. Kość udowa jest najmocniejsza ze wszystkich i siła, która ją złamała, musiała być ogromna. Wykręcona noga wydawała się krótsza.

Lou ukląkł obok człowieka, który przyczynił się do jego wyzdrowienia bardziej niż ktokolwiek inny poza nim samym. Krew spływała z pięciocentymetrowego skaleczenia nad prawą brwią, zbierając się w oczodole i ściekając po twarzy. Nie dostrzegł innych widocznych obrażeń. Czuł się źle, miał mdłości, był roztrzęsiony, ale wiedział, co musi zrobić.

Procedura.

Procedura stanowiła podstawę postępowania w przypadku wielu poszkodowanych albo jednej osoby z licznymi obrażeniami – metodyczna ocena, selekcja i leczenie. Musi na chwilę zapomnieć, że ofiarą jest jego najlepszy przyjaciel i dosłownie święty dla tych, którzy go znali. Musi zrobić wszystko, żeby uratować mu życie, niezależnie od tego, jak bardzo będzie to niebezpieczne czy bolesne.

Sprawdzając wnętrze ust i drogi oddechowe Chrupa, Lou przypomniał sobie historię, którą kiedyś od niego usłyszał. Gdy Chrup był nastolatkiem, banda starszych chłopaków biła go i dręczyła, a on nie miał jak ich unikać. W okolicy nie było miejsca, gdzie mógłby się dłużej ukrywać. Chrup postanowił, że niezależnie od intensywności lania nigdy nie pokaże, że go boli. Nie minęło wiele czasu, gdy łobuzy straciły zainteresowanie i dały mu spokój. Chrup Duncan już wtedy był twardy, a z biegiem lat stał się jeszcze twardszy.

Tętno sto dziesięć. Klatka piersiowa i mostek nienaruszone. Puls wyczuwalny w tętnicy szyjnej, promieniowej i lewej udowej, choć niezbyt silny.

Prawa pachwina, gdzie zwykle można wyczuć puls tętnicy udowej, już obrzmiewała, prawdopodobnie od krwi napływającej z miejsca złamania.

Drogi oddechowe, oddychanie i krążenie. Wszystko sprawdzone.

Ostrożnie zdjął Chrupowi plecak i otworzył go na ziemi. Stłumione krzyki przyjaciela rozpaczliwie poniosły się po lesie, natychmiast przypominając mu, że

są daleko od cywilizacji.

Skup się!

Szyja wydaje się nieuszkodzona.

Na wszelki wypadek użył bandaża i pustego plecaka, żeby zrobić prowizoryczny stabilizujący kołnierz ortopedyczny.

Czas zatamować krwawienie.

– Chrup, to ja, Lou. Trzymaj się, stary. Trzymaj się. Zaraz nacisnę ci na czoło. Ściśnij moją rękę, jeśli mnie słyszysz... Chrup?

Lou zużył połowę gazików, żeby wytrzeć krew z oka i twarzy przyjaciela. Następnie te same gaziki przycisnął do rany.

– Chrup, to ja, Lou. Ściśnij moją rękę, jeśli mnie słyszysz. – Poczul słaby ruch palców. – O to chodzi, stary. Ściśnij jeszcze raz.

Wciąż powtarzał to samo, prawą ręką naciskając na ranę. Lewą zmoczył gazik wodą z manierki i wytarł twarz Chrupa do czysta. Niesienie pociechy. Nawet najdrobniejsze wsparcie okazywane pacjentowi jest pomocne zarówno dla niego, jak i dla lekarza. Lou przytrzymał czysty gazik nad ustami Chrupa i wycisnął kilka kropel wody. Chrup przełknął. Lou postępował zgodnie z procedurą, którą opanował w ciągu lat szkolenia i pracy na oddziale ratunkowym. Teraz coraz ważniejsze stawało się poszerzenie badania i podjęcie kolejnych działań.

– O to chodzi, wielkoludzie. Trzymaj się. Po prostu się trzymaj.

Krwawienie z czoła prawie ustało. Lou położył na ranie prostokąt opatrunku hemostatycznego. Później będzie czas na właściwe opatrzenie. Znowu wycisnął kilka kropel wody do ust przyjaciela. Chrup przełknął.

Tętno nieco silniejsze. Brzuch niebolesny i płaski. Ręce i dłonie nienaruszone.

– Chrup, to ja, Lou. Otwórz oczy. Jest coraz lepiej. Lepiej, lepiej, lepiej.

Noga wyglądała przerażająco. Wielu uznałoby, że obscenicznie. Dla doświadczonego lekarza SOR-u taki uraz był tylko niebezpieczny. Potężnie umięśnione udo może pomieścić dosłownie litry krwi – wystarczająco dużo, żeby się wykrwawić. Z powodu bólu i wewnętrznego krwotoku Chrup musiał być bliski wstrząsu pourazowego. Wcześniej Lou zdecydował, że nie wolno ryzykować pominięcia czegoś potencjalnie groźnego z powodu zbyt prędkiego zajęcia się tym najbardziej oczywistym, spektakularnym obrażeniem. Teraz nadszedł czas, żeby się na nim skupić.

Spojrzał tam, skąd przyszedł, zastanawiając się, czy zdoła wciągnąć Chrupa po urwisku na szlak. Żadnych szans. Jednocześnie zostawienie go samego było czymś, do czego mógłby się zmusić dopiero po wyczerpaniu wszystkich innych możliwości. Przez pół minuty, gdy zbierał myśli, próbował wzywać pomoc. Gęsty las natychmiast jednak pochłaniał jego krzyki. A co z rzeką? Jeśli zdoła znieść Chrupa, może skleci jakąś tratwę. Mgła wciąż spowijała las i z tego miejsca nie

widział wody.

Skup się, Welcome. Skup się!

Rozerwane udo krwawiło coraz bardziej. Lou sprawdził tętno przy kostkach u nóg i na grzbiecie stóp. Po lewej stronie wszystko było w porządku. Po prawej nie. Niemal na pewno została przerwana tętnica udowa. Poważny problem.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jęki Chrupa zupełnie ucichły. Powtórzył procedurę, schemat ABC.

Tętno sto piętnaście. Siła tętna spadła z czterech do trzech na dziesięciostopniowej skali.

– Dalej, stary! Zostań ze mną. Zostań ze mną.

Czas stawał się coraz większym wrogiem. Lou wiedział, że musi założyć opaskę uciskową blisko pachwiny. Chrup oddychał, klatka piersiowa unosiła się i opadała. Źrenice miał średniej wielkości i równe. Czy doszło do krwotoku podpajęczynówkowego? Nic na to nie wskazywało, ale jeśli tak, niewiele mógł już zrobić. Wszystko po kolei. Najpierw opanowanie krwotoku.

– Chrup, to ja, Lou. Jestem tutaj.

Znowu jęki – zrazu ledwie słyszalne, po chwili głośniejsze. Lou zabrał się do pracy nad złamaną nogą.

– Chrup, paskudnie krwawisz – powiedział, nie mając pewności, czy przyjaciel słyszy jego słowa. – Założę opaskę uciskową, żeby zatamować krwotok. Będzie bolało. Przygotuj się. Muszę poruszyć twoją nogą.

Z plecaka wyjął nylonową linkę i składany nóż Spyderco. Odmierzył kawałek długości ramienia i chciał go odciąć, kiedy coś go powstrzymało.

Procedura. Musi być skupiony na chwili obecnej i jednocześnie mieć świadomość tego, co może nastąpić później.

Jeśli wszystko pójdzie tak, jak miał nadzieję, linka i bandaże będą potrzebne do czegoś zupełnie innego – żeby się stąd wydostać. Odłożył linkę, ściągnął przemoczoną koszulkę i nożem pociął ją na pasy. Starannie je związał, okręcił udo przyjaciela tuż pod pachwiną i mocno zacisnął końce.

Chrup wrzasnął, gdy tylko Lou poruszył jego nogą. Wył i miotał głową na boki tak, jak pozwalał mu na to prowizoryczny kołnierz.

Lou robiło się niedobrze na samą myśl, że przyjaciel odzyskał przytomność z powodu zadanego mu bólu, ale też przepełniała go euforia. Właśnie wzrosły szanse na powodzenie i ocalenie mu życia. Po pierwsze, Chrup był przytomny albo przynajmniej reagował na silny ból. Po drugie, kręgosłup szyjny prawie na pewno nie został uszkodzony. Lou potrzebował bandaża do innego celu i teraz wiedział, że będzie mógł go użyć. Wziął resztki koszuli i otarł pot, który nagle wystąpił na twarzy i łysej czaszce Chrupa.

– Wybacz, że sprawiłem ci ból, stary. Masz złamaną nogę i musiałem ją ustabilizować. Rozumiesz?

Cisza.

– Chrup, słyszysz mnie?

Odpowiedział mu leciutkim ruchem głową i chrapliwym szeptem.

– Słyszę.

Tak!

– Ściśnij moją rękę, wielkoludzie. Tak, dobrze. Teraz drugą ręką... doskonale. Chrup, leż spokojnie i skoncentruj się na oddychaniu. Głęboko, już. Wdech i wydech. Za kilka minut wszystko ci wyjaśnię. Na razie muszę zacisnąć to, co masz na udzie. Będzie bolało.

– Śmia... ło.

Upływ krwi zmalał, ale tylko odrobinę. Opaska uciskowa, skurcz tętnic, a może coraz mniejsza ilość krwi? Trudno powiedzieć. Trzeba dodać turnikiet. Lou kręcił się na czworakach, aż znalazł gruby kij długi na ponad pół metra. Wsunął go pod prowizorycznie założoną opaskę i powoli obracał zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Chrup krzyknął, ale nie zawył. Wbił palce w ziemię i mocno zacisnął pięści.

– Kurwa... – jęknął. – O kurwa...

Wciąż oddychał miarowo.

Po dwóch pełnych obrotach krwotok zmalał do powolnego sączenia. Lou obwiązał ranę bandażem hemostatycznym.

– Chrup, zostań ze mną. Bądź silny.

Wyjął z plecaka telefon komórkowy. Nie był ani trochę zaskoczony, gdy zobaczył, że nie ma zasięgu.

– Pomocy! – ryknął. – Niech ktoś nam pomoże!

Miał wrażenie, że w ciężkim powietrzu jego głos przedostał się zaledwie na odległość kilku metrów.

Po raz kolejny sprawdził puls Chrupa. Był wciąż wyczuwalny, ale spadł do dwóch.

Lou usiadł i opasał kolana rękami.

Albo wymyśli, co zrobić, i to szybko, albo Chrup umrze.

To było takie proste.

ROZDZIAŁ 9

Złożenie bezpieczeństwa ekonomicznego w ręce rządu jest powrotem do średniowiecza, gdy panowie feudalni brali odpowiedzialność za ekonomiczne przetrwanie chłopów pańszczyźnianych pracujących na ich ziemi.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

Lou ocenił, że są jakieś osiem kilometrów od pensjonatu, przyjmując założenie, że w trudnym terenie pokonywali średnio półtora kilometra w dziesięć minut. Konsjerż przestrzegął, że siła sygnału telefonu komórkowego w górach w najlepszym wypadku jest nierówna. Po kolejnej nieudanej próbie skorzystania z komórki Lou sprawdził, która godzina. Miał nowy problem. Droga do hotelu i z powrotem z pewnością zajmie dwie godziny – prawdopodobnie niewiele mniej nawet gdyby wracał terenówką. W tym czasie może dojść do poważnych uszkodzeń tkanki wskutek niedokrwienia spowodowanego przez opaskę uciskową. Innym niebezpieczeństwem, którego nijak nie mógł wykluczyć, był wstrząs pourazowy i zatrzymanie akcji serca.

Pomimo tego, co Chrup powiedział tuż przed potknięciem i upadkiem, wcale nie miał ochoty biegać. To Lou go namówił. W żadnym razie nie mógł pozwolić, żeby umarł. Gdy tylko krwotok ustanie, musi poluzować opaskę. W jakiś sposób wydostanie przyjaciela z tych lasów, nie odstępując od jego boku.

– Słuchaj, stary – powiedział, starając się zachować spokój w głosie. – To będzie trudne.

– Rób... co... trzeba – odparł Chrup, robiąc przerwy pomiędzy słowami dla zaczerpnięcia tchu.

Po kilku przyzwoitych łykach wody, gdy krwawienie zmalało, fizyczne objawy wstrząsu zaczęły ustępować. Lou wiedział, że będzie musiał improwizować, tak jak z turnikiem, żeby zakończyć następną fazę procedury. Przeważająca część uczelni medycznych i szpitali, łącznie z Eisenhower Memorial, oferowała szeroką gamę szkoleń specjalistycznych. Pół roku temu zgłosił się na dwudniowy kurs udzielania pierwszej pomocy w warunkach ekstremalnych. Jak na ironię, postanowił to zrobić ze względu na nowo odkrytą pasję, jaką stało się bieganie w terenie. Zajęcia, prowadzone prawie wyłącznie przez ratowników z wieloletnim doświadczeniem i specjalnie wyszkolonych sanitariuszy pogotowia ratunkowego oraz kilku lekarzy SOR-u na okrasę, były dobrze zorganizowane i nadzwyczaj pouczające. Ponieważ Lou pracował na dwa etaty i miał dziecko, kursy i wykłady często traktował jako okazję do nadrobienia zaległości w spaniu. Na szczęście tego szkolenia nie przespał.

Dwa razy przeprowadził szybkie badanie. Chrup będzie potrzebować całej

swojej woli i siły, żeby przeżyć ból towarzyszący temu, co będzie się z nim działo. Dzięki wynikom badania Lou zyskał odrobinę pewności, że przyjaciel zniesie to, co go czeka, bez doznawania wstrząsu. Patrząc na nogę wykrzywioną pod dziwnym kątem, na mięśnie skrócone jak wyżęta ścierka, na poszarpane krańce pękniętej kości, zastanawiał się, czy jest w stanie zadać taki ból. Wiedział jednak, że musi wyprostować nogę, bo inaczej szanse na jej uratowanie będą znikome.

Bez względu na to, jak bardzo próbował racjonalizować tragiczny wypadek, wciąż go zżerało poczucie winy. Gdyby tylko był mniej uparty. Gdyby tylko był mniej entuzjastycznie nastawiony.

Gdyby tylko...

Lou przepędził te myśli do najdalszego zakamarka umysłu. Dla dobra Chrupa musi się skupić na chwili obecnej, w pełni skoncentrowany i oddany procedurze.

Usłyszał, jak mówi łamiącym się głosem:

– Muszę wyprostować nogę, żeby ją unieruchomić.

Spojrzenie przyjaciela jakby się wyostrzyło. Lou nie dostrzegł cienia wątpliwości ani strachu na przystojnej, nieco zakrwawionej twarzy.

– Rób, co trzeba, doktoru – wykrztusił Chrup.

– Tak naprawdę, żeby zrobić, co trzeba, będę potrzebować twojej pomocy.

Chrup grzbietem dłoni musnął wilgotny bandaż na czole.

– Mów.

Mżawka wreszcie ustała, ale świat wciąż był śliski i zimny. Na domiar złego pojawiły się owady, które zaatakowały twarz i gołą szyję Lou.

– Wyprostowanie i unieruchomienie nogi to zadanie dla dwóch osób. Niestety, ty musisz być jedną z nich. Przyniosę dwie grube gałęzie na łubki. Potem okręcę ci prawą kostkę linką i przeciągnę ją wokół drzewa przy twojej stopie. Kiedy powiem pchaj, musisz zaprzeć się lewą nogą o pień i pchać z całej siły.

– A ty pociągniesz za linkę.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Lou skinął głową.

– Jeśli wystarczy nam siły, rozdzielimy obie części kości i złożymy je jak trzeba. Później przywiążę linkę do pnia, a ty wciąż będziesz musiał się od niego odpychać, żeby końce kości się nie przemieściły. Rozumiesz?

– Znosi się na niezłą zabawę.

– Kiedy zawiążę linkę, użyję bandaży i może twojej koszuli, żeby zamocować szyny. Dzięki temu ostre końce kości nie przetną niczego, czego jeszcze nie przecięły.

– Rozumiem.

Brzmiało to dość prosto, ale Lou miał poważne wątpliwości, czy we dwójkę zdołają tego dokonać. Musieli pokonać skurcz mięśnia czterogłowego, najsilniejszego w ludzkim ciele. Za parę minut stanie się jasne, jak silny jest

mięsień Chrupa.

Nie wolno przemieszczać rannego przed unieruchomieniem złamanej kończyny, pomyślał Lou, przypominając sobie jedną z lekcji kursu. Najpierw należy założyć szynę.

Po pięciu minutach stąpania po błocie i starych mokrych liściach znalazł odpowiednie gałęzie, obie o trzydzieści centymetrów dłuższe od nogi Chrupa. Jedna była na końcu rozwidlona, co mogło się przydać. Brakowało mu bandaża, żeby unieruchomić prowizoryczne szyny, więc pociął plecaki i koszulę Chrupa na pasy, które razem z dodatkowymi kawałkami linki musiały wystarczyć.

Ale najpierw muszą wyprostować nogę.

Lou spojrział na swojego sponsora AA.

– Stary, musisz się przygotować – powiedział, ostrożnie obwiązując linkę wokół jego prawej kostki.

Nawet najłżejsze poruszenie nogi powodowało jęk. Będzie paskudnie.

– Jestem gotów – oznajmił Chrup.

Lou puścił linkę i pomacał dookoła siebie, szukając mocnej gałęzi, którą mógłby delikatnie wsunąć mu do ust.

– Trzymaj, stary. Udawaj, że jesteś na polu bitwy podczas wojny secesyjnej, i gryź ten aparat do znieczulania, kiedy będzie bolało.

– Już boli.

– To znaczy, kiedy będzie naprawdę bolało.

– Super.

– Nie mam whisky jak tamci pod Gettysburgiem, ale uwierz mi na słowo, gdybym miał, dałbym ci tyle łyków, ile tylko byś chciał.

– Po prostu zrób, co trzeba.

– W porządku, zaczynamy. Pięć... cztery...

Linka zacisnęła się na nadgarstku Lou, gdy Chrup, zanim skończyło się odliczanie, uderzył stopą w drzewo. Lou okręcił sznurek wokół nadgarstka jeszcze raz i zaparł się stopą o głaz.

– Trzy...

– To nie była twoja wina – wymamrotał Chrup z kawałkiem drewna w zębach. – Chciałem pobiegać.

– Dwa...

– Zróbmy to!

– Jeden! Pchaj, Chrup, pchaj!

Ze spojrzeniem wbitym w miejsce złamania, używając całej siły, Lou zaparł się o głaz i pociągnął linkę. Chrup krzyknął, gdy wyprężył zdrową nogę. Po kilku sekundach wypluł kij i ryczał tak, że dźwięk odbijał się od baldachimu mokrych wiosennych liści. Nagle, jak hałas szybko odjeżdżającego pociągu, wrzaski ucichły. Chrup miał przymrużone oczy i wyglądał tak, jakby przekroczył próg tolerancji

bólu. Szybko oddychał przez nos.

Lou czuł determinację przyjaciela i błagał swoje nogi o więcej siły. W końcu, milimetr po milimetrze, poszarpane, zakrwawione kości zaczęły się rozsuwać. Skurcz mięśnia malał. Lou zaciskał zęby, nie bacząc, że nylonowa linka wżyna mu się w nadgarstki, i żądał od drżących nóg jeszcze większego wysiłku.

Końce kości minęły się i zniknęły w ranie.

– Mocniej, Chrup! Zaraz będzie koniec! Uda się! Wyprostuj lewą nogę!

Przyjaciel posłuchał i Lou poczuł przesunięcie o kolejne kilka milimetrów. Rana zaciśnięta opaską w zasadzie nie krwawiła. Maksymalnie napinając linkę, okręcił ją kilka razy wokół pnia drzewa. Fragmenty kości nie zmieniły położenia.

– O to chodzi, miśku! Nie zginaj nogi. Zaraz założę szyny. Dasz radę. Opuścisz pole bitwy i wygramy wojnę. Potem wrócisz do domu i zostaniesz pierwszym czarnym gubernatorem Wirginii.

Nie doczekał się odpowiedzi. Chrup miał szeroko otwarte oczy i patrzył prosto w niebo, jednocześnie przytomny i nieprzytomny, ale wciąż mający dość siły, żeby nie zgiąć wyprężonej nogi.

W ciągu kilku minut Lou bandażami i nylonowymi paskami z pociętego plecaka obwiązał mocne gałęzie ułożone wzdłuż złamanej nogi. Ostatnimi paskami okręcił stopę.

– Wygląda dobrze... naprawdę dobrze – ocenił.

Ale nie były to wszystkie rzeczy do zrobienia. Lou wyciągnął sobie sznurowadła z butów i jeden koniec przywiązał do rozwidlonej gałęzi, a drugi przeciągnął pod paskami nylonu na stopie Chrupa. Sznurówki miały pełnić funkcję naciągu.

Chrup miał zamknięte oczy i przez chwilę Lou bał się, że nie oddycha. Pochylił się nad przyjacielem. Chrup w końcu uległ bólowi. Stracił przytomność. Oddychał płytko, a puls, wciąż słaby, spadł do dziewięćdziesięciu.

– Dobra robota – szepnął Lou. – Cholera, aleś ty twardy.

Przestało padać i niebo się przecierało. Lou obwiązał ranę resztą bandażu, zakołysał się na piętach i sprawdził szyny. W tych okolicznościach nie mogły być lepsze.

Przez kilka minut łapał oddech i zastanawiał się, czy podjąć próbę wygramolenia się po stromym zboczu do szlaku, czy sklecić coś w rodzaju włoków i ruszyć w dół ku rzece. Będzie ciężko – po kilka kroków naraz – ale przecież pomysł, żeby zostawić Chrupa, był nie do przyjęcia. Zdecydował się na przygotowanie włoków, pod warunkiem że wystarczy liny.

Nagi do pasa, drżąc z zimna, wstał, przeciągnął się, podniósł nóż i zaczął szukać odpowiednich gałęzi.

W tej chwili usłyszał szelest w gęstym lesie u podnóża zbocza.

To nie mógł być wiatr.

ROZDZIAŁ 10

Jeśli chodzi o człowieka, prawa biologiczne nie robią wyjątku dla inteligencji i czeka go taki sam los, jaki spotyka wszystkie inne stworzenia. Śmierć.
Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Niedźwiedź...? Dzik...? Kojot...? Puma...?

Lou słuchał, sparaliżowany, gdy szelest stawał się coraz głośniejszy. Nie był specjalistą od takich rzeczy, ale wiedział, że nie jest to coś małego. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zostawić Chrupa, wspiać się po stromym zboczu i pobiec do pensjonatu, porzucając przyjaciela na pastwę mięsożernego zwierzęcia. Może to tylko jelen. Cokolwiek hałasowało w gęstwinie, szybko się do nich zbliżało.

Lou poczuł lodowaty skurcz w brzuchu. Obok niego na ziemi leżał gruby, pozbawiony kory konar, który nie nadawał się na szynę, ale mógł się przydać do sklecenia włóków. Był dłuższy niż jego ręka i kończył się krótkimi, ostrymi gałązkami; przypominał średniowieczną maczugę.

Drżący i na wpół nagi, podrapany i posiniaczony Lou przykucnął w pozycji do ataku, trzymając broń jak kij baseballowy. Chrup leżał w pobliżu z zamkniętymi oczami, płytko oddychając i postępując, nieświadom nowego niebezpieczeństwa. Od samego początku objawy wstrząsu pourazowego nasilały się i słabły na zmianę wskutek utraty krwi i spowodowanego przez ból rozszerzenia naczyń krwionośnych. Teraz z każdą minutą zmniejszało się napięcie mięśni i liczyła się wydolność serca. Chrup był entuzjastą ćwiczeń fizycznych i miał mocny organizm, ale – jak u wszystkich istot – zdolność do opierania się wstrząsowi miała swoje granice. Niewydolność nerek... arytmia serca... śmierć komórek mózgowych. Czas niezbędny do zapewnienia Chrupowi właściwej pomocy medycznej, zwłaszcza uzupełnienia płynów, szybko się kończył.

Lou nie był pewien, czy zachować absolutną ciszę, czy hałasować.

Żadnych półśrodków.

– Kto tam jest?! – krzyknął, sam tym zaskoczony. – Czy ktoś tam jest?!

Bez odpowiedzi.

Krzaki szeleściły coraz głośniej. Lou zobaczył, że kołyszą się najwyższe gałęzie. Zazgrzytał zębami, mocniej ścisnął śliską od deszczu pałkę i podszedł do Chrupa, czując napinające się mięśnie ramion, pleców i karku. Przeniósł spojrzenie w miejsce, gdzie niebawem powinno pojawić się to, co nadchodziło. Starając się uspokoić oddech, uniósł broń.

Niedźwiedź...? Dzik...? Kojot...? Puma...? Jeleń...?

Ku jego zdziwieniu nie było to żadne z tych stworzeń. Na małą polanę

wszedł mężczyzna – niechlujny, ogorzały, wysoki chudzielec o pobrużdżonej twarzy z kędzierzawą, szorstką siwą brodą. Włosy miał schowane pod czapką z futra jakiegoś czarno-brązowego zwierzęcia.

Postawa i jasne orzechowe oczy przybysza wskazywały raczej na pokojowe intencje. Mógłby powiedzieć, że ma pięćdziesiąt albo osiemdziesiąt lat, i Lou uwierzyłby mu na słowo. Miał na sobie obszytą frędzlami kurtkę z jeleniej skóry, poplamioną czymś, co mogło być zaschniętą krwią. Na jego szyi wisiał rzemień ciężki od niedźwiedzych pazurów. Obszyta paciorkami pochwa u pasa, który otaczał jego szczupłą talię, zawierała jeden z największych noży, jakie Lou w życiu widział. W porównaniu z tym kordelasem jego składany spyderco wyglądał jak zabawka.

Może, pomyślał, gdy mierzyli się wzrokiem, ten leśny człowiek użył noża do zabicia królika przytroczonego do pasa. A może trafił go z dubeltówki, którą trzymał swobodnie u boku. Strzelba leciutko się poruszyła, gdy intruz przyglądał się broni w ręce Lou.

– Ty nie rzucisz tym kijem, a ja cię nie zastrzelę – powiedział z wyraźnym południowym zaśpiewem, płynnym jak jego ruchy.

Nie trzeba było go do tego namawiać. Lou położył maczugę na ziemi i uniósł rękę.

– Nie musisz tego robić – dodał mężczyzna, opierając kolbę strzelby o ziemię. – Nie zamierzam cię zastrzelić. Po prostu nie chciałem, żebyś zaczął się wymądrzać z tą pałką.

Zrobił kilka kroków i wyciągnął do Lou brudną rękę.

– Jestem Floyd. Mieszkam i poluję w tych lasach. Usłyszałem wrzaski i pomyślałem, że może ktoś potrzebuje pomocy.

Dłoń Lou zniknęła w jego stwardniałej ręce.

– Mój przyjaciel Chrup spadł z urwiska. Jest poważnie ranny. Złamana kość sterczała mu z nogi, ale nastawiliśmy ją jak trzeba i założyliśmy szyny. Potrzebuje wody. Bardzo.

Floyd odpiął od pasa skórzaną piersiówkę.

– Nie to, na co wygląda – powiedział. – Dobra woda. Nabrana dziś rano.

Lou uniósł głowę Chrupa, który z wdzięcznością wypił kilka łyków. Zachłysnął się przy czwartym czy piątym i zaczął kaszleć, krzywiąc twarz z bólu. Puls zmierzony na tętnicy szyjnej i promieniowej był słaby, wynosił sto dziesięć. Woda, bez względu na to, ile się wypije, nie uzupełni utraconych płynów.

Miał zimną, lepłą skórę. Usta i obłaczki paznokci zrobiły się niepokojąco sine. Być może, pomimo opaski uciskowej, krew wciąż się sączyła do uda. W potężnych mięśniach i wokół nich było dość miejsca, żeby pomieścić dwa litry. Lou widział kiedyś kobietę, która wykrwawiała się w udo z powodu czegoś, co wyglądało na zwyczajne złamanie biodra.

– Ten człowiek kiepsko wygląda – zauważył Floyd. – Po mojemu potrzebuje doktora.

– Po mojemu masz rację.

– Ano, jak zobaczyłem łubki, to pomyślałem, że albo sam jesteś doktorem, albo byłeś skautem z odznaką orła.

– Jedno i drugie – odparł Lou, widząc jak w kalejdoskopie swoje wzloty i upadki.

Chrup pił łykami większymi niż wcześniej, ale skończyło się to tak samo. Jego próby przypominały strzelanie z wiatrówki do szalejącego słońca.

– Musimy go zabrać do szpitala, i to szybko – powiedział Lou. – Jak daleko stąd mieszkasz? Masz telefon albo... albo samochód? Najlepiej ciężarówkę. Czy jest tam droga? Jakie jest najbliższe miasto?

Floyd pocierał dłońmi o przód nogawek.

– Spokojnie, doktoru. Spokojnie. Możesz mnie pytać, o co tylko chcesz, ale ja i tak nie odpowiem na więcej niż jedno pytanie naraz. Wprawdzie skończyłem naukę ciut poniżej szkoły medycznej, chciałbym jednak coś powiedzieć, zanim ugrzęznę w bagnie twoich pytań.

– Dobra, byle szybko.

– Jeśli go stąd nie wydostaniemy, żadne z tych pytań nie będzie miało znaczenia.

Wszystko po kolei.

Po niezliczonych mityngach AA, podczas których często wisiała na ścianie niebiesko-złota odznaka z dokładnie tymi słowami, Lou ni stąd, ni zowąd wysłuchał jednozdaniowej prelekcji leśnego człowieka, który prawdopodobnie samodzielnie wypracował tę prostą filozofię.

– Wybacz – mruknął, uspokoił się głębokim oddechem i po raz kolejny sprawdził puls Chrupa. Nie puścił jego zimnej ręki, nawet gdy Floyd skończył. – Jak daleko stąd do miejsca, gdzie mieszkasz?

– Niecały kilometr.

– Niecały kilometr? – Lou nie krył zaskoczenia. – W pobliżu nie ma żadnego miasta – dodał, przypominając sobie to, co widział na mapie.

– Mieszkam ze starą w tych lasach. Ziemia jej rodziny, nie stanowa, więc nie kłusujemy. Uprawiamy rolę, a ja łapię wszystko, co da się zjeść. Nie mamy telefonu ani powodu, żeby go mieć.

– Moja komórka nie może złapać zasięgu.

– Może będzie lepiej na naszym polu.

– Macie ciężarówkę?

– Mamy drogę... jeśli tak można to nazwać. Ale ani osobówki, ani ciężarówki. Mam kanu z pięciokonnym silnikiem, używane do przewożenia zbiorów do Hadley, jakieś osiem kilometrów w dół rzeki. Ale nie ma pewności, że

zdołamy przewieźć twojego przyjaciela. Łódka ma tylko pięć metrów.

Wszystko po kolei.

– W porządku. O to będziemy się martwić na miejscu. Sklećmy jakieś nosze i przekonajmy się, czy damy radę zataszczyć go do twojego domu.

– Chciałem ci powiedzieć, że właśnie to musimy zrobić, zanim zacząłeś zasypywać mnie pytaniami – zaznaczył Floyd. – Sklecenie noszy nie będzie łatwe, ale jestem pewien, że ten stary druh natnie nam gałęzi. – Poklepał ogromny nóż. – Ma dość zębów, żeby zrobić swoje, a ty masz linę. Ściągnięcie twojego przyjaciela z tej góry to zupełnie inna sprawa. Z chwili na chwilę wygląda na coraz słabszego, więc bierzmy się do roboty...

Dwadzieścia minut później ułożyli Chrupa na prymitywnych noszach w kształcie litery A, z mocnym kijem przywiązany w poprzek górnej części, żeby go nieść, kiedy wleczenie będzie zbyt niepraktyczne albo bolesne. Chrup od czasu do czasu mdlał z bólu, aż w końcu odpłynął do jakiegoś miejsca, które – jak Lou miał nadzieję – było przyjemne i spokojne, i tam został. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i solidną budowę ciała, więc ważył niemało, a do tego dochodził ciężar szyn i noszy. To wszystko w połączeniu z ukształtowaniem terenu sprawiało, że transportowanie go stawało się herkulesową pracą. Nawet gdyby szli po płaskim gruncie, nie w dół, wykonanie zadania graniczyłoby z cudem. Ale krok po kroku, czasami centymetr po centymetrze, posuwali się do przodu. Lou ślizgał się i potykał, aż w końcu wpadł na pomysł, żeby pożyczyć sznurowadła od Chrupa. Floyd poruszał się zaskakująco zwinnie. Choć w zasadzie nic nie mogli zrobić, Lou co kilka minut przystawał i sprawdzał, czy najważniejszy człowiek w jego życiu wciąż oddycha i czy bije mu serce.

Floyd, który – jak Lou się dowiedział – nosił nazwisko Weems, był prawdziwą bestią; żyłasty i co najmniej tak silny jak on. Przez większą część drogi milczał. Kiedy dźwigał nosze, cicho pogwizdywał – melodia brzmiała jak ptasi śpiew. Wiódł proste życie i to mu odpowiadało. Nawet po tak krótkiej znajomości Lou czuł, że ten zesłany przez los człowiek jest ucieleśnieniem spokoju, do którego sam dążył od dziesięciu lat.

Lekcje... wszędzie lekcje.

– Już niedaleko – powiedział Floyd, podnosząc nosze na wysokość piersi, żeby przejść nad zwalonym drzewem.

Podczas pokonywania najgorszych odcinków drogi Lou zajmował umysł rozmyślaniami, jak mu podziękować.

Co można dać człowiekowi, który niczego nie chce?

Czas uciekał. Pomimo wysiłku Lou dygotał z zimna. Tracił siły. Nieszczęśliwy wypadek najlepszego przyjaciela pchnął go za niewidzialną granicę wytrzymałości. Miał wrażenie, że dotarł do kresu sił. Już miał spytać Floyda, jak daleko do jego domu, kiedy las zaczął się przerzedzać.

– Świetnie ci idzie, doktoro – podkreślił Floyd, po raz pierwszy odczuwając potrzebę wyrażenia aprobaty. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Słowa mężczyzny były balsamem dla duszy. Lou podniósł wyżej swój koniec noszy i zaczął się zastanawiać, co zrobić dalej, z komórką albo bez.

– Floyd?

– Tak?

– Wspomniałeś, że macie pole, gdzie uprawiacie różne rzeczy.

– Wspomniałem, tak.

– Powiedz mi, czy na tym polu jest dość miejsca, żeby wylądował śmigłowiec?

ROZDZIAŁ 11

Praca doktora Raya Lymana Wilbura i jego Komisji do spraw Kosztów Opieki Medycznej czeka gotowa, by wywołać zamęt wokół niedawno uchwalonej ustawy o ubezpieczeniach społecznych.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

Dudnienie w głowie nie chciało ustąpić, a nawet zdawało się nasilać. Rytmiczny łoskot w skroniach przywodził na myśl styl gry Keitha Moona, perkusisty The Who, zazwyczaj frenetycznie walącego w wielki bęben. Bum! Bum! Bum! Agent specjalny Tim Vaill zmrużył oczy, próbując zablokować dopływ światła, ale tylko wzmogło to ból pod czaszką.

Do cholery, gdzie ja jestem?

Co mi się stało?

Mimo zawrotów głowy starał się rozeznac w położeniu. Jego myśli, jak swobodnie unoszące się puzzle, powoli zaczęły opadać na właściwe miejsca. Pamiętał spadanie, spadanie do tyłu.

Gdzie?

Schody... spadł tyłem ze schodów.

Ale dlaczego?

Czy został zepchnięty? Pamięć wracała pomału, przynosząc inny rodzaj bólu, ten naszpikowany wściekłością.

Burke. Postrzelił mnie ten pierdolony Alexander Burke.

Ta myśl szybko doprowadziła do następnej – do obrazu żywego i na tyle potężnego, że zacisnęła się wokół jego szyi jak pyton.

Maria!

Serce mu zamarło. Maria stała tuż obok niego. Skoncentrował się, próbując z bolącego, potłuczonego mózgu wyrwać więcej fragmentów tych zamglonych wydarzeń. Wykrzywił twarz z wysiłku. W desperacji przygryzł język z nadzieją, że pojawienie się nowego bodźca osłabi dudnienie w czaszce. Żądło bólu nie przywróciło mu jednak pamięci. Niezależnie od tego, jak mocno się skupiał, nie miał pojęcia, co spotkało Marię. Ale gdzieś na skraju świadomości kołatała mu myśl, że stało się coś złego.

Vaill przetarł ręką oczy i zmusił się do uniesienia powiek.

Jak długo spałem?

Rozeznanie się w sytuacji zajęło mu sporo czasu. Stwierdził, że leży w wygodnym łóżku.

Jakim łóżku? Gdzie?

Spojrzał w dół i zobaczył, że ma obandażowaną lewą rękę. Rurka kroplówki

biegła do białego w prawy nadgarstek wenflonu. Rozlany wokół igły fioletowy siniak wskazywał, że wkłucie nie było łatwe.

W ścianie po lewej stronie były dwa okna. Przez rozchylone żaluzje do pokoju wpadało jasne światło słoneczne. Został postrzelony pod koniec dnia. Tuż przed modlitwą doktora Kazimiego.

Jak długo...? Jak długo tu jestem...? Maria. Co się stało z Marią?

Nagle ją zobaczył – zniekształcony obraz, żałośnie rozmyty, wirujący jak dym. Upadała, roztapiała się jak Zła Czarownica z Krainy Oz. Chwilę później obce twarze wtargnęły do tego niepokojącego wyobrażenia.

Kim oni są? Kiedy przestanie boleć mnie głowa? Gdzie jest Maria? Co się z nią stało?

– Tim, jesteś z nami? Słyszysz mnie...? Może mówić?

Słowa wywlekły Vailla z mgły. Natychmiast rozpoznał stalowy, autorytatywny głos. Należał do Beth Snyder, dyrektor operacji specjalnych FBI, jego szefowej. Snyder, której pojęcie czasu wolnego sprowadzało się do niedzielnej popołudniowej drzemki w biurze, rzadko udawała się osobiście na spotkania z agentami, chyba że chodziło o pogrzeb albo odwiedzin w szpitalu. Jeśli nie był to jakiś wielki, kosmiczny żart, ta twarda, cyniczna kobieta zdecydowanie nie pasowała do jego koncepcji nieba, więc założył, że leży w szpitalu.

– Proszę dać mu czas – powiedział mężczyzna z wyraźnym obcym akcentem. – Rana nie zagraża życiu, ale doznał poważnych obrażeń.

Chcąc zmienić pozycję, Vaill spróbował podciągnąć się na łokciu. Nawet ten nieznaczny ruch sprawił, że błyskawice bólu przeszły mu głowę. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zaciskając zęby, zmusił się do pokonania bólu. Musiał spojrzeć Snyder w oczy i zadać pytanie, na które sam nie umiał odpowiedzieć.

– Maria – wychrypiął zduszonym głosem, ledwo wrywającym się z suchego gardła. Ponowił próbę, starając się ignorować ból w taki sposób, jak go nauczono w Quantico. – Maria... gdzie jest?

Choć bardziej potrzebował wody niż powietrza, nie poprosił o picie. Mógł tylko pytać o żonę. Za każdym razem, gdy wymawiał jej imię, spodziewał się powrotu wspomnień, ale żadne nie napłynęły.

– Agencje Vaill, powinien pan ograniczyć ruchy do minimum.

Znowu ten akcent. Uznał, że to jakiś lekarz.

– Kim... jesteś... Gdzie Maria?

Leciutko obrócił głowę w stronę mężczyzny – Hindusa albo Pakistańczyka w turkusowym szpitalnym stroju chirurga pod długim białym fartuchem z nazwiskiem wyszytym niebieską nicią nad kieszenią na piersi. Obok niego stała Beth. Miała poważną minę.

– Agencje Vaill, nazywam się Nayan Gunter. Jestem neurochirurgiem w szpitalu Eisenhower Memorial, pańskim lekarzem prowadzącym. Postrzelono

pana na służbie. Doznał pan poważnego urazu lewego płata skroniowego, ale kula została wyjęta i jak się zdaje, szybko wraca pan do zdrowia.

Strzał.

Wspomnienia wracały. Dostał w pierś, kula uderzyła w kevlarową kamizelkę z taką siłą, że zważyło go z nóg. Przewracał się do tyłu, kiedy trafiła go druga. Upadek zapobiegł temu, co z pewnością byłoby śmiertelnym strzałem w głowę.

– Maria... gdzie jest Maria?

– Tim, jest dobrze, ale powrót do zdrowia trochę potrwa – powiedziała Beth.
– To cud, że żyjesz.

Zatem dlaczego nie czuję się cudownie? Co mnie gryzie? Dlaczego czuję się tak, jakbym usłyszał wyrok śmierci – jakbym miał być kaleką do końca życia? Maria...

Beth ujęła jego rękę – nie był to u niej zwyczajny gest. Jej serce stwardniało po latach brodenia po pas w bagnie ludzkiej nędzy i zepsucia.

– Tim, musisz być silny – dodała.

Wtedy do niego dotarło, wspomnienia runęły na niego niczym łamiąca się fala tsunami, pogrążając go w rozpacz. Przełknął żółć, która podeszła mu do gardła. Mgliste obrazy ustąpiły żywym szczegółom. Głowa Marii gwałtownie odchyła się do tyłu... Dziura w czole... Krew wybucha z rozerwanej czaszki... Makabryczny szkarłatny bryzg na ścianie za jej plecami... Wiotczące ciało, jakby została odłączona od jakiejś życiodajnej maszynierii... Jej strasznie puste oczy.

Vaill wszystko sobie przypomniał. Pamiętał, jak szybko zareagował, jak sięgał po broń, owładnięty myślą o zastrzeleniu Alexandra Burke'a. Albo tamten był szybszy, albo widok umierającej Marii spowolnił jego ruchy o cenny ułamek sekundy. Teraz tkwił uwięziony w szpitalnym pokoju i zaraz szefowa mu powie, że jego żona nie żyje.

Oczy zapiekły go od łez, ale jakoś je przepędził. Później będzie opłakiwać Marię. Najpierw musi złożyć obietnicę – przysiąc zemstę. Zawsze był ostrożny, kiedy chodziło o składanie obietnic. Nie tym jednak razem.

Spotykał się z Marią przez dwa lata od chwili, gdy poznali się w Quantico i zakochali od pierwszego wejrzenia. Niejeden raz w ciągu tych dwóch lat śmiała się z niego, że nie boi się niczego z wyjątkiem zobowiązania. Odpowiadał, że w domu nauczono go dotrzymywania obietnic i że przysięga małżeńska jest zobowiązaniem niepodobnym do innych. Miesiąc później postawiła mu ultimatum – albo się zdeklaruje, albo ją straci – i wtedy natychmiast się oświadczył. Nigdy tego nie żałował ani nie miał problemu z dotrzymaniem słowa. Teraz, gdy Beth Snyder mówiła, złożył kolejną obietnicę. Znajdzie agenta specjalnego Alexandra Burke'a i go zabije... albo umrze.

– Tak mi przykro – kontynuowała Snyder. – Wszyscy agenci w biurze bez przerwy pracują nad znalezieniem tego łajdaka. Dorwiemy go, Tim. Obiecuję, że

go przygwoździmy.

– Jak długo tu jestem?

– Dwa dni.

Ścisnęło go w gardle. Każdy oddech wymagał wysiłku. Maria nie żyje od dwóch dni, a on do tej chwili nawet o tym nie wiedział. Co robi jej rodzina? Kto został powiadomiony? Gdzie złożono ją do grobu? Kiedy był pogrzeb? Powinien być z jej bliskimi i wraz z nimi ją opłakiwać, a nie leżeć bezradnie w szpitalnym łóżku. W ciągu dwunastu lat małżeństwa rodzina Marii stała mu się równie bliska jak jego własna. Nie doczekali się dzieci, ale mieli plany. Plany rozwiały się w huku strzałów i kłębach dymu.

– Muszę porozmawiać z tobą sam na sam – powiedział do Snyder nieco głośniejszym szeptem.

Snyder spojrzała na lekarza. Gunter niechętnie, jak się zdawało, skinął głową.

– Potrzebuje odpoczynku – zaznaczył. – Biorąc pod uwagę charakter obrażeń, niezwykle szybko wraca do zdrowia, ale uszkodzenie płata skroniowego to nie przelewki.

– Jestem pewna, że kilka minut sam na sam ze mną mu nie zaszkodzi – powiedziała Snyder. – Dziękuję, doktorze. Dziękuję za zrozumienie.

Vaill czekał, aż usłyszał szcęk zamykanych drzwi. Suche gardło błagało o wodę. Snyder odgadła tę potrzebę i dała mu trochę kruszonego lodu na łyżce, a potem pozwoliła mu się napić przez plastikową słomkę. Nikt, z kim kiedykolwiek pracował, nie był tak twardy jak ona, ale na pewno nie udawała współczucia. Vaill wiedział, że jest chora od poczucia winy, że dała się wywieść w pole skorumpowanemu agentowi.

– O co chodzi? – zapytała. – Wierz mi, Tim, jesteś bezpieczny. Przez całą dobę czuwają tu strażnicy. Mamy nadzieję, że Burke spróbuje dokończyć to, co zaczął.

– Muszę go dorwać, Beth – oświadczył stanowczo. – Chcę, żeby cierpiał, a potem go zabiję.

– Tim, wiesz, że nie działamy w ten sposób. Masz wziąć urlop zdrowotny. Wszystkim, a przede wszystkim mnie, tak samo zależy jak tobie na tym, żeby go dopaść. My się tym zajmiemy.

– Wiedziałem, że to powiesz. Ale nie pójdę na urlop. Wrócę do pracy, a ty przydzielisz mi jego sprawę.

– Przykro mi, Tim. Wiem, że cierpisz, ale nie mogę tego zrobić.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Czy to ważne?

Vaill wypił kilka łyków wody. Tym razem sam trzymał plastikowy kubek.

– Beth, wiesz, jak blisko byliśmy z Marią. Szykowaliśmy się do adoptowania

dziecka. Formularze już zostały wypełnione. Mogę ci je pokazać. Pewnego dnia doszłoby do tego. Ten skurwiel ją zabił. Zabił jedyną kobietę, którą kiedykolwiek kochałem. To ty go do nas przydzieliłaś. Proszę. Pozwól mi go znaleźć, jesteś mi to winna.

Snyder cofnęła się krok od łóżka.

– Nie jestem pewna.

– Ale nie mówisz „nie”?

– Porozmawiam z twoim lekarzem i poważnie nad tym pomyślę, dobrze?

Vaill skinął głową.

– Ona była moim światem, Beth. Była dla mnie wszystkim, a ja patrzyłem, jak jej głowa rozpada się na kawałki.

– Bądź silny, Tim – powiedziała, ściskając jego rękę. – Porozmawiam z doktorem Gunterem i wrócę jutro rano.

Pożegnał ją machnięciem ręki. Powoli zamknął oczy. Leżał, zastanawiając się, czy ma dość siły, żeby wstać, obezwładnić strażnika i po prostu wyjść ze szpitala. Jeśli nie będzie miał innego wyboru, właśnie tak zrobi.

Nie mogąc zasnąć, przewrócił się na bok i przez jakiś czas patrzył w okno. Tonął w drastycznych, krwawych fantazjach, kiedy przy łóżku pojawił się doktor Gunter.

– Mam dobre wiadomości – rzucił, sprawdzając coś na jego karcie.

– Jakie?

– Długo rozmawiałem z pańską szefową, agentką Snyder. Powiedziała mi o waszej rozmowie, konkretnie o pańskim pragnieniu jak najszybszego powrotu do pracy i podjęcia obowiązków zawodowych. Posłałem po szefa mojego oddziału, doktora Weitza. Omówiliśmy pańskie dotychczasowe nadzwyczajne postępy i zapewniliśmy agentkę Snyder, że o ile nie dojdzie do jakichś nieprzewidzianych komplikacji, nie ma przeciwwskazań, by kontynuował pan pracę, do której jest przyzwyczajony. Szczerze mówiąc, jest pan jedną z mających największe szczęście ofiar postrzału, z jakimi miałem do czynienia.

Powiedz to mojej żonie, pomyślał wściekle Vaill.

– Dzięki, doktorze – powiedział, odwracając głowę w stronę okna.

Łoskot w głowie się nasilił, a z nim pojawiło się nieznośne wrażenie dezorientacji. Czuł się tak, jakby bierny neurologiczny proces myślenia przekształcił się w młotek uderzający w jego mózg. Ledwo usłyszał, jak Gunter przeprosza i wychodzi z pokoju.

ROZDZIAŁ 12

Prawdziwy Bliźni musi mieć czyste serce, żeby złożyć przysięgę tajemnicy i czyniąc to, zobowiązać się przed Bogiem do stania na straży idei stowarzyszenia.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Potężne wirniki dwusilnikowego śmigłowca przygięły młode rośliny i wysoką trawę obok chaty Floyda. Lou złapał sygnał, gdy zobaczyli kamienny komin chaty i rzekę. Do tego momentu nie uzgodnili jeszcze z Floydem, jak dostarczyć Chrupa do szpitala, tak żeby nie zmniejszyć jego i tak już niewielkich szans na przeżycie.

Lśniące czerwono-białe litery na drzwiach kokpitu układały się w słowa: Lotnicze Pogotowie Ratunkowe Północnej Georgii. Od telefonu Lou do czasu przybycia maszyny minęło czterdzieści minut. Gdyby nie GPS w komórce, trwałoby to znacznie dłużej. Lou przed startem śmigłowca opisał dokładnie teren. Pilotka oświadczyła, że musi mieć lądowisko minimum trzydzieści na trzydzieści metrów, a nawet większe, gdyby w pobliżu rosły drzewa albo wisały przewody – nie było ani jednego, ani drugiego – pod warunkiem że podejście z południa. Na szczęście pogoda się poprawiła.

Żona Floyda, rumiana kobieta o obfitych kształtach, ubrana w kraciatą podomkę, osłaniała oczy przed wirującym pyłem. Pilotka imponującej maszyny podeszła nad niskimi zaroślami od strony rzeki i idealnie usiadła na prowizorycznym lądowisku. Lou zauważył, że Floyd, szarpiąc się za brodę, obserwował lądowanie z niemal nabożną miną, jakby został przeniesiony z prostego życia na pograniczu cywilizacji do dalekiej przyszłości.

Dwoje członków załogi w czerwono-białych kombinezonach wyskoczyło ze śmigłowca i podbiegło do Chrupa, gdy łopaty jeszcze się obracały. Minutę później wysiadła pilotka. Lou przekazał im szczegóły dotyczące wypadku i stanu swojego przyjaciela. Pielęgniarka ratunkowa Julie Bellet nie kryła sceptycyzmu, gdy słuchała opisu obrażeń i o tym, czego lekarz wraz z pacjentem wspólnymi siłami dokonali w lesie. Lou wcale się jej nie dziwił. Wciąż miał kłopot, żeby samemu w to uwierzyć.

Szybko przedstawił się zespołowi. Sanitariusz Daniel był muskularnym mężczyzną po dwudziestce, z uściskiem dłoni mocnym jak potrzask na niedźwiedzie. Przyholował wielki wózek reanimacyjny do miejsca, gdzie leżał Chrup, jakby to była zabawka. Julie Bellet niosła mniejszą walizkę, która – jak Lou założył – zawierała potrzebne instrumenty. Pielęgniarka była atrakcyjną kobietą po pięćdziesiątce, srebrnowłosą, wysportowaną i skupioną. Szybko zbadała pacjenta, poświęcając kilka dodatkowych sekund na obejrzenie szyny i opaski uciskowej.

Z zaciśniętymi ustami spojrzała na Lou i leciutko skinęła głową na znak aprobaty.

Pilotka, kapitan Dorothy Tompkins, jak informowała plakietka, była szczupła, miała prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, może trzydzieści pięć lat, krótkie kasztanowe włosy i naszywkę ratownika medycznego na rękawie. Ona i Daniel wyjęli nosze, przenieśli je po wilgotnej, miękkiej ziemi i rozłożyli dopiero na miejscu. Dla Lou obserwowanie pracy zespołu było jak zanurzenie się w muzyce pierwszorzędnego trio jazzowego.

– Proszę trzymać się blisko, doktorze Welcome – powiedziała Bellet – na wypadek, gdybyśmy potrzebowali dodatkowej pary rąk.

Szczerze w to wątpię, pomyślał Lou, jednocześnie sobie uświadamiając, że gdyby rzeczywiście go potrzebowali, miałby poważny problem.

Żona Floyd'a dała mu obszarpaną flanelową koszulę roboczą i ręcznie szyte bawełniane spodnie, które idealnie na niego pasowały. Oboje z Floydem stali z boku, przywodząc mu na myśl stoicką parę farmerów z American Gothic. Po prostu kolejny typowy dzień w lesie.

– Proszę ścisnąć moją rękę, jeśli pan mnie słyszy, panie Duncan – mówiła spokojnie i nieśpiesznie Bellet. – Wszystko będzie dobrze, przyjacielu. Musimy tylko pana ustabilizować i przenieść do śmigłowca. Jeśli zrobię coś, co sprawi panu ból, wystarczy dać mi znać.

– Lou... też... leci... – wykrztusił Chrup.

– Mamy miejsce dla jednego pacjenta i jednego pasażera, panie Duncan – powiedział Daniel, zakładając Chrupowi maskę tlenową i kołnierz ortopedyczny. – Może lecieć. Co więcej, biorąc pod uwagę te szyny i nosze, na pewno mianujemy go honorowym członkiem naszego zespołu.

– Mnie też – szepnął Chrup, uśmiechając się z zaciśniętymi zębami. – Pomogłem.

– Dostanie pan parę skrzydeł, kiedy urządzi się pan na SOR-ze w szpitalu ogólnym Arbor.

Sanitariusz założył wenflon i podłączył kroplówkę z rurką o dużej średnicy. Zrobił to szybciej, niż trwa wypowiedzenie słów „Chrup Duncan”.

– To pańskie dzieło? – zapytał Daniel, wskazując prowizoryczne szyny i nosze.

– Całej naszej trójki – odparł Lou takim tonem, jakby przeproszał za jakość wykonania. – Byliśmy w dość rozpaczliwej sytuacji.

– Tak, pracuję w tym fachu od pięciu lat i jeszcze nie widziałem czegoś podobnego.

– Nauczyli mnie ratownicy.

Bellet zakończyła ocenę, podczas gdy Chrup wciąż tracił i odzyskiwał przytomność. Nawet nie biorąc pod uwagę złamanej nogi, jego twarde jak skała ciało wydawało się dziwnie wątłe i Lou po raz pierwszy, odkąd się znali, uznał, że

jego najlepszy przyjaciel wygląda na swoje lata.

– Musimy jak najszybciej zastosować środek antyseptyczny do odkażania ran i zmienić opatrunek – zdecydowała Bellet. – Przeniesienie go nie będzie łatwe. Myślę, że powinniśmy zrobić to na tych noszach. Danielu, doktorze Welcome, to wasze zadanie. Później pan i nasza pilotka wstawicie nosze do śmigłowca.

– Pamiętajcie, żeby schylić głowy – przestrzegła kapitan Tompkins.

– Nie będzie drugiej szansy, żeby nadrobić zapominalstwo. – Daniel dał Chrupowi trochę więcej morfiny. – Twardy jest?

– Niewielu znajdzie się twardszych – odparł Lou.

– Od jak dawna jest zaciśnięta opaska, doktorze Welcome? – zapytała Bellet.

– Godzina czterdzieści.

– Panie Duncan, poluzuję opaskę. Proszę wybaczyć, jeśli sprawię panu ból.

Pielęgniarka zaczekała, aż Daniel zmieni opatrunek, potem ostrożnie wysunęła gałąź i odłożyła ją na bok, zostawiając opaskę na miejscu. Czekali w milczeniu minutę, może dwie minuty. Rana nie krwawiła. Julie spojrzała na Lou i znowu skinęła głową. Tym razem się uśmiechała.

– Z pewnością jest pan piekielnie dobrym lekarzem ratunkowym, kiedy ma pan pod ręką prawdziwy sprzęt, a nie tylko pęk patyków i sznurków.

– Gdy mam pielęgniarki równie dobre jak pani, idzie mi całkiem nieźle – odrzekł Lou.

– Nie wątpię. W porządku, przełożmy pańskiego przyjaciela na prawdziwe łóżko.

Dzięki morfinie i reklamowanej twardości Chrupa transport i przełożenie go na nosze wywołało tylko kilka jęków bólu. Gdy podłączono kardiomonitor, Daniel dał Tompkins znak uniesionym kciukiem, że może startować. Lou złapał Chrupa za rękę.

Czas opuścić te lasy.

Lou włożył słuchawki wytłumiające hałas. Wiedział, że będą zżerały go nerwy przez całe sto dwadzieścia kilometrów lotu z pola przy chacie Floyda i Rebekki Weemsów na lądowisko szpitala ogólnego Arbor. Wsiadł do śmigłowca dopiero wtedy, gdy udało mu się zdobyć numer skrytki pocztowej małżonków w nadrzecznym miasteczku Sledge Crossing.

Weems zapewniał, że obsadzenie zniszczonej części pola nie będzie żadnym problemem. Zaproponował je na lądowisko, jeszcze zanim się dowiedział, że w ten sposób oszczędzi Chrupowi bólu związanego z wciąganiem go w koszu ratowniczym. Gdy Lou zajął miejsce w śmigłowcu, przysiągł sobie, że nie po raz ostatni widzi ekscentrycznego leśnego człowieka i jego żonę. Wiedział też, że bez względu na to, jakie materialne dowody wdzięczności im podaruje, będą się czuli obrażeni, a może nawet je odrzucają, jeśli starannie nie przemyśli formy

podziękowania.

– Jesteśmy gotowi do startu! – wrzasnęła Tompkins przez ramię. – Założyć kaski!

– Jeszcze raz dziękuję, Floyd! – krzyknął Lou przez otwarte drzwi.

– Nic takiego nie zrobiłem. Porządne z was chłopaki. Dopilnuj, żeby wyzdrowiał. Zajrzyjcie do nas kiedyś. Moje lasy są waszymi lasami.

Krzepki sanitariusz zatrzasnął drzwi. Łopaty wirnika obracały się coraz szybciej. Lou przez okno widział, że Floyd się cofa, ręką osłaniając oczy. Śmigłowiec lekko się kołysał, gdy unosił się pionowo do góry. Chwilę później kołysanie ustało i zaczęli stopniowo zwiększać wysokość i nabierać prędkości.

Lou patrzył, jak stojąca ramię w ramię para znika w swoim świetle, i w duchu podziękował wielkiemu lasowi, który okazał się na tyle mały, żeby zapewnić ratunek jemu i Chrupowi.

ROZDZIAŁ 13

Środki, które gwarantują pewną i adekwatną ochronę przed zmiennymi kolejami współczesnego życia, to samodzielność, powrót do wartości rodzinnych, wskrzeszenie pionierskiego ducha naszych przodków i wspólne przekonanie, że Bóg, nie rząd, decyduje o naszym życiu i śmierci.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Ahmed Kazimi nie mógł uwierzyć, że żyje. Gdy tylko odzyskał przytomność, poruszył ręką, spodziewając się, że będzie związana, może przykuta do ściany. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest w stanie swobodnie poruszać rękami i nogami, chociaż całe ciało wydawało się sztywne i obolałe, jakby spędził wiele godzin w tej samej pozycji. Zamiast znajomego stroju roboczego miał na sobie mieniącą się piżamę z czerwonego jedwabiu.

Zanim otworzył oczy, wyobrażał sobie, że ocknął się w pustej betonowej celi z podłogą zasłaną wilgotną słomą cuchnącą moczem – w więzieniu, jakie znał z reportaży i filmów. Usiadł na dużym sprężystym materacu, okryty czarnymi jedwabnymi prześcieradłami najwyższej jakości. Otaczały go prześwitujące białe zasłony, zwisające z pięknie rzeźbionej mahoniowej ramy baldachimu.

Masując pulsujące skronie, mrugał, bo wszystko rozmywało mu się przed oczami. Mruganie niewiele pomogło. Gdzie jest? Dlaczego sprowadzono go tutaj w taki sposób? Pytania wirowały mu w głowie jak tumany piasku. Kim był Burke? Jak zinfiltrował FBI? Kazimi w swojej sypialni padł na podłogę przy oknie, więc ledwie widział, jak Burke strzela do dwojga chroniących go agentów. Dalsze wydarzenia spowijała jeszcze większa mgła. Został wypchnięty przez okno na drugie piętrze i spadł... gdzie? Chyba na otwartą, wyłożoną pianką skrzynię ciężarówki. Burke wstrzyknął mu coś, co sprawiło, że poczuł się tak, jakby ktoś wlał mu beton do uszu. Nic więcej nie pamiętał.

Powoli odzyskał ostrość widzenia. Kazimi wygramolił się z łóżka i zobaczył bogato urządzone pokój ze wspianiałym wschodnim dywanem na podłodze z drogiego łupanego kamienia polnego. Podobnymi kamieniami była wyłożona dolna część ścian, co przywodziło mu na myśl średniowieczny zamek. Górną część pokrywał szkarłatny aksamit z ozdobnym deseniem lilii.

Powietrze było przesycone zapachem trzech ogromnych bukietów świeżo ściętych kwiatów ułożonych w kryształowych wazonach. Wprost przed nim stało czarne lakierowane biurko wyłożone macicą perłową, a powyżej wisiał ultranowoczesny telewizor plazmowy, wyłączony, z pilotem przypiętym na rzepach. Była tam również bogato wyposażona biblioteczka, a także pięć pięknie oprawionych, podświetlanych obrazów, które – choć nie uważał się za konesera

sztuki – uznał za płótna Degasa, Picassa, Moneta i dwóch holenderskich mistrzów, prawie na pewno oryginały.

Ostrożnie zrobił dwa kroki. Z początku był słaby i nogi się pod nim ugiwały, ale powoli odzyskiwał równowagę. Stał pośrodku pokoju i przyjrzał mu się dokładnie, jednocześnie oszołomiony i zde gustowany otaczającym go przepychem. Zawsze miał skromne wymagania i dobra materialne nic dla niego nie znaczyły. Może, pomyślał, porywacze wiedzieli o tej filozofii i to skłoniło ich do podjęcia próby przytłoczenia go widokiem bogactwa.

Przechodząc w kąt pokoju do etażerki, Kazimi spojrział na barek zaopatrzony w wykwintne wysokoprocentowe trunki i wina, zapewne najlepszych roczników. Choć nigdy nie tknął alkoholu, znał wartość wina leżakującego od dziesiątków lat. Przed barkiem połyskiwał hebanowy stół z czterema krzesłami w stylu Ludwika XIV, najpewniej z epoki. Jako częsty gość międzynarodowych sympozjów bakteriologicznych mieszkał już w apartamentach hotelowych. W porównaniu z tym pokojem nawet najbardziej luksusowe z nich przypominały betonowe domy w jego ojczystym Pakistanie.

Światła zapaliły się automatycznie, gdy wszedł do ogromnej łazienki wyłożonej eleganckimi płytkami z upstrzonego złotem, bladego marmuru, wyposażonej w prysznic, saunę i wannę jacuzzi z czegoś, co wyglądało na czystą miedź.

Kazimi popatrzył na swoje odbicie w wielkim lustrze i skrzywił się, gdy zobaczył podkrążone oczy i chorobliwie bladą twarz. Znow napływały pytania:

Jaki narkotyk dał mi Burke?

Gdzie jestem?

Czego ode mnie chcą?

Jak z nimi walczyć?

Jak uciec?

Opierał ręce na granitowym blacie, dopóki nie stanął pewnie na nogach. Wyszedł z łazienki i zbliżył się do polakierowanych na czarno, dwuskrzydłowych drzwi przebogato urządzonej sypialni.

Zamknięte.

Przyjrzał się ścianom i nawet zajrzał pod dywan, szukając innego wyjścia. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że w pokoju nie ma okien. Loch z jedwabiu i aksamitu.

Nagle przestraszyło go ostre pukanie do drzwi.

– Proszę – wykrztusił.

Jego głos, chrapliwy z powodu nieczęstego używania i prawdopodobnie od narkotyku, brzmiał obco.

W zamku przekręcił się klucz. Dwuskrzydłowe drzwi bezgłośnie się otworzyły i do pokoju wszedł zgarbiony mężczyzna o siwiejących włosach ze

schludnym przedziałkiem po prawej stronie. Miał nieskazitelny uniform kamerdynera i pchał wózek zastawiony kilkoma tacami. Ostre aromaty były dla Kazimiego zarówno znajome, jak i apetyczne.

– Dobry wieczór, proszę pana. Jestem Harris, kamerdyner. Witamy w Red Cliff.

– Gdzie ja jestem? Co to za miejsce?

– Polecono mi przekazać, że wszystkie potrawy i przyprawy odpowiadają nakazom pańskiej religii. Mam nadzieję, że dania będą panu smakować.

– Kto wydał to polecenie? Kto pana tu przysłał?

– Wybacz pan, kazano mi dostarczyć wózek i wyjść. Pozwolę sobie dodać, że od wielu lat pracuję w Red Cliff i do tej pory nie straciłem posady, ponieważ zawsze wykonuję polecenia. Pański gospodarz niebawem do pana dołączy. Mam nakryć do stołu czy woli pan sam to zrobić? Wszystko jest tutaj.

Harris wskazał zrolowaną płócienną serwetkę. Kazimi natychmiast zauważył wystający z niej szpic noża. Przymrużył oczy, myśląc, jak mógłby go użyć, żeby uciec, ale wiedział, że jeszcze nie pora. Najpierw chciał poznać odpowiedzi na swoje pytania. Kto go porwał i dlaczego? Kto zlecił zamordowanie dwojga agentów FBI? Najpierw musi się spotkać ze swoim gospodarzem.

– Proszę nakryć do stołu – rzucił opryskliwie.

Harris nogą zamknął drzwi.

– Proszę wybaczyć, blokują się automatycznie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, zostaną tutaj do czasu przybycia pańskiego gospodarza.

Przez kilka minut Kazimi krążył po jedwabnym i aksamitnym lochu, podczas gdy kamerdyner stawiał kolejne dania na hebanowym stole – jagnię w kurkumie, ziemniaki w czerwonym sosie, jagody goji z rzepą w ciemnym sosie pieczeniowym, słodka zielona herbata z kardamonem, czyli potrawy z kaszmirskiego regionu Pakistanu, domu jego młodości. Znowu ktoś zapukał do drzwi. Harris natychmiast przerwał swoje zajęcia i stanął obok niego jak wyszkolony pies.

– Wejść! – zawołał Kazimi.

Klucz zachrobotał w zamku. Dwuskrzydłowe drzwi się otworzyły i wszedł dystyngowany, około pięćdziesięcioletni mężczyzna z lekką nadwagą. Stał tak spokojnie, jakby oceniał parę tancerzy na sali balowej. Prawą rękę zaciskał na lasce zwieńczonej lwią głową wielkości piłki tenisowej, odlaną z brązu albo, biorąc pod uwagę przepych Red Cliff, ze złota. W drugiej ręce, jakby od niechcenia, trzymał szklaneczkę whisky. Kazimi, który wiódł życie pełne wyrzeczeń, natychmiast poczuł do niego antypatię. Mężczyzna miał szeroki, płaski nos i czarne jak węgiel oczy drapieźnika. Imponująca laska w jego dłoni była czymś więcej niż ozdobnym rekwizytem. Przybysz lekko utykał, oszczędzając prawą nogę. Kazimi pomyślał, że mógłby sobie z nim poradzić. W tej samej chwili w drzwiach za plecami

gospodarza stanęło dwóch muskularnych mężczyzn, czarny i biały.

– Dziękuję, Harrisie – wymruczał tłusty kocur. – Dobrze się spisałeś, jak zwykle.

– Doktorze Kazimi – rzekł Harris – przedstawiam pana tego domu, Douglasa Bacona.

ROZDZIAŁ 14

Jedynym gwarantowanym świadczeniem powinny być owoce własnej pracy.
Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

– Miło pana poznać, doktorze – powiedział Bacon, z wdziękiem przekładając szklaneczkę do ręki, w której trzymał laskę, żeby wyciągnąć do doktora wolną dłoń. Patrząc na nią z pogardą, Kazimi stał z rękami ciasno splecionymi na piersi. Było to małe wyzwanie, ale w tej chwili nawet najmniejsze zwycięstwa miały znaczenie. – Dobrze – mruknął Bacon, biorąc szklaneczkę z powrotem w prawą rękę i pociągając łyczek. – Jak pan sobie życzy.

– Życzę sobie opuścić to miejsce! – warknął Kazimi.

– To, obawiam się, nie jest możliwe. Potrzebujemy pańskiej pomocy.

– A właściwie kim pan jest, panie Bacon?

– Proszę mówić mi Doug. I wszystkie odpowiedzi w swoim czasie, doktorze.

Wszystko w swoim czasie.

Nikt mu się nie sprzeciwia ani nawet nie podaje w wątpliwość jego słów, pomyślał Kazimi. Nigdy. Nie odpuszczaj, nie zmniejszaj nacisku. W końcu ktoś pęknie. Jeśli nie Bacon, to jeden z tych, z którymi będę miał do czynienia w Red Cliff. Ktoś mi pokaże, jak się stąd wydostać.

– Czego pan ode mnie chce? O co w tym wszystkim chodzi? – Jego głos nie miał takiej siły, jaką zamierzał w niego włożyć. Najprawdopodobniej wciąż odczuwał skutki działania narkotyku. – Kim pan jest?

– Na pewno nie pańskim wrogiem, doktorze Kazimi – odparł Bacon z lekkim południowym akcentem. – To pierwsze, co musi pan wiedzieć. A może woli pan, żebym zwracał się do pana per doktor Faruk? Wyrzekł się pan tego nazwiska, kiedy opuścił Stanford i zaczął pracować dla FBI.

– Bez względu na to, czego ode mnie chcecie, nic wam nie powiem.

– Poczekamy, zobaczymy.

– Gdzie są moje ubrania?

Kazimi szarpnął jedwabną piżamę, jakby paliła mu skórę.

– Jako mój gość dostanie pan wszystko, co zechce. Ubrania, jedzenie, dywanik modlitewny i miejsce do modlitwy, miejsce do ćwiczeń. Wystarczy poprosić, a życzenie zostanie spełnione. Ale podkreślam, najważniejszy jest czas. Na szali spoczywa ludzkie życie. Los wielu, wielu istnień.

Doug Bacon był kulturalny, pełen wdzięku i uprzejmy, ale Kazimi wyczuwał w nim fanatyzm – mroczną siłę i zaangażowanie... W co? Czy Bacon ma jakiś związek z Mikrobem Sądnego Dnia? Jego zachowanie, a także sposób zorganizowania porwania i uwięzienia jasno wskazywały, że jest bardzo

zdeteminowany i ma ogromne wpływy. Po raz pierwszy w życiu wiara w Allacha nie zmniejszyła strachu Kazimiego.

– Chcę odzyskać ubrania, które miałem na sobie, kiedy tu trafiłem – powiedział.

Dobrze się poczuł, wydając to polecenie.

– Jak pan sobie życzy. Zostały wyprane i złożone. Każę Harrisowi przynieść je do pańskiego pokoju.

– A potem chcę zostać wyprowadzony z tego miejsca – dodał Kazimi. – W żaden sposób wam nie pomogę. Na nic nie możecie liczyć. Nawet na pozory współpracy.

Wyraz twarzy Bacona znowu stał się nieodgadniony, przez co Kazimi poczuł się nagi i przejrany na wylot. Miał wrażenie, jakby pan Red Cliff przeprowadzał sekcję jego osobowości, z prędkością błyskawicy obmyślając każdy cios i z wyprzedzeniem przygotowując kontratak. Kazimi szybko doszedł do wniosku, że manipulowanie ludźmi jest dla niego grą i że jest w tym doskonały.

– Potrzebuję pańskiej współpracy, dlatego mam zamiar zaproponować układ – powiedział Bacon, przerywając wymowne milczenie. – Jeśli pan przystanie na moje warunki, będzie panu wolno opuścić Red Cliff i nawet osobiście pana odprowadzę.

– Proszę mówić dalej.

– Jak wiedzą ci, którzy mnie znają, jestem hazardzistą. Lubię podniecenie, jakie zapewnia dobra gra. Ma pan tu wszystko, czego potrzeba, żeby pokonać mnie w starciu umysłów.

– Na czym ma polegać ta bitwa? – zapytał Kazimi. – Jestem bystry, ale nie we wszystkich dziedzinach.

Twarz Bacona pojaśniała.

– Ach, doktorze, niewiedza jest częścią zakładu. – Przeciąganie samogłosek stało się jakby wyraźniejsze. – Musi się pan zgodzić na wzięcie udziału, nie znając odpowiedzi.

– A jeśli odmówię, gdy tylko się dowiem, o co chodzi?

– Wtedy nasze życzenia staną się żądaniem, a pan po prostu je spełni. Niech pan przysięgnie na Allacha, że przyjmuje wyzwanie.

– Nie zrobię tego.

– Daję panu szansę, żeby stąd odejść, doktorze Kazimi. Ludziom, z którymi pracuję, nie spodoba się to. Ani trochę. Czy zdoła mnie pan pokonać w pojedynku umysłów? Jestem przekonany, że nie. Ale czy nie skorzysta pan z okazji?

Kazimi rozważał możliwości, mierząc wzrokiem dwóch ochroniarzy. Wyrwanie się stąd siłą nie wchodziło w rachubę. W najlepszym wypadku byłoby to bardzo trudne.

– Zgadzam się – oznajmił w końcu.

Ufał swojej inteligencji. Mógłby się zmierzyć z każdym członkiem Mensy. Teraz Bacon podniecał się zakładem, ale kiedyś pożałuje, że rzucił to wyzwanie – zakładanie się jest grzechem dla prawdziwego muzułmanina.

– Dobrze – powiedział Bacon. – Zaczynajmy.

Wspierając się na lasce, podszedł do hebanowego stołu, postawił szklaneczkę whisky i podniósł zauważony wcześniej przez Kazimiego ząbkowany nóż do steków. Wrócił na poprzednie miejsce przed otwartymi drzwiami, symbolicznie ustawiając się pomiędzy doktorem i wolnością.

– A teraz – odezwał się Kazimi – proszę zadać pytanie. Poddać mnie próbie. Nie boję się.

– W imię Allacha.

– W imię Allacha.

Bacon pochylił się i wyciągnął nóż hebanowym trzonkiem w jego stronę.

– To nie jest pytanie – zaznaczył – ale coś, co musi pan zrobić. Proszę wziąć nóż.

Kazimi się zawahał. Bacon zachęcająco machnął trzonkiem.

– Jeśli pan odmówi, przegra bez podejmowania próby – dodał z sardonicznym uśmiechem w kącikach ust.

Kazimi po chwili wahania chwycił trzonek noża ze szpicem skierowanym w stronę gospodarza.

– Dobrze – pochwalił go Bacon z ironią w głosie. – Brawo. Teraz, żeby wygrać naszą małą bitwę, proszę mnie zabić.

Strażnicy odruchowo ruszyli w jego stronę, ale zatrzymał ich uniesioną dłonią.

– Proszę wziąć nóż i mnie zabić – powtórzył. – Jeśli pan to zrobi, dam słowo, że będzie panu wolno odejść stąd bez przeszkód. – Odwrócił się w stronę ochroniarzy. – Czy to rozumiałe?

Mężczyźni skinęli głowami. Widząc niechęć w ich oczach i postawie Kazimi zrozumiał, że propozycja wcale nie jest żartem. Bacon zrobił krok do przodu i czubek ostrza, drżącego w wyciągniętej ręce mikrobiologa, zetknął się z jego wydatnym brzuchem.

– Śmiało, doktorze Kazimi. Niech pan to zrobi. Niech mnie pan zabije, a potem będzie pan mógł odejść.

Kazimi pchnął nóż, lecz nie na tyle mocno, żeby przebić materiał białej koszuli czy uszkodzić skórę pod spodem.

– Dam panu trzy sekundy. Proszę wbić ostrze i odejść. Trzy...

Nacisnął mocniej.

– Dwa...

Jeszcze mocniej.

– Jeden.

Kazimi rzucił nóż na podłogę.

– Skąd pan wiedział? – zapytał ze spuszczoną głową, wpatrując się w ostrze, którym mógł sobie otworzyć drogę do wolności.

– „I abyście nie zabijali duszy, której zabijania Allach zabronił, chyba że w zgodzie z wymogami sprawiedliwości. Oto co On wam nakazał, abyście rozumieli”². Rozdział szósty, werset sto pięćdziesiąty pierwszy. Morderstwo w samoobronie jest dopuszczalne, ale przecież byłem nieuzbrojony. Pańska religia zakazuje takiego odbierania życia. Zostałoby to uznane za haram, naprawdę obmierzły czyn, który rozgniewałby Allacha. Mam rację?

– Tak – potwierdził Kazimi.

– Tym samym ogłaszam, że pojedynek intelektów został zakończony, a może powinienem rzec, walka na siłę woli. Pozwoli pan, że ponownie się przedstawię. Nazywam się Doug Bacon i przez jakiś czas będzie pan gościem w moim domu.

Bacon tym razem nie raczył wyciągnąć ręki.

– Nie gościem – poprawił go Kazimi. – Więźniem.

– Musiałem się dowiedzieć o panu czegoś więcej, doktorze, na przykład poznać pańską reakcję na stres, i to szybko. Pańska znajomość chorób zakaźnych jest dla nas bardzo ważna. Decydująca, to chyba lepsze słowo. Proszę mi wierzyć, wszystko, co się tutaj, w Red Cliff, dzieje, ma swój starannie obmyślony cel. Stawki są wysokie. Przerażająco wysokie. I nie mamy zamiaru zawieść.

Zanim Kazimi zgodził się odejść z Uniwersytetu Stanforda i pracować w ukryciu, Beth Snyder, jego opiekunka w FBI, poinformowała go o istnieniu tajnej ekstremistycznej grupy zwanej Stowarzyszeniem Stu Bliźnich. Teraz nie miał wątpliwości, że Doug Bacon jest jedną z wysoko postawionych osób w tej organizacji, o ile nie przywódcą. Miał wrażenie, że gospodarz podał mu prawdziwe nazwisko, co raczej dobrze nie wróżyło. Uznał, że albo Bacon planuje przetrzymywać go w nieskończoność, albo on już może się uważać za chodzącego trupa.

– Przypuszczam, że pokój się panu podoba – podjął Bacon, wracając do stołu po szklankę.

– Może pan sobie darować uprzejmości i pogawędki, panie Bacon. Gdzie jest Burke? Dlaczego zezwolił pan na zabicie z zimną krwią dwojga ludzi? Burke jest tchórzem. Żalonym tchórzem.

– Pan Burke nie powinien pana interesować. Na razie musi się pan wzmocnić. Praca czeka.

Wskazał potrawy rozstawione przez Harrisa.

– Zakład czy nie, prędzej umrę, niż cokolwiek dla was zrobię.

– Rozważyliśmy ten problem i go odrzuciliśmy.

– Nie! Nie muszę jeść. Muszę się stąd wydostać. Stanowczo odmawiam

udzielenia jakiegokolwiek pomocy mordercom.

Uśmiech Douga Bacona stał się złowieszczy.

– Zapewniam, doktorze Kazimi, że będzie pan jeść, kiedy każemy, i odpoczywać, kiedy każemy, a co najważniejsze, pracować, kiedy taka będzie nasza wola. Tym, nad czym nie mamy kontroli w pańskim życiu, są pańskie modlitwy. Pod łóżkiem leży nowy dywanik modlitewny. Te dwa wazony z kwiatami pod ścianą wskazują kierunek, gdzie znajduje się Mekka.

ROZDZIAŁ 15

Rząd istnieje po to, żeby zapewnić ład, zaś Stu Bliźnich – żeby określić, jaki ten ład powinien być.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Uśpiony farmakologicznie Chrup leżał na noszach, okryty kocem elektrycznym. Lou wrócił z kursu udzielania pierwszej pomocy w warunkach ekstremalnych z przeświadczeniem, że w każdej sytuacji poza szpitalem wolałby współpracować nie z lekarzem, lecz z sanitariuszem albo pielęgniarzką ratunkową. Zespół pogotowia lotniczego północnej Georgii utwierdził go w tym przekonaniu. Ich najważniejsza decyzja po ustabilizowaniu nogi Chrupa dotyczyła tego, co zrobić z szynami. Po wysłaniu zdjęć do ortopedy dyżurującego na SOR-ze w szpitalu Arbor postanowiono je zostawić i natychmiast rozpocząć podawanie antybiotyków.

Chrup dostawał dożylnie płyny i środki presyjne, które powinny zwiększyć ciśnienie tętnicze, ale wciąż było ono niepokojąco niskie, osiemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt pięć. Możliwe, że był to efekt wstrząsu spowodowanego wykrwawianiem się w udo, choć nie było śladu krwawienia. Krwotok wewnętrzny z rozerwanego jelita albo pękniętej śledziony czyhał na liście możliwości niczym aligator na bagnach. Chrup będzie wymagał uważnego przygotowania, zanim trafi na salę operacyjną, gdzie chirurdzy złożą mu złamaną kość udową.

Poza niskim ciśnieniem miał rozregulowane również inne parametry życiowe. Ciepłota ciała wciąż wynosiła trzydzieści cztery stopnie i cztery kreski. Przy odrobinie szczęścia był to skutek hipotermii, a nie wczesnej niewydolności nerek lub wątroby albo jakichś procesów, które zachodziły w mózgowych ośrodkach regulacji. Biorąc pod uwagę funkcje życiowe, łącznie z tętnem oscylującym wokół stu dziesięciu i częstością oddechów wynoszącą dwadzieścia cztery na minutę, Lou wiedział, że czeka ich długa droga, zanim odetchnie z ulgą.

Już miał zapytać o przewidywany czas przybycia do szpitala, kiedy na horyzoncie ukazała się panorama Atlanty.

– Jesteśmy prawie na miejscu, stary – powiedział z takim entuzjazmem, że znów przytomny przyjaciel odpowiedział uniesionym kciukiem.

– Co mi wstrzykują? – zapytał Chrup szeptem niewiele głośniejszym niż trzepot skrzydełek motyla.

– Morfinę – odparł Lou, postanawiając zignorować fakt, że już wcześniej odpowiadał na to samo pytanie.

– Aha, niezły towar. Tak myślałem.

– Martwisz się?

- Ty zajmowałaś się moją nogą, doktorku, to mi powiedz.
- Wciąż masz niskie ciśnienie. Dostajesz niezbyt dużo morfiny. Mogę poprosić, żeby dali ci trochę więcej.
- Nie ma obawy, nie wyśle mnie to na równię pochyłą.

Lou wiedział, że się zgadzali, gdy chodziło o przepisywanie środków przeciwbólowych i leków psychotropowych. To, że pacjent był uzależniony od narkotyków czy alkoholu, wcale nie musi oznaczać, że nie wolno mu zażywać farmaceutyków, nawet pod kontrolą lekarską. Oczywiście, lekarz wypisujący receptę lub zamawiający leki w szpitalu powinien być w pełni świadomy jego historii.

Pięć lat temu, a więc gdy zdrowiał, Lou w czasie gry w piłkę doznał urazu chrząstki i więzadła w prawym kolanie, co wymagało rozległej artroskopii. Wciąż wyraźnie pamiętał pierwsze dni po operacji: dawkowanie percocetu – jedna albo dwie tabletki co cztery do sześciu godzin. Na taki ból, jaki odczuwam, jedna czy dwie? Minęły trzy i pół godziny. A jeśli teraz wezmę dwie i zaczekam godzinę dłużej, żeby zażyć kolejną dawkę?

Obsesja.

Drzemiące uzależnienie doprowadzało go do szaleństwa. Ból spowodowany tym, że miał wokół siebie narkotyki, szybko stał się gorszy od bólu w kolanie. Przecierpiawszy półtora dnia, omówił sprawę z Chrupem, po czym wyrzucił pigułki do sedesu i przestał brać tylenol i motrin.

Chrup wspierał go przez całą tę walkę. Teraz, gdy role się odwróciły, Lou postanowił, że będzie mu służyć pomocą, jak długo okaże się to konieczne. Jednak w tej chwili znacznie bardziej martwiło go spadające ciśnienie przyjaciela niż jego powrót do nałogu.

Śmigłowiec zatoczył dwa koła, zanim lekko jak piórko usiadł na lądowisku, które znajdowało się na dachu szesnastopiętrowego budynku zbudowanego ze stali i szkła. Puste lądowisko na planie krzyża wydawało się wystarczająco duże, żeby pomieścić cztery maszyny medyczne. Kilka sekund po przyziemieniu trzyosobowy zespół w strojach szpitala Arbor przystąpił do przetransportowania pacjenta. Lou wymienił uściski dłoni z załogą Lotniczego Pogotowia Ratunkowego Północnej Georgii i dopędził Chrupa oraz opiekujący się nim zespół w chwili, gdy otworzyły się drzwi windy ekspresowej. Chrup ze swoimi szynami ledwie zmieścił się w kabinie.

– Czeka na niego zespół SOR-u – powiedziała pielęgniarka do Lou w drodze na dół. – Wszyscy są gotowi.

Chrup znowu na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Dwie minuty później zwałym krokiem szli w głąb długiego korytarza oświetlonego przez ciąg jarzeniówek. Minęło zaledwie kilka dni, odkąd Lou po raz ostatni był w szpitalu, ale wydawało się, że upłynęło znacznie więcej czasu, i tylko zapach tego miejsca

dodawał mu otuchy. W ciągu minionych godzin kilka razy nękały go poważne wątpliwości, teraz jednak miał pewność, że Chrup Duncan wyjdzie zwycięsko z tej próby.

Jakby dla ostrzeżenia przed zbytnią pewnością, oddech Chrupa stał się płytszy i wolniejszy.

Szybciej, ludzie... Szybciej!

Znał część SOR-u za elektronicznie otwieranymi drzwiami jak własną sypialnię, tyle że teraz przebywał tam w roli obserwatora. Podziękował zespołowi za profesjonalizm i uprzejmość, gdy tylko pielęgniarki skupiły się wokół noszy i cicho oraz sprawnie zaczęły podłączać sprzęt monitorujący, tlen i kroplówki. Chrup ocknął się z jękiem, kiedy we cztery przenosiły go na prześcieradle na łóżko z podczepionymi noszami jezdnyymi, żeby miał na czym oprzeć szyny.

Dobra robota, pomyślał Lou.

Krępa, twarda z wyglądu pielęgniarka kazała mu odsunąć się pod ścianę, gdy zespół zabrał się do pracy. Chyba każdy tu wiedział, że jest lekarzem ratunkowym, ale nikt nie miał pojęcia, jak dobrym, a pora nie była odpowiednia na dopytywanie się. Co więcej, ubranie Floyd Weemsa wyraźnie nie budziło zaufania.

Lou dokładnie przemyślał, jak zespół w Eisenhower Memorial zająłby się pacjentem, gdyby on nim kierował. Zleciłby badania laboratoryjne, łącznie z próbą krzyżową krwi, powtórna kontrolę parametrów życiowych, przygotowanie do intubacji, gdyby spadła częstość oddechu, i podanie tyłu środków przeciwbólowych, żeby przeprowadzić przyzwoite badanie przed prześwietleniem. Szpital ogólny Arbor był pierwszorzędnym szpitalem akademickim i mówiono tutaj tym samym językiem co w Eisenhower – pełnym troski o pacjenta i świadczącym o kompetencjach personelu.

Na dziesięciostopniowej skali aktywność na dużym SOR-ze zdawała się oscylować w okolicach czwórki. Lou usłyszał wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że wszyscy dookoła podszeptują o dokonanym w terenie nastawieniu otwartego złamania i o tym, że sam pacjent brał w tym udział. Niebawem tutejsza poczta pantoflowa – zakładając, że działa równie sprawnie jak naddźwiękowa poczta w Eisenhower – rozniesie wiadomość po najbardziej odległych zakątkach szpitala.

Lou zczekał, aż opadną początkowe emocje, po czym podszedł do lekarza prowadzącego – przystojnego, barczystego mężczyzny o hollywoodzkiej szczęce i miedzianej skórze, wyglądającego tak młodo, jakby niedawno zrobił prawo jazdy. Wyszli na korytarz, przedstawili się i postanowili mówić sobie po imieniu. W tej chwili życie Chrupa spoczywało w rękach doktora Hala Garveya i jego personelu.

Jeśli nawet Garvey zwrócił uwagę na niezwykły strój Lou, to nic nie dał po sobie poznać. Było niewiele rzeczy, których lekarze i pielęgniarki pracujący na pogotowiu nie widzieli w takiej czy innej formie.

– Sam wyglądasz tak, jakby przydała ci się pomoc medyczna – powiedział

Garvey, wskazując skaleczenie z boku posiniaczonej, brudnej twarzy Lou.

– Nic mi nie jest. Na razie martwię się o mojego przyjaciela. Naprawdę ma na imię Hank. Chrup to przydomek z czasów kariery bokserskiej. Niewielu nazywa go inaczej.

– Niech będzie Chrup. Powiem personelowi. Jestem tu szefem rezydentów. To mój piąty rok, wliczając rok pracy badawczej. Nie wiem, czy słyszałeś o Arbor, ale to porządny szpital, najlepszy na Południu, tak sądzimy. Zapewnimy twojemu przyjacielowi doskonałą opiekę.

– Miło to słyszeć. Odniosłem dobre wrażenie, gdy tylko tu dotarliśmy. Chrup jest kimś wyjątkowym dla wielu ludzi w Waszyngtonie, łącznie ze mną. Zrobię dla niego wszystko.

– Z tego, co słyszałem, w lesie zdziałałeś cuda.

– Wierz albo nie, Chrup odwalił całą robotę. Tak naprawdę to on nastawił złamanie, ciągnąc linę i zdrową nogą odpychając się od drzewa. Ja tylko unieruchomiłem kości.

– Robi wrażenie. Twój przyjaciel wygląda na twardziela.

– Wszyscy, którzy go znają, tak właśnie myślą. Hal, nie chcę być bezczelny, ale bardzo mi zależy, żeby Chrup miał najlepszego ortopeda, jakiego tu macie. Pomożesz mi to załatwić?

Garvey spojrział na smartfon.

– Ortopedia jest chyba najlepszym oddziałem w tym szpitalu. Lekarze się zmieniają, przyjmując pacjentów, ale jeśli ktoś prosi o konkretnego chirurga, mogą zadzwonić i sprawdzić, czy jest wolny. Tym przypadkiem ma się zająć doktor Lichter. Jest bardziej niż kompetentny. Wierz mi, Chrup będzie miał dobrą opiekę pod każdym względem, zwłaszcza kiedy rozejdzie się wieść, że sam nastawił sobie otwarte złamanie. Trochę jak ten facet, który odciął sobie rękę, żeby uwolnić się z kanionu w Utah. Słuchaj, daj mi skończyć, a zadzwonię do doktora Lichtera. Może zaczekasz w pokoju wypoczynkowym lekarzy w głębi korytarza po lewej? Jest tam łazienka z prysznicem, możesz się opłukać i włożyć strój chirurga. Przyjdę po ciebie, kiedy będziemy mieli opracowany plan działania.

Wymienili uściski dłoni i rozeszli się w przeciwne strony. Garvey wrócił do Chrupa, a Lou udał się do pokoju wypoczynkowego dla lekarzy.

Zanim dotarł do celu, usłyszał cichy, lekko zniekształcony głos.

– Ja bym nie pozwolił, żeby Lichter go operował.

ROZDZIAŁ 16

Wielkie zmiany następują nie wskutek pragnienia, lecz wytrwałości. Tam, gdzie kiedyś rozciągały się nieużytki, dzisiaj widać miasto, zbudowane cegła po cegle przez ręce reprezentujące zdeterminowaną wolę.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Lou odwrócił się, żeby zlokalizować źródło głosu, i dopiero po chwili zarejestrował, że znajduje się ono poniżej poziomu jego oczu. Zagadnął go drobny, rozczochrany, około czterdziestoletni mężczyzna w okularach, niemal zagubiony za skomplikowaną konsolą wózka elektrycznego. Nie trzeba było być geniuszem diagnostyki, żeby rozpoznać poważny przypadek mózgowego porażenia dziecięcego.

– Przepraszam – powiedział Lou. – Co pan mówił?

– Nie ma za co przepraszać – odparł mężczyzna, starając się powoli i wyraźnie wypowiadać słowa. – Mnóstwo ludzi prosi, żebym powtarzał, co powiedziałem. Niektórzy powinni, ale tego nie robią. Prawda jest taka, że większość nie zawraca sobie tym głowy. Zrozumienie tego, co mówię, wymaga zbyt wielkiego wysiłku. Długie zdania mnie też męczą. Czasami pomijam słowa, które nie są ważne. Czasami używam ekranu i joysticka.

Mówił z wyraźnym trudem, a mimowolne krzywienie ust i chrząkanie zniekształcały niektóre słowa, ale ogólne upośledzenie fizyczne było znacznie głębsze niż to, które wpływało na mowę. Mężczyzna był dotknięty poważnym kalectwem – miał silną tetraplegię spastyczną, będącą jedną z najbardziej upośledzających postaci MPD. Mięśnie jego twarzy i kończyny były w bezustannym ruchu, a usta często się wykrzywiały. Pasy na nadgarstkach pomagały utrzymać ręce we właściwej pozycji.

Lou przypuszczał, że mężczyzna nigdy nie chodził i że musi korzystać z pomocy co najmniej podczas codziennego ubierania się i rozbierania. Pomimo swojego stanu umiejętnie obsługiwał bardzo skomplikowany pulpit wózka i choć skracał zdania, wypowiadał się zrozumiale, jeśli słuchacz był skłonny podjąć wysiłek, żeby się skoncentrować. Może jego najbardziej intrygującą cechą, chociaż pod żadnym względem nie jedyną, były ciemnobrązowe oczy – duże i inteligentne nawet za grubymi soczewkami okularów w szylkretowych oprawkach.

Doświadczenia Lou z mózgowym porażeniem dziecięcym ograniczały się do znajomości z dotkniętą nim dziewczyną w ogólniaku i kontaktów z pacjentami na SOR-ze. Ale przez ostatnie dziesięć lat czuł się związany z tymi ludźmi w bardzo wyjątkowy sposób – niestety dostępny nie dla wszystkich lekarzy. Biorąc pod uwagę wyłącznie cechy fizyczne, takie jak kiepska koordynacja ruchów

i bełkotliwa, utrudniona mowa, zbyt wielu lekarzy zakłada, że MPD jest zaburzeniem neurologicznym upośledzającym nie tylko ruchy i mowę, ale również intelekt. W rzeczywistości, z pewnymi wyjątkami, osoba cierpiąca na MPD jest równie inteligentna jak każda inna.

Lou był wrażliwy na wszelkie formy generalizowania czy powielania stereotypów, szczególnie medycznych. W przeszłości, mając problemy z narkotykami i alkoholem, spotkał zbyt wielu kolegów, którzy uważali jego przypadłość za deficyt moralny albo wrzucali go do jednego worka z innymi cierpiącymi na tę chorobę.

Wydawało się, że żyłasty mężczyzna na wózku inwalidzkim po prostu pałęta się po SOR-ze i że nikomu to nie przeszkadza. Lou instynktownie słuchał ludzi, szczególnie tych mających dostęp do informacji, które mogły mu się przydać. Przyciągnął krzesło, żeby znaleźć się na tym samym poziomie co rozmówca.

– Powiedział pan, że doktor Lichter nie jest odpowiednim lekarzem dla Chrupa?

– Dokładnie.

– Słyszał pan naszą rozmowę? Był pan co najmniej pięć metrów od nas, a przecież nie mówiliśmy głośno.

Mężczyzna najpierw wskazał mikrofon przymocowany do wózka, a potem małą plastikową słuchawkę w prawym uchu.

– Jakby MPD nie wystarczyło, lekkie upośledzenie słuchu. Nie chcę podsłuchiwać, lecz albo to, albo niewiele słyszę. Nazywam się Miller. Humphrey Miller.

– Miło pana poznać, panie Miller. Pracuje pan tutaj?

– Tak. Technik farmacji dziesięć lat. Aptekarze napełniają wózek i przypinają go przed fotelem. Rozwożę leki na piętra. Oddałem biały fartuch pralni. Zapasowe w domu. Jestem tu często po dyżurze, kiedy coś się dzieje.

– Przypuszczam, że właśnie tak można to nazwać.

– W szpitalu głośno o panu i przyjacielu jeszcze przed wylądowaniem.

– Jestem Lou Welcome, lekarz ratunkowy z Waszyngtonu. – Wymienili uściski dłoni, choć nie bez trudności. – Humphrey to niezbyt pospolite imię.

– Jak nazwisko Welcome.

– Zawsze mam wrażenie, że któryś z moich przodków, może ktoś obdarzony poczuciem humoru, zastąpił nim jakieś inne. Ojciec nie chciał mi powiedzieć kto, a może po prostu nie wiedział.

– Jak możesz domyślać, mama wielka fanka Bogarta. Nazwanie mnie Humphrey w dodatku do MPD było podwójnym ciosem.

Mimo że Humphrey mówił skrótami, wypowiedzenie tych zadań zajęło mu prawie minutę.

– Oklaski dla rodziców – powiedział Lou, natychmiast czując sympatię do

tego człowieka.

– Nie wiercisz się.

– Słucham?

– Gdy mówię dłużej, ludzie zwykle się wiercą albo patrzą przed siebie. Ty tego nie robisz.

– To dlatego, że trzeba się przy tobie skupić – odparł Lou ze śmiechem – a ja nigdy się nie wiercę, kiedy się skupiam.

Humphrey parsknął radosnym basowym śmiechem, rozbawiony komentarzem. Wyglądał zabawnie, jak dorosły kujon. Uszy miał za duże w stosunku do głowy, ale w pewien sposób pasowały do jego osobowości, jakby mniejsze mogły przynieść mu ujmę.

– Więc o co chodzi z tym Lichterem? – zapytał Lou.

– Wydajesz się miłym facetem. Nie pozwól, żeby Ed Lichter przeprowadził operację.

– Dlaczego?

– Lichter dość przyzwoity, wcale nie najlepszy. Traci zainteresowanie po operacji. Przerzuca obowiązki na rezydentów, jak szybko może.

– Mów dalej, ale z góry proszę o wybaczenie, jeśli poproszę, żebyś coś powtórzył.

– Jasne. Jeśli komplikacje, doktor Len Standish lepszy. To czarodziej. Ustabilizował moje kostki.

Lou szybko odsunął krzesło i wstał, chcąc jak najszybciej wrócić do Garveya.

– Wierzę ci, Humphrey – powiedział – i dziękuję. Jestem ci winien lunch.

– Słyszałem, otwarte złamanie kości udowej. Możesz spędzić tu trochę czasu.

– Będę tu tak długo, jak przyjaciel będzie mnie potrzebował. Ale najpierw muszę przenieść go do doktora Standisha.

– Nie będziesz rozczarowany. Jestem tu. Daj znać, jak poszło.

– Obiecuję.

– Potem kolacja. Może późnym wieczorem. O lunchu zapomnij. Pora dawno minęła.

Lou czuł, jak ściska go w gardle. Sprawdził, która godzina, i plasnął dłonią w czoło. Minęła piąta po południu.

Dwie godziny temu powinien odczytać przemówienie Filstrupa.

ROZDZIAŁ 17

Dopóki pomoc rządowa będzie zagrażać naszej wolności i pionierskiemu duchowi ojców założycieli, Bliźni powinni ukrywać się na widoku i zachowywać tak, jak sugeruje ich nazwa: życzliwie. Niech każdy Bliźni pozostanie wierny nadrzędnym ideałom, wtapiając się w otoczenie i ciesząc owocami życia, jednocześnie dostępując chwały Bożej.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Chrup nie spał i oglądał telewizję, kiedy Lou wszedł do szpitalnego pokoju z wielkim pudłem czekoladek, thrillerem w miękkiej okładce i paroma czasopismami ilustrowanymi. Natychmiast się rozpromienił.

– Cześć, stary – powiedział. – Dawno cię nie było.

– Tak, będzie ze dwie godziny, odkąd szykowali cię do wypisania z sali pooperacyjnej. Mam nadzieję, że te leki działają nie tylko przeciwbólowo.

– Człowieku, miałem taki odjazd, że Stevie Wonder mógłby śpiewać w nogach mojego łóżka, a ja bym tego nie pamiętał. Jak się masz?

– Powiedzmy, że gdybyśmy mogli handlować na dni, sprzedałbym dwa ostatnie.

– Ja tak samo, amigo. Nie wiem, czy już ci należycie podziękowałem za to, co zrobiłeś dla mnie w lesie. Okazałem się głupim niezdarą.

Lou zrobił minę sugerującą, że bicie się w piersi jest zupełnie nie na miejscu.

Jasny pokój na siódmym piętrze był dwuosobowy, ale przynajmniej w tej chwili Chrup nie miał współlokatora. Zajmował łóżko przy oknie.

– Lekarze powiedzieli, że operacja to wielki sukces – powiedział Lou, kładąc przyniesione rzeczy na stoliku.

Chrup miał opuchniętą twarz od podawanych płynów. Wskazał nogę wiszącą nad łóżkiem na skomplikowanym wyciągu z linek i bloczków, unieruchomioną przez stalową ramę.

– Przypuszczam, że na jakiś czas muszę sobie odpuścić bieganie w terenie – mruknął.

– Żyj dniem dzisiejszym, brachu. Ciekawe, kto mnie tego nauczył?

Większość szpilek, płytek i śrub, które Leonard Standish umieścił w nodze Chrupa, żeby utrzymywały złamaną kość w odpowiedniej pozycji, stała się nieodłączną częścią jego anatomii. Prawdziwe wyzwanie dla ochrony na lotniskach.

Mimo że operacja się udała, ryzyko powikłań pooperacyjnych pozostawało wysokie. Nie brakowało takich, którzy uważali, że sama hospitalizacja, zwłaszcza gdy pacjent potrzebował pomocy prawie we wszystkim, niesie poważne ryzyko

komplikacji. W dodatku stałym zagrożeniem były skrzepy krwi tworzące się z powodu leżenia w bezruchu, a metal w mięśniach, skórze i kościach stanowił zaproszenie dla infekcji. Chrupa czekała długa, bardzo długa droga, ale Lou był zdecydowany towarzyszyć mu w każdym kroku.

– Jaka jest twoja ocena jako zawodowca, doktorku?

– Myślę, że mamy szczęście, że nie biegaliśmy po bagnach Okefenokee – odparł Lou. – Aligatory pożarłyby nas obu. Pielęgniarki pokazały mi zdjęcia pooperacyjne. Doznałeś czegoś, co nazywamy wieloodłamowym złamaniem otwartym. Paskudny uraz, ale da się naprawić. Wszystko zostało naprawdę dobrze poskładane. Nie jestem pewien, czy jakikolwiek inny lekarz mógłby wykonać lepszą robotę niż Leonard Standish. Zasłużyłeś na najlepszą opiekę i właśnie ją dostałeś. Za to możemy podziękować technikowi farmacji o imieniu Humphrey.

– Czy ktoś o mnie mówi?

Jak na zawołanie, Humphrey wjechał do pokoju na ciężkim wózku, sterując nim joystickiem. Lou znowu był pod wrażeniem, z jaką zręcznością obsługuje pulpit.

– Prawa ręka nieco lepsza niż lewa – wymamrotał Humphrey, jakby odczytując jego myśli. – Ty musisz być sławny Chrup.

– Przepraszam, niezupełnie cię rozumiem – odezwał się Chrup.

– Powiedział, że musisz być sławnym Chrupem – wyjaśnił Lou. – Wyobraź sobie, że jesteś mną na pierwszej lekcji boksowania. Musiałem się porządnie skupić, bo inaczej coś by mi umknęło. Właśnie w ten sposób słuchaj Humphreya.

Humphrey miał na sobie kraciastą koszulę i spodnie khaki. HUMPHREY MILLER, TECHNIK FARMACJI, taki napis widniał nad kieszenią jego krótkiego białego fartucha. Podjechał bliżej do łóżka Chrupa.

– Kim jesteś, moim tłumaczem? – zapytał, zwracając się do Lou i wypełniając pokój swoim gromkim śmiechem.

Wyciągnął drżącą, niezgrabną rękę, a Chrup ją ujął i trzymał przez kilka sekund. Nawiązali nic porozumienia.

– Dziękuję za wskazówki – powiedział Chrup. – Wygląda na to, że mi bardzo pomogłeś.

– Z przyjemnością. Poznałem Lou na SOR-ze. Widziałem, jak wychodził ze sklepu z wielką bombonierką. Jestem poważnym czekoladoholikiem.

Humphrey znów się roześmiał.

– Poczęstuj się – zachęcił go Lou, otwierając pudełko i podnosząc papierek z opisem pralinek.

Humphrey wskazał czekoladkę, a Lou ją wyłowił i mu podał. Wymagało to trochę zachodu, ale w końcu trafiła do ust.

– Cieszę się, że pomogłeś – powiedział Chrup. – Moja noga też ci dziękuje.

– Wygląda na to, że bierzesz mnóstwo środków przeciwbólowych –

zauważył Humphrey. – Przywiozę więcej.

– Dzięki.

– I dopilnuj, żeby je brał – wtrącił Lou. – Mam rację, Kapitanie Chrup? Czasami ten facet jest zbyt twardy, żeby mu to wychodziło na dobre.

– Jak ja – rzucił Humphrey ze śmiechem. – Naprawdę o siebie dbacie.

– Brat z innej matki – zażartował Chrup.

– To musi być miłe – rzekł Humphrey z roztargnieniem w oczach. – Nie mam braci ani sióstr. Sam jeden byłem zbyt wielkim ciężarem. Słuchajcie, rozwiozłem leki. Chcesz, żeby pielęgniarka przyniosła więcej? Pielęgniarki na ortopedii mnie lubią.

– Jesteś bezkonkurencyjny, Humphrey – powiedział Chrup. – Dzięki. Jeśli mają coś do kroplówki, wezmę w ciemno. Noga zaczyna naprawdę boleć.

Humphrey wyjechał z pokoju, a Lou przysunął krzesło i usiadł, żeby nie patrzeć na przyjaciela z góry.

– Więc jak rysuje się moja przyszłość, szefie? – zapytał Chrup. – Jak długo tu będę?

– Nie wiadomo. To była poważna operacja. Może jest za wcześnie, żeby znali odpowiedź, ale obiecuję, Chrup, że z czasem znów będziesz tańczyć w ringu. Skoro o tym mowa, może chcesz, żebym do kogoś zadzwonił? Do kogoś z Kontry? Kogo powiadomić?

Chrup przygryzł wargę i odwrócił wzrok.

– Eddie Foster wszystkim się zajmuje, ale szczerze mówiąc, nie stać mnie na to, żeby płacić mu dłużej. Prawda jest taka, że od jakiegoś czasu balansowałem na krawędzi bankructwa. Zdecydowałem się na ten wyjazd tylko dlatego, że obaj całe wieki nie byliśmy poza miastem.

Lou miał wrażenie, że kurczy się w środku. Przypomniawszy sobie zimny, mglisty, deszczowy dzień i propozycję przyjaciela, żeby zamiast biegać po lesie, poszli na siłownię. Spostrzegł, że Chrup odwrócił się od okna i przygląda mu się badawczo.

– Winisz się za to, prawda, Welcome?

– Bieganie było moim pomysłem.

– Poważnie? Cóż, wybij to sobie z głowy. Jestem dużym chłopcem, brachu. Sam podejmuję decyzje i ich efekty są skutkiem moich własnych poczynań. To ani twoja, ani moja wina. Wypadek, gówniany, parszywy, przeklęty, pechowy wypadek i nic więcej. Jeśli więc przyłapię cię na rozczulaniu się nad sobą, złamię ci girę tylko po to, żeby poprawić ci samopoczucie. Comprende?

Lou zdobył się na półśmiech.

– Jasno i dobitnie.

Pogadali o kierowaniu salą pod nieobecność trenera. Wieloletnia dobra robota Chrupa na rzecz społeczeństwa zapewniła mu lojalność każdego, kto go

znał, ale nie byli to ludzie, którzy mogli sobie pozwolić na pracę bez zapłaty przez dłuższy czas. Lou pomyślał, że Chrup i tak przeżywa wystarczająco trudne chwile bez martwienia się, że straci ukochaną salę. Musi być jakiś sposób, żeby ją ocalić.

– Więc co się wydarzyło, odkąd wypadłem z obiegu? – zapytał Chrup.

– Zastanówmy się... – Lou udał, że musi się poważnie namyślić, żeby przekazać najświeższe nowiny. – Hm... Filstrup przegrał wybory.

Chrup cmoknął, jakby mówił „A niech to”.

– Fatalnie, ale było to do przewidzenia. Dużo mu zabrakło?

– Nie mam pojęcia – odparł Lou. – Można powiedzieć, że spóźniłem się na imprezę.

Chrup po chwili zrozumiał, o co mu chodzi.

– O rany, Welcome. Przegapiłeś przemówienie. Nie odczytałeś go?

– Wierz mi, niewiele by to pomogło. Mówiłem ci, że od początku był na przegranej pozycji.

– Ale wiesz, jaki jest Filstrup. Ciebie obwini za przegraną.

– Z pewnością już to zrobił. Zadzwoń do niego, gdy byłeś na sali operacyjnej. Myślę, że gdyby jego żona nie leżała na OIOM-ie, przyleciałby tutaj i osobiście skopał mi tyłek.

Lou wstał i podszedł do okna. Poprawił żaluzje, żeby wpuścić nieco więcej światła.

– Grozi ci utrata pracy? – zapytał Chrup.

– Wykluczone. Jest zawzięty, ale nie aż tak.

– Dlaczego nie słyszę przekonania w twoim głosie? Gdzie masz ubezpieczenie zdrowotne?

– W Eisenhower.

– Może załatwisz mi tam robotę? Nie jestem ubezpieczony, jak wiesz.

– Wiem. Za kilka minut mam spotkanie w biurze usług finansowych.

Humphrey wrócił do pokoju.

– Komu grozi utrata pracy? – zapytał.

Lou wskazał palcem na mały paraboliczny odbiornik na konsoli wózka.

– Nikomu. Przy okazji, jaki zasięg ma to cholerstwo?

– Złapałem odpowiedni kąt i byłem niedaleko. Nadzieja, zachowasz pracę.

– Dzięki, Humphrey. – Lou sprawdził godzinę na swoim zegarku z Myszka Miki i zwrócił się do Chrupa: – Słuchaj, stary, wpadnę później. Jutro z samego rana lecę do domu, żeby nadrobić zaległości i załatwić sprawę z Filstrupem. Wrócę na weekend albo wcześniej. Dasz sobie radę beze mnie?

– Czy nie mówiłem, że jestem dużym chłopcem?

– Na wszelki wypadek mogę się skontaktować z tutejszą grupą AA i zapytać, czy jacyś nasi bracia i siostry w niedoli nie wpadliby na improwizowany mityng.

– Dla mnie super. A teraz zajmij się tym, czym musisz się zająć. Zadzwoń

do ciotki Dorothy, jeśli zateśknę za towarzystwem. Poza tym obecny tu Humphrey będzie mnie odwiedzać. Mam rację?

– Zgadza się.

Lou pochylił się między rurkami kroplówek i uściskał przyjaciela.

– Tak mi przykro, stary – szepnął.

– Bzdura. Idź i rób, co trzeba.

Nie tak dawno niepokonany bokser, otoczony przez linki, bloczki, metalowe elementy wyciągu, poduszki i kroplówki, nagle wydał się bardzo mały.

Lou przystanął przy drzwiach.

– Mam numer bezpośrednio do ciebie – powiedział. – Odezwę się przed wyjazdem, a później jutro po wylądowaniu.

Uniósł kciuki. Chrup odwzajemnił gest, po czym wskazał drzwi, każąc mu wyjść bez poczucia winy.

Lou z Humphreym jadącym tuż za nim ruszył w głąb korytarza. Stwierdził, że nie może się uwolnić od poczucia odpowiedzialności. Po prostu taki był, odkąd tylko pamiętał. Przystanął przy dyżurce pielęgniarek, przedstawił się i roztoczył taki urok, że siostry obiecały zapewnić Chrupowi jak najlepszą opiekę. Humphrey podjechał do niego, gdy szedł już do wind.

– Naprawdę się o siebie troszczycie – powtórzył. – To widać.

Lou musiał się zatrzymać, żeby skupić uwagę na jego ustach i wypowiedzianych przez niego słowach.

– Masz rację, przyjacielu.

– Mogę spytać, co zamierzasz zrobić z ubezpieczeniem?

Lou próbował zamaskować zmartwienie. Przypuszczał, że nie za bardzo mu to wyszło.

– Mamy przyjaciół – odparł. – Wielu. Zrobimy, co będzie trzeba.

Tak jak wcześniej, Humphrey wyglądał na trochę osamotnionego.

– Domyślałem się, że to powiesz.

Bez słowa pojechał w kierunku windy.

Lou ruszył za nim.

ROZDZIAŁ 18

Silna armia kraju za każdym razem zostanie pokonana przez jego słabą gospodarkę.

Lancaster R. Hill, wykład na Uniwersytecie Princeton, 12 grudnia 1938

Trzy dni spędzone w szpitalu dłużyły się jak miesiące. Tim Vaill myślał wyłącznie o tym, żeby wyjść, wrócić do pracy i zacząć polowanie. Teraz, pięć dni po wypisaniu ze szpitala, w końcu znalazł się tam, gdzie chciał być – w mieście Franklin w stanie Tennessee.

Siedział w służbowym chevrolecie impali, zaparkowanym naprzeciwko szalowanego niebieskimi deskami domu w stylu kolonialnym, gdzie mieszkał człowiek, który zamordował jego żonę. W wewnętrznej kieszeni marynarki, w białej kopercie, miał zdjęcia. Były one bronią, po którą sięgnie tylko w ostateczności – ale wiedział, że zrobi to bez wahania.

Obok siedział jego nowy partner, Charles McCall, przystojny Afroamerykanin pod trzydziestkę. Zrobił na Vaillu dobre wrażenie bardziej dlatego, że znał życie ulicy, niż z powodu dyplomu Uniwersytetu Pensylwanii, należącego do prestiżowej Ivy League. Do FBI wstępowało wielu bystrych ludzi. Większość była idealistami i zgłaszała się do pracy z głębokim przekonaniem, że przygoda wynagrodzi im rezygnację z zarobków, jakie gwarantował sektor prywatny.

Młodzi rekruci mylili się. Biuro było synonimem papierkowej roboty, czekania i zgodnie z nazwą – biurokracji.

– Jak długo będziemy tu siedzieć i czekać? – zapytał McCall.

Były to pierwsze słowa, jakie padły od dwudziestu minut. Vaill wystosował prośbę o samodzielne wykonanie zadania, ale jego szefowa Beth Snyder natychmiast ją odrzuciła. Czuł się paskudnie, że tak ozięble traktował McCalla, ale wciąż był pogrążony w głębokiej rozpaczy i nowy parter tylko mu przypominał o partnerce, która już nigdy nie wróci.

Ponadto nękały go bóle głowy – wybuchy osłepiającego, dekoncentrującego bólu, głównie nad prawym uchem, skąd wyjęto kulę, i za gałkami ocznymi. Nie dało się ich przewidzieć i nic nie mogło ich złagodzić. Początkowo ataki trwały trzy, może cztery minuty i zdarzały się dwa, trzy razy dziennie, ale ich czas stopniowo się wydłużał, a ból nasilał. Wczorajszy trwał prawie pół godziny. Na szczęście Vaill był wtedy sam w szpitalnym pokoju.

Tylenol i motrin już mu nie pomagały, a nie śmiał wspomnieć o atakach szefowej ani lekarzowi. Gdyby to zrobił, w okamgnieniu zostałby odsunięty od pracy w terenie i najprawdopodobniej wróciłby do szpitala. To tylko migrena,

przekonywał sam siebie. Cierpiała na to połowa znanych mu osób, wiele z nich codziennie. Obiecał sobie, że dopóki Alexander Burke nie trafi za kratki albo na rożen w ogniu piekielnym, dołoży wszelkich starań, żeby przewycięzać ataki i panować nad irytacją, jaką wywoływał u niego McCall.

Vaill przyglądał się domowi przez lornetkę, gdy do salonu weszła Lola Burke. Była szczupłą, ładną kobietą o długich do ramion, jasnych włosach. Miała na sobie niebieski sweterek i obcisłe džinsy, a jej twarz była świeża, niewinna, niemal cherubinkowa. Trudno byłoby ją wskazać podczas konfrontacji jako żonę człowieka najbardziej poszukiwanego przez FBI w Ameryce. Vaill patrzył, jak kobieta wychodzi z salonu i wraca. Był w Quantico asem na zajęciach z charakterystyki psychologicznej i analizy zachowania i teraz wyczuwał, że jest zdenerwowana – może na coś czeka.

– Myślę, że droga wolna, Chuck – powiedział. – Chodźmy na małą pogawędkę.

Vaill nawet nie marzył, że zacznie pracować w terenie tak szybko po wypisaniu ze szpitala. Wbrew jego życzeniom Beth Snyder próbowała posadzić go za biurkiem, z zadaniem monitorowania postępów pracy nad Mikroblem Sądnego Dnia. Miał pracować z licznym zespołem usiłującym, jak dotąd bezskutecznie, namierzyć kogokolwiek ze Stowarzyszenia Stu Bliźnich. Nie chciał się na to zgodzić, więc wreszcie, wiedząc o zgodzie lekarza i o trawiącej Vailla żądzy zemsty za Marię, Snyder ustąpiła, ale dopiero po uzyskaniu od niego obietnicy, że będzie się zachowywał rozsądnie.

Na początku kryzysu spowodowanego przez Mikroba Sądnego Dnia opracowano ściśle tajny system łączności obejmujący wszystkie szpitale. Jego celem było rejestrowanie każdego udokumentowanego przypadku zakażenia. FBI powiadomiło zarządy szpitali, że wyciek informacji nie będzie bezkarny i może skutkować oskarżeniami o utrudnianie śledztwa, a nawet wpływać na przyznanie certyfikatu Komisji Wspólnej do spraw Akredytacji Opieki Zdrowotnej, ważnego w federalnym dofinansowywaniu placówek.

Blokada informacji była konieczna, żeby zapobiec panice, którą spowodowałoby powiadomienie społeczeństwa o drobnoustroju, a szczególnie o planach ugrupowania terrorystycznego zwanego Stowarzyszeniem Stu Bliźnich. Oczywiście dochodziło do przecieków, jednak media postanowiły zachować się odpowiedzialnie i donosiły tylko o nowym szczepie *Streptococcus pyogenes*.

Na razie zasięg oddziaływania i śmiertelności potencjał Mikroba Sądnego Dnia pozostawał dobrze strzeżoną tajemnicą. Ale zbliżał się ostateczny termin i w końcu Stu Bliźnich ujawni prawdę. Kiedy wieść się rozejdzie, a liczba amputacji i śmiertelność zacznie gwałtownie wzrastać, zaufanie do szpitali i opieki zdrowotnej dramatycznie spadnie.

Vaill dokładnie przestudiował akta Alexandra Burke'a i wyczuwał, że żona

tego człowieka wie więcej, niż powiedziała agentom, którzy ją przesłuchiwali. Postanowił sam się z nią zmierzyć.

– Już ją przesłuchiwało trzech agentów bardziej doświadczonych niż ty – zaznaczyła Snyder. – Ona nic nie wie. Widocznie ma z Alexandrem na pieńku i od miesięcy nie dostała od niego żadnej wiadomości. Dlaczego ty miałbyś się czegoś dowiedzieć?

– Ponieważ nie rozmawiała z człowiekiem, którego żonę zamordował jej mąż – odparł Vaill.

Następnego dnia miał bilet na samolot i nowego partnera.

Przeszli po chodniku wyłożonym kamiennymi płytkami, który biegł między starannie przyciętymi krzewami. Vaill pierwszy wszedł po trzech stopniach i stanął przed frontowymi drzwiami. Musnął ręką pierś, sprawdzając, czy koperta jest na swoim miejscu w wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym nacisnął dzwonek. Lola Burke spojrzała na nich przez boczne okno. Jej mina z zaciekawionej zamieniła się w posępną w czasie, jaki zajęło jej otworzenie drzwi. Nie zwracała sobie głowy dopytywaniem, kim są przybysze w garniturach ani czego chcą. Z akt wynikało, że jeszcze zanim jej mąż został agentem, a potem zbiegiem, wiedziała, jak wyglądają federalni i że ich wizyta rzadko zapowiada coś innego niż kłopoty.

– Widzę, że nie brakuje wam ludzi – powiedziała. – Napływacie jak fale oceanu. Nie odezwał się, jeśli o to przyszliście zapytać.

Vaill i McCall dla formalności pokazali odznaki. Lola westchnęła i skrzywiła się, jakby byli najmniej lubianymi przez nią jarzynami. Stała z ręką opartą o framugę drzwi, blokując wejście niczym szlaban.

– Pani Burke, agent specjalny Tim Vaill, a to mój partner, agent specjalny Charles McCall. Wiem, że nie jesteśmy pierwszymi ludźmi z FBI, którzy z panią rozmawiają, ale znalezienie pani męża jest bardzo ważne. Zastanawialiśmy się, czy możemy spróbować jeszcze raz.

Lola przewróciła oczami i opuściła rękę.

Już przez to wszystko przechodziłam i nie mam nic więcej do powiedzenia, ale proszę, skoro naprawdę musicie.

Weszli za nią do jasnej, przestronnej kuchni. Światło wpadało przez wychodzące na trawnik okna ze szprosami. Vaill szybko się rozejrzał i stwierdził, że dom jest przyzwoicie urządzone – wszędzie ładne meble, w kuchni granitowe blaty i nowy sprzęt AGD, ale nic, czego nie można by kupić za pensję agenta. Jeśli Burke zabił dla pieniędzy, z pewnością nie trafiły tutaj.

– Chcecie się czegoś napić? Wody?

– Nie, dziękujemy – odparł Vaill za siebie i McCalla.

Gdyby była tu Maria, to ona odmówiłaby w swoim i jego imieniu.

Lola wzruszyła ramionami.

– Jak chcecie.

Usiadła przy kuchennym stole plecami do okien, wyprostowała się i czekała. Vaill zajął miejsce tam, skąd miał dobry widok na jej twarz. Albo była mistrzynią makijażu, albo jej gładka, porcelanowa twarz rzeczywiście nie zdradzała napięcia, jakie widywał u innych ludzi, których najbliżsi przepadli bez śladu.

Myśli, że nie odszedł na zawsze.

– Zanim zaczniecie – powiedziała z jadem w głosie – zaoszczędzę wam nieco zachodu. Nie widziałam go. Nie dostałam od niego żadnych wiadomości. Nie mam pojęcia, gdzie jest ani dokąd się udał. Nie wiem, dlaczego zrobił to, co rzekomo zrobił. Wiem tylko tyle, że zniknął i że przyszliście znowu mnie dręczyć, jakbym już nie miała wystarczająco przesranego życia, ponieważ uznaliście, że mój mąż zamordował dwoje waszych. Czy to podsumowanie wystarczy?

Tuż przed wyjazdem Vaill spędził kilka godzin z najtęższymi umysłami BAU, jednostki analizy behawioralnej, przechodząc przyśpieszony kurs dotyczący niektórych z ich metod. W krótkiej, pełnej goryczy wypowiedzi Loli Burke dało się zaobserwować cztery oczywiste oznaki kłamstwa. Poruszała rękami, udając zdenerwowanie. Nie chciała współpracować, zaprzeczała i wciąż się skarżyła, nie mówiąc niczego, co pomogłoby w poszukiwaniach. Co więcej, Vaill uznał, że lepszy kontakt wzrokowy miałby ze ślepcem, ale kiedy w końcu na niego spojrzała, jej źrenice były wielkości pięciocentówek, co prawdopodobnie było efektem działania feromonu, który częściej występuje u kłamców niż u osób prawdomównych.

Dzięki, BAU.

Nakłonienie jej do wyjawienia prawdy będzie wymagało cierpliwości i finezji.

– Przepraszamy, pani Burke, że potęgujemy napięcie w czasie, który z pewnością jest już dla pani trudny – powiedział McCall. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko, może powie nam pani o ostatniej rozmowie z mężem?

Dobrze, pomyślał Vaill. Niech McCall dyplomatycznie uspokoi sytuację. Mądrze robi, nie dążąc do konfrontacji – dobry glina, zły glina.

Lola ciężko westchnęła. Rozpoczęła długą, beznamiętną tyradę opisującą dzień, w którym mąż ją zostawił. Powiedziała, co tego ranka jadł na śniadanie, jak ją pocałował na do widzenia i zapowiedział, że niebawem zadzwoni – jak zawsze, kiedy wychodził do pracy. Z uporem twierdziła, że nie zrobił nic niezwykłego, absolutnie nic, co by wskazywało, że zacznie działać na własną rękę.

McCall sumiennie robił notatki, mimo że te same informacje Lola przekazała agentom, którzy rozmawiali z nią wcześniej.

– I nic więcej? – zapytał. – Żadnego wyjaśnienia poczynań pani męża? I nie ma pani pojęcia, gdzie może przebywać?

Lola obrzuciła go złym spojrzeniem z ukosa.

– Nie mam żadnych informacji, agencie McCall. Chciałabym natomiast

wiedzieć, co wy wiecie.

Bingo.

Vaill czekał na takie otwarcie.

– Chce pani poznać nasze teorie? – spytał.

– Tak. Wierzę, że nieprzebrane rzesze agentów FBI zdołały coś wymyślić.

Więcej gniewu. Więcej sceptycyzmu. Więcej kłamstw.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu całego biura – zaczął, nie spuszczać z niej oczu – ale powiem pani, co ja myślę. Są trzy możliwe powody, dla których zdradza się swój kraj: pieniądze, seks albo ideologia. Jest pani urodziwą kobietą, Lolu. Pozwolę sobie zauważyć, że mężczyzna, który w ten sposób by panią zdradził, byłby głupcem. Ale to nic nie znaczy. Jak się mówi, miłość jest ślepa i może oślepić. Nie wygląda pani na kobietę, którą wzgardzono, i gdyby mąż odszedł do innej, gdyby dopuścił się zdrady małżeńskiej, miałyby pani przynajmniej jakieś podejrzenia. Wydaje się pani zła na nas za to wtargnięcie, lecz nie jest pani zła na Alexandra. Więc temat seksu możemy na razie odłożyć na bok.

– Jak pan chce.

– A pieniądze? Czy zapłacono mu za zamordowane dwojga agentów? Jeśli tak, musiałyby to być kupa forsy, co sprawia, że znowu myślę o seksie... albo o narkotykach. Kiedy jednak rozglądam się po tym domu i biorę pod uwagę to, co wiem o Alexandrze, nie widzę człowieka z obsesją na punkcie pieniędzy czy narkotyków. To tylko moje zdanie, być może się mylę.

– Nie, nie myli się pan – oświadczyła Lola stanowczo.

– W takim razie pozostaje ideologia, wiara tak silna, tak żarliwa, że może pchnąć człowieka do popełnienia niewyobrażalnego czynu. Musi to być coś, co jest głęboko zakorzenione, może potężna, błędnie pojmowana koncepcja sprawiedliwości. Może pani podziela tę wiarę. Może dlatego jest pani na nas zła, zamiast być oburzona i zszokowana czynami męża. Czy pani mąż, Lolu, zbłądził? Czy dlatego go pani straciła?

– Zbłądził to pańskie słowo – zaznaczyła Lola, odwracając wzrok.

– No cóż, ja też kogoś straciłem. Pani Burke, nie rozmawiam z panią jako agent. Nie przyszedłem tutaj, żeby szkalować pani męża. Jestem tu z powodu tej blizny.

Odgarnął włosy, żeby pokazać ślad zostawiony przez kulę, która przebiła czaszkę i weszła do mózgu.

– Dlaczego mi pan to pokazuje? – zapytała, szybko przenosząc spojrzenie na coś innego.

– Ponieważ to w to miejsce postrzelił mnie pani mąż – odparł. – Stałem obok żony, mojej partnerki, pięknej kobiety o imieniu Maria, kiedy wymierzył do niej z bliskiej odległości. Trafił tutaj, tuż nad garbem nosa. Potem strzelił do mnie, dwa razy.

– Proszę, niech pan przestanie.

– Nie widziałem zła w oczach Alexandra. Widziałem fanatyzm, żarliwą wiarę. I w pani nie dostrzegam zła, pani Burke. Widzę kobietę, która kocha męża tak bardzo, jak ja kochałem żonę. I myślę, że coś pani obiecał. Dał słowo, że po panią wróci, kiedy będzie mógł, kiedy to będzie bezpieczne. Ale ja pani powiem, że nigdy nie wróci. Nie wróci, bo prędzej czy później go dopadniemy i ponieważ wiara, która doprowadziła go do zabicia mojej żony, jest silniejsza niż miłość do pani. Osoba, którą kocha pani nade wszystko, już nigdy nie wróci, tak jak moja żona.

Tym razem drzenie ust Loli i łzy wzbierające w jej oczach wydawały się szczere.

– Chcę... chcę, żebyście wyszli – zażądała.

– Możemy zrobić to, co słuszne, pani Burke – podjął Vaill, ignorując jej słowa. – Możemy zrobić to, co słuszne, i nie odwracać się plecami. Proszę, pani Burke, nic pani nie grozi. Nie będzie pani miała kłopotów. Daję pani słowo. Ale proszę przestać go kryć. Niech pani powie wszystko, co może nam pomóc, a odejdziemy.

Lola zwiesiła głowę.

– Odejdźcie, proszę – powiedziała, tym razem już bezsilnie.

Vaill kuł żelazo, póki gorące.

– Niech pani zrobi to dla mojej żony.

Wyjął kopertę ze zdjęciami z miejsca przestępstwa i trzy z nich rozłożył na stole. Nosił je na sercu, które prawie pękało z bólu, ale czuł, że Lola Burke też zaraz pęknie. Miała przed sobą ciało, krew i kości pięknej kobiety. Ze świstem wciągnęła powietrze, patrząc na makabryczne zdjęcia. Nawet McCall wyglądał na poruszonego. Vaill wpatrywał się w Lolę, częściowo dlatego, żeby powstrzymać się od spojrzenia na fotografie.

Łza wezbrała w kąciku prawego oka Loli i spłynęła po jej policzku. Kobieta odwróciła zdjęcia na drugą stronę.

Bez słowa wstała i wyszła z kuchni na korytarz. McCall sięgnął po broń, a Vaill uniósł rękę, żeby go powstrzymać.

– Nie, Chuck – powiedział. – Nic nam nie grozi.

Chwilę później Lola wróciła z foliową torebką. Podała ją Vaillowi.

– To DVD, które mąż przysłał mi po zniknięciu. Wtedy ostatni raz dostałam od niego wiadomość. Jest tam wszystko, co wiem. Przykro mi z powodu pańskiej żony. Ogromnie mi przykro.

Odprowadziła agentów do drzwi.

– Musimy to przekazać naszym ludziom zajmującym się dowodami. Zna pani procedurę. Prawdopodobnie będzie więcej pytań, kiedy przejrzymy materiał – uprzedził ją McCall.

– Będę tutaj – zapewniła ich Lola. – Na razie nigdzie się nie wybieram.
– Nie muszę mówić, że gdyby mąż się odezwał, proszę mnie powiadomić –
zaznaczył Vaill, podając jej wizytówkę.

– Tego nie mogę obiecać.

– Jak pani sobie życzy.

Agenci przejechali prawie kilometr, zanim McCall się odezwał.

– To było mistrzostwo, człowieku. Prawdziwe mistrzostwo. Wiem, że pokazanie zdjęć było dla ciebie trudne, ale to zrobiłeś. I to we właściwej chwili. DVD może być przełomem, którego potrzebujemy.

McCall wyjął telefon i wybrał numer biura terenowego. Prowadził, rozmawiając przez komórkę.

Vaill siedział z głową odwróconą w stronę okna, z mocno zaciśniętymi powiekami. Oślepiający ból za gałkami ocznymi atakował z nieubłaganą siłą.

ROZDZIAŁ 19

Zachowanie tajemnicy jest równoznaczne z powodzeniem, podczas gdy poznanie tożsamości Bliźniego oznacza odebranie mu fundamentalnej siły.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

– Stworzyłam arkusz kalkulacyjny i myślę, że na sprzedaży ciastek możemy zarobić tysiąc dolarów – powiedziała Emily.

Lou był w OOL-u, kiedy jego czternastoletnia córka zadzwoniła z najnowszymi wiadomościami o zbiórce pieniędzy dla Chrupa. Ku niezadowoleniu swojej matki Renee – i zachwytowi Lou – trenowała z nim od ponad ośmiu miesięcy i naprawdę miała do tego talent. Nic dziwnego, że absolutnie uwielbiała swojego trenera i pragnęła zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby pomóc mu zapłacić rosnącą górę rachunków i ocalić jego salę.

– To wspaniale, skarbie – powiedział Lou ściszym tonem, osłaniając mikrofon.

W biurze mającym mniej niż osiemdziesiąt metrów kwadratowych rozmowy rzadko były prywatne, bez względu na to, jak cicho je prowadzono. Drugi zastępca dyrektora, Wayne Oliver, siedział w sąsiednim boksie, a sekretarka Babs Peterbee prawie na wprost nich, więc trudno było nie znać spraw drugiej osoby.

Podczas rozmowy Lou mierzył wzrokiem gigantyczny stos papierów, które Babs przed chwilą rzuciła na jego zagracone biurko. Nie wydawała się ani trochę przejęta, że wyłożona wykładziną podłoga jego ciasnego boks służy już jako pomocnicza przestrzeń robocza. W ciągu niecałego tygodnia zwykła sterta dokumentów i papierkowej roboty urosła do zastraszających rozmiarów. Lou oderwał myśli od zaległej pracy, żeby skupić uwagę na rozmowie z Emily, co nie znaczyło wcale, że córka tego potrzebowała. Widział ją walczącą pod sztandarem takiej czy innej sprawy i wiedział, że potrafi być siłą nie do powstrzymania.

Przypomniał sobie, jak padł jej komputer i straciła pracę semestralną, którą skończyła poprzedniego dnia. Nie było łez. Nie było rzucania przedmiotami. Nie było ciskania gromów. Nie mówiła o przedłużeniu terminu. Zbesztła się, że nie zrobiła kopii, a potem przysięgła, że nigdy więcej nie powtórzy tego błędu. W końcu, po porcji ulubionych lodów z miętową czekoladą, zebrała książki i w czasie jednej maratońskiej nocy napisała całą pracę na jedenaście stron.

Dostała szóstkę z plusem.

W grze życia, rozwód czy nie, Lou stawiał na córkę.

Miała zaledwie cztery lata, kiedy Renee uznała, że uzależnienie męża od amfetaminy jest silniejsze niż ich więzi małżeńskie, i – co całkowicie zrozumiałe – postanowiła się od niego uwolnić. Przez parę lat sytuacja była trudna dla nich

wszystkich, ale z czasem złość ustąpiła zrozumieniu, elastyczności i umiejętności porozumiewania się. Emily prawie nie ucierpiała w tej sytuacji, ponieważ ojciec i matka nie chcieli pozwolić, żeby rozpad ich małżeństwa zaszkodził córce i osłabił jej poczucie własnej wartości. Obecnie produktem ubocznym tego zobowiązania była próba odbudowania przyjaźni i wzajemnego szacunku, zniszczonych przez lata samolubnej narkomanii.

Szkody psychiczne... fizyczne... duchowe – jak woda ciekąca z rury na strychu, alkoholizm i inne uzależnienia Lou wsączały się w jego życie i niszczyły tkankę we wszystkich trzech wymiarach. Odzyskał sens życia dzięki terapii i pracy i w ten sposób ustabilizował życie dziecka, które już zmieniało świat.

– Uważam, Em, że to, co robisz, jest wielkie – powiedział. – Masz moje pełne poparcie.

– Nie potrzebuję poparcia. Potrzebuję stu pięćdziesięciu pudełek ciasteczek czekoladowych.

– Hej, myślałem, że chcesz zebrać pieniądze, a nie je wydawać.

– Zbieramy. Szukam darczyńców.

– Darczyńców? Do kogo się zwrócisz? Do Betty Crocker?

Emily przez chwilę milczała.

– Prawdę mówiąc... – zaczęła.

– Czekał, żartowałem – wtrącił Lou. – Naprawdę zwróciłaś się o wsparcie do Betty Crocker?

– Do General Mills – odparła Emily. – I tak, skontaktowałam się działem public relations. Zestawiłam w PDF-ie wszystkie dobre uczynki Chrupa i dołączyłam pochwały od kilku dzieciaków, którym pomógł się wyrwać z ulicy.

– PD-co?

Emily westchnęła.

– PDF, tato. Przenośny format dokumentu.

– A, myślałem o innym PDF-ie. Słuchaj, naprawdę chcę pomóc, więc po prostu mi powiedz, co mogę zrobić.

– Zajrzyj na strony, które utworzyłam na GiveForward, Fundbunch i GoFundMe – poprosiła Emily. – I daj znać, co myślisz. Werbuję wolontariuszy przez moich znajomych z Facebooka.

– Czego potrzebujesz, żeby nadać bieg sprawie?

– Tylko pieniędzy od ciebie i mamy, i dziadka Dennisa, i babuni, i wujka Grahama, żeby dodać do pięciu setek od ludzi z General Mills.

– Załatwione – zapewnił Lou.

Nie wspomniał, że jutro po południu ma się spotkać ze swoim doradcą podatkowym, żeby pomógł mu wykombinować, które akcje funduszy wzajemnych może spieniężyć. Po wielu godzinach rozmów telefonicznych z lekarzami Chrupa w Atlancie i po własnych dociekaniach szacował, że rachunek za leczenie jego

sponsora wyniesie ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Ale ciasteczka to dobry początek.

– Linki przyślę ci e-mailem – powiedziała Emily. – Mogę zadzwonić za jakąś godzinę i wysłuchać twoich pomysłów?

Lou znowu zmierzył wzrokiem stos papierów, formularzy i sprawozdań uzupełniających, dotyczących monitorowanych przez niego lekarzy, z których każdy był w poważnych, potencjalnie zagrażających karierze kłopotach. Jakoś znajdzie czas, żeby się wyrobić i zrealizować weekendowe plany lotu do Atlanty. Jediną osobą, która ewentualnie mogłaby mu w tym przeszkodzić, była przebojowa prawniczka Sarah Cooper, ale ich nieformalny związek powoli stawał się coraz bardziej nieformalny.

– Oczywiście, cukiereczku – odparł. – Przyślij mi linki, a ja rzucę okiem. Razem, z pomocą mamy, zdołamy tego dokonać.

– Możesz się o to założyć, tato.

– Kocham cię, księżniczko.

– Ja ciebie też.

Akurat wtedy, gdy Lou kończył rozmowę, Walter Filstrup przemaszerował obok jego boksu – minął go bez jednego słowa czy choćby spojrzenia i wyszedł z biura. Napuszony, równie trudny do odczytania jak godzina na Big Benie, odnosił się do Lou oschle i z dużą rezerwą od czasu jego powrotu z Atlanty. Marjory nie leżała już na OIOM-ie i jej stan się polepszył, więc było jasne, że Filstrup wciąż jest wkurzony z powodu przegranych wyborów – wkurzony na człowieka, który zawinił.

ROZDZIAŁ 20

To, co zdobywa się bez konfliktu czy walki, rzadko jest warte zdobywania.
Lancaster R. Hill, korespondencja z Robinem Broadym, 1942

Trzy dni później Filstrup był równie ponury. Ani razu nie wspomniał o wyniku wyborów i nie okazał cienia zainteresowania stanem Chrupa.

Sielanka.

Lou kilka razy powtórzył szefowi to samo, co powiedział podczas rozmowy telefonicznej ze szpitala Arbor. Biegał w górach z przyjacielem. Chrup spadł z urwiska, doznał otwartego złamania kości udowej i mało brakowało, żeby się wykrwawił. Lou udzielił pierwszej pomocy i prawdopodobnie ocalił mu życie. Razem polecili śmigłowcem do szpitala, więc nie mógł przeczytać przemówienia. Sensowna kolejność zdarzeń i rozsądne wyjaśnienie.

Teraz dumiał nad wprowadzeniem w życie planu B – podzieleniem się z Filstrupem przeczuciem, które miał, że wybory i tak zostałyby przegrane, nawet gdyby odczytał przemówienie. W końcu postanowił jednak zrezygnować z tego pomysłu. Miał nadzieję, że niedługo szef o wszystkim zapomni i wróci do cierpiącego stanu permanentnego pochłonięcia samym sobą. Zawsze tak było.

Tym razem się pomylił.

Otworzył teczkę leżącą na górze nieprzebranej sterty, czekając na wiadomość od Emily w sprawie sprzedaży ciastek, kiedy zadzwonił telefon na biurku.

– Cześć, cukiereczku – powiedział Lou. – Czemu to trwało tak długo?

– Przepraszam. – Usłyszał nieznajomy męski głos. – Szukam doktora Louisa Welcome’a.

Lou odchrząknął, czując żar zakłopotania pełznący po karku.

– Proszę wybaczyć. Myślałem, że to moja córka – wyjaśnił. – Welcome, słucham. W czym mogę pomóc?

– Tu Carter, doktor Win Carter. Jestem dyrektorem szpitala ogólnego Arbor w Atlancie. Ma pan chwilę na rozmowę o panu Hanku Duncanie?

Lou złodowaciał. Ścisnął brzeg biurka, walcząc z atakiem paniki. Mimo trudności z oddychaniem, próbował zmusić łomoczące serce do zwolnienia tempa.

– Nic mi nie jest – wykrztusił. – To znaczy tak, mam czas. Czy z nim wszystko w porządku?

Wyglądało na to, że wszyscy w Arbor słyszeli o ich wyczynach w lesie, więc wcale nie był zaskoczony, że jego nazwisko dotarło do gabinetu dyrektora. Może, póki Chrup wciąż był w szpitalu, chcieli, żeby Lou wygłosił dla personelu medycznego wykład o udzielaniu pierwszej pomocy w trudnych warunkach –

i sprowadzić Chrupa, żeby przedstawił swoją wersję. A może chodziło o rosnący rachunek za leczenie. Te myśli szybko zostały zastąpione przez jedną, znacznie bardziej przerażającą. Był osobą upoważnioną do otrzymywania informacji o stanie zdrowia przyjaciela. Stało się coś złego, coś naprawdę złego. Ale przecież rozmawiali wczoraj i poza jakimiś drobnymi dolegliwościami w nodze wszystko było w porządku.

Hej, spokojnie! – krzyknął na siebie w duchu. Tylko, psiamać, spokojnie.

– Właśnie dlatego dzwonię – ciągnął Carter. – Przepraszam, że przeszkadzam w pracy, ale musi pan wiedzieć, że zaczęliśmy pracować nad opanowaniem zakażenia w nodze pańskiego przyjaciela.

Lou wyteżył słuch, próbując wychwycić w głosie rozmówcy jakąś wskazówkę dotyczącą powagi infekcji. Ignorował rodzącą się myśl, że samo to, że Carter do niego dzwoni, jest jedyną potrzebną mu wskazówką.

– Wczoraj napomknął, że coś mu dolega – wykrztusił.

Dlaczego dyrektor wielkiego szpitala dzwoni, żeby mi to powiedzieć?

– Chirurg ściągnął ropę z miejsca pod nacięciem. Na wszelki wypadek podczas operacji umieszczono tam dren, ale najwyraźniej nie wystarczył. Lekarze wezwali konsultanta od chorób zakaźnych i zmienili antybiotyki. Ale to, czego się dowiedzieliśmy, trochę nas zaniepokoiło. Zespół rozważa zabranie pana Duncana z powrotem na salę operacyjną.

– Zaniepokoiło?

W tym kontekście było to niezwykle słowo i Lou natychmiast je wyłapał.

– To skomplikowane – powiedział Carter.

Lęk ścisnął gardło Lou jak stryczek. Nie wątpił, że dyrektor szpitala coś ukrywa – coś poważnego.

– Skomplikowane? – zapytał, czując się jak idiota wciąż powtarzający słowa rozmówcy.

– Wygląda na to, że pan Duncan jest w naszym szpitalu drugim przypadkiem nadzwyczaj dziwnej infekcji bakteryjnej. Nie bardzo wiemy, jak ją zwalczyć.

Nadzwyczaj dziwnej...?

Lou w ostatniej chwili powstrzymał się od papugowania. Zassał powietrze i zacisnął zęby, jakby się spodziewał ciosu w brzuch.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie – odezwał się.

– Szczerze mówiąc, lepiej nie omawiać tego przez telefon – odparł Carter. – Dzwonię do pana osobiście, zamiast zlecić to doktorowi Standishowi, ponieważ te zarazki niepokoją cały szpital.

– Jak ma się Chrup w tej chwili? Mogę do niego zadzwonić? Planowałem lecieć do Atlanty w ten weekend.

– Powiem wprost, doktorze Welcome, proszę się zastanowić, czy nie przyjechać wcześniej. Właśnie wróciłem z wizyty u pacjenta. Zakażenie nie jest

jeszcze bardzo poważne, ale pański przyjaciel gorączkuje i jego stan ogólny wyraźnie się pogorszył. Kiedy pan tu będzie, może pan zajrzeć do mojego biura albo, jeszcze lepiej, udać się na szóste piętro budynku Barona i poprosić, żeby powiadomiono doktora Ivana Puchalsky'ego, konsultanta zajmującego się tym przypadkiem.

– Tak zrobię. Zrobię to jak najszybciej. Dziękuję, doktorze Carter. Dziękuję za telefon.

Lou zakończył rozmowę i poderwał się z krzesła jak rażony prądem. Wybiegł z boksu i mijał właśnie biurko Babs Peterbee, zmierzając do gabinetu Filstrupa, kiedy sekretarka uniosła rękę.

– Doktorze Welcome, ja bym tam nie wchodziła. Prosił, żebym nie łączyła żadnych rozmów.

Lou pochylił się i zobaczył, że na centralce nie palą się żadne światełka. Była to jedna z ulubionych sztuczek Filstrupa.

– Wybacz, Babs, miałem telefon ze szpitala, w którym leży Chrup. To nagły wypadek.

Dwa razy zapukał i otworzył drzwi, zanim Filstrup gderliwie wymamrotał zaproszenie.

– Przepraszam za wtargnięcie, szefie, ale przed chwilą odebrałem telefon ze szpitala w Atlancie. Zakażenie rany pooperacyjnej zatruwa organizm Chrupa. Jego stan zaczął się pogarszać.

Siedzący za nieskazitelnym biurkiem Filstrup, jak zwykle w idealnie wyprasowanej białej koszuli z czerwonym krawatem, opuścił okulary i przeszył go lodowatym spojrzeniem.

– Och – mruknął. – Przykro mi to słyszeć.

– Tak... W każdym razie poprosili, żebym przyjechał do Atlanty. Przyznam, że się martwię.

– Musisz się bardzo martwić, skoro chcesz się urwać z pracy – powiedział Filstrup, ani nieprzejęty, ani nawet niezainteresowany.

– Zdecydowanie. Jak wiesz, Chrup jest moim najlepszym przyjacielem. Dzięki niemu zmieniło się moje życie. Zabiorę ze sobą trochę papierkowej roboty. Oczywiście nic, co naruszyłoby czyjąkolwiek prywatność, ale zrobię wszystko, co trzeba.

– Nie musisz.

– Mam wiele do nadrobienia. Zdaję sobie sprawę z zaległości, ale nadrobię stracony czas. Z tego, co powiedział chirurg, Chrup mnie potrzebuje.

– Tak, jasne. Ale nie ma potrzeby, żebyś zabierał pracę.

– Słucham?

– Chyba rozumiesz. Nie ma takiej potrzeby, ponieważ już tu nie pracujesz.

– Walterze, co ty mówisz?

– Mówię, że jesteś zwolniony, doktorze Welcome. Proszę uprzątnąć swoje biurko. Nie chciałbym, żebyś się spóźnił na samolot do Atlanty.

ROZDZIAŁ 21

Umartwianie się nie leży w naszej naturze, dlatego większość z tych, którym rząd zamiast pracy proponuje zasiłki, chętnie je przyjmie.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

Kazimi nigdy nie widział niczego podobnego do Wielkiej Sali.

Wychowując się w Kohacie, w pakistańskiej prowincji Chajber Pasztunchwa, był przekonany, że wszystkie domy na świecie są zbudowane z brązowych glinianych cegieł. Wciąż miał wyryte w sercu i pamięci obrazy gęsto skupionych budynków. Gdy podrósł, zaczął uciekać od codziennych trudów w książce, co zaowocowało znakomitymi wynikami w nauce. W końcu w ramach wymiany studenckiej został przyjęty na uczelnię w Los Angeles, a stamtąd trafił na Uniwersytet Stanforda.

Kazimi kochał Amerykę... przynajmniej jej znaczną część.

Organicznie nie cierpiał za to przepychu posiadłości Red Cliff i jej właściciela żłowiącego whisky. Doug Bacon, z determinacją dążący do wyeliminowania programów pomocy biednym, i Stowarzyszenie Stu Bliźnich, ekstremistyczna organizacja, której był ucieleśnieniem, stanowiły dla niego przeciwieństwo wszystkiego, w co wierzył. Co więcej, porywacz posunął się do podjęcia bezczelnej próby wykorzystania religii, żeby go skaptować.

Kazimi większą część czasu spędzał samotnie, rozmyślając, jak się stąd wydostać. Jadł dobrze, ćwiczył, używał kwarcówki w łazience, żeby organizm wytwarzał witaminę D, i spał tyle, ile tylko mógł. Był zdecydowany odbudować siły. Okazja do ucieczki mogła się zdarzyć w każdej chwili. Kiedy nie medytował, modlił się do Allacha, używając dywanika modlitewnego i pięknego egzemplarza Koranu dostarczonego przez Bacona. Tylko wtedy nie zaprzętał sobie głowy myślami o ucieczce.

Po popołudniowej modlitwie i prośbie do Allacha o radę, Kazimi wezwał do swojego pokoju Harrisa.

– Chcę się spotkać z Baconem – powiedział.

Zamek Red Cliff był wielki, a kamerdyner powolny. Droga do Wielkiej Sali zajęła im dziesięć minut. Prowadziła głównie w dół, prostymi i kręconymi schodami. Na szczycie pierwszych schodów czekało na nich dwóch goryli Bacona. Po drodze Kazimi nie dostrzegł ani jednego okna, więc gdyby nawet nie eskortowali go strażnicy, ucieczka byłaby niemożliwa. Wilgotne kamienne korytarze, oświetlone lampami gazowymi, pachniały pleśnią i, co zaskakujące, morzem.

Morze... Gdzie to jest?

Stracił przytomność w chwili, kiedy Alexander Burke zrobił mu zastrzyk, i ocknął się dopiero w luksusowej celi. Na Allacha, gdzie ja jestem? Ile czasu zajęło przewiezienie mnie do tego miejsca? Był fatalistą i godził się ze wszystkim, co zsyłał mu los, ale jednak zdecydował, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wrócić do laboratorium. Codziennie wiele razy recytował hadis przypisywany imamowi Tirmidhiemu:

Jeśli będziesz pokładać ufność w Allachu, jak być powinno, On z pewnością zaspokoi twoje potrzeby, jak zaspokaja potrzeby ptaków. Rankiem wylatują z gniazd głodne, ale powracają syte.

Po dłuższym czasie strażnicy przeprowadzili go obok drzwi balkonowych, przez które Kazimi po raz pierwszy zobaczył świat zewnętrzny. Za szybą biegła wąska żwirowa ścieżka granicząca z jednej strony z trawnikiem, a tuż za nim, daleko w dole, rozpościerał się ocean. Zanim Kazimi zdążył o cokolwiek spytać, potężnie zbudowani mężczyźni kazali mu wejść przez łukowate drzwi do ogromnego pokoju o kamiennych ścianach. Naukowiec rozdziawił usta. Po prawej stronie znajdował się rząd wielkich okien, wysokich co najmniej na sześć metrów i łącznie mających może piętnaście metrów długości.

Choć już same okna były niewiarygodne z powodu swojej wielkości, Kazimiego oczarował roztaczający się za nimi widok. Z krawędzi urwiska mającego, lekko licząc, trzydzieści metrów wysokości patrzył na stalowoszary, pełen grzywaczy ocean. Ani śladu lądu. Instynkt mu podpowiadał, że to wschodnie wybrzeże, północna część. Urwisko było onieśmiałające. Tylko żwirowa ścieżka i wąski pas trawy oddzielały te spektakularne okna od wody. Każda próba ucieczki stąd skończyłaby się śmiertelnym upadkiem.

– Po rozmowie zabiorę pana na zewnątrz, żeby mógł pan zobaczyć fale rozbijające się o brzeg. Naprawdę cudowny widok.

Bacon stał za wielkim skórzanym fotelem, ubrany w świeżo wyprasowane szare spodnie, dwurzędową marynarkę, białą koszulę i jedwabną apaszkę w tureckie wzory. Prawą rękę zaciskał na lwiej główce laski, a w lewej trzymał pełną do połowy, nieodłączną kryształową szklankę.

– Północny Atlantyk? – spytał Kazimi.

– Dokładnie Maine. Cieszę się, że poprosił pan o spotkanie. Jak zaznaczyłem, liczy się czas, bo umierają ludzie.

– Nie dam się wciągnąć w tę pańską grę w poczucie winy. Ludzie umierają przez pana, nie przeze mnie.

Z powodu zachmurzonego nieba i kamiennych ścian w pokoju panował chłód, choć trochę łagodził go ogień buzujący w kamiennym kominku, dość dużym, żeby zaparkować w nim samochód. W salonie stały stoły o marmurowych blatach, a wokół nich kryte skórą fotele i kanapy. Podłogę pokrywały cudowne

wschodnie kobierce.

Zamek w Maine.

Bacon wskazał dwa fotele stojące pod oknami. Widok zapierający dech w piersiach, podobnie jak przepych tego miejsca, tylko powiększył dyskomfort Kazimiego. W pobliżu musiała być winda albo kuchnia, bo po kilku minutach pojawił się Harris z wózkiem zastawionym półmiskami. Spod pokryw dolatywał wyborny aromat.

– Kozina duszona w curry po indyjsku, a może woli pan skosztować nihari z kurczaka? – zapytał Bacon.

Kazimi spojrzał na niego gniewnie.

– Apetyt odzyskam razem z wolnością – powiedział. – Dopóki to nie nastąpi, wolę jadać sam.

Bacon z zadumą pociągnął łyczek whisky.

– Pański wybór.

Skinął na kamerdynera. Harris uklonił się, obrócił wózek i wyprowadził go z pokoju. Kazimi przeniósł spojrzenie na hipnotyzujący widok.

– Mój dom – oznajmił Bacon.

– Tak założyłem.

– Red Cliff to posiadłość o powierzchni sześciu hektarów, leżąca w odludnym miejscu na wybrzeżu Maine. Zamek został zbudowany w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym przez ekscentrycznego inżyniera, niejakiego Gerhardta, który zdobył ponad trzysta patentów, sporo całkiem lukratywnych. Gerhardt dał upust swojemu zamiłowaniu do zamków, sprowadzając jeden z Niemiec. Rekonstrukcja, kamień po kamieniu, trwała trzy lata. Gerhardt dożył ponad stu lat. U schyłku życia, kiedy dowiedział się o Stowarzyszeniu Stu Bliźnich, zapisał nam zamek w testamencie, wraz z pieniędzmi pozwalającymi na utrzymanie go w cudownym stanie. Jako obecny szef naszego stowarzyszenia mam prawo tu mieszkać i korzystam z tego przywileju z wielką przyjemnością. Był pan kiedyś w Maine, Ahmedzie? A może woli pan, żebym używał imienia nadanego panu w chwili urodzenia, Nazarze?

Kazimi się odwrócił. Na ogół pakistańskim chłopcom dawano na imię Muhammad, lecz używano zwykle drugiego albo nawet trzeciego imienia otrzymywanego po urodzeniu. Przywołanie imienia Nazar świadczyło o dogłębnym badaniach i obszernej wiedzy. Bacon popisywał się erudycją i jednocześnie dawał do zrozumienia, że Stu Bliźnich dysponuje imponującym zapleczem wywiadowczym.

– Tak, doktorze, dobrze wiemy, kim pan jest – kontynuował. – Wiemy też, skąd pan pochodzi. Wiemy, kim są pańscy krewni i gdzie mieszkają, a także znamy nazwiska pańskich byłych asystentów w Stanfordzie. Wiemy o panu dosłownie wszystko, co trzeba wiedzieć, z wyjątkiem jednej bardzo ważnej rzeczy.

Kazimi, wrząc ze złości, spiorunował go wzrokiem.

– Przypuszczam, że z tego właśnie powodu zostałem waszym zakładnikiem. Czego ode mnie chcecie? Co zamierzacie ze mną zrobić?

Bacon odchylił się w fotelu, przeszywając swojego jeńca byстрыm spojrzeniem.

Kazimi pomyślał, że ten człowiek jest psychologicznym wampirem, zawsze czyhającym na każdy niuans, który można wykorzystać – słowo, intonację czy nawet jakiś subtelny element mowy ciała. Wbrew sobie czuł się w jego obecności nagi i bezbronny.

– Mówiąc wprost – powiedział Bacon – chcemy, żeby zakończył pan pracę nad antybiotykiem zwalczającym szczep Janus. Taką nazwę nadaliśmy bakteriom, które wyhodowaliśmy.

Nosowe tony i wiejski akcent Bacona brzmiały w uszach Kazimiego wyraźniej niż poprzednio. Może whisky ujawniała to, że rzekomy dżentelmen z Południa w rzeczywistości wcale się nie urodził w zamożnej rodzinie, tylko jest kimś, kto zdobył bogactwo bez wyrzekania się swoich korzeni.

Kazimi zacisnął zęby. Sytuacja była dramatyczna. Jeśli Bacon wygra, mnóstwo ludzi żyjących w biedzie zostanie zignorowanych i pozbawionych praw obywatelskich, a reszta innych straci dostęp do opieki szpitalnej, choć ich przypadłości można będzie łatwo wyleczyć. Jeśli Bacon przegra, niezliczeni ludzie umrą z powodu infekcji równie strasznej jak najgorsza zaraza.

– Janus – zaczął Kazimi – bóg przeciwieństw o dwóch obliczach. Gram-dodatnie... Gram-ujemne. Trafny wybór.

– Nie jestem zaskoczony, że tak szybko powiązał pan fakty. Nielicznym się to jednak udało. Rzeczywiście jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem.

– Może nie aż tak bardzo, panie Bacon. Wciąż nie mogę się domyślić, dlaczego mnie pan porwał, żebym kontynuował pracę, zamiast mnie zabić, żeby ją przerwać... – Rozwiązanie zagadki zajęło mu zaledwie kilka sekund. Kazimi parsknął sardonycznym śmiechem. – Wasz zarazek okazał się skuteczniejszy niż wy. Jak Frankenstein, stworzyliście potwora i teraz nie wiecie, jak go powstrzymać. Wasi naukowcy powinni być mądrzejsi, szanowny panie. Powinni wiedzieć, że prędzej czy później właśnie tak się stanie. Teraz grozi wam utrata przewagi.

Bacon spokojnie pociągnął łyk whisky. Na jego twarzy nie było widać ani przebiegłości, ani wesołości.

– Stworzyliśmy nasz młot w jednym celu – rzekł w końcu – i ten cel osiągamy. Jednakże, żeby nasz plan zakończył się całkowitym powodzeniem, rząd nie może mieć cienia wątpliwości, że w pełni panujemy nad szczepem Janus, że aktywujemy i dezaktywujemy go wedle naszej woli. Ale, jak słusznie pan podejrzewa, rozprzestrzenianie się infekcji odbiegło od naszego ścisłego modelu

statystycznego. Doszło do anomalii, jeśli pan woli. Wygląda na to, że bakterie zmutowały, stając się potężniejsze, niż zamierzaliśmy. Infekcja pojawia się u ludzi, których nie zaraziliśmy. Opracowane przez naszych naukowców antybiotyki, które przez kilka lat idealnie się sprawdzały i które zamierzamy panu udostępnić, już nie są skuteczne.

– Wasi naukowcy muszą być szaleni, skoro myśleli, że będą w stanie panować nad tym przez dłuższy czas. Przecież znają historię antybiotyków.

– Mamy do dyspozycji środki, które przekraczają pańskie najśmielsze wyobrażenia. W taki czy inny sposób poradzimy sobie z tym problemem, z pańską pomocą czy bez. Jesteśmy tutaj, żeby wprowadzić zmiany, wielkie zmiany. Mamy ten cel w statucie od czasu powstania naszego stowarzyszenia.

– Tak, pokręcony statut Stu Bliźnich – skomentował cierpko Kazimi.

– Jestem pewien, że pańscy pracodawcy przedstawili wypaczony obraz naszej misji i metod – powiedział Bacon z sarkazmem.

– Wasz człowiek, Burke, dał mi wystarczającą lekcję, innej nie potrzebuję. Jestem przekonany, że rząd wiernie was sportretował, panie Bacon, podobnie jak zamachowca z Oklahoma City i Unabombera, i przywódcę sekty z Waco, i wszystkich innych obłąkanych zabójców, którzy kierują się waszymi zasadami, czy są członkami tego wspaniałego stowarzyszenia, czy też nie.

– Niech mi pan powie, doktorze Kazimi, czy kiedykolwiek czytał pan Stu Bliźnich?

– Bardzo dobrze znam manifest Lancastera Hilla – odparł Kazimi, zaskoczony pasją w swoim głosie. Panuj nad emocjami, przykazał sobie w duchu. Twoja wolność zależy od jasności myślenia. Po chwili się opanował i dodał: – Opublikowany przez Sawyer River Books w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym i natychmiast potępiony jako wywrotowy. Hill, kongresmen z Wirginii, zrezygnował z urzędu niedługo po publikacji. Postanowił podważyć program odrodzenia narodowego zainicjowany przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta i uczynił to swoją misją. Ale ideami Stu Bliźnich społeczeństwo szybko przestało się interesować, tak jak zapomniano o tym szaleńcu Hillu.

– Nie zapomniano – poprawił Bacon. – Ukryte na widoku. I jak pan dobrze wie, Hill odniósł niemały sukces w swoich dążeniach. Potajemnie stworzył stowarzyszenie patriotów. Tak jak przepowiedział, w skład organizacji wchodzi ludzie z bardzo różnych środowisk, ludzie, którzy na pozór niczym się nie wyróżniają, ale często mają ogromne wpływy w jednej z sześciu najważniejszych sfer.

– Wojsko, nauka, policja, finanse, łączność i wywiad – wyrecytował Kazimi szyderczym tonem.

Teraz była jego kolej, żeby się popisać. Bacon go zignorował.

– Nasza wizja Ameryki stanowi najczystsze odbicie Konstytucji, do której

przestrzegania wszyscy jesteśmy zobowiązani, nawet imigranci tacy jak pan.

Sposób, w jaki Bacon wysyczał słowo „imigranci”, obnażył jego głęboko zakorzeniony rasizm. Kazimi usłyszał w jego głosie ksenofobiczny strach graniczący z paranoją. Niechęć, jaką żywił do tego człowieka i jego sprawy, zbliżyła się do nienawiści.

– Naprawdę nie muszę tego słuchać – powiedział.

Bacon kontynuował bez chwili przerwy:

– Nasze dokonania są bardziej imponujące niż osiągnięcia jakiegokolwiek innej organizacji dążącej do przeprowadzenia zmian społecznych. Zablokowaliśmy nominacje z ramienia Kongresu i zmusiliśmy niektórych polityków do rezygnacji. Lista ustaw, które weszły w życie dzięki naszym wpływom, byłaby marzeniem lobbysty, podobnie jak lista tych utraconych. Zaczynaliśmy od stu i nasze stowarzyszenie zawsze liczy dokładnie tylu członków, ponieważ, jak przewidział Lancaster Hill, to się świetnie sprawdza.

– Jeden człowiek może marzyć, garstka ludzi planować, tysiąc uderzyć, ale tylko stu może zmienić oblicze świata – wygłosił śpiewnie Kazimi.

– Rzeczywiście zna pan dzieło Lancastera Hilla. Jestem pod wrażeniem.

– Ja nie. Rodzice wychowali mnie w taki sposób, że do ekstremistów, szaleńców i morderców czuję tylko obrzydzenie.

Twarz Bacona pociemniała, jakby dostroiła się kolorystycznie do wału burzowych chmur gromadzących się na wschodzie.

– Pomożesz nam, Ahmedzie, Nazarze, jakkolwiek chcesz być nazywany. Dopilnujesz, żebyśmy odzyskali kontrolę antybakteryjną nad szczepem Janus.

– Żebyście mogli w dalszym ciągu używać go jako karty przetargowej?

– To, co zrobimy z antybiotykiem, to nie pańska sprawa. Pan powinien mieć na względzie ocalenie niezliczonych istnień. – Bacon pociągnął kolejny łyk szkockiej. – Oto nasza propozycja, doktorze. Jesteśmy gotowi zapewnić panu laboratorium i cały sprzęt potrzebny do zakończenia badań. W dodatku sprowadzimy odkrywcę szczepu Janus, żebyście mogli współpracować. W zamian chcemy znać nazwiska wszystkich mikrobiologów, z którymi pan pracował, i wiedzieć, jaki wkład mieli w pańskie badania. Chyba się pan zgodzi, że to prosta wymiana i taka, która daje nam największe szanse na szybkie odniesienie sukcesu.

– A osobiście co zyskam? – zapytał Kazimi.

Uśmiech Bacona przywiódł mu na myśl rekina.

– Swoje życie – odparł Bacon. – Dodane do żywotów tych już zarażonych bakterią, którą prasa nazywa Mikroblem Sądnego Dnia. Aha, poza tym ocali pan życie każdej osoby, która jest panu droga. Jeśli nie przystanie pan na nasze propozycje, będą umierać, ale pan zostanie oszczędzony, żeby na to patrzeć. Obiecuję.

ROZDZIAŁ 22

W nadchodzących latach obywatele z konsternacją będą się zastanawiać, dlaczego żywna Ameryka stała się ugorem, podczas gdy sami wyssali z gleby wszystkie substancje odżywcze.

Lancaster R. Hill, wspomnienia (nieopublikowane), 1937–1941

Ostatnia godzina lotu była dla Lou niemal tak emocjonująca jak powrót na miejsce przestępstwa. Samolot zbliżający się do międzynarodowego lotniska Hartsfielda-Jacksona prawdopodobnie podchodził do lądowania wprost nad lasem Chattahoochee – bezpośrednio nad pensjonatem... i szlakiem... i urwiskiem; bezpośrednio nad chatą Floyda i Rebekki Weemsów i ich polem. Wspomnienia były równie niezatarte, jak bolesne.

Lou oparł głowę o okno i zamknął oczy. Jego myśli krążyły wokół kolejnego wyrazistego i nieprzyjemnego wspomnienia wstrętnej zadowolonej miny Filstrupa, gdy zwalniał go z pracy w OOL-u. Osłupiały, zapytał dyrektora, jaką przyczynę zwolnienia poda zarządowi. Usłyszał klasyczną odpowiedź: zaniedbywanie obowiązków.

– Mój najlepszy przyjaciel mógł umrzeć – zaprotestował.

– Nie powinniście byli biegać – odparował Filstrup. – To z kolei świadczy o nieumiejętności dokonywania poprawnej oceny sytuacji.

– Walterze, to niedorzeczne. Zawsze biegamy. To był tylko pechowy wypadek.

– Nie miałeś planu awaryjnego, Welcome. Niczego, w razie gdybyś nie mógł wypełnić wyznaczonego zadania, które w dodatku oprócz sfinansowanej przez biuro obecności na konferencji obejmowało odczytanie bardzo ważnego przemówienia. Twoje zaniedbanie przyniosło nam wstyd w całym kraju.

Przyniosło wstyd tobie, o to ci chodzi.

– Bardzo za to przepraszam, ale nie spodziewałem się, że polecę śmigłowcem ratunkowym do Atlanty. A jeśli chodzi o naszą reputację, każdy, z kim rozmawiałem po powrocie na konferencję, naprawdę każdy, doskonale rozumiał okoliczności. Nikt nie uważał, że wysłuchanie twojego przemówienia zmieniłoby wyniki wyborów. Ktoś powiedział, że z pewnością wygrasz w przyszłym roku. Wszyscy się martwili o Chrupa.

– Po pierwsze, nie powinno go tam być. Moim głównym obowiązkiem jest dbanie o organizację, a według mojej profesjonalnej opinii swoimi poczynaniami udowodniłeś, że brak ci dalekowzroczności. Teraz znowu nam szkodzisz, żądając wolnego, na które najzwyczajniej w świecie nie zasługujesz. Brak przezorności, brak perspektywy, brak lojalności, brak zdrowego rozsądku. Powiedz mi, kiedy

przestać.

– Walterze, jedyną miarą, według której powinienem być osądzany, jest umiejętność przywracania licencji zawieszonym przez izbę lekarską, i gdybyś przyjął to kryterium, musiałbyś przyznać, że jestem w tym najlepszy spośród wszystkich, których tu kiedykolwiek mieliście.

– Jestem twoim szefem, więc to ja decyduję, które kryterium jest najważniejsze.

– Jezu, Walter...

Filstrup zajmował się komputerem, podczas gdy Lou, wciąż osłupiały i zaczerwieniony, stał i tylko patrzył. Kiedy w końcu psychiatra uniósł głowę, miał triumfalną minę.

– Właśnie powiadomiłem panią Peterbee o twoim zwolnieniu – oznajmił. – Zajmie się przygotowaniem wypowiedzenia. Dziękuję za pracę, doktorze Welcome. Od tego momentu już nic od ciebie nie wymagamy. Jeśli potrzebujesz referencji, z przyjemnością je dostarczę.

– Tak, dzięki, mając je, na pewno poczuję się lepiej.

– Mam nadzieję, że nie bierzesz tego do siebie.

– Kiedy wymyślisz, jak inaczej mogę to przyjąć, daj mi znać.

– Zrozum, muszę robić to, co jest najlepsze dla OOL-u.

Lou słyszał intensywne brzęczenie w uszach. Rytmicznie zaciskał i rozluźniał ręce. Gdyby tak byli w ringu. A może uda, że są, i rozkwasi nos temu nadętemu dupkowi. Kochał swoją pracę i zawsze był dumny, że dobrze ją wykonuje. Poza tym oczywiście potrzebował pieniędzy. Teraz był skończony. Cała sytuacja stała się surrealistyczna.

Co najgorsze, człowiek, którego najbardziej potrzebował, leżał w szpitalu prawie tysiąc kilometrów stąd, na tyle chory, że wezwał go do niego sam dyrektor szpitala.

Użyj wyobraźni, żeby odgrywać sytuacje, w jakich możesz pić alkohol albo brać narkotyki. To narzędzie AA pomogło mu przejść przez ciężkie chwile pierwszych dni trzeźwienia. Teraz, oddychając powoli i głęboko, padł na krzesło za biurkiem i pozwolił myślom błądzić w zaułku, gdzie prawie jednaście lat temu często spotykał się ze swoim dostawcą. Facet był gnidą, ale jego towar w postaci pigułek albo proszku do wciągania nosem był absolutnie bezkonkurencyjny. Narkotyki – heroina albo amfetamina – uwalniały go od zmęczenia, rozczarowania i stresu... przynajmniej na jakiś czas. Zaszło mu w ustach. Wdychał powietrze przez nos, rzeczywiście czując smak kryształków.

Już tego nie robię – usłyszał samego siebie. Skończyłem.

Przestał wdychać powietrze i otworzył oczy. Obraz szybko spłóviał. Pomimo ogromnej urazy, pomimo lat poświęcania się tej pracy, pomimo myśli, że porzuca klientów – ludzi, którzy mogli nie rozumieć i myśleć o nim jak najgorzej –

Lou postanowił odejść z klasą, nie chcąc się zniżać do poziomu Filstrupa. Ci, którzy naprawdę się liczą, Emily, Renee i Chrup, zrozumieją. Ale tylko pod warunkiem, że pozostanie czysty.

– Doktorze Welcome, wszystko w porządku?

Babs Peterbee stała przy wejściu do boksu z zatroskaną twarzą. Łzy wzbierały w jej oczach.

Lou wrócił do terażniejszości.

– Nie jestem zadowolony, jeśli o to ci chodzi – powiedział. – Ale nic mi nie będzie, jeśli jednak o to ci chodzi. Będzie dobrze.

– A pański przyjaciel?

– Poczekamy, zobaczymy. Lekarze w Atlancie panują nad sytuacją, przynajmniej na razie.

– Doktorze Welcome, ogromnie mi przykro. Wiedziałam, że doktor Filstrup był zdenerwowany, bo nie odczytał pan jego przemówienia, ale nie miałam pojęcia, że zrobi coś takiego.

Lou czuł, że resztki strachu i niepokoju rozwiewają się jak mgła. Żadnych projekcji. Jedna z ulubionych myśli Chrupa przemknęła mu przez głowę.

W każdej sytuacji są tylko dwie możliwości. To, co chcesz, żeby się stało... i coś innego.

Nadszedł czas, żeby się dostosować do czegoś innego. A potem znów będą dwie nowe możliwości.

– Nie martw się – rzucił. – Odejdę jak John Wayne odjeżdżający w stronę zachodzącego słońca. Nie wpadnę w szal, nie będę zalewać się łzami, oszczędzę wszystkim długich pożegnań. W stronę zachodzącego słońca.

Peterbee pociągnęła nosem i użyła chusteczki higienicznej.

– To po prostu takie niesprawiedliwe – wymamrotała. – Będę walczyć, żeby pan wrócił do pracy.

Lou ruchem ręki odrzucił ten pomysł.

– Niczego takiego nie zrobisz, moja droga. Nic mi nie będzie. Pamiętaj, mam etat w szpitalu.

– Ale tutaj jest pan taki dobry...

– Kiedy wrócę z Atlanty, zjemy razem lunch w O'Rourke's. Ja postawię, a ty mi opowiesz, jak nie robiłaś szumu z mojego powodu. Umowa stoi?

– Ja...

– Stoi? – powtórzył Lou.

– Stoi.

Peterbee w końcu ustąpiła, z niechęcią podając mu wymówienie.

Lou przyjął dokument i zabrał z biurka zdjęcie Emily. Obejdzie się bez zszywacza i spinaczy. Uśmiechnięty, minął sekretarkę i opuścił biuro.

– Naprawdę lubię Johna Wayne'a – powiedziała, gdy wychodził.

ROZDZIAŁ 23

Programy pomocowe są jak lustrzany labirynt: im więcej luster, tym trudniej znaleźć wyjście.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Wciąż przeżywając całą sytuację – z jednej strony uwolnił się od Waltera Filstrupa, ale z drugiej stracił pracę, którą kochał – Lou pojechał taksówką z lotniska do szpitala. Planował zatrzymać się w hotelu i zostać w Atlancie, dopóki Chrup będzie go potrzebować. Szef oddziału w Eisenhower Memorial, będący zupełnym przeciwieństwem Filstrupa, zmienił grafik dyżurów na SOR-ze i chętnie dał mu pięć dni niewykorzystanego urlopu. Lou był gotów zaryzykować i tę pracę, gdyby zaszła taka potrzeba, ale jego przełożony rozumiał, że to sytuacja w rodzaju tych, w których najpierw trzeba zrobić to, co najważniejsze.

Gdy wylądował na lotnisku Hartsfielda-Jacksona, czekał już na niego SMS. Przeczytał, że dyrektor szpitala Win Carter musiał wyjechać i że powinien się spotkać z doktorem Ivanem Puchalskim, specjalistą chorób zakaźnych, w izolatce w budynku Barona na szóstym piętrze. W drodze do miasta przejrzał w internecie informacje o tym człowieku. Urodzony w Rosji, z doświadczeniem zdobytym w najlepszych amerykańskich szpitalach, miał imponujące CV i specjalizację z zakażeń szpitalnych.

Zakażenia wewnątrzszpitalne. Sformułowanie brzmiało paskudnie. Niepokoiło go samo istnienie takiego terminu. Rozmyślał o infekcjach spowodowanych hospitalizacją, gdy taksówka lawirowała na ruchliwych ulicach, zmierzając w kierunku szpitala Arbor.

Lou zapłacił taksówkarzowi i kierując się znakami, ruszył w stronę budynku Barona, gdzie jedną z czterech lśniących wind wjechał na szóste piętro. Izolatka znajdowała się za zamkniętymi dwuskrzydłowymi drzwiami ze szkła na końcu złowieszczego długiego korytarza. Tym, na co zwrócił uwagę zaraz po wyjściu z windy, była cisza. Gdyby wyobrazić sobie, że szpital Arbor to metro, ta jego część byłaby ostatnim przystankiem na linii biegnącej do bardzo przerażającej dzielnicy miasta. Niewielu ludzi chciało przebywać w pobliżu pacjentów, których infekcje uznano za zbyt niebezpiecznych, żeby pozwolono im leżeć na otwartych oddziałach. Lou nie mógł uwierzyć, że to tu został umieszczony człowiek, który tak wiele zrobił dla niego i dla wielu innych.

Wrócił myślą do mglistego poranka całe wieki temu, kiedy razem rozciągali się na idealnie szmaragdowym trawniku przed pensjonatem, szykując się do drugiego biegu po górach. Pracując jako lekarz SOR-u, wiele razy musiał się zmierzyć z ostateczną prawdą – życie jest takie kruche... takie cenne... takie

nieprzewidywalne. Nigdy nie zdołał o tym zapomnieć ani nawet nie tego chciał. Ale tutaj chodziło o Chrupa.

Walcząc z tym, co dławiło go w gardle, Lou wcisnął guzik interkomu, przedstawił się i został wpuszczony na oddział.

Przy dyżurce pielęgniarek czekał na niego wysoki, chudy jak tyczka mężczyzna w stroju chirurga i zarzuconym na ramiona, długim do kolan, białym fartuchu laboratoryjnym. Był gładko ogolony i wyglądał młodzieńczo, chociaż Lou uznał, że jest po pięćdziesiątce. Miał rzadkie, jasne, przedwcześnie posiwiałe włosy, słowiańskie kości policzkowe i jasnoniebieskie oczy, które śmigły z lewa na prawo, jakby był czymś podekscytowany – może jego obecnością.

– Doktor Iwan Puchalsky – przedstawił się z wyraźnym obcym akcentem, najpewniej rosyjskim.

Rękę miał zimną jak ryba.

– Welcome. Doktor Lou Welcome – powiedział Lou, niechętny naśladować Jamesa Bonda.

– Zgodnie z tym, co mi przekazano, powinien się pan zjawić dziesięć minut temu.

Ani „Jak minęła podróż?”, ani żadnych innych uprzejmości. Irytacja w głosie mężczyzny sprawiła, że Lou pożałował, że nie przeciwiczył kwestii Bonda.

– Szef szpitala poprosił, żebym tu przyszedł, więc w zasadzie nie mogłem odmówić, chociaż nie jestem pewien, dlaczego wybrał akurat mnie. Doktor Carter powiedział, że jest pan lekarzem SOR-u i przyjacielem pana Duncana. Czy to się zgadza?

Jestem instruktorem klinicznym na Wydziale Medycznym Uniwersytetu George’a Washingtona, z dyplomami z interny, medycyny ratunkowej i terapii uzależnień, chciał odparować Lou, ale tego nie zrobił. Puchalsky sprawiał wrażenie, że bez względu na osiągnięcia i tak będzie traktować go z góry.

– Zgadza się – przytaknął Lou.

– Moja praca nad zakażeniami szpitalnymi jest bardzo skomplikowana i wymaga dużego zaangażowania, obecnie jeszcze większego niż zwykle, ponieważ zacząłem współpracę z oddziałem genetyki i wspólnie otworzyliśmy laboratorium, gdzie sekwencjonujemy genomy niebezpiecznych patogenów bakteryjnych, żeby tropić ich pochodzenie wewnątrz i na zewnątrz szpitala. Może zamiast wyjaśniać, co robimy w moim laboratorium i nad czym pracujemy w przypadku pana Duncana, pójdziemy tym korytarzem. Będzie pan mógł zadawać mi pytania.

W ciągu lat pracy Lou miał do czynienia z wieloma genialnymi, troskliwymi, godnymi zapamiętania mężczyznami i kobietami. Ale medycyna, a szczególnie medycyna akademicka, oznaczała również kontakty z osobami o rozbuchanym ego. Ivan Puchalsky wyraźnie pasował do tej drugiej kategorii.

Odsuwając od siebie przelotne wyobrażenie eksplodującego Hindenburga,

Lou poszedł za specjalistą chorób zakaźnych do drzwi małego pokoju konferencyjnego. Rozpaczliwie pragnął najpierw zobaczyć się z Chrupem, ale wyczuwał, że Puchalsky nie będzie na niego czekać.

– Proszę mi powiedzieć o Hanku Duncanie i drobnoustrojach, które pana niepokoją – poprosił.

– Osoby posiadające jedynie wiedzę ogólną, jak pan – zaczął Puchalsky – nieczęsto rozumieją niuanse i sprzeczności związane z takim przypadkiem. To skomplikowana sytuacja, doktorze...

Bond. James Bond.

– Welcome, Lou Welcome. Doktorze Puchalsky, może przez chwilę będziemy udawać, że nie marnuje pan swojego cennego czasu, i przez wzgląd na mojego przyjaciela poinformuje mnie pan, o co chodzi z tym zakażeniem. Jeśli pomoże panu myśl, że nie rozumiem, proszę używać prostych terminów albo mówić powoli.

Lou nie miał pojęcia, jak Rosjanie pojmują sarkazm, ale widząc lekko uniesione brwi Puchalsky'ego, uznał, że cel został osiągnięty. Mężczyzna zmusił się do traktowania go z wymaganą zawodową uprzejmością, chociaż na minimalnym poziomie.

Puchalsky westchnął.

– Nie jesteśmy pewni natury tego szczególnego drobnoustroju – powiedział.
– Prawda jest taka, że mając za sobą wiele lat badań nad chorobami zakaźnymi, dopiero mniej więcej pół roku temu spotkałem się z czymś takim.

Lou poczuł, że przyśpiesza mu puls. Wyznanie tego rodzaju nie mogło przyjść lekko osobie z takim doświadczeniem jak Puchalsky. Co gorsza, rzucało Chrupa na wzburzone, nieznane wody. Lou przybył do Atlanty, spodziewając się zastać przyjaciela w kłopotach, ale stan zagrożenia mógł być medycznym odpowiednikiem poziomu gotowości bojowej DEFCON-2 – krok od wojny nuklearnej.

– Co takiego wyjątkowego jest w tym zarazku? – zapytał, z trudem panując nad drżeniem w głosie.

– Czy sześć, może osiem tygodni temu czytał pan w magazynie „Time” o cheerleaderce, której operowano łokieć po fatalnym upadku podczas szkolnego konkursu?

– Tak się składa, że moja córka Emily pokazała mi nagranie na YouTube. Straszny wypadek. Gdy go oglądałem, były już jakieś dwa czy trzy miliony wyświetleń.

– Dziewczyna trafiła do szpitala White Memorial w Bostonie, będącego, jak pan wie, równie dobrą placówką jak każdy inny szpital w kraju. Mniej więcej tydzień po operacji doszło do zakażenia rany przez nietypowe bakterie. Pewnie pan wie, że z nielicznymi wyjątkami bakterie dzieli się na Gram-dodatnie

i Gram-ujemne w zależności od tego, czy pod wpływem barwnika robią się fioletowe czy różowe.

Lou jęknął w duchu. Słuchał wstępu do mikrobiologii z pierwszego roku studiów. Pokiwał głową, zachowując obojętny wyraz twarzy. Musiał pozwolić, żeby Puchalsky wytłumaczył mu wszystko po swojemu.

– Proszę mówić dalej.

– Niezwykle w tym drobnoustroju jest to, że oscyluje pomiędzy oboma stanami. Nie dostrzegliśmy żadnej regularności w następowaniu tych zmian, ale ich skutek jest taki, że organizm nie reaguje na żadne antybiotyki.

Lou poczuł ogarniające go zimno. Mikrob Sądnego Dnia. Czytał o nim artykuł w gazecie, lecz nie znalazł żadnej wzmianki w literaturze medycznej, więc uznał go za odmianę MRSA – gronkowca złocistego opornego na metycylinę.

– Co się stało z dziewczyną? – zapytał.

– Straciła rękę, potem nogę. W czasie drugiej operacji jej stan gwałtownie się pogorszył i zmarła na stole.

Jezu. Chrup przebywał w izolatce z powodu zakażenia, które było skutkiem hospitalizacji.

– Zgłoszono wiele przypadków?

– Kilka. Pół roku temu mieliśmy starszą diabetyczkę z wrzodem na stopie. Zmarła dość szybko i nie była to spokojna śmierć.

– Co panu mówi lekowrażliwość drobnoustrojów, które wywołały zakażenie u Hanka Duncana?

Puchalsky'emu najwyraźniej spodobał się sposób sformułowania pytania. Jego zniecierpliwienie trochę zmalało.

– Wrażliwość na antybiotyki jest niestała i niezbyt obiecująca. Wypróbowaliśmy metycylinę i dwa różne karbapenemy, osobno i razem. Następna będzie wankomycyna. Ale wydaje się, że na razie nic nie działa. W chwili obecnej nie jestem pewien, jak walczyć z tym zarazkiem. Nic nie wiem o jego pochodzeniu, nie mam pojęcia, jak pański przyjaciel się zaraził ani ile osób może być zagrożonych infekcją. Oczywiście skontaktowaliśmy się z CDC i pracujemy nad tym w moim laboratorium w Pawilonie Smitha.

– Jak teraz wygląda sytuacja? – zapytał Lou łamiącym się głosem.

– Nie możemy opanować zakażenia. Chirurdzy założyli dreny, ale rozważamy otworzenie nacięcia.

– A pańskie badania?

– Hodujemy kultury, co jest stosunkowo łatwe, i testujemy antybiotyki. Biorąc pod uwagę oporność bakterii, staje się coraz bardziej jasne, że będziemy musieli pójść w innym kierunku.

– To znaczy?

Puchalsky znowu westchnął.

– Doktorze Welcome, nie jest to odpowiednia chwila na omawianie mojej pracy z panem czy kimkolwiek innym. Z całym szacunkiem, jestem na to zbyt zajęty. Będę jeszcze bardziej zajęty w chwili, gdy w naszym szpitalu pojawi się trzeci przypadek. I proszę mi wierzyć, doktorze, jest to tylko kwestia czasu. Może pan odwiedzić przyjaciela i zostać w jego pokoju, jak długo pan chce, ale jeśli ma pan jakieś pytania dotyczące jego stanu, niech je pan zada lekarzowi prowadzącemu albo pielęgniarkom. Podobną wiadomość zamierzam przekazać doktorowi Carterowi. Czy doszliśmy do porozumienia?

Puchalsky wyraźnie chciał, żeby Lou się zamknął i zniknął. To nie miało znaczenia. Lou nie brakowało doświadczenia w kontaktach z ludźmi, którzy z takiego czy innego powodu chcieli tego samego. Poza tym ten człowiek mu przypominał, że niedaleko znajduje się źródło, które może okazać się znacznie bardziej pomocne niż on – ubóstwiający bakterie Sam Scupman z Zakładu Oporności na Antybiotyki w CDC. Ale zanim pozwoli odejść temu specjaliście od wymykających się spod kontroli chorób zakaźnych, zada mu jeszcze jedno pytanie.

– Biorąc pod uwagę tempo, w jakim rozwija się zakażenie u Hanka Duncana, jaki będzie następny etap leczenia, jeśli nowy antybiotyk nie zadziała, a połączenie istniejących antybiotyków okaże się nieskuteczne?

Mina Puchalsky'ego i jego gest sugerujący, że nic nie jest oczywiste, wskazywały, że nie jest w nastroju, by udzielać długiej odpowiedzi.

– Amputacja nogi, a następnie usuwanie kolejnych zarażonych części ciała, dopóki zarazek nie zniknie albo pacjent nie umrze.

ROZDZIAŁ 24

Ślepe podążanie za rządem przypomina chodzenie niewidomego bez laski i czekanie na zderzenie z przeszkodą.

Lancaster R. Hill, wykład na Uniwersytecie Princeton, 12 listopada 1938

– Niech zgadnę, wszystko słyszałeś.

Lou wskazał małe mikrofon przymocowany do konsoli wózka. Humphrey Miller przyjechał do niego, gdy tylko Puchalsky opuścił izolatkę, i spojrzał pocieszająco. Lou zauważył, że ręce drżą mu bardziej niż ostatnim razem, jakby reagował na jego niepokój.

– Iwan bardziej serdeczny, niż spodziewałem – powiedział Humphrey. – Musi cię lubić.

Lou zaśmiał się.

– Miło cię widzieć, Humphrey. Dla mnie nie musisz skracać zdań, chyba że tego chcesz.

– Mówienie wszystkiego bardziej męczy. Przynajmniej fatygujesz się słuchać. Krzepiące.

– Jeśli robisz to dla siebie, a nie dla mnie...

– Wierz mi, mówienie do ciebie łatwiejsze. Śledziłem rozwój sytuacji twojego przyjaciela.

– I?

– Wszyscy niespokojni.

– Puchalsky powiedział, że to drugi tego rodzaju przypadek w Arbor.

– Prawda. Starsza kobieta.

– Tak mówił.

– Szybkie zjedanie ciała. Koszmar.

Lou zaschło w ustach.

– Z mojego doświadczenia w szpitalu w Waszyngtonie wynika, że w przypadku zarażenia mięsożernym bakteriami – wykrztusił – leczenie jest trudne, ale okazuje się skuteczne.

– Nie u tej pani.

Przez jakiś czas obaj milczeli. Humphrey nad czymś rozmyślał.

– Lou, naprawdę cię lubię – powiedział wreszcie. – Nie jesteś jak inni.

– Jacy inni?

– Inni ludzie. Nie biorą mnie na poważnie. Ty jesteś inny. Wiem. Dlatego coś ci pokażę.

– Jasne, ale to musi poczekać, aż zobaczę się z Chrupem.

– Rozumiem. Spotkanie główny hol za godzinę.

Lou spojrział na zegarek, prezent od Emily, i przez chwilę się zastanawiał, jak jej idzie zbieranie funduszy. Nie byłby zaskoczony, gdyby ciężarówka pełna ciasteczek już jechała do domu w Wirginii, gdzie córka mieszkała z matką i ojczymem, kiedy nie spędzała czasu w Waszyngtonie z nim i Multikiem, ich kotem.

– Za godzinę – powiedział, stukając w zegarek.

Humphrey obdarzył go dziwnie enigmatycznym uśmiechem. Wydawał się nadzwyczaj zadowolony i podekscytowany na myśl o pokazaniu mu tego, co miał do pokazania.

– Podziękujesz mi, doktorze Welcome. Gwarantuję.

Przedpokój izolatki Chrupa był nie większy niż skromna garderoba. Plakat na ścianie nakazywał włożenie maski chirurgicznej, czepka, rękawiczek, ochraniaczy na buty i fartucha. Lou miał w Eisenhower wielu pacjentów rozsiewających zarazki, więc dobrze znał procedurę. Szpital Arbor przypisał Chrupowi najostrzejsze kategorie izolacji, wymagające ścisłego przestrzegania środków ostrożności. Jaskrawe znaki na drzwiach i ścianach ostrzegały, że wizyta może być niebezpieczna i że odwiedzający składa ją na własną odpowiedzialność.

Lou jeszcze raz sprawdził, czy wszystko zrobił jak trzeba, po czym pociągnął drzwi izolatki Chrupa, czując opór spowodowany przez obniżone ciśnienie. Potężne oczyszczacze wysysały skażone powietrze, przepuszczając je przez skomplikowany system filtrów. Pokój był ultranowoczesny i mało przyjemny, bez mebli, poza wbudowanym w ścianę stanowiskiem komputerowym pielęgniarki, dwoma krzesłami i stolikiem przy łóżku.

Odseparowany. Odizolowany. Sam... Przeróżające.

Łóżko Chrupa zajmowało środek spartańskiego pokoju – wyspa na morzu szarego linoleum. Lou gwałtownie wciągnął powietrze. Próbował przygotować się na tę chwilę, ale widok pokonanego, zmęczonego przyjaciela był dla niego niczym cios w brzuch. Wbrew sobie wrócił myślą do chwili przed wyruszeniem na szlak, kiedy Chrup zaproponował, żeby zamiast biegać, poćwiczyli w siłowni. Gdyby Lou się nie upierał, jego przyjaciel wróciłby do swojego klubu Kontra, a on sam prawdopodobnie wciąż miałby pracę w OOL-u. Chrup mógł mu w nieskończoność powtarzać, żeby się nie winił, ale Lou wiedział, że o ile nie pozbędzie się dwóch żyjących w nim bliźniaczych potworów, odpowiedzialności i poczucia winy, wysiłki przyjaciela pójdą na marne.

Zagłówek łóżka był lekko podniesiony. Zamknięte oczy, nieruchome ciało. Chrup leżał z otwartym czasopismem na brzuchu. Do obu rąk miał podłączone kroplówki. Lou podszedł, patrząc na nierówno unoszącą się i opadającą klatkę piersiową, słuchając ciężkiego oddechu. Noga zawieszona na wyciągu była spowita warstwami gazy, poplamionymi krwią z sączków. Oparł się pragnieniu odwinięcia bandaża i obejrzenia zainfekowanego miejsca, ale nietrudno było sobie wyobrazić,

co jest pod opatrunkiem.

Lou położył dłoń w rękawiczce na muskularnym ramieniu przyjaciela i go zbudził.

– Cześć, sponsorze, to ja.

Chrup otworzył czy. Po chwili oprzytomniał. Kąciki jego spierzchniętych ust uniosły się w nikłym uśmiechu.

– Możesz wrócić za jakiś czas? – zapytał chrapliwym, zaspanym głosem. – Za pięć minut miałem mieć lekcję tańca. Tango.

Lou nalał do kubka wody z plastikowego dzbanka, wetknął słomkę, zgiął koniec i pomógł Chrupowi się napić. Miał wrażenie, że przyjaciel stracił już pięć kilogramów od początku tej gehenny.

– Rozmawiałem z twoją instruktorką tańca i poprosiłem o zmianę harmonogramu. Powiedziała, że jesteś seksowny, więc na pewno wróci.

– Dobrze. Chodzisz na mityngi?

– Nie dasz mi zapytać, jak się masz?

– Noga boli i nie mogą zbić gorączki. Chodzisz na mityngi? Nie zawracaj sobie głowy odpowiedzią. Widzę ją na twojej twarzy. Nie ufaj swojej chorobie, młody. Choć myślisz, że jesteś już weteranem, nie ufaj jej ani trochę. Gdy rosłeś, ona też rosła. Zakładam, że skoro nie chodzisz, to znaczy, że są problemy. Praca? Emily?

Sponsorzy.

Jak większość innych dobrych ludzi, Chrup miał szósty zmysł.

Nagle się skrzywił.

– Boli? – zapytał Lou.

– Mały skurcz. Wytrzymam. Więc chodzi o pracę?

– Powiedzmy, że drogi moja i Filstrupa się rozeszły.

– Co za palant. Ten ośrodek i ci lekarze nigdy nie mieli nikogo lepszego niż ty. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, możesz mi wierzyć. Pomódl się za niego, żeby dostał rozgrzeszenie za swoją głupotę.

– Nie omieszkam, gdy tylko się pozbieram.

– Zrób to, bracie. Nikomu nie wyjdzie na dobre, ani mnie, ani innym, jeśli znowu zawalisz sprawę. Niezależnie od Filstrupa, dzięki, że wróciłeś.

– Daj spokój. Razem przez to przebrniemy.

– Jasne. Więc jak, poznałeś mojego nowego przyjaciela doktora Iwana, życzliwego przedsiębiorcę pogrzebowego?

– Chwilę temu z nim rozmawiałem. Puk, puk.

– Kto tam?

– Iwan.

– Jaki Iwan?

– Iwan Grabarz Karawanowicz.

Pochwalne parsknięcie było wszystkim, na co Chrup mógł się zdobyć.

– Nie ma to jak kiepski żart Welcome’a, żeby mnie rozweselić. Szczególnie w porównaniu z tym, co wciska mi ten ruski chudzielec. Jeśli chodzi o brak poczucia humoru, przy nim jesteś jak ten komik, Chris Rock.

– Hej, uważaj, czyje poczucie humoru lekceważysz. Posłuchaj, to dobry kawał, niedawno go usłyszałem. Żona zaczyna rodzić i wrzeszczy: „Zawieź mnie do szpitala! Zawieź mnie do szpitala!”. Facet pakuje ją na tylne siedzenie i pędzi przez miasto, ale na szpitalnym parkingu nie ma ani jednego wolnego miejsca.

– A jego żona wciąż wyje.

– Właśnie. Jak silnik odrzutowy. Facet jest w desperacji. Patrzy w niebo i woła: „Boże, daj mi wolne miejsce, a masz moje słowo, koniec z piciem, koniec z hazardem, koniec z paleniem, koniec z flirtowaniem”. W tej chwili na prawo od niego zwalnia się miejsce i facet parkuje. „Nieważne! – woła. – Już znalazłem”.

– Lepszy. Ile mam ci zapłacić, żebyś przestał mnie rozweselać? Podaj cenę. Skoro mowa o nierozśmieszaniu, co powiedział ci Iwan Groźny?

– Że jest piekielnie mądry i że cię wykuruje.

– Nie ściemniaj. Ufam ci, doktorku. Jesteś moją rodziną.

– Nigdy cię nie okłamię – zapewnił go Lou. – Puchalsky mówi, że zakażenie w nodze jest bardzo poważne i że próbują wykombinować, jak je zwalczyć. To doskonały szpital i ci ludzie są nadzwyczaj kompetentni. Zrobią wszystko, co trzeba, żeby postawić cię na nogi.

– Tak, albo na nogę. Jak myślisz, jest duże zapotrzebowanie na jednonogich bokserów?

Nigdy cię nie okłamię...

– Nie mów tak. Nie stracisz nogi.

– Powiedz mi to z prawdą w oczach, a uwierzę.

– Właśnie ci to mówię.

– Brachu, pamiętaj o dwóch rzeczach – powiedział Chrup, unosząc rękę z cienką rurką kroplówki, żeby pokazać na palcach. – Po pierwsze, obiecałeś mnie nie okłamywać.

Patrzył na niego twardym wzrokiem, przewiercającym się przez warstwy niepewności i strachu.

– A po drugie? – zapytał Lou, czując, jak jego przekonanie słabnie, jakby spadał w otwierający się pod nim dół.

– Po drugie – zaczął Chrup, tym razem błyskając wyrozumiętym uśmiechem – pamiętaj, że mimo przedstawienia, jakie zrobiłem na górskim szlaku, wcale nie jestem głupi.

ROZDZIAŁ 25

Prezes powinien nadzorować Stu Bliźnich, ale nie powinien żadnego z nich wyręczać.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Gdy do pokoju wpadła pulchna pielęgniarka o imieniu Elisha i kazała mu wyjść, Lou był już pięć minut spóźniony na spotkanie z Humphreym. Chrup trochę drzemał w ciągu tej godziny, ale ogólnie starał się nie zasypiać, dopytując o dzieciaki, które trenował, łącznie z Emily, swoją nadzwyczajną pupilką, i o wspólnych znajomych.

Na razie klub Kontra prowadzono gratis, ale w tej podupadłej śródmiejskiej dzielnicy nikt nie spał na pieniądzach. Lou dzięki Walterowi Filstrupowi zyskał więcej wolnego czasu, lecz miał zamiar spędzać go tutaj, w szpitalu Arbor.

Obaj starali się unikać tematu pieniędzy, dotyczącego tak sali, jak i rosnących rachunków za szpital. Nadrzędnym jednak problemem – prawdziwym słoniem w wannie – było zakażenie nogi Chrupa. Dopiero kiedy ten kolos wróci do dżungli, będą mogli się skupić na remoncie łazienki.

– Potrzebuje odpoczynku – oznajmiła Elisha.

Widząc krople potu na czole Chrupa i czując lepkość jego ręki, Lou nie zamierzał z nią dyskutować.

– Wróć, stary – obiecał.

Pielęgniarka położyła dłoń na jego ramieniu i obróciła go w stronę drzwi.

– Będzie dobrze – powiedziała, jakby zwracała się do ucznia podstawówki.

Lou żałował, że jej zapewnienie nie podniosło go na duchu.

Pozbył się papierowego stroju, pojechał na dół i ruszył ruchliwymi korytarzami szpitala. Humphrey czekał pod ścianą w umiarkowanie zatłoczonym holu. Lou stwierdził, że jest mniej pogodny niż zwykle.

– Przepraszam za spóźnienie. Chrup jest w kiepskim stanie.

– Właśnie to chcę obgadać – odezwał się Humphrey, mijając windy i masywne biurko informacji w poszukiwaniu wolnego zakamarka.

Lou widział, jak ludzie wlepiają oczy w mężczyznę na wózku, a potem szybko odwracają wzrok.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, o co ci chodzi. Co jest do obgadania? – zapytał.

Humphrey na tyle, na ile mógł, patrzył mu w oczy. Kiedy w końcu przemówił, zrezygnował ze skracania zdań i dokładał starań, żeby wyraźnie wypowiadać każde słowo.

– Jestem przekonany, że twój przyjaciel umiera, Lou, i nikt nie może nic

z tym zrobić... Z wyjątkiem mnie.

Wydawało się, że tymi kilkoma słowami Humphrey zupełnie zmienił charakter ich znajomości. Nagle przestał być sympatycznym, optymistycznym, nieustraszonym kaleką, pełnym ducha walki mimo swoich niedoskonałości i lekceważenia ze strony tak wielu ludzi. Już nie był rozpaczliwie wdzięczny za zrozumienie i szacunek. Stał się surowym, śmiertelnie poważnym mężczyzną.

– Mów – ponaglił go Lou, tyle poirytowany, ile zaciekawiony zmianą, jaka zaszła w jego niezwykłym nowym przyjacielu.

– Zanim pogadamy, zanim powiem, o co mi chodzi, musisz coś zobaczyć.

Humphrey nie pozwolił mu nawet na zadanie żadnego pytania. Wcisnął duży guzik po prawej stronie konsoli i na wprost niego gładko podniósł się średniej wielkości ekran komputera, już włączony.

– Gra kontra Henri Delacourt – powiedział.

Wielu miało kłopoty ze zrozumieniem go, ale nie komputer. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się szachownica. Lou w miarę przyzwoicie umiał grać w szachy, lecz od ponad pół roku Emily, z entuzjazmem grająca we wszystko od kamyków po Monopoly, często wygrywała partie. Zobaczył, że szachiści są w trakcie rozgrywki, chociaż nie było jasne, czy wykrywają białe czy czarne.

– Henri, tu Humphrey. Jesteś tam?

Wypowiedziane słowa ukazały się w oknie dialogowym pod szachownicą.

– Jestem, przyjacielu.

– Jak tam w Paryżu?

– Deszczowo, jak zwykle. A w Atlancie?

– Gorąco. Zdaje się, że wpadłeś w kłopoty, drogi panie.

– Chyba masz rację, monsieur Miller. Jeszcze jeden ruch i jeśli będzie właściwy, niestety pokonasz mnie po raz kolejny.

– W takim razie czas zaplanować następne spotkanie. Ng1-f3, szach z odsłony.

Na ekranie czarny skoczek przesunął się z pierwszego pola w rzędzie G na trzecie pole rzędu F.

Nastąpiła dłuższa przerwa, później na ekranie pojawiło się słowo REZYGNUJE, a po nim dżentelmeńskie gratulacje i obietnica kolejnej partii, gdy tylko czas pozwoli.

Miejsce szachownicy zajął wygaszacz ekranu ukazujący orła w locie.

– Brawo – pogratulował Lou, nie zadając sobie trudu zadania oczywistego pytania o związek sytuacji Chrupa ze zwycięskim pojedynkiem szachowym Humphreya. Nie musiał jednak długo czekać, przynajmniej na część odpowiedzi.

– Życiorys Henriego Delacourta – powiedział Humphrey do konsoli.

Po chwili ukazała się przystojna, starzejąca się twarz pod gąszczem srebrnych włosów. Lou wystarczyło zaledwie kilka linijek, żeby się zorientować,

jaki jest cel tej demonstracji. Delacourt, profesor fizyki, był międzynarodowym arcymistrzem i kilkakrotnym mistrzem swojego kraju.

– Niezłe CV – skomentował.

– Rzadko z nim przegrywam, tak jak z każdym z dziesięciu innych arcymistrzów.

– Musisz być bardzo dobry.

– Poprawka. Mądry. Musiałeś zobaczyć jak bardzo, zanim ruszymy do celu tej małej podróży.

– To była niezła demonstracja. Jestem szczerze zainteresowany, jeśli o to ci chodzi.

Geniusz... Nie tylko mądry, to naprawdę pieprzony geniusz.

Lou nie miał problemu ze zrozumieniem, jak bolesna dla Humphreya musiała być świadomość, że od początku wszyscy go postrzegają tylko i wyłącznie jako żalostnego kalekę. Był zwykłym technikiem farmacji, ale obdarzonym nadzwyczajnym intelektem. Jakże trudna i frustrująca była dla niego niemożność, niezależnie od przyczyny, pełnego wykorzystania jego potencjału.

– No dobra – rzucił Humphrey. – Jedziemy.

– Dokąd?

– Na dół – odparł zwięźle.

Obrócił wózek i pojechał ku windom. Lou pośpieszył za nim, próbując dotrzymać mu kroku. Ostatnia winda była opisana jako dźwig towarowy. Humphrey sprawnie wyjął wykonany na zamówienie pręt z metalu i plastiku. Do jednego końca była przymocowana karta magnetyczna. Nie bez trudności przeciągał ją przez szczelinę w ścianie i drzwi windy się rozsunęły.

W kabinie były tylko dwa przyciski: P1 i P2. Niezdarnie obracając pręt, Humphrey gumowym czubkiem wcisnął dolny guzik. Lou zaczął się zastanawiać, czy rozgromieni przez niego mistrzowie szachów mieli pojęcie, kto daje im wycisk.

Winda stanęła, drzwi się rozsunęły i po chwili Lou szedł za Humphreym kiepsko oświetlonym korytarzem niższej piwnicy. Na końcu korytarza zobaczył opisane dużymi czarnymi literami metalowe drzwi, za którymi znajdowały się magazyny sprzętu i zapasów. Miękki pomruk wózka był jedynym dźwiękiem w gęstej ciszy. Oczy Lou przyzwyczały się do nikłego światła, kiedy skręcili za róg i stanęli przed metalowymi drzwiami z napisem NADWYŻKA ZAOPATRZENIA.

– Co to za miejsce? – zapytał Lou.

– Tutaj spróbujemy ocalić Chrupowi życie.

W głosie Humphreya brzmiała nuta podniecenia i dumy, gdy wsunął kartę w szczelinę nad klamką. Zamek szczęknął i drzwi się otworzyły. Weszli do wyjątkowo zimnego pomieszczenia – Lou ocenił, że było tam jakieś minus dziesięć stopni.

- Robi wrażenie – zauważył.
- Staranny dobór przyjaciół – odparł Humphrey. – Jeden jest szpitalnym mechanikiem. Ja proszę, on robi.
- Dlaczego tak tu zimno?
- Mięśnie mniej spastyczne.

Szczerząc zęby, Humphrey uniósł rękę i Lou rzeczywiście dostrzegł pewną poprawę, choć niezbyt dużą.

Blask wpadający z korytarza oświetlał wysokie pomieszczenie wielkości mniej więcej garażu na dwa samochody. Lou widział kontury pudełek, ustawionych w wieże w uporządkowanych rzędach. Kiedy Humphrey prętem zapalił światło, zobaczył dwa długie na trzy metry stoły z blatami z corianu i wbudowanymi pod spodem szafkami. W jednym kącie stał stół ze zlewem, a w drugim stół antywibracyjny – specjalnie zaprojektowany do wrażliwej na drgania aparatury do diagnostyki obrazowej. Było tam również wyposażenie innego rodzaju, łącznie z małą lodówką, zamrażarką i nawet maszyną do lodu, ale większość rzeczy leżała zapieczętowana w kartonach.

Pod ścianą naprzeciwko wejścia stały dwa duże inkubatory. Lou spostrzegł, że oba działają i zawierają opisane szalki Petriego z hodowanymi mikroorganizmami.

Humphrey objechał dookoła Lou i zatrzymał się twarzą do niego.

- Podoba się? – zapytał.
- Humphrey... – zaczął Lou, nie bez wysiłku odzyskując mowę. – Co jest grane?
- Mniej męczące, gdy napiszę.

Humphrey zacisnął rękę na joysticku. Na ekranie pojawił się alfabet i wielka liczba kombinacji słów. Pisał powoli i starannie, i szybciej, niż mówił. Lou cierpliwie czytał.

Mówiłem ci, że poza szachami mam wiele zainteresowań – matematyka, chińska gra go, fizyka, antropologia, muzyka klasyczna. Kiedy bardzo inteligentna osoba jest przykuta do komputera i internetu, dostępny jej świat nie ma granic. Dyscypliną, na której znam się lepiej niż na innych i na szachach, jest mikrobiologia. Bakterie pożerające nogę twojego przyjaciela tym, którzy się nimi zajmują, są znane jako Mikrob Sądnego Dnia. Z twoją pomocą poradzimy sobie z nimi.

ROZDZIAŁ 26

Régime de la terreur rewolucji francuskiej był środkiem do zaprowadzenia porządku w okresie chaosu, akceptowanym zarówno przez motłoch, jak i przez polityczny establishment. Skoro tak zwane akty terrorystyczne mogą się przyczynić do zaprowadzenia ładu, warto wysnuć logiczny wniosek, że w pierwszej kolejności należy je wykorzystać do zapobieżenia chaosowi.

Lancaster R. Hill, wykład na Uniwersytecie Lehigh, 18 lutego 1940

Lou był oszołomiony, pełen niedowierzania.

Demonstracja szachowa Humphreya i piwniczna tajemnica miały pewien sens, chociaż nie umiał nadać im szerszego kontekstu. Najnowsze rewelacje usunęły w cień wszystko inne, czego chciał się dowiedzieć o tym człowieku, na przykład jak udaje mu się codziennie docierać do pracy. Humphrey podjechał do niego.

Wiem, czym jest zarażony Chrup. To bakterie wyhodowane przez jakąś organizację terrorystyczną. Nie znam jej nazwy ani celu. Może Al-Kaida albo odgałęzienie. Może amerykańscy radykałowie. Ale wiem, że ten drobnoustrój jest prawdziwy.

Lou mógł tylko wpatrywać się w ekran.

– Wyjaśnij, Humphrey, proszę.

– Od początku?

– Temperatura jest trochę niższa, niż lubię, ale ci powiem, gdy będę chciał, żebyś się streszczał.

Dwoje na każdy tysiąc narodzonych dzieci kończy w stanie gorszym albo lepszym niż ja. Liczby nie zmieniły się od ponad czterdziestu lat, pomimo postępu w opiece położniczej. Kiedyś za główną przyczynę mózgowego porażenia dziecięcego uznawano właśnie kiepską opiekę położniczą, ale badania epidemiologiczne w znacznej mierze obaliły to twierdzenie. Niektóre badania sugerowały, że przyczyną MPD jest zakażenie bakteryjne płodu. To mnie zainteresowało. Pech, złe geny czy jakiś czynnik środowiskowy? Chciałem poznać moją historię. Jak to się stało, że zamieszkałem w tym kalekim ciele? Gdy szukałem odpowiedzi, zakochałem się w mikrobiologii jako dyscyplinie naukowej.

– Świetnie ci idzie, Humphrey. Dalej.

Rodzice się mnie wstydzili. Często zostawiali mnie samemu sobie: siedziałem w moim pokoju przed komputerem albo chodziłem na zajęcia w szkołach specjalnych. Ich nadzieje związane ze mną wynosiły zero albo mniej niż zero.

– Bardziej nie mogli się pomylić – skomentował Lou, współczując mężczyźnie, że tak wyglądały lata jego wczesnej młodości.

Nie powinno dziwić, że gdy dorastałem, brakowało mi pewności siebie. Wiedziałem, że mam sprawny mózg, ale ciało zawsze mnie ograniczało.

Chcąc zachować spokój, Lou na chwilę oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na kartony. Były tam wieże z pudeł, największe na dole, może zawierające pipetki i szklane naczynia, następny poziom opisano jako wstrząsarki, a na szczycie pompa próżniowa.

– Internet cię uratował – powiedział w końcu.

To było cudowne. Tablice ogłoszeń, blogi, fora, gdzie badacze wymieniali się wszelkiego rodzaju informacjami. W świecie wirtualnym, bez hamującego mnie ciała, mogłem dotrzymać kroku najtęższemu umysłom. Kiedy miałem szesnaście lat, odpowiadałem na pytania, których kilku naukowców i matematyków światowej klasy nawet nie umiało sformułować. Zyskałem renomę w sieci i stałem się swego rodzaju osobistością w wąskim gronie intelektualistów. W ten sposób przyciągnąłem uwagę doktora Nazara Faruka ze Stanfordu. Genialny umysł.

Lou spojrział na zegarek. Minęło półtorej godziny.

– Muszę cię trochę popędzić – stwierdził. – Połącz kropki z Chrupem, a potem wrócimy na górę.

Doktor Faruk i ja zostaliśmy kimś w rodzaju kolegów. Rozmawialiśmy online kilka razy w tygodniu. Potem pewnego dnia Faruk zamilkł. Tak po prostu. Przepadł bez wieści. Nie znalazłem żadnych wiadomości na jego temat, z wyjątkiem tej, że zniknął pewnej nocy i że policja zajmowała się tą sprawą. Minęło kilka miesięcy, zanim znów się odezwał, ale już nie jako doktor Faruk. Teraz nazywał się Ahmed Kazimi. Dopiero po kilku miesiącach rozgryzłem, kto się ze mną kontaktuje, ale on dokładał starań, żeby ukryć przede mną swoją tożsamość.

– Jak wyjaśnił to, skąd się o tobie dowiedział?

Powiedział, że znalazł moje nazwisko w notatkach Faruka. Zobowiązał mnie do dochowania tajemnicy i oznajmił, że jest szefem rządowego programu mającego na celu stworzenie realnych systemów obronnych przed fikcyjnymi atakami bioterrorystów. Nie ujawniłem oczywiście, że wiem, że Kazimi i Faruk to jedna i ta sama osoba. Nigdy mi nie powiedział, dlaczego zniknął i przybrał fałszywe nazwisko. Byłem szczęśliwy, że należę do tego nowatorskiego wirtualnego zespołu.

Zafascynowany Lou czytał tę relację ze wstrzymanym oddechem. Przestał odczuwać panujący w pomieszczeniu chłód.

– I nigdy nie powiedziałeś mi o sobie? – zapytał.

Od początku naszych rozmów w sieci używałem prawdziwego nazwiska i tego się trzymałem, ale zmieniłem wszystkie inne szczegóły mojego życia. Zdarzało się, że nie mogłem sobie przypomnieć jakiejś historii, którą opowiedziałem. Przedstawałem się jako odludek, który odciął się od świata akademickiego po bezpardonowym i bezceremonialnym odrzuceniu też jego pracy doktorskiej.

– Nie do wiary, że mając taki talent, nadal się wstydziłeś. Nie pomyślałeś o Stephenie Hawkingu?

Humphrey parsknął, jakby rozważał ten argument wiele razy i zawsze dochodził do tego samego wniosku.

– Hawking znany w szkole jako Einstein – odparł. – Zaczął chorować na ALS w wieku dwudziestu jeden lat. Już wtedy wybitny uczonek.

– Punkt dla ciebie – powiedział Lou, unosząc ręce, żeby rozładować to, co odbierał jako narastające napięcie.

Humphrey potrzebował chwili, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

– Kazimi niezupełnie ze mną szczery, i z resztą zespołu.

– Pod jakim względem?

Powiedział nam, że praca nad antybiotykiem skutecznie zwalczającym bakterie, które przechodzą ze stanu Gram-dodatniego w Gram-ujemny, ma charakter czysto teoretyczny. Nie miał pojęcia, że pracuję w szpitalu, w którym zdarzył się taki przypadek.

– Starsza pani z wrzodem na stopie.

– Właśnie.

Myśli Lou o strasznej śmierci kobiety niespostrzeżenie przeszły w rozważania nad sytuacją Chrupa. Musiał odwrócić wzrok.

Nie powiedziałem o tym Kazimiu. Nie chciałem narażać mojego udziału w projekcie. Ale wiedziałem, że nie jesteśmy zespołem ekspertów zajmujących się teorią. Zostaliśmy zaatakowani przez prawdziwą organizację terrorystyczną, która opracowała bakterię oporną na znane antybiotyki.

– Więc współpracujesz z Puchalskym? – zapytał Lou.

Humphrey się zachnął.

– Puchal arogancki dureń – odparł, wyraźnie wyczerpany gwałtownością swojej reakcji. – Zespół Kaza już pracował nad bakteriami, kiedy on zaczął badania. Słyszałeś, co mówił. Idzie w niewłaściwą stronę. Nie sądzę, żeby Kazimi dopuścił go do grupy.

– A twoja rola w projekcie? – spytał Lou.

- Odsunięty – krótko odpowiedział Humphrey.
- Przez Kazimiego?
- Tak. Mojego mentora... mojego przyjaciela. Tak po prostu.
- Dlaczego cię odsunął?
- Zasugerowałem alternatywne podejście, opracowałem nową teorię.
- Jaką?

Lou, całkowicie zafascynowany tym człowiekiem, przykucnął, żeby mogli patrzeć sobie prosto w oczy, i skupiał się na każdej sylabie. Czy był to kolejny Floyd Weems, wychodzący z gęstych krzaków lasu Chattahoochee w chwili, gdy najbardziej potrzebował pomocy?

– Moje podejście opiera się na wykorzystaniu bakteriofagów – odparł Humphrey. – Ściślej mówiąc, trzy szczepy. Wiesz o fagach?

– Co nieco. Wiem, że to wirusy, które atakują bakterie, przy czym dany bakteriofag infekuje bakterie konkretnego gatunku i często je zabija. Istnieje wiele rodzajów fagów.

– Nieźle. Uznałem, że musimy odejść od chemicznych antybiotyków. Zabijać Mikroba Sądnego Dnia, zanim się zdąży zaadaptować.

– Twoje podejście zostało odrzucone?

Humphrey musiał odpocząć kilka minut, zanim wrócił do pisania.

Kazimi i ja mieliśmy gorącą wymianę zdań. Jak powiedziałem, zawsze darzyłem go ogromnym szacunkiem, ale jestem głęboko przekonany, że w tej sprawie obrał niewłaściwą drogę. Był jak Puchalsky, wpatrzony w znajome rozwiązania i podążający przetartymi szlakami, skupiony na ustalonych podejściach, ślepy na fakt, że te bakterie grają według zupełnie innych zasad.

– W takim razie dlaczego tak mało o nich słyszałem? Przecież to sensacja. Można by pomyśleć, że będzie we wszystkich gazetach.

Twarz Humphreya spochmurniała.

Myślisz, że rząd chce, żeby tego rodzaju informacje trafiły do wiadomości publicznej? Pomyśl o panice, jaką by spowodowały. Na świecie przez cały czas dochodzi do wybuchów SARS albo infekcji podobnych do SARS, ale rzadko o tym słyszymy, ponieważ zaszkodziłoby to turystyce i podważyło zaufanie konsumentów.

Liczymy na czujność naszego środowiska naukowego i mamy nadzieję, że w odpowiednim momencie uruchomią alarm, lecz w tym wypadku najbardziej błyskotliwe umysły nawet nie wierzą w istnienie tego mikroba, a szpitale obowiązuje zakaz informowania społeczeństwa. Wiem to na pewno.

– Skąd?

– Bardzo dobry z komputerami – odparł powściągliwie Humphrey. – Mam

sposoby. Rozmowy między naszym szpitalem i FBI po pierwszym przypadku.

– Włamałeś się do szpitalnego system komputerowego.

– Nietrudne.

Humphrey zaśmiał się wesoło.

– Jak sądzisz, dlaczego Kazimi nie zmienił zdania, żeby spojrzeć na problem w zaproponowany przez ciebie sposób?

– Odciał mnie, zamilkł. Ani słowa od sprzeczki.

– Jesteś pewien, że nic mu nie jest? Może coś mu się stało?

Humphrey wrócił do pisania.

Pracuje dla rządu. Z pewnością jest ściśle chroniony. Przypuszczam, że w tej chwili jest zajęty ciężką pracą w jakimś tajnym laboratorium. I zawodzi, tak samo jak nasz przyjaciel Puchalsky. Ale ty i ja, Lou, odniesiemy sukces. Mogę opracować terapię fagową, która ocali życie Chrupowi Duncanowi i wszystkim zarażonym Mikrobem Sądneho Dnia. Ale nie dokonam tego bez twojej pomocy.

– Mojej pomocy?

Humphrey wskazał na siebie.

– Spójrz na mnie, Lou – zaczął, nie skracając zdań, żeby w pełni oddać powagę sytuacji. – Mam opiekunów, którzy pomagają mi się ubrać, najeść i skorzystać z łazienki. Sam nie mogę nawet rozpakować tych pudeł, cóż tu więc mówić o urządzeniu laboratorium czy prowadzeniu w nim badań.

Zgarbił się, chwytając oddech, kompletnie wyczerpany.

– Ale pracujesz w Arbor i o ile wiem, idzie ci całkiem dobrze.

– Dzięki Bogu za mój batmobil, za ustawę o niepełnosprawnych Amerykanach i za wszystkich, którzy załadowują i rozładowują mój wózek z lekami.

Lou nie potrafił do końca odczytać emocji Humphreya, ale z jego głosu przebijała gorycz.

– Skąd wzięłeś cały ten sprzęt? – zapytał, żeby rozluźnić atmosferę.

– Gromadziłem od jakiegoś czasu. Nieefektywny system zakupów.

– Humphrey, przecież to kradzież.

Odpowiedział uśmiechem.

Nie kradzież, kiedy wszystko, co zostało kupione, wciąż jest w szpitalu. Poza tym cel uświęca środki. Jestem tego pewien. Jeśli mi nie pomożesz, Lou, skażesz swojego przyjaciela na Puchalsky'ego, Kazimiego albo jeszcze jakiegoś innego dyletanta. Wszystko zawiedzie, możesz mi wierzyć. Mogę też dać ci słowo, że mamy do czynienia z atakiem terrorystycznym, tuż pod naszymi nosami, i tylko ja mogę to powstrzymać. Pomożesz mi?

Lou chodził wśród kartonów. Nie przejmował się przestępstwem

popęlnionym przez Humphreya – przekroczył tę linię w przeszłości i jeśli będzie musiał, zrobi to znowu. Nie, martwił się przede wszystkim o to, czy Humphrey Miller nie jest w rzeczywistości błędzącym na manowcach megalomanem, którego działania napędzają cierpienie i frustracja z powodu poważnej niepełnosprawności ograniczającej coś, co było niezaprzeczalnym, lecz w wielkiej mierze niedocenionym geniuszem.

– Dlaczego nie zrobić tego jawnie? – zapytał. – Dlaczego nie powiedzieć komuś, co wiesz?

Próbowałem powiedzieć Kazimieniu i zobacz, co z tego wynikło. Lou, nikt się nie dowie o tym laboratorium, jeśli to cię martwi. Mało kto zjeżdża na ten poziom, a jeśli już, nie ma powodu tutaj zaglądać. Co więcej, ich klucze nie zadziałają. Mój przyjaciel mechanik i ja tego dopilnowaliśmy. Każdy się podda, zanim wpadnie na pomysł, żeby szukać wyjaśnienia.

– Potrzebuję trochę czasu do namysłu – zaznaczył Lou, odwracając się plecami.

– Widziałeś, jak szybko pogarsza się stan Chrupa.

Mężczyzna naciskał – stosował najpewniejszy sposób, żeby do niego dotrzeć albo żeby dotrzeć do większości lekarzy: naciskać i nie ustępować. Lou spojrzął w sufit i przeciągnął po włosach palcami. Miał znajomości w szpitalach w Waszyngtonie.

Pokaz szachowy Humphreya z pewnością robił ogromne wrażenie, ale przyjęcie na siebie roli jego rąk i nóg będzie czasochłonne i prawdopodobnie bezproduktywne, nie wspominając o tym, co może się stać, gdy zostaną przyłapani i aresztowani. Lou zastanawiał się, czy jest w stanie zdobyć więcej informacji o tym człowieku i o jego niekonwencjonalnych teoriach wykorzystania bakteriofagów do zniszczenia niebezpiecznych bakterii. Pomyślał o doktorze Scupmanie i jego asystentce Vicki Banks.

– Powiedz mi, Humphrey, co robiłeś dla tego Kazimiego, jeśli nie mogłeś pracować na sprzęcie laboratoryjnym?

– Modelowanie komputerowe. To ciężkostrawne, trudne do zrozumienia.

– Przekonajmy się.

– Co?

– Należałem do najlepszych na roku na medycynie. Jeśli chcesz, żebym był twoim asystentem, spraw, żebym zrozumiał.

Humphrey po chwili namysłu pojechał w kąt pomieszczenia. Stało tam małe biurko z laptopem, a także kubkami pełnymi piór, ołówków i pisaków. Sięgnął prętem, żeby otworzyć szufladę.

– Wyjmij notes – polecił.

Lou wyciągnął gruby segregator pełen czegoś, co wyglądało na artykuły

i wydruki. Napisanie wyjaśnienia zajęło Humphreyowi prawie dziesięć minut.

Notes zawiera podstawy mojej teorii i coś w rodzaju instrukcji obsługi bakteriofagów, które, o czym jestem przekonany, spełnią swoje zadanie. Przeczytaj uważnie. Zrób notatki. Przygotuj sobie pytania. Użyłem najnowszych programów do symulacji komputerowych, żeby przewidzieć reakcje bakterii na fagi na różnych etapach rozwoju i leczenia. Zrozumienie modeli matematycznych nie będzie dla ciebie łatwe pomimo twojej inteligencji, ale wierz mi, wyniki są nie do obalenia. Proszę, żebyś uważał. To jedyny istniejący wydruk, choć mogę go zduplikować z komputera.

Lou przewertował notes, będąc pod głębokim wrażeniem wnikliwości badań.

- Chcę to przejrzeć.
- Ufam, że zachowasz dyskrecję i ostrożność, komukolwiek pokazując te materiały. Ale wiedz, że cię potrzebuję.
- Ile mam czasu?
- Zajrzyj do swojego przyjaciela, doktorze Welcome. Wtedy mi powiesz.

ROZDZIAŁ 27

Żeby zdusić ogień amerykańskiego dobrobytu, wystarczy narzucić na niego koc programów rządowych.

Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

Lou spędził noc w pokoju hotelowym, strona po stronie czytając dokumentację badań Humphreya. Zrozumienie ich graniczyłoby z cudem, gdyby Humphrey nie dołączył pięciostronicowego podsumowania dotyczącego najważniejszych etapów.

O trzeciej nad ranem nawet dyscyplina wyniesiona ze studiów medycznych i z kolejnych szpitali, gdzie był rezydentem, nie pomogła mu zachować koncentracji ani nie uchroniła go przed pogrążeniem się w głębokiej melancholii. Był oddany Chrupowi, ale tęsknił za swoim życiem w Waszyngtonie – za mieszkaniem nad pizzerią Dimitri's, SOR-em, a przede wszystkim za Emily. Martwił się również o lekarzy, którymi opiekował się w OOL-u. Przez nagłą decyzję Waltera Filstrupa uświadomił sobie, w jak dużym stopniu jego życie kręciło się wokół właśnie straconej pracy.

Człowiek nie wie, co ma, dopóki tego nie straci...

Taka melodia zagościła w jego głowie i nie chciała odpuścić. Co to było? Może jakiś musical. Mniejsza z tym. Wiedział, że gdyby powtórzyła się identyczna sytuacja, nie postąpiłby inaczej, nawet za cenę pracy w OOL-u.

Był tam, gdzie powinien, i pomaganie Chrupowi w każdy możliwy sposób było właściwe. Szpital Arbor miał światową renomę, ale i on, i inne szpitale zostały przechytzone i pokonane przez organizm o średnicy nie większej niż parę mikronów. W centrum tych zmagania znajdował się wysoki prawie na metr osiemdziesiąt, silny jak na swój wiek Chrup Duncan. Widok osłabionego sponsora utwierdzał Lou w przekonaniu, że musi zrobić wszystko, żeby go uratować, nawet gdyby miało się to wiązać z założeniem niezatwierdzonego, nielegalnego laboratorium, w którym Humphrey Miller mógłby przeobrazić teorię w rzeczywistość – abstrakcyjne idee w ocalone żywoty.

Informacje zawarte w notesie świadczyły o tym, że Humphrey przeprowadził drobiazgowo i dobrze udokumentowane badania naukowe. Lou nie wiedział i bez zasięgnięcia specjalistycznej porady nie mógł wiedzieć, czy podejście genialnego technika farmacji naprawdę ma takie same szanse powodzenia – albo i większe – niż to tradycyjne.

Jedno wydawało się pewne – doktor Iwan Karawanowicz nie dorastał do tego zadania ani nie potraktowałby pracy Humphreya na serio, nawet gdyby przeprowadził badania na bakteriofagach. Puchalsky nigdy nie dostrzegłby

geniuszu uwięzionego w kalekim ciele Humphreya. Mimo to Lou wiedział, że musi postarać się o jakąś specjalistyczną ocenę niekonwencjonalnej propozycji.

Mając to na względzie, zadzwonił do Vicki Banks i umówił się na spotkanie z nią i jej szefem, Samem Scupmanem. Jeszcze siedem godzin i może uzyskać jakąś odpowiedź.

Gdyby tylko mógł zasnąć.

Lou miał wrażenie, że minął rok, odkąd siedział w pokoju konferencyjnym nowego Zakładu Oporności na Antybiotyki w CDC. Biorąc pod uwagę ilość wydarzeń, tak właśnie było. Jak poprzednio, uzbrojony strażnik odeskortował go do pokoju, po czym powiadomił, że doktor Scupman i doktor Banks spóźnią się na spotkanie. Gdy Lou na nich czekał, jeszcze raz przejrzał pięciostronicowe streszczenie też Humphreya Millera, jedyną część grubego notesu, którą postanowił ze sobą zabrać. Po godzinach studiowania uznał, że zaczyna się orientować. I podobało mu się to, co rozumiał.

Bakteriofagi – phago z greki znaczy „pożeram” – czyli trzy tysiące gatunków wirusów występujących w glebie, płytkich wodach oceanicznych i innych ekosystemach, są zdolne do atakowania konkretnych gatunków albo szczepów bakterii i zakłócania ich reprodukcji. Lou dostrzegł ironię w tym, że mięsożerna bakteria może być zjadana od środka przez inny mikroorganizm. Po odkryciu fagów w 1917 roku powiązano je z cudownymi wodami – rzekami w Indiach i innych miejscach obdarzonych uzdrowicielską mocą, leczącymi wiele chorób od trądu po cholere. Badając naturalne przypadki wyleczenia z dezynterii, naukowcy odkryli, że cudownymi lekami były fagi atakujące i niszczące chorobotwórcze bakterie. Używanie wyhodowanych fagów do walki z zakażeniami bakteryjnymi wywołało kontrowersje i nie zostało powszechnie zaakceptowane. Propozycja Humphreya miała przesunąć wszelkie znane granice wykorzystywania wirusów w celach terapeutycznych.

Lou czuł, że teoria ma solidne podstawy i może się sprawdzić. Chrupowi zostało już bardzo mało czasu, więc po prostu musi się sprawdzić.

Martwił się, że Scupman może odmówić dokonania profesjonalnej oceny na podstawie pięciostronicowego streszczenia, ale jednocześnie był bardzo przejęty ewentualnym ujawnieniem tożsamości Humphreya. Nowy znajomy dał mu wolną rękę, jednak obaj wiedzieli, że niewłaściwe słowo skierowane do niewłaściwej osoby może oznaczać koniec jego laboratorium, jeszcze zanim powstanie i zacznie działać.

Po dziesięciu minutach Sam Scupman wszedł do pokoju konferencyjnego, a dwie minuty później dołączyła do nich Vicki Banks. Scupman był jeszcze bardziej zmęczony i rozczochrany niż podczas poprzedniego spotkania i prawdopodobnie od tamtej pory nie zmienił kitla laboratoryjnego. Lou zwrócił wagę na ciemne kręgi pod jego zielonymi oczami. Nic tak nie powoduje

bezsensowności u mikrobiologa jak niezniszczalna bakteria pożerająca ciało. Banks natomiast wyglądała równie interesująco i była tak samo niewzruszona jak wcześniej, z ciężkimi okularami w grubych oprawkach i kruczoczarnymi włosami uczesany w kok. Jeśli od ostatniego spotkania zaszła w niej jakaś zmiana, to taka, że wydawała się mniej powściągliwa i bardziej skora do uśmiechu.

– Doktorze Welcome – powiedział Scupman – miło pana znów widzieć. To pan zadał tamto doskonale pytanie o *B. pseudomallei*.

– Schlebia mi, że pan pamięta.

Lou wymienił uściski dłoni z obojgiem naukowców, zanim wszyscy zajęli miejsca przy stole konferencyjnym. Ręka Banks była gładka i pomimo klimatyzacji całkiem ciepła.

Scupman odezwał się pierwszy.

– Podczas rozmowy telefonicznej z doktor Banks wspomniał pan, że chce z nami pomówić o wyjątkowym rodzaju bakterii. Przyznam, że zaintrygowała mnie pańska powściągliwość, jeśli chodzi o podanie szczegółów. Niestety, dzisiaj mam mało czasu, więc musimy od razu przejść do sedna.

– Nie bakterii, doktorze Scupman. Bakteriofagów.

– Słucham?

Naukowiec nagle się ożywił.

– Pacjent szpitala Arbor, Hank Duncan, jest w poważnych kłopotach. Dwa tygodnie temu doznał otwartego złamania kości udowej, a teraz jest zarażony mięsożernymi bakteriami opornymi na antybiotyki. Hank prowadzi salę treningową w Waszyngtonie i jest znany w mieście jako Chrup. To mój najlepszy przyjaciel.

– Szyna! – wykrzyknęła Banks.

– Słucham?

– To pan jest lekarzem, który opatrzył złamanie w górach, na północ stąd, prawda?

Lou niezupełnie mógł odczytać wyraz jej oczu, ale podobało mu się to, co w nich widział.

– Wydaje się, że poczta pantoflowa w Arbor przekazuje informacje równie szybko jak ta w stolicy – odparł. – Nastawiłem złamaną nogę, ale nie dokonałbym tego bez pomocy przyjaciela.

– Tak słyszałam. Niesamowita historia. Przykro mi, że wystąpiły komplikacje.

– Dziękuję. Dlatego tu jestem. Specjalista chorób zakaźnych zajmujący się przypadkiem Chrupa, doktor Ivan Puchalsky, użył określenia Mikrob Sądneho Dnia, kiedy ze mną rozmawiał.

Lou podał im kopie streszczenia Humphreya.

– To od Puchalsky'ego? – zapytał Scupman z pogardą, która natychmiast podniosła jego notowania u Lou. – Arogancki sukinsyn – mruknął, zyskując

kolejne punkty.

– Nie. Puchalsky nie ma z tym nic wspólnego. Podzwoniłem w różne miejsca, kiedy mi powiedziano, co się dzieje z Chrupem. Jeden ze znajomych mi to przysłał.

Scupman nie tyle przeczytał, ile przebiegł wzrokiem strony. Przymrużył oczy i zrobił skwaszoną minę. Jego mowa ciała – ręce skrzyżowane na piersi, sposób siedzenia – sugerowała sceptycyzm.

– Jest pan pewien, że nie jest to kompilacja Puchalsky’ego? Właściwie to nieważne. Nie wygląda to na jego pomysł. Proszę mi wybaczyć, że tak mówię, ale jest mikrobiologiem zajmującym się przede wszystkim zakażeniami szpitalnymi, więc ma dość ograniczony zakres zainteresowań, podobnie jak niewielki respekt dla potęgi bakterii. Czy pani się z tym zgodzi, doktor Banks?

– Szczerze mówiąc, sądzę, że trochę zbyt surowo ocenia pan tego człowieka.

Lou podejrzewał, że Scupman ma podobną opinię o większości kolegów po fachu. Zastanawiał się, czy Ahmed Kazimi włączył go do swojej wirtualnej grupy specjalistów. Nie zdziwiłby się, gdyby tego nie zrobił.

– Szukam wszelkich informacji, które pomogą mojemu przyjacielowi – powiedział.

– Przykro mi to mówić – rzekł Scupman – ale większa część naszej pracy nad tymi bakteriami jest tajna. Tak to jest z laboratorium rządowym. Ale mogę pana zapewnić, że gdybyśmy dokonali jakiegoś przełomu, pański przyjaciel już byłby poddawany terapii.

– Dlatego chciałem, żeby pan zobaczył ten dokument – zaznaczył Lou.

– Kto go napisał?

– Obiecałem autorowi, że przekażę mu pańską opinię, zanim ujawnię jego tożsamość.

– Prawda jest taka, że w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, kto to napisał. Na podstawie tego streszczenia z dużą dozą pewności mogę powiedzieć, że pomysł nie wypali. Co pani sądzi, doktor Banks?

Lou patrzył, jak Banks po raz drugi czyta podsumowanie. Przynajmniej jedno z nich poświęciło odpowiednio dużo uwagi pracy Humphreya.

– Doktorze Welcome – zaczęła – doktor Scupman i ja prowadziliśmy badania nad wykorzystaniem fagów, lecz bez obiecujących rezultatów. Wprawdzie nie próbowaliśmy zastosować kombinacji fagów przedstawionej na stronie trzeciej i czwartej, ale za mało tutaj na ten temat informacji.

– Za mało? – wtrącił Scupman. – Prawie nic nie ma. Po co te odsyłacze? Do niczego nie odsyłają. Nie ma bibliografii ani żadnych przypisów. Ten, kto to napisał, najwyraźniej ma więcej informacji, niż postanowił tu zamieścić. Dlaczego?

– Tego nie mogę powiedzieć – odparł Lou – ale przyznam, że rzeczywiście materiałów jest więcej. Znacznie więcej.

– Niech je pan przyniesie, jeśli zależy na tym pańskiemu tajemniczemu naukowcowi, ale w tej chwili nie mogę obiecać, że przejrzę je wcześniej niż za dwa miesiące. Doktor Banks, chce pani coś dodać?

– To oczywiste, że pański przyjaciel wiele dla pana znaczy, zgadzam się jednak z doktorem Scupmanem. Zaprezentowane tu teorie są interesujące, ale to żadna nowość. Jeśli to naprawdę dla pana ważne, w przyszłym tygodniu spróbuję przeczytać całość materiału.

– Przykro mi, muszę nalegać, żeby pani tego nie robiła – powiedział Scupman ze ściągniętą twarzą, wyraźnie zirytowany.

Banks się zarumieniła.

– Zajmę się tym w czasie wolnym.

– Doktor Banks, dopóki będę pani zwierzchnikiem w tym laboratorium, pani czas jest moim czasem. Prowadzimy tutaj walkę na śmierć i życie z jednym z najbardziej podstępnych, opornych i potężnych gatunków bakterii, z jakimi człowiek kiedykolwiek miał do czynienia. Proszę pomyśleć o Attyli, Dżyngis-chanie i Hitlerze razem wziętych. Jeśli ma pani wolny czas, proponuję go spożytkować na badania nad nowym antybiotykiem, który opracowuje pani ze swoim zespołem.

Lou poczuł żar na karku.

– Ale... – zaczął protestować.

Banks, patrząc mu w oczy, leciutko pokręciła głową, więc się powstrzymał.

Czy Scupman coś ukrywa... albo kogoś kryje? – zastanawiał się. Po tym miłośniku bakterii spodziewał się wprawdzie ekscentrycznego zachowania, ale w ten sposób traktując zatroskanego lekarza i swoją asystentkę, mikrobiolog przekroczył granicę między ekscentryzmem i grubiaństwem. Lou zdecydował, że właśnie z tego powodu pomoże Humphreyowi urządzić laboratorium, bez względu na wszystko. Mimo to musiał jeszcze podjąć ostatnią próbę uzyskania jakichś słów zachęty od szefa zakładu.

– Doktorze Scupman, doktor Banks, wiem, że sprawdziliście wpływ bakteriofagów na Mikrob Sądneho Dnia, ale co myślicie o propozycji jednoczesnego zastosowania trzech różnych typów, jednego przeciwko postaci Gram-dodatniej, a dwóch przeciwko Gram-ujemnej?

Naukowiec odsunął krzesło od stołu i wstał.

– W ciągu paru ostatnich lat naukowcy opracowali kilkanaście różnych antybiotyków i jesteśmy blisko stworzenia kilkunastu następnych. Jeden z nich, albo kombinacja, w końcu wystarczy, żeby zatrzymać tego tak zwanego Mikroba Sądneho Dnia, przynajmniej dopóki ten tyran nie wykombinuje, co się dzieje, i nie zmutuje. Prawie od stu lat wiemy o istnieniu bakteriofagów. Nie bez powodu nie przyjęły się jako środek bakteriobójczy.

Lou nie krył zawodu, gdy Banks też się podniosła. Musiał więc zrobić to

samo.

– Trzy różne formy fagów to interesujące podejście – powiedziała. – Użycie ich można porównać do podkładania ognia przez strażników leśnych, żeby walczyć z pożarem. Małe szanse powodzenia, ale może sama koncepcja nie jest zupełnie pozbawiona sensu. Doktorze Scupman?

– Proszę mi wybaczyć brutalną szczerłość – odpowiedział Scupman – ale myślę, że to, co może pan zrobić, to zapalić świeczkę za swojego przyjaciela. Mamy tylko tyle czasu i ludzi, żeby podążać jedynie najbardziej obiecującymi ścieżkami. Terapia bakteriofagami zdecydowanie do nich nie należy. Teraz, jak uprzedzałem, mam kolejne spotkanie, a przedtem chcę rzucić okiem na obiecujące próby doktor Banks. Dziękuję za starania, doktorze Welcome. Rozumiem pańską godną ubolewania sytuację. Jeśli pan nam wybaczy...

Lou był oszołomiony. Albo Scupman nie lubił, gdy ktoś kwestionował jego opinie, albo nie mógł ścierpieć samej myśli o tym, że jego superzarazek ma jakieś słabe strony. Zachowywał się tak, jakby kibicował przeciwnej drużynie, mając nadzieję, że lek nie powstanie i superzarazek nigdy nie natknie się na swój kryptonit.

Scupman ostentacyjnie podszedł do biurka stojącego w kącie pokoju, podniósł słuchawkę, wybrał numer i zaczął mówić głośniejszym głosem, niż musiał.

Banks obrzuciła Lou współczującym spojrzeniem i tak cicho, żeby tylko on usłyszał, powiedziała:

– Przepraszam za zachowanie Sama. Nie jest złym facetem, po prostu ma wyrobione zdanie i, jak zapewne pan się domyśla, odczuwa ogromną presję.

– Ale pani nie zgadza się z jego zdaniem? – zapytał Lou, zgarniając papiery.

Banks ściągnęła usta i starannie, z wielką rozważą dobierając słowa, odparła:

– Myślę, że pańska propozycja nie jest zupełnie bezwartościowa. Sam się jednak nie myli. Udoskonalenie zaproponowanej metody prawdopodobnie wymagałoby więcej czasu i ludzi, niż mamy.

Albo, pomyślał Lou, najgenialniejszego mikrobiologa, o którym nikt nigdy nie słyszał.

– Nie zostało mi wiele możliwości – odparł. – Dziękuję, doktor Banks. Dała mi pani coś ważnego.

– Co takiego?

– Odrobinę nadziei.

Banks odpowiedziała nikłym uśmiechem. Nadzieja, mówiła jej mina, nie wystarczy.

– Proszę mówić mi Vicki. Posłuchaj, Lou, jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu twojego przyjaciela. Mam wielką nadzieję, że z tego wyjdzie.

– Ty i wielu innych ludzi. Jeszcze raz dziękuję.

Scupman wciąż mówił do słuchawki. Lou przez chwilę się zastanawiał, czy

rzeczywiście ktoś jest na drugim końcu linii. Zrobił krok w stronę drzwi, kiedy Vicki zapytała:

– Chciałbyś wyskoczyć ze mną na drinka? Przykro myśleć, że jesteś w obcym mieście i musisz samotnie rozprawić się z tym, co leży na talerzu.

– Dzięki. Zamierzam poczytać o bakteriofagach – powiedział, myśląc o pracy czekającej na niego w dolnej piwnicy szpitala Arbor. Zaraz jednak, zanim zdążyła przyjąć odmowę, dodał: – Do licha, z przyjemnością. Kiedy?

– Może pojutrze? W tym tygodniu mamy zebrania poświęcone budżetowi. Możemy się spotkać przed tym budynkiem o piątej po południu. Stąd jest tylko kilka przecznic do knajpki, którą lubię. Niebieski Wół, cudowna atmosfera, tylko trochę gorsze jedzenie.

– Skąd wiesz? – zapytał Lou.

– Co?

– Skąd wiesz, że potrzebuję przyjaciela?

Vicki błysnęła promiennym uśmiechem.

– Zawsze miałam w nadmiarze kobiecej intuicji – odparła.

ROZDZIAŁ 28

Zapamiętaj moje słowa: 14 sierpnia 1935 roku to dzień, którego Amerykanie gorzko pożałują.

Lancaster R. Hill, korespondencja z Jamesem Kinchleyem, marzec 1936

Wszystkie myszy zdechły.

Dwadzieścia klatek, w każdej jedna mysz zainfekowana czystym genetycznie szczepem, stało na ławce w laboratorium Kazimiego. Zakażenie nie szerzyło się drogą kropelkową, ale na wszelki wypadek potężne filtry HEPA bez przerwy oczyszczały powietrze. W laboratorium był też wieszak z kombinezonami ochronnymi klasy B i prysznic do dekontaminacji.

Kilka godzin wcześniej myszy były ożywione – biegały, popiskiwały, węszyły i stawały na tylnych łapkach, gdy próbowały się wspiać na plastikowe pręty klatki. Dwie godziny po wstrzyknięciu bakterii Janus do jamy otrzewnej zrobiły się apatyczne. Godzinę później wszystkie nie żyły.

Kazimi wyjął mysz z klatki i zaniósł ją na stół, gdzie przeprowadzał autopsje.

Zrobił staranne nacięcie skalpelem od brzucha po szyję, po czym rozwieraczem rozsunął skórę i mostek. Zobaczył dokładnie to samo, co podczas wcześniejszych prób. Wnętrznosci myszy zniknęły, przeszły w stan ciekły. Otworzył pięć następnych gryzoni. Narządy wewnętrzne uległy roztopieniu. U kilku martwych zwierzątek przez otwór wyjedzony przez bakterie w otrzewnej zobaczył płynną zgniliznę.

Spodziewał się szybkiej reakcji, gdyż wstrzyknął myszom potężną dawkę zarazków, ale prędkość rozwoju choroby i następowania śmierci naprawdę mroziła krew w żyłach.

Zgodnie z obietnicą laboratorium było wyposażone odpowiednio do jego potrzeb. Kazimi rozważył przedstawioną mu przez Bacona możliwość współpracy z odkrywcą szczepu Janus, ale uznał, że na razie woli pracować sam. Trzy dni zajęło mu wyhodowanie najnowszych kultur bakterii, które miały ochronić myszy przed Janusem. Jego próby były formą hamowania współzawodniczącego przy użyciu genetycznie „wykastrowanych”, nietoksycznych bakterii uzyskanych z Mikroba Sądnego Dnia.

Koncepcja polegała na zalaniu mysiego organizmu nieszkodliwymi, zmodyfikowanymi bakteriami, które miały konkurować ze zjadliwą postacią o miejsca wiązania. Jednocześnie rywalizujące bakterie stymulowałyby układ odpornościowy do produkowania antyciał przeciwko sobie i Janusowi.

Tyle że myszy zdechły.

Kazimi zapakował rozpuszczone truchelka do hermetycznego pojemnika i ciężko powłócząc nogami, poszedł pod prysznic. Coraz bardziej czuł się jak bezręki kaleka, który próbuje pisać na komputerze. W zwyczajnym ubraniu ruszył do wielkiego salonu, gdzie padł na skórzany fotel, świadom, że prawie na pewno jest obserwowany przez kamerę, prawdopodobnie niejedną. Pracował, niewiele czasu poświęcając na sen, i zmęczenie zbierało żniwo. Wilgotny chłód Red Cliff wsączał mu się w kości i przyprawiał go o drżenie. Ktoś napalił w wielkim kominku z polnych kamieni, ale ciepło nie docierało tam, gdzie siedział. Zrezygnował z pomysłu, żeby przenieść się bliżej, bo miał nogi jak z waty i bolały go plecy. Ściągnął koc ze stojącej obok kanapy, zarzucił go na ramiona i zamknął oczy, pragnąc snu, który nie chciał nadejść.

Z doniesień wynikało, że szczerp Janus stawał się coraz bardziej agresywny. Bakterie, które wcześniej wymagały głębokiej rany, żeby wgryźć się w ciało, obecnie mogły wnikać do wnętrza ofiary nawet przez małe kałeczenie. Pod względem epidemiologicznym Mikrob Sądnego Dnia rozprzestrzeniał się z coraz większą prędkością i w niektórych szpitalach już wprowadzono zastrzone procedury zapobiegania szerzeniu się zakażenia. Kazimi obawiał się, że niedługo czeka ich wybuch epidemii.

Zmrożony zarówno tą przerażającą perspektywą, jak i zimnem kamiennych ścian, wiedział, że niepowodzenie jego badań staje się coraz ważniejszym powodem do podjęcia próby ucieczki. Jeśli nawet Stu Bliźnich nie spełni swojej groźby i nie zabije wszystkich drogich mu osób, Janus w końcu zrobi to za nich. Musi być nieustraszony. Musi ostrzec ludzi w Waszyngtonie przed groźącym kryzysem. Czas potajemnej pracy laboratoryjnej dobiegł końca. Zrobił wszystko, co mógł, i poniósł porażkę.

Zbliżała się pora popołudniowej modlitwy asr. Pracując praktycznie bez chwili przerwy, Kazimi modlił się, nie wychodząc z laboratorium. Teraz zmusił się, żeby wstać, podszedł do wielkich okien, spojrział w dół na znajdującą się blisko krawędź urwiska i przebiegł w myślach wszystko, co wiedział o Red Cliff. Skrzydło z laboratorium i Wielką Salą przylegało do głównej budowli i było z nią połączone krętym, bezustannie strzeżonym korytarzem. O ile się orientował, nie było tam innego wyjścia ani wejścia.

Daleko w dole ze skalistej podstawy klifu wychodził w morze drewniany pomost, obok którego stał zadbane hangar na łódzie. Kilka razy widział motorówkę w kształcie cygara, z dwoma potężnymi silnikami, przywożącą zaopatrzenie. Nie miał pojęcia, jak transportowano je na górę, do zamku. Przynajmniej część tych dostaw nie była przeznaczona do jego laboratorium. Nie widział schodów ani ścieżek prowadzących na brzeg. Przecież do hangaru musi prowadzić jakaś droga, która nie wymaga schodzenia po wysokim na trzydzieści metrów urwisku.

Ale gdzie?

Usłyszał kroki. Odwrócił głowę i zobaczył, że Doug Bacon wyszedł z korytarza i idzie w jego stronę. Stukot laski na kamiennej podłodze brzmiał jak strzelanie z bicia. Kazimi pomyślał, że Bacon mocniej utyka. Może przez chłód. Jego twarz wydawała się blada i ściągnięta. Stres. Janus dawał się we znaki i swojemu stwórcy, i prześladowcy.

Bacon lekkim ruchem głowy odprawił wielkiego afroamerykańskiego ochroniarza Drake'a, który wszedł za nim. Kazimiego ścisnęło w brzuchu na myśl, że zostanie sam z tym człowiekiem. Przez chwilę rozważał, czy nie wziąć go jako zakładnika i w ten sposób nie wytargować wolności. Zły pomysł. Potrzebował swobody, którą da mu zaufanie. W tym momencie ucieczka wydawała się prawie niemożliwa.

– Przyszedłem zobaczyć, jak pan sobie radzi – powiedział Bacon.
– Ma pan przecież kamery i monitory. Jak pan sądzi, co robię?
– Jakieś postępy?
– Myszy nie żyją. Wszystkie padły.
– Przykro mi to słyszeć. Wygląda pan na zmęczonego. Dlaczego pan trochę nie odpocznie?

– Naukowcy zawsze wierzą, że następny eksperyment się uda.
– Rozumiem – rzekł Bacon, uśmiechając się sztywno. – To, co zdobywa się bez konfliktu czy walki, rzadko jest warte zdobywania.
– To prawda.

Kazimi rozpoznał cytaty z listu Lancastera Hilla, ale zachował ten fakt dla siebie. Nie miał ochoty rozmawiać o błędnych poglądach Hilla z takim fanatykiem jak Bacon.

– Niech mi pan powie, jak przedstawia się sytuacja – poprosił Bacon.
– Mimo niepowodzenia wierzę, że moja teoria hamowania współzawodniczącego ma solidne podstawy.
– Podziwiam pańskie zaangażowanie. Przybyła nowa partia myszy. Jest pan pewien, że nie potrzebuje pomocy naszego naukowca?

Kazimi zestawiał utratę odrobiny prywatności i swobody ruchów z możliwością, że mikrobiolodzy pracujący dla Bacona pomogą mu w odniesieniu sukcesu.

– Jeszcze nie – odparł.

Gdy patrzył na szary jak łupek ocean, zaczął rozmyślać o tajemniczym członku swojej grupy zadaniowej, Humphreyu Millerze.

Miller wydawał się najbardziej pomysłowy i najbardziej nieszablonowy ze wszystkich ludzi w powołanym przez niego zespole. Nigdy jednak nie spotkali się twarzą w twarz ani nawet ze sobą nie rozmawiali. Miller skontaktował się z nim kilka lat temu przez jakieś forum internetowe. Po wymianie wielu e-maili i informacji Kazimi praktycznie wciąż go nie znał. Miller napisał mnóstwo

zdumiewających prac, ale, o ile Kazimi wiedział, żadnej nie opublikował. Jego nazwisko, jeśli rzeczywiście tak się nazywał, nie było powiązane z wydziałem żadnego uniwersytetu. A mimo to nikt nie mógłby mu odmówić talentu i kreatywności.

Tajemniczy człowiek.

Miesiąc czy dwa przed porwaniem Kazimi stracił cierpliwość do Humphreya Millera, który z uporem forsował teorię bakteriofagów. Co więcej, choć jego umowa z Baconem obejmowała ujawnienie składu całego wirtualnego zespołu, pominął Millera jako kogoś, kto nie ma z nim związku. Teraz, gdy ponosił jedną porażkę po drugiej, rozważał, czy nie podzielić się z Baconem niekonwencjonalnym pomysłem Millera. Narażenie Millera albo kogokolwiek innego na niebezpieczeństwo było ostatnią rzeczą, jakiej chciał, ale sytuacja stawała się rozpaczliwa. Jak zawsze, odpowiedzią będzie modlitwa do Allacha o jasność i wizję.

– No dobrze – powiedział Bacon. – Niech pan kontynuuje badania. I jeśli czegoś potrzeba, proszę żądać bez wahania. Ale przypominam, czas ucieka.

Odwrócił się do wyjścia.

– Bacon, niech pan posłucha – rzucił Kazimi. – Musi pan zezwolić mnie i swoim naukowcom na współpracę z rządem. Błędnie oceniliście potęgę Janusa. Sam pan właśnie powiedział, że czas ucieka. Potrzebujemy więcej możliwości.

– W takim razie niech pan przyjmie do pomocy naukowców, jak proponowałem.

Kazimi pokręcił głową.

– Potrzeba ogromnego, skoordynowanego wysiłku wszystkich. Mutacja zmieniła zasady gry. Nie wystarczyłaby nawet moja grupa ekspertów.

Bacon obrócił się w jego stronę, jego oczy połyskiwały jak węgle pogrzebane głęboko w palenisku.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Tylko przewaga wynikająca z posiadania środka zwalczającego Mikroba Sądnego Dnia może zmusić ten ociężały rząd do spełnienia naszych żądań. Nie zaszliśmy tak daleko po to, żeby się teraz wycofać.

– Ale nie macie możliwości zapanowania nad tym, co stworzyliście. Prędzej czy później, nawet jeśli Kongres poprze uchwały, jakich się domagacie, jeśli nawet zgodzi się zmienić sposób działania naszego rządu, stanie się jasne, że nie możecie dotrzymać złożonej obietnicy.

Bacon trzasnął okuciem laski w kamień.

– I właśnie dlatego musi się panu udać, doktorze Kazimi! – krzyknął przenikliwym, nerwowym głosem. – Musi się panu udać mimo wszystko.

– Mogą umrzeć dziesiątki tysięcy, nawet miliony ludzi.

Bacon był bliski apopleksji.

– Bez zmian, jakich żądamy, w tym kraju są zagrożone setki milionów!

Grozi nam ubóstwo! Grozi nam utrata prestiżu na forum międzynarodowym! Setki milionów ludzi zostaną bez środków do życia, kiedy gospodarka tego kraju się załamie. Nie jesteśmy tutaj, doktorze Kazimi, żeby ratować pojedyncze życie albo nawet kilkaset istnień ludzkich. Naszą rolą jest ocalenie narodu!

– Jest pan obłąkany! Wszyscy jesteście obłąkani.

Ogień w oczach Bacona przygasł, zastąpiony wkrótce przez niepokojącą mieszaninę wizjonerstwa, determinacji i opanowania.

– Los wielu ludzi zależy od tego, czy odniesie pan sukces, doktorze – rzekł spokojnie. – Niech pan nie sprawi im zawodu.

Podszedł do barku i nalał sobie drinka. Kazimi stał przy strzelistych oknach z bezwładnie zwieszonymi rękami, ze spuszczoną głową. Odwoływanie się do rozsądku Stu Bliźnich nie miało sensu. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

– Proszę usiąść przy ogniu – powiedział Bacon. – Każę przynieść coś do jedzenia.

Skinął palcem na wielkiego goryla i mężczyzna bez słowa zniknął w mroku korytarza.

Piętnaście minut później Harris przywiózł na srebrnym wózku wykwintne dania. Kazimi jadł z apetytem, porządnie wygłodniały. Strajk głodowy nie przyniesie nic dobrego ani jemu, ani światu. Podczas posiłku kilka razy go kusilo, żeby wspomnieć Baconowi o Millerze, jednak za każdym razem się powstrzymał. Jeśli zawiodą następne próby, jeśli padnie nowa partia myszy i jeśli nie znajdzie sposobu na ucieczkę z Red Cliff, wtedy to zrobi, nie mając większego wyboru. Na własne oczy widział Alexandra Burke'a w akcji i nie miał cienia wątpliwości, że stowarzyszenie znajdzie Millera.

Po lunchu Kazimi postanowił wrócić do laboratorium na modlitwę asr. W krótkim korytarzu łączącym Wielką Salę z laboratorium minął drugiego ochraniacza Bacona – białego, dziobatego zbira o byczym karku. Mężczyzna zwany Costello niósł duży karton, który prawdopodobnie zawierał jakiś sprzęt laboratoryjny, ale teraz wyglądał na pusty. Kazimi rozmyślnie odwrócił wzrok. Nie chciał mu spoglądać w oczy.

– Zostawiłem myszy i jakieś inne rzeczy w pokoju dla zwierząt, doktorze – powiadomił go Costello głosem szorstkim jak papier ścierny. – Wrócę po kolacji, żeby posprzątać klatki.

– Dobrze, dziękuję.

Kazimi przystanął i patrzył, jak strażnik go mija, idąc korytarzem do Wielkiej Sali.

Zamiast się odwrócić i pójść do laboratorium, stał jak sparaliżowany, nie mogąc oderwać wzroku od wejścia do Wielkiej Sali. Coś się nie zgadzało.

Czy Costello poszedł do laboratorium wtedy, gdy on jadł lunch z Baconem? Niemożliwe. Olbrzym nie przeszedłby obok nich niepostrzeżenie. A może przysnął

przy kominku i nie zauważył mężczyzny niosącego duże kartony i klatki z myszami? Wykluczone.

Ale skoro Costello nie przechodził przez Wielką Salę, żeby dostarczyć zaopatrzenie z hangaru do laboratorium, to jak się tam dostał? Bacon jasno powiedział, że do laboratorium prowadzi tylko jedna droga, przez Wielką Salę.

Z pewnością nie po raz pierwszy i zdecydowanie nie po raz ostatni właściciel Red Cliff go okłamał.

ROZDZIAŁ 29

Ubezpieczenia społeczne zagrażają stabilności ekonomicznej Ameryki i tym samym powinny być postrzegane nie jako postęp, ale raczej jako atak na naszą wolność.

Lancaster R. Hill, z przemówienia na konferencji Stowarzyszenia Johna Bircha, Memphis, Tennessee, 21 września 1962

Lou stał w cieniu klonu w pobliżu wejścia do Zakładu Oporności na Antybiotyki i czekał na Vicki Banks. Minęły dwa dni, odkąd umówili się na spotkanie, i był zaskoczony tym, jak często o niej myślał. Z pewnością była atrakcyjna, choć może w sposób typowy dla mola książkowego, ale bardziej pociągał go jej spokój i intelekt, a także wrażliwość, dzięki której odgadła, że bardzo potrzebuje kogoś do rozmowy. Smutek spowodowany utratą pracy, rozłąką z Emilią i stanem przyjaciela wwiercał się w niego jak kleszcz.

Dni były stresującym zlepkiem godzin spędzonych przy łóżku Chrupa i jeszcze większej liczby godzin pracy pod czujnym okiem podekscytowanego Humphreya, polegającej na rozcinianiu kartonów i urządzaniu laboratorium. Co do jednego ten człowiek miał rację – jeśli będą mieli pewne siebie miny i nie okażą nerwowości podczas jazdy windą towarową i wędrówek po trzewiach szpitala, nikt się nimi nie zainteresuje.

Stan kliniczny Chrupa się pogarszał, choć wolniej, niż Lou przewidywał – dzięki boksterskiemu hartowi ducha i nadzwyczajnej kondycji, a może też antybiotykom przepisany przez Ivana Puchalsky'ego. A jednak, jak taktownie ujął to Sam Scupman, czas nie był towarem, którego Chrup miałby w nadmiarze. Los nogi ważył się z godziny na godzinę. Lekarze wciąż się naradzali, czy należy otworzyć, przepłukać i osuszyć miejsce zakażenia. Było jeszcze za wcześnie na poważniejsze, nieodwracalne decyzje, ale jeśli infekcja obejmie drugą kończynę, trzeba będzie je podjąć.

Vicki wyszła z budynku, rozejrzała się i wesoło pomachała ręką, kiedy go zobaczyła. Jej radosny uśmiech, długie do ramion, piękne włosy, białe dżinsy i turkusowa bluzka eksponująca wysportowaną, zmysłową figurę, wcześniej prawie niewidoczną pod fartuchem laboratoryjnym, natychmiast przepędziły zapamiętany obraz jej jako pełnego rezerwy naukowca. Przemianę wieńczył brak grubych okularów w czarnych oprawkach – albo miała soczewki, albo nic nie widziała. Podali sobie ręce, chociaż jej mina sugerowała, że równie dobrze mogliby sobie pozwolić na szybki uścisk. Lou od razu poczuł się podniesiony na duchu.

– Cześć. Jak się masz? – zapytała.

– W porządku – odparł z mniejszym przekonaniem, niż planował. – Nie

jestem jednak pewien, czy będę dobrym rozmówcą.

Vicki spojrzała na niego współczująco.

– Nie przejmuj się tym, czasami dobrze jest po prostu mieć towarzystwo. Gotów na przechadzkę? Knajpka, do której cię zabieram, jest kilka przecznic od głównej bramy.

Lou zaparkował wynajęty samochód przed muzeum, ale słońce późnego popołudnia wraz z ciepłym powietrzem osłodzonym zapachami wiosny zachęcało do spaceru. W niekrępującym milczeniu szli chodnikiem wijącym się przez rozległy kompleks badawczy.

– Jak minął dzień? – zapytała w końcu Vicki.

– Raczej nie należał do najlepszych. Spędziłem go głównie z Chrupem.

– Raporty przesłane przez Arbor nie są zbyt optymistyczne.

Lou się skrzywił.

– Obawiam się, że są zgodne z prawdą. Chrup mówi, kiedy ma siłę, ale głównie śpi. To twardy jak skała, pełen życia człowiek, i strasznie jest widzieć go w takim stanie.

– Szczęściarzem z niego, że ma takiego przyjaciela.

Vicki ujęła go pod rękę w zupełnie naturalny, pełen empatii sposób.

Lou postanowił jej nie mówić, że pielęgniarka Chrupa w końcu uległa i pozwoliła mu pomóc przy zmianie opatrunku. Razem odwinęli grubą na kilka warstw, cuchnącą i przesiąkniętą ropą gazę, którą wyrzucili do czerwonej torby na odpady biologiczne. Lou znał ten smród, ale teraz znosił go z trudem, bo przecież chodziło o bliskiego mu człowieka. W pewnym momencie poczuł, że spada mu ciśnienie, i musiał zasłonić nos.

– Najtrudniejsze jest gdybanie – powiedział. – Co by było, gdybyśmy skręcili w lewo, a nie w prawo, w miejscu rozwidlenia szlaku? Gdybym był choć trochę bliżej Chrupa?

– Wiesz, że to nie była twoja wina.

Lou znów poczuł ciężar w piersi.

– Wiem. I użalanie się nad sobą nie leży w moim charakterze... Ale to zły okres w moim życiu. Straciłem pracę w Ośrodku Opieki dla Lekarzy, bo się uparłem, że muszę tu przyjechać. Jeszcze przed tym wszystkim moja lepsza połowa zdecydowała, że ma dość problemów w swoim życiu bez zajmowania się problemami innych. Na dodatek ostatniej nocy miałem pierwszy od miesiąca sen alkoholowy.

– Jesteś suchym alkoholikiem?

– Znasz się na tym?

– Mam swoje problemy – odparła – ale alkohol i narkotyki do nich nie należą. Chodzisz na mityngi?

– Niezbyt często, odkąd to się zaczęło.

– Lou, sam nie zapanujesz nad tą infekcją. Niestety, zakażenia szpitalne występują powszechnie, blisko trzysta tysięcy przypadków rocznie w samych Stanach Zjednoczonych,

– Mało krzepiąca statystyka.

– Wybacz. Nie wykazałam się wrażliwością. Rozmawiałam o tym z Samem po spotkaniu z tobą. Jest pod wielkim wrażeniem tych niezwykłych bakterii. Ale kiedy mu powiedziałam, że się z tobą umówiłam, przeprosił za wysławianie ich oporności i kazał przekazać, że masz nie tracić nadziei. Niepochlebne wypowiedzi o niezwykłych mikrobach nie są w jego stylu.

– Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak on. Czasami sprawia wrażenie poważnie zakochanego w tych małych bestiach.

– Zdecydowanie jest jedyny w swoim rodzaju. Pracuję z nim od czterech lat i zawsze był taki.

– Cóż, chciałbym, żeby równie mocno wierzył w potęgę nauki co w potęgę mikrobow. Entuzjazm, z jakim podchodzi do bakterii pożerających mojego przyjaciela, wystawia na ciężką próbę moje postanowienie życia w trzeźwości.

– Kiedy ostatni raz wypileś drinka?

Jak na ironię, akurat w tej chwili skręcili za róg i stanęli przed Oberżą pod Niebieskim Wołem.

– Plus minus dziesięć lat temu – odparł, przytrzymując przed nią drzwi.

W lokalu sufit pokrywały belki, do tego ciemna boazeria na ścianach i nastrojowe światło. Wszystkie stołki przy imponująco zaopatrzonym barze były zajęte. Do takich miejsc kiedyś chodził. Wyglądało zbyt znajomo i natychmiast zalały go wspomnienia.

– O tej porze zawsze panuje tu tłok – powiedziała Vicki dość głośno, żeby usłyszał ją w zgiełku. – Z taką lokalizacją, pomiędzy CDC i okolicznymi szpitalami, właściciel jest prawdopodobnie milionerem.

– Sądząc po wszystkich tych kuflach, piwo dla tego faceta jest tym, czym bakterie dla Sama Scupmana. Tylko że obsesja na punkcie piwa bardziej się opłaca.

Vicki odpowiedziała poważnym spojrzeniem.

– Mojej pracy nie wykonuje się dla pieniędzy. Przynajmniej tyle łączy mnie z Samem.

Na prośbę Lou kelnerka zaprowadziła ich do boksu w głębi restauracji, daleko od hałaśliwego baru. Usiedli naprzeciwko siebie i przejrzeni za laminowane menu. Z szafy grającej płynął umiarkowanie przygnębiający utwór Turn the Page Boba Segera.

Znów jestem w trasie...

– Sporo ci powiedziałem o sobie – podjął Lou, odkładając kartę dań – ale o tobie w zasadzie nic nie wiem.

Vicki przyjrzała mu się z zadumą.

– Zwykle niewiele o sobie mówię.

– Oczywiście to zależy od ciebie, ale przydałoby mi się coś, co oderwałoby mnie od rozmyślania o problemach.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, podeszła energiczna dwudziestoparoletnia kelnerka.

– Podać coś do picia? – zapytała.

Vicki spojrzała na Lou, szukając potwierdzenia, a on wzruszył ramionami i skinął głową na znak, że może zamawiać.

Nieświadomie przeciągnął językiem po ustach.

– Jim Beam z wodą – powiedziała. – I trochę lodu ekstra.

– Miłośniczka bourbona. Pana mojego dawnego serca.

– Nie przepadam za koktajlami owocowymi, a po piwie czuję się jak wanna.

– Wezmę to samo. – Lou usłyszał swój głos jakby płynący z daleka. – Ale czysty.

Vicki spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. Choć był nią zafascynowany, myśli o Chrupie i koszmarnym zakażeniu zżerającym jego nogę unosiły się w głowie Lou jak gęsta mgła. Częściowa amputacja... reamputacja... sepsa... osłabienie... śmierć. Przez lata walczył, żeby żyć chwilą – za wszelką cenę unikać wybiegania myślą w przyszłość i przewidywania wyników. Teraz jednak roztrząsał wszystkie możliwości. Bez względu na to, co powiedziałyby Vicki albo ktokolwiek inny, czuł się odpowiedzialny za wypadek swojego sponsora. To była jego wina. I, cholera, nadszedł ten moment – chciał się napić.

– Jesteś pewien? – spytała Vicki.

Kelnerka cierpliwie stała przy stoliku.

– Tak – odparł w końcu. – Jestem pewien.

Dziewczyna się uśmiechnęła i zapowiedziała, że zaraz wróci.

– Nie jestem twoją niańką, Lou – powiedziała Vicki. – Jesteś dużym chłopcem i sam podejmujesz decyzje.

– Niech będzie. Decyduję, że chcę więcej o tobie wiedzieć.

Jej twarz spochmurniała.

– Nie jest to najweselsza z opowieści.

– Patrząc na ciebie, trudno w to uwierzyć.

– Przekonajmy się. Bardzo wcześnie poczułam się wybrakowana. Byłam jedynym dzieckiem i oboje rodzice mnie maltretowali.

Lou się skrzywił.

– Fizycznie?

– I psychicznie, ale głównie fizycznie. Byli fundamentalistami religijnymi, wierzącymi w znaczenie surowej dyscypliny. Nie mówię tutaj o zdarzającym się od czasu do czasu laniu. Mam na ciele blizny na dowód, że było znacznie gorzej. Gdy miałam czternaście lat, ojciec zgasił papierosa na moim pośladku i wtedy

postanowiłam na dobre odejść z domu.

Lou zrobiło się niedobrze na samą myśl. Nie mógł sobie wyobrazić, że podnosi rękę na Emily, a co dopiero, że parzy ją papierosem.

– Dokąd poszłaś? Przeprowadziłaś się do krewnych?

Vicki pokręciła głową.

– Nie, nikomu nie ufałam. Nawet policji. Martwiłam się, że mi nie uwierzą i odeślą do rodziców, więc po prostu uciekłam. Przez długi czas żyłam na ulicach.

Przerwała opowieść, gdy podeszła kelnerka, która postawiła przed nimi drinki i zapytała, czy chcą zamówić coś do jedzenia. Żadne z nich się nie odezwało, więc obiecała wrócić później i odeszła. Lou był zbyt zaabsorbowany opowieścią Vicki i drinkiem, żeby odpowiedzieć. Nocny sen alkoholowy był jak wiadomość z tabliczki ouija, mówiąca, że dziesięć lat to wystarczająco długo i że zasłużył na drinka. Wyobraził sobie smak – cudowny, aksamitny ogień dobrego bourbona.

Jim Beam.

Podniósł szklankę i zakręcił bursztynowym płynem z taką łatwością, jakby po latach znów wsiadł na rower. Wiedział, że Vicki uważnie go obserwuje. Nie miało to jednak znaczenia.

Wypij, nalegał głos w jego głowie. Zasłużyłeś. Po prostu wypij. Później znowu będziesz mógł przestać.

Przysunął szklankę do ust. Aromat wpłynął do jego nozdrzy niczym dym z francuskiego papierosa. Usta miał suche jak pieprz.

Nagle, gdy brzeg szklanki znajdował się już tylko dwa centymetry od jego ust, zawahał się. Poczul szarpnięcie – siłę grawitacyjną poza jego kontrolą.

Po prostu wypij... Dziesięć lat wystarczy... Tylko ten jeden drink, potem zaczniesz od nowa... Zasłużyłeś, człowieku... Cholera, odkupiłeś swoje winy...

Przechylał powoli szklankę, aż odległość między bourbonem i jego wargami można by mierzyć w milimetrach. Szum w lokalu ustąpił głębokiej ciszy. O to chodziło. Po prostu musi mieć to za sobą. Ułamek sekundy przed skosztowaniem alkoholu w wyobraźni ujrzał żywy obraz Emily. Była dzieckiem, gdy ostatni raz ją okłamał – zbyt małym, żeby zrozumieć jego nieuczciwość albo się go wstydzić. Teraz nie była mała.

Czar rozprysł się na tysiąc kawałków jak upuszczony kryształ. Lou odsunął od ust ciężką szklankę i postawił ją na stoliku.

– Nie dzisiaj – powiedział, zastanawiając się, czy Vicki widzi, jaki jest roztrzęsiony. – Później pójdę na mityng.

– Dobry pomysł. Powinniśmy zamówić coś do jedzenia. Potem możesz iść stąd prosto na spotkanie AA.

– Sprawdzę w internecie, gdzie się odbywa najbliższy mityng. Już wszystko ze mną w porządku, naprawdę.

Zamówili burgery, Lou znalazł mityng, a Vicki wymieniła nietknięte drinki

na colę light.

– Zaserwuję ci krótką wersję wydarzeń podczas czekania na cheeseburgery – zaproponowała. – Żyłam na ulicach Cincinnati, od czasu do czasu sypiając w schroniskach dla bezdomnych, a niekiedy po prostu pod krzakiem w parku. W Cincinnati są piękne parki.

– Jak długo tak koczowałaś?

– Jakiś rok. Potem zostałam adoptowana przez parę, którą poznałam na spotkaniu ruchu odnowy religijnej. Nie mieli własnych dzieci, więc wzięli mnie. Naprawdę mili ludzie. Zapisali mnie do eksperymentalnego ogólniaka i zdałam maturę. Dostałam stypendium na uniwersytecie stanowym w Ohio i obroniłam pracę magisterską z mikrobiologii. Zatrudniłam się na pół etatu w CDC, zrobiłam doktorat w Emory i oto jestem tutaj.

– Z ulicy na uczelnię. Robi niemałe wrażenie.

– Fakt, nie jest to przeciętna, banalna bajka.

– A twoi rodzice?

– Chodzi ci o biologicznych? Nie rozmawiałam z nimi, odkąd uciekłam z domu. Niestety ci, którzy mnie wzięli, zmarli przed laty, jedno na atak serca, a drugie na raka.

Lou pogrzyżył się w ponurym milczeniu. Chrup nie miał dzieci, ale przez lata przygarniał dzieciaki z ulicy. Prawie wszystkie wyszły na ludzi.

– Każdy dzień trzeba przeżywać jak najpełniej – powiedział.

– Każdy dzień – powtórzyła Vicki.

Podczas kolacji rozmawiali o życiu i pracy. W pewnym momencie Vicki oznajmiła, że jest umówiona z koleżanką na wykład poświęcony sztuce, i wysunęła się z boks.

– A ty idziesz na mityng? – zapytała.

– Wszystko ustalone. Mam adres i GPS w wypożyczonym aucie.

Lou chciał pójść na spotkanie AA, później odwiedzić Chrupa, a następnie spotkać się z Humphreym w dolnej piwnicy i przeprowadzić pierwsze prawdziwe eksperymenty. Spokojna noc, dzięki Emily.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Lou Welcome – stwierdziła Vicki. – Bardzo dobrym. Jeśli mogłabym coś dla ciebie zrobić, po prostu zadzwoń. – Wyjęła z portfela wizytówkę, zapisała numer na odwrocie i podała mu. – To moja komórka. Nikt nie ma tego numeru z wyjątkiem ciebie i prezydenta... to znaczy on będzie miał, kiedy poprosi. Dzwoń o każdej porze. – Tym razem się uściskali. – Cieszę się, że smakowała ci cola – szepnęła.

Cmoknęła go w ucho. I odeszła.

Lou usiadł, wdychając jej zapach. Kilka sekund później dwóch mężczyzn wsunęło się na miejsce Vicki – na wprost niego w boksie. Jeden był młodym, atletycznie zbudowanym Afroamerykanin o jasnej karnacji. Drugi miał ostre rysy,

kanciastą zuchwę i krótko ścięte włosy.

– Jeszcze nie wychodzę – oznajmił Lou, słysząc w głowie dzwonki alarmowe.

– Szczerze mówiąc, właśnie na to liczyliśmy – powiadomił go jeden z twardzieli. Otworzył portfel. Po jednej stronie znajdowała się legitymacja, po drugiej odznaka. – Agent specjalny Tim Vaill z FBI. Mój partner, agent specjalny Charles McCall. Doktor Louis Welcome z Waszyngtonu?

Lou zacisnął dłoń na brzegu stołu i długo przyglądał się legitymacji, chcąc zyskać na czasie, żeby uciszyć bęben basowy dudniący w jego klatce piersiowej.

– Tak, to ja. O co chodzi? – wykrztusił.

Vaill wyglądał na zadowolonego.

– Skoro tak, doktorze – powiedział – chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

ROZDZIAŁ 30

Nasz kraj jest atakowany przez siły znacznie potężniejsze niż te w Europie Środkowej i na Dalekim Wschodzie.

Lancaster R. Hill, wykład w szkole Pennington, 6 czerwca 1939

Jedno wejście... i jedno wyjście.

Kazimiu kręciło się w głowie, gdy rozmyślał o wielkim ochroniarzu, który jakby nigdy nic wyszedł z laboratorium, minął ich i przemaszerował przez Wielką Salę. Do tej chwili wierzył Dougowi Baconowi, właścicielowi Red Cliff, że do tego skrzydła zamku prowadzi tylko jeden korytarz. Strażnik popełnił błąd, pozwalając się zobaczyć.

Kazimi stał w laboratorium, tuż za zamkniętymi drzwiami, przez które wyszedł Costello. Bał się, że lada chwila ten kolos albo Drake, drugi potężny ochroniarz, otworzy drzwi, i nawet najcichszy dźwięk po drugiej stronie przyspieszał mu puls. Następnym problemem była kamera zamontowana pod sufitem w kącie laboratorium. Identyfikacyjny elektroniczny strażnik pełnił wartę w aneksie. Może ludzie obserwujący go przez kamery zorientują się, co zamierza zrobić, i przybiegną, żeby go powstrzymać, gdy tylko zacznie. Kazimi zazgrzytał zębami i przeklął swoją nieumiejętność zachowania spokoju. Nadszedł czas na działanie, a nie strach.

Prawie na pewno było tu ukryte przejście – tajemny korytarz, najprawdopodobniej prowadzący ze skrzydła do hangaru na łódzie u stóp klifu. Najwyższa pora znaleźć je i uciec.

Gdzie zacząć?

Jako naukowiec Kazimi szczycił się umiejętnością rozwiązywania problemów. Oczywiście ważne było nie tylko rozwikłanie zagadki, ale także zrobienie tego w taki sposób, żeby nie dać się przyłapać. Pierwszy krok, jak zawsze, polegał na obserwacji. Od wielkiego do małego, od szerokiego do wąskiego. Zachowuj się jak zwykle, wyglądaj na zajętego, sprawdź każdy zakamarek laboratorium i aneksu – pomieszczenia dla zwierząt, zwanego przez ochroniarzy myszarnią.

Świadom, że prawdopodobnie jest obserwowany, Kazimi obszedł przestronne laboratorium, wykonując rutynowe zadania, ale jednocześnie przyglądał się szaremu tynkowi i kamiennym ścianom, a także betonowej podłodze. Wypatrywał szczelin, źle dopasowanych kamieni albo jakiegokolwiek części konstrukcji, która wyglądałaby na naprawianą. Zrobił taką rundę kilka razy w ciągu godziny, przez cały czas przygotowując pożywki agarowe i podłoża wzrostowe.

Nic.

Jego entuzjazm przygasł. Prędkiej czy później ktoś tu zajrzy, żeby go sprawdzić. Prędkiej czy później ktoś zwróci uwagę na jego zachowanie i powiadomi Bacona, o ile ten już nie patrzył na ekrany monitorów.

Nie poddawaj się – te słowa stały się jego mantrą. Jeśli go przyłapią, jakoś sobie z tym poradzi. Ale nie wolno zaprzestać prób.

Nie poddawaj się...

Podczas pierwszej wycieczki po skrzydle, gdzie znajdowały Wielka Sala i laboratorium, zastanawiał się, do czego wcześniej służyła przestrzeń laboratoryjna wraz z aneksem. Dwa pośpiesznie odnowione pomieszczenia prawie na pewno były magazynami. W żadnym z nich nie było okien, a w myszarni, mającej może cztery metry na siedem i pół, stała wielka chłodziarka-zamrażarka, z pewnością już od jakiegoś czasu. W laboratorium, tak samo długim, a szerszym co najmniej o jedną trzecią, niemal ze wszystkich stron do kamiennych ścian przymocowano półki.

Mógł bez trudu wyobrazić sobie pomieszczenia pełne palet konserw, środków czyszczących, wyrobów papierniczych i innych rzeczy potrzebnych do funkcjonowania tej fortecy. Wnoszenie albo przywożenie ich na wózkach przez kręty tunel i Wielką Salę tylko po to, żeby tą samą trasą zabierać je z powrotem do głównego budynku, miało niewiele sensu, choć z pewnością nie można było tego wykluczyć. Jeśli istniały jakieś ukryte drzwi, to na pewno nie za ciężkimi ławami w laboratorium, nie za inkubatorami i delikatnym mikroskopem elektronowym, nie za masywnymi lodówkami w myszarni. Podczas następnej rundy Kazimi skupił się na podłodze, wypatrując fragmentu różniącego się od reszty.

Znowu nic. Ani śladu tajemnego przejścia. To miejsce było więzieniem... grobowcem... mauzoleum.

Tylko jedno wejście... i jedno wyjście.

Nagły hałas sprawił, że zamarł. Odgłos kroków dochodził z Wielkiej Sali. Dozorca? Strażnik? Wyteżył słuch, żeby wyłowić stukot laski Bacona na kamieniach. Drake albo Costello. Najpewniej któryś z nich. Zastanawiał się, jak kazano im postępować w przypadku złapania go podczas próby ucieczki. Może szybkie skręcenie karku. To nie miało znaczenia. Ahmed Kazimi nie bał się śmierci.

Ale bał się Janusa.

Zaskakujące mutacje drobnoustroju nie przypominały niczego, z czym kiedykolwiek się spotkał, i zapowiadały przerażający ciąg dalszy. Przyjrzał się rękom i znalazł co najmniej sześć drobnych ranek, zadartą skórę przy paznokciu i lekkie skaleczenie na kłykcium palca wskazującego. Były to drobiazgi, ale dla Janusa stanowiły szeroko otwarte bramy, przez które mógł wmaszerować do jego krwiobiegu i zadać mu straszną śmierć. Niewątpliwie szpitale próbowały opanować

rozprzestrzenianie się zakażenia. Był jednak pewien, że to próżne starania. Za jakiś czas, niezbyt długi, wymiana uścisków dłoni stanie się odpowiednikiem strzału z pistoletu. Może nie będzie widać żadnej rany, ale narządy ofiary rozpuszczą się od środka.

Należy ostrzec rząd. Bez lekarstwa pandemia sprawi, że w porównaniu z Janusem SARS i ptasia grypa będą się wydawać niegroźne jak katar. Czas skutecznej izolacji w szpitalach szybko przemijał. Z powodu rozwiniętej komunikacji zaraza niedługo ogarnie cały świat. Każda minuta jego zamknięcia w Red Cliff oznaczała, że przebywa tam o minutę za długo.

Nie poddawaj się.

Kazimi postanowił przeprowadzić bardziej szczegółową inspekcję myszarni. Jeśli Costello przemierzający Wielką Salę mu się nie przyśnił i jeśli w laboratorium nie było czego szukać, w takim razie przejście musi znajdować się w aneksie. Wszedł do pomieszczenia. Na półkach wzdłuż jednej ściany i na połowie sąsiedniej stały plastikowe klatki. Mniej więcej połowa z nich była zajęta i jak zawsze myszy zareagowały na jego przybycie zwiększeniem aktywności. W drugim końcu pomieszczenia stały wielkie chłodziarki ze stali nierdzewnej.

Kazimi wypatrzył miejsca, które prawie na pewno były poza zasięgiem monitoringu. Stał w jednym z nich, wprost pod kamerą, i po raz kolejny uważnie zlustrował aneks. Z początku nie dostrzegł niczego niezwykłego, ale mniej więcej po minucie spokojnej obserwacji coś wreszcie przykuło jego uwagę. To nie był defekt w kamieniu, półce czy podłodze. Zaciekała go odległość od miejsca, w którym stał, do przeciwnej ściany. Wydawała się mniejsza niż w laboratorium. Niewiele, ale...

Trzymając się jak najdalej na lewo od kamery, Kazimi nonszalanckim krokiem przemierzył pomieszczenie. Dwadzieścia trzy długie kroki. Jeśli jeden to dziewięćdziesiąt centymetrów, myszarnia miała dwadzieścia metrów długości.

Z trudem przełykając ślinę, bo z podniecenia zaschło mu w gardle, Kazimi wrócił do laboratorium. Mieszając płynny agar w misce, jakby od niechcienia przespacerował się od ściany do ściany. Dwadzieścia sześć kroków. Dwadzieścia trzy metry. Aneks, pierwotnie o takich samych wymiarach jak laboratorium, był o ponad trzy kroki krótszy.

Brakowało trzech metrów.

Dlaczego budowniczy odciął trzy metry pomieszczenia, które na pierwszy rzut oka miało takie same wymiary co sąsiednie? Może skała po drugiej stronie ściany wymusiła skrócenie długości. Miało to jednak niewiele sensu, zważywszy, że całe skrzydło – Wielka Sala i magazyny – było wycięte ze skały.

Zerknął na drzwi laboratorium. Kroki ucichły. Może był to dozorca, który przeszedł na drugą stronę wielkiego pomieszczenia.

Kazimi modlił się do Allacha o ochronę i radę. Wziął latarkę i posuwając się

wzdłuż linii, która – jak miał nadzieję – biegła poza zasięgiem kamery, podszedł do półek z klatkami. Wszystko wyglądało tak jak zwykle, dopóki nie opadł na kolana i nie oświetlił miejsca pod dolną półką, wiszącą może osiem centymetrów nad podłogą. Dostrzegł tam ciemną szczelinę, która miała nie więcej niż dwa centymetry szerokości, ale biegła wzdłuż całej ściany.

Po kilku sekundach zrozumiał, jakie najprawdopodobniej jest zastosowanie tej wąskiej luki. Podniósł się, wsunął rękę między klatki i pchnął ścianę z całej siły. Ta jakby niechętnie ustąpiła o pięć centymetrów. Z sercem walącym jak kopyta wierzgającego ogiera przesunął się wzdłuż półek i zgasił jarzeniówki. Zasłaniając dłonią snop światła latarki, wrócił do miejsca przy klatkach i pchnął jeszcze raz. Oś obrotu znajdowała się dokładnie pośrodku ściany. Wąski otwór miał już pół metra. Kazimi precyzyjnie przycisnął się bokiem i w jednej chwili znalazł za ścianą.

Wyobraził sobie bakterię szczepu Janus wnikającą do ciała przez maleńkie skałeczenie. Jak Mikrob Sądnego Dnia, był wewnątrz swojego celu.

Pora na poważniejsze kłopoty.

Ściana zamknęła się sprawniej, niż otworzyła. Za nią panowała nieprzenikniona ciemność. Kazimi odetchnął zatechłym morskim powietrzem i odsłonił latarkę. Zobaczył na ścianie wyłącznik. Po chwili nikłe światło wypełniło tajemne miejsce.

Kazimi triumfalnie wyszczerzył zęby.

– Nie poddawaj się – powiedział głośno, patrząc na schody z kratownicy opadające ze środka wąskiego podestu. – Nigdy się nie poddawaj.

Pierwsze pięć stopni prowadziło na prostokątną platformę oświetloną kinkietem. Jeśli Red Cliff stanowiło wierną, choć zmodernizowaną, replikę średniowiecznego zamku, była to droga ucieczki załogi w razie zdobycia warowni przez wroga.

Kazimi zszedł na metalową platformę i spojrzał w dół przez kratownicę w głąb czegoś, co wyglądało na pionowy szyb wycięty w skale. Potem zauważył kable... i bloczki... i na koniec pasy rdzewiejącego metalu, które tworzyły dużą otwartą klatkę.

Stał w pomysłowo skonstruowanej windzie.

Morskie powietrze wypełniało mu płuca. Z dołu dochodził szum fal rozbijających się o skały. Pomyślał o hangarze u stóp urwiska. Na pewno właśnie tam prowadził szyb. Była to arteria, która pompowała do Red Cliff przywiezione drogą morską życiodajne zapasy.

Na rozpórce po prawej stronie dostrzegł tablicę z dwoma nieopisanymi guzikami. Kazimi ostatni raz spojrzał w górę, wcisnął dolny przycisk i w jednej chwili winda ruszyła z grzechotem.

ROZDZIAŁ 31

Tam, gdzie krew rozlano w imię wolności i obrony swobód, żeby poprawić czyjś los, zadane rany z czasem się zagoją.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

Nie było cienia życzliwości ani niczego zachęcającego w sposobie, w jaki agent specjalny FBI Tim Vaill patrzył na Lou i prowadził z nim pogawędkę, od chwili gdy tylko się usadowili w boksie. Mięśnie jego wyrazistej twarzy ani razu się nie rozluźniły. W porównaniu z nim jego partner McCall był uosobieniem łagodności.

Momentami Lou odnosił wrażenie, że mężczyznom przyświecają krańcowo różne cele – jeden go uspokajał, a drugi przykręcał śruby trzymające na miejscu jego narządy wewnętrzne.

– Z zaskoczeniem dowiedzieliśmy się, doktorze, że był pan notowany. Powie nam pan, z jakiego powodu?

Lou kilka razy pytał, czy powinien skontaktować się z adwokatem, ale za każdym razem obaj agenci zapewniali, że nie jest to konieczne. Żaden nie zasugerował, że będzie mógł to zrobić, jeśli zechce, więc zaczął się zastanawiać, co powiedzą, gdy się uprze.

Vaill w końcu przerwał morderczy kontakt wzrokowy i zerknął z ukosa na McCalla.

– Trochę tu hałaśliwie, nie sądzisz? – powiedział. Zwrócił się do Lou: – Może wyjdziemy na zewnątrz i tam porozmawiamy?

Lou znowu zapytał, czy ma zadzwonić do prawnika. Znowu usłyszał odpowiedź przeczącą. Narastało w nim nieprzyjemne poczucie, że nie będzie prawnika, dopóki agenci nie dostaną tego, na czym im zależy.

– Zanim gdzieś pójdziemy, może najpierw mi powiecie, o co chodzi? – zaproponował.

Nic z tego spotkania nie zachęcało tkwiącego w nim mądrali, żeby wyjść przed szereg z ostrym jak brzytwa dowcipem w pogotowiu. W ten sposób, jak się obawiał, pogorszyłby tylko sytuację, jakakolwiek by była, a przecież zależało mu na powrocie do Humphreya i laboratorium. Wydawało się jasne, że spacer i rozmowa z Vaillem i McCallem nie jest propozycją, którą może odrzucić. Starszy agent pochylił się nad stołem, ani trochę nieprzejęty naruszeniem jego przestrzeni osobistej.

– Może poprosi pan o rachunek i wyjdziemy?

Najwyraźniej nie zamierzali mu niczego zdradzać. Podczas gdy Vaill wydawał się gotowy do ataku, McCall był rozluźniony.

– Na pańskim miejscu posłuchałbym – zasugerował McCall.

Lou uważnie przyglądał się im obu. Nie był telemaniakiem, ale obejrzał z Emily wystarczająco dużo seriali kryminalnych, żeby rozpoznać metodę „dobry glina – zły glina”, choć ci dwaj byli w niej naprawdę dobrzy.

– Krótki spacer nie zaszkodzi – powiedział, wzruszając ramionami.

Jednym gestem poprosił o rachunek i chcąc przyśpieszyć bieg sprawy, pozbył się prawie całej gotówki z portfela, zamiast płacić kartą. Ruszył do drzwi. McCall i Vaill szli tuż za nim, niemal dosłownie depeząc mu po piętach. Dopiero po wyjściu na zewnątrz agenci założyli ciemne okulary. Lou zmierzył ich wzrokiem i nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu.

– Teraz wyglądacie jak prawdziwi faceci w czerni – stwierdził, wskazując ich czarne garnitury i okulary.

Nie było odpowiedzi. Zły znak.

– Więc dokąd idziemy? – zapytał, wciąż bardziej zaniepokojony niż wystraszony.

– Zaparkowaliśmy niedaleko stąd – odparł McCall, wskazując kierunek.

– Nie na parkingu dla klientów?

Lou się zastanowił, czy trzymali się z daleka od parkingu, żeby uniknąć publicznej sceny, gdyby zaczął się stawiać. Spojrzał na zegarek. Właśnie stracił szansę na uczestniczenie w mityngu.

– Przyda nam się trochę ruchu – powiedział Vaill.

We trójkę ruszyli w kierunku wskazanym przez McCalla. Chodnik był na tyle szeroki, że mogli iść ramię w ramię, z Lou pomiędzy nimi. Ogarniało go coraz większe zaniepokojenie. Oczywiście nie miał zamiaru uciekać dwóm prawie na pewno uzbrojonym agentom FBI, ale oni wyraźnie woleli nie ryzykować, że to zrobi.

– Więc o co chodzi? – spytał, tym razem z mieszaniną niepokoju i zniecierpliwienia.

Nie widział ich oczu za szklami okularów, odniósł jednak wrażenie, że żadnego z nich nie obchodzi jego zdenerwowanie.

– O to, że dopytuje pan o bardzo niebezpieczny zarazek – rzekł w końcu Vaill, patrząc prosto przed siebie.

Lou się zatrzymał.

– Skąd pan o tym wie?

– Jesteśmy z FBI – odparł McCall z drwiącym uśmiechem. – Nasza robota polega na tym, żeby wiedzieć takie rzeczy.

Po krótkim pojedynku na spojrzenia Lou zdał sobie sprawę, że jest bardziej rozluźniony, gdy idzie, niż gdy stoi w miejscu. Ruszył i agenci zrobili to samo.

– Czy dopytywanie o bakterie jest przestępstwem? – zapytał, w myślach licząc ludzi, którym bodaj słowem wspomniał o Mikrobie Sądnego Dnia.

Rozmawiał z Puchalskim, szefem szpitala Winem Carterem i chirurgiem Leonardem Standishem, a także kilkoma pielęgniarkami w izolatce i dwoma lekarzami chorób zakaźnych w Eisenhower Memorial. Do tego oczywiście dochodzili Samuel Scupman i Vicki Banks. – Atakują nogę mojego przyjaciela. Jeśli się ich nie powstrzyma, czeka go amputacja. I lekarze będą amputować kolejne części ciała, dopóki nie zahamują zakażenia albo mój przyjaciel nie umrze. Dlatego się rozpytywałem.

– Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela – szczerze powiedział McCall.

Lou nie był zaskoczony, że to on okazał odrobinę współczucia. Postawa Vailla ani trochę się nie zmieniła, jakby z jakiegoś powodu Lou budził w nim odrazę. Czuł, że został osądzony za jakieś przestępstwo, nawet nie wysłuchawszy zarzutów. Znowu pomyślał, że z Vailem coś jest nie w porządku, jakby jedno niewłaściwe słowo albo źle zinterpretowany gest wystarczyły, żeby sprowokować go do wybuchu. Nakazał sobie zachowanie spokoju i wyjątkowej ostrożności. Dopóki nie pozna ich zamiarów, nie może im zaufać.

– Doktorze Welcome, skąd pan tyle wie o tym zarazku? – spytał Vaill.

– Odbyłem rozmowę z lekarzem Chrupa – wyjaśnił Lou. – Z Ivanem Puchalskim. Jest szefem oddziału chorób zakaźnych w szpitalu Arbor.

– Znamy Puchalsky'ego. Już z nim rozmawialiśmy.

– W takim razie wiecie. Dlaczego mnie pytacie?

McCall wyjął mały notes i mówił, gdy szli.

– A o co chodzi z tym czymś zwanym... bakteriofagami? – zapytał. – Czy z kimś pan o nich rozmawiał?

Lou poczuł, że się czerwieni. Wyeliminował ze swojej listy Puchalsky'ego, Cartera i pielęgniarki.

– Kto się z wami skontaktował? Sam Scupman?

– Nieważne – odparł Vaill. – Mój partner zadał panu pytanie. Czy rozmawiał pan z kimś o bakteriofagach?

Lou skinął głową.

– Tak, rozmawiałem. Kilka dni temu poruszyłem temat potencjalnej fagoterapii w rozmowie z doktorem Samem Scupmanem z Zakładu Oporności na Antybiotyki w CDC. – Obaj agenci skinęli głowami, jakby już o tym wiedzieli. – Więc po co tu jesteście? Czy w dzisiejszych czasach próba ratowania życia przyjaciela jest przestępstwem? Nie macie niczego lepszego do roboty, jak na przykład walka z terroryzmem?

Vaill mocno złapał go za ramię.

– Sami najlepiej wiemy, gdzie i jak spędzać czas.

Lou miał ochotę złamać mu rękę. Zamiast tego tylko się wyswobodził.

– Przepraszam – mruknął Vaill tonem, który ani trochę nie był przepraszający.

– O co chodzi, panowie? – zapytał Lou.

McCall zatrzymał się przed srebrnym chevroletem impalą zaparkowanym na poboczu.

– Skąd pan wziął tę teorię o bakteriofagach?

Lou czuł, że przyśpiesza mu puls. Wiedział, że musi postępować ostrożnie. Jedno potknięcie może doprowadzić do ujawnienia tożsamości Humphreya. To oznaczałoby koniec laboratorium i całkiem możliwe, że życia Chrupa. Zaaferowany, nawet nie spostrzegł, kiedy Vaill i McCall ustawili się w taki sposób, żeby on stał plecami do samochodu. Obaj nie spuszczały z niego oka.

– Jestem lekarzem – powiedział. – Po prostu zasugerowałem potencjalną metodę leczenia, która mogłaby się okazać skuteczna w przypadku mojego przyjaciela.

Vaill milczał, jakby dawał mu szansę na zmianę odpowiedzi.

– Tak – mruknął po chwili. – Nie sądzę, żeby chciał pan brnąć dalej tą drogą.

– O czym pan mówi? – zawarczał Lou.

– Mówię o tym, co wiemy. Mówię o posiadanych przez nas informacjach, z których jasno wynika, że nie jest pan w stanie samodzielnie zaproponować takiego rozwiązania, chyba że jest pan mikrobiologiem. Czy jest pan mikrobiologiem, doktorze Welcome?

– Zanim pan odpowie – wtrącił McCall – pozwolę sobie nadmienić, że już znamy pański życiorys.

– Wiemy też, że niedawno został pan zwolniony z Ośrodka Opieki dla Lekarzy w Waszyngtonie – dodał Vaill. – Pracował pan dla Waltera Filstrupa.

Nie zaglądał przy tym do żadnych notatek. Znał dane na pamięć.

– Dlaczego tak mnie sprawdzacie?

Agent zignorował pytanie.

– Wiemy też o pańskich problemach z narkotykami i alkoholem – kontynuował. – Wiemy o panu wiele rzeczy, ale, co dziwne, nic nie sugeruje, że jest pan mikrobiologiem. Co pan na to, doktorze? Skąd pan wziął tę swoją teorię?

Mogli go prowokować, jak tylko chcieli, ale Lou nie zamierzał wyjawiać nazwiska Humphreya.

– Agencje Vaill, agencje McCall, skoro tyle wam o mnie wiadomo, musicie również wiedzieć, że jestem naprawdę byстрыm facetem.

McCall zsunął okulary na czubek nosa.

– Jeśli naprawdę jest pan bystry, powie nam pan prawdę. Skąd pochodzą pańskie informacje?

– Wyszukałem je.

– Gdzie? – zapytał Vaill.

– W internecie, bibliotece szpitalnej, trochę powiedzieli mi znajomi z Eisenhower Memorial. Potrafię być całkiem obrotny, kiedy mam odpowiednią

motywację.

Lou pożałował tych słów w chwili, gdy je wypowiedział. Zapędził się w kozi róg twierdzeniami, których nie mógł udowodnić.

Vaill błyskawicznie skorzystał z okazji.

– Więc w bibliotece szpitalnej są ludzie, którzy potwierdzą pańskie słowa? Jak z pewnością pan wie, możemy przeszukać pański komputer i sprawdzić w historii, co pan przeglądał. Szczerze mówiąc, nie byłbym ani trochę zaskoczony, gdybyśmy niczego nie znaleźli.

Lou nie odpowiedział, co dla agentów FBI prawdopodobnie było równoznaczne z przyznaniem się do winy.

– Zapytam jeszcze raz – podjął Vaill. – Skąd pan wziął informacje o bakteriofagach?

– Już mówiłem. Co więcej mam powiedzieć?

Vaill chwycił go za ramiona, obrócił i wykręcił mu ręce za plecy.

– Hej! – krzyknął Lou. – Co wy robicie, do cholery? Nie możecie tego robić. Mam swoje prawa!

Poczuł kajdanki zatrzaskiwane na rękach.

– Doktorze Welcome, jest pan aresztowany – oznajmił Vaill.

– Pod jakim zarzutem?

Pytanie ociekało pogardą, ale jednocześnie Lou nie zdołał zapanować nad drżeniem w głosie. Kajdanki były piekielnie niewygodne i po chwili zaczął odczuwać w rękach każde uderzenie pulsu. Próbował zmienić ułożenie nadgarstków, najmniejszy jednak ruch sprawiał, że obręcz jeszcze bardziej się zaciskały.

– Mam prawa! – zaprotestował. – Chcę rozmawiać z adwokatem. Dopóki tego nie zrobię, nie powiem wam nic więcej. Nie możecie mnie zgarnąć tak po prostu. Palanty! Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

Vaill obrócił go twarzą w swoją stronę. Jego uśmiech był pogardliwy i pełen samozadowolenia, jakby to, co robił, uważał za najlepszą część swojej roboty.

McCall otworzył tylne drzwi impali i mężczyźni nie bez problemów wepchnęli go na siedzenie.

– Jeśli chodzi o terroryzm – zaczął Vaill – prawo daje dużą swobodę, kogo i jak aresztować. A jeśli chodzi o pana, z przykrością informuję, że ze względu na niechęć do współpracy i możliwość odstąpienia od praw Mirandy, dopuszczalną w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa publicznego, nie ma pan żadnych praw.

ROZDZIAŁ 32

Rosnąca popularność filozofa społeczno-politycznego Lancastera Hilla powinna być powodem do obaw dla nas wszystkich.

David Carp, „New York Times”, 8 maja 1940

Jazda na sam dół granitowego szybu trwała nie dłużej niż trzydzieści sekund. Platforma kołysała się i dygotała. Maszyneria, skorodowana przez nasycone solą powietrze i wodę, pojękiwała. Z każdym metrem szum fal stawał się coraz głośniejszy. Słabe naturalne światło sączyło się z dołu przez kratownicę windy. Wyrazisty zapach oceanu nabierał intensywności. Niesamowita jazda zakończyła się szczękiem hamulców i wstrząsem.

Kazimi spojrział w górę. Zobaczył lampy tkwiące w ścianach i nic więcej. Schody, po których zszedł do windy, zniknęły w mroku. Wiedział, że musi się śpieszyć. To tylko kwestia czasu, zanim oprychy Bacona zaczną go szukać. Zszedł z platformy i po drewnianym chodniku wydostał się przez otwór wycięty w ścianie klifu. Miał przed sobą długi na sześć metrów, wąski pomost prowadzący do hangaru. Przystanął, rozkoszując się podmuchami wiatru i wdychając ciężkie słone powietrze.

Wolność!

Pod koniec pomost się rozszerzał, tworząc podłogę składziku w hangarze, gdzie znajdowały się różnego rodzaju rzeczy, części do silnika, kanistry z ropą i benzyną, kamizelki ratunkowe, liny, odbijacze. Jak należało się spodziewać, konstrukcja była solidna – ściany z twardego drewna, strop na belkach, cztery duże okna. Pomost się rozwidlał i jego odnogi biegnęły wzdłuż ścian. Pomiędzy nimi na cumach podskakiwała łódź motorowa, lśniąca jak mahoniowa torpeda.

Była fantastyczna – długi, smukły chris craft ze składanymi siedzeniami, co pozwalało zwiększyć przestrzeń ładunkową.

Proszę, niech tam będą kluczyki. Proszę...

Łódź wyglądała na gotową zerwać się z cum i popędzić w morze za sprawą samej siły woli, ale coś takiego po prostu nie było możliwe. W stacyjce nie było kluczyka.

Proszę...

Kazimi podbiegł do półek, szybko je przejrzał i omiół wzrokiem ściany, szukając haczyka na kluczyki.

Nic.

Wszedł do kokpitu i stał, nadsluchując dźwięków dochodzących z zewnątrz hangaru. Poluzował pokrywę pulpitu, zastanawiając się, jak odpalić łódź. Komputer pokładowy wyglądał na równie skomplikowany jak te w jego

laboratorium.

Rzadko się niecierpliwił, nie ulegał też łatwo frustracji, ale teraz przeklinał sytuację, w jakiej się znalazł, i ograniczone pole manewru. W łodzi leżało wiosło. Mógł odcumować łódź i wypłynąć na morze, zapadał jednak zmierzch i szara, wzburzona, lodowata woda nie zachęcała do takiego działania. Co więcej, silny wiatr wiał od strony oceanu. Najprawdopodobniej, jeśli nawet zdoła wyprowadzić ciężką łódź z hangaru, rozbije się na skałach u stóp wysokiego urwiska.

Zadecydował, że ucieczka lądem ma znacznie większe szanse powodzenia. Wygramolił się z ogromnej łodzi, ostrożnie przeszedł pomostem pod ścianę hangaru i zeskoczył na skalisty brzeg. Po lewej stronie klif wznosił się prawie pionowo, jak masywna ściana wspinaczkowa. Między nim i chlupoczącymi falami ciągnął się szeroki na półtora metra pas piasku, kamyków i głazów.

Przez wiatr i sól piekły Kazimiego usta, gdy szedł tym trudnym szlakiem, ślizgając się na porośniętych wodorostami skałach. Przewracał się, podnosił i brnął dalej, ignorując ból. Musiał kontynuować wędrówkę. Prędzej czy później trafi na jakąś ścieżkę, która zaprowadzi go na szczyt urwiska. Przez chwilę rozważał, czy nie wspiąć się na klif, ale od lat jego codzienne ćwiczenia sprowadzały się do jednego czy dwóch półgodzinnych spacerów po ulicach Waszyngtonu. Taka próba, stanowiąca wyzwanie nawet dla doświadczonego wspinacza, dla niego była po prostu niewykonalna.

Jeden krok... drugi. Znowu... znowu.

Nie dość, że poruszał się nieznośnie powoli, to jeszcze pojawił się kolejny problem – kolejny wróg. Niebezpieczna, już i tak wąska trasa robiła się coraz węższa. Zaczynał się przyptyw. Kazimi ocenił, że przebył dwieście metrów, może trochę więcej. Szlak był o połowę węższy niż na początku, ale stromizna skalnej ściany ani trochę się nie zmniejszyła. Siła wiatru wzrosła i cienkie ubranie nie chroniło już przed zimnem. Z każdym krokiem smak świeżo zdobytej wolności stawał się coraz bardziej gorzki.

Nagle w przedwieczornych cieniach Kazimi dostrzegł ruch na skałach przed sobą. Spiał się, niepewny, czy to ptak, człowiek czy wytwór jego wyobraźni. Jeśli to jeden z potężnych ochroniarzy Bacona, nie będzie mógł nic zrobić, z wyjątkiem podjęcia próby ucieczki tam, skąd przyszedł – tym razem przez głęboką już wodę.

Zrobił kilka ostrożnych kroków i w coraz gęstszych cieniach rozpoznał sylwetkę człowieka, który stał na wielkim głazie i machał do niego rękami. Na szczęście szybko stało się jasne, że mężczyzna – bo prawie na pewno był to mężczyzna – jest wysoki i szczupły, zupełnie niepodobny do Drake'a czy Costella.

Ślizgając się na skałach i brodząc w ciemnej wodzie, Kazimi odwzajemnił gest i przyspieszył kroku. Allach wysłuchał jego modłów i na nie odpowiedział. Ktokolwiek to jest, zna drogę, która wyprowadzi go na szczyt urwiska. Czas naglił. Szczep Janus spowoduje wybuch wielkiej epidemii, jeśli rząd nie zostanie

ostrzeżony, nie zrezygnuje z utajniania problemu i nie podejmie wzmożonego wysiłku, żeby – jak w przypadku wirusa HIV – zapobiec katastrofie. Miał nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

– Halo! – wrzasnął. – Potrzebuję pomocy! Pomóż mi, proszę!

Wiatr i szum morza zagłuszyły jego słowa.

Śpiesząc co sił w nogach, potknął się, pośliznął i ciężko upadł na mokre skały, obrośnięte przez pąkle, które cięły skórę dłoni i kolan jak brzytwy. Krzyknął z bólu, ale ból nie miał znaczenia. Był gotów zapłacić każdą cenę, byle tylko się stąd wydostać. Podniósł się i brnął dalej, słysząc chrzęst muszli omułek pod butami i patrząc w półmroku na swojego wybawiciela. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca, wciąż rytmicznie machał rękami.

Gdy odległość się zmniejszyła, Kazimi zwolnił. Teraz wyraźniej widział mężczyznę. Dostrzegł w nim coś znajomego – coś w pociągłej twarzy i włosach koloru kukurydzy.

Burke!

Było za późno, żeby zawrócić i uciec. Zabójca, ubrany w granatowy dres z białymi paskami wzdłuż rękawów, niedbałym ruchem wysunął pistolet z kabury na szelkach i w niego wycelował.

– Z tej odległości mogę strzelić w różne miejsca, zadając rany, które będą strasznie bolesne, ale nie uniemożliwią panu pracy.

Kazimi się zatrzymał. Burke, w butach z cholewkami, zwinnie zeskoczył z głazu i podszedł na odległość kilku kroków.

– Naprawdę pan myślał, że pozwolimy panu odejść? – zapytał.

– Jak długo mnie obserwowaliście?

– Przez cały czas – odparł Burke. Kazimi usłyszał dumę w jego głosie i to napełniło go odrazą. – Bacon był ciekaw, czy rozpracuje pan kamery. Być może zaczął myśleć, że wcale nie jest pan taki bystry, jak fama niesie. Ale jednak zdał pan ten egzamin. Teraz musi pan zdać kolejny. Jeśli nie pójdzie pan ze mną do Red Cliff, wkrótce będzie pan pływać w wodzie o temperaturze piętnastu stopni.

– Jeśli taka będzie wola Allacha – powiedział Kazimi.

Burke zbył jego słowa machnięciem pistoletu.

– Nie, to będzie pańska wola, pańskie pragnienie śmierci. Ale ja pragnę... nie, mam rozkaz sprowadzić pana z powrotem do laboratorium. Praca czeka.

– Nic nie zrobię. Jestem wykończony.

Burke nie wyglądał na zaskoczonego.

– Bacon wspomniał, że mówił pan coś takiego. – Z kieszeni spodni wyjął komórkę. – Szybko mogę wybrać jeden numer. Należy do naszego współpracownika w Kalifornii. Namierzył pańską byłą asystentkę, doktor Amy Gaspar. Pamięta pan Amy? Ładna szatynka o naprawdę słodkim uśmiechu.

– Proszę... – zaczął Kazimi, unosząc ręce, by błagać Burke'a o litość. – Nie

ma potrzeby jej krzywdzić.

– Jeden telefon – powtórzył Burke, potrząsając komórką – i pa, pa, Amy. Ale nie będzie to szybka śmierć od kuli. Zdecydowaliśmy się na powieszenie.

– Czego chcecie?

– Już mówiłem. Ma pan wrócić do Red Cliff i zaprzestać prób ucieczki. Nie mamy cierpliwości do takich wygłupów.

– Proszę posłuchać. Bacon nie pojmuje skali zagrożenia. Mikrob Janus zmutował. Bacon stracił nad nim kontrolę. Skutkiem będzie wybuch nowej zarazy, gorszej niż choroba Heinego-Medina, gorszej niż ospa, gorszej niż AIDS. Miliony ludzi będą zjadane żywcem od środka.

Kazimi obrócił się ku morzu. W dali po szarej wodzie płynął wielki tankowiec.

– Chce pan dopłynąć do tego statku? – zapytał Burke. – Wyiębi się pan przed przepłynięciem pięćdziesięciu metrów i utonie. – Jakby dla podkreślenia tych słów nagły zimny podmuch wiatru zmierzwił im włosy. – Będzie znacznie lepiej, jeśli wróci pan ze mną do Red Cliff.

Kazimi osunął się na kolana, nie zwracając uwagi na ból spowodowany przez pąkle wbijające się w skórę.

– Proszę – powiedział, ściskając dłonie. – Proszę mnie puścić. Pan nie rozumie powagi zagrożenia.

– Niech pan wraca i bierze się do roboty. – Burke uniósł komórkę, mówiąc to takim tonem, jakby się zwracał do dziecka. – Tak będzie łatwiej dla wszystkich zainteresowanych.

Kazimi spojrzał na niego z dzikością w oczach.

– Nie uda mi się – szepnął.

– Słucham?

– Przecież pan słyszy. Moje badania prowadziły w niewłaściwym kierunku. Przyjąłem błędne założenia. Pomyliłem się. Szczep Janus mnie pokonał. Jeśli rzeczywiście jestem bystry, to on jest bystrzejszy, o wiele bystrzejszy. W obecnej sytuacji moje starania nie przyniosą pożądanych skutków, a Janus zrobi to, co zrobi.

– Dość, doktorze. – Były agent znowu potrząsnął telefonem. – I proszę mi wierzyć, Amy Gaspar nie jest jedyną bliską panu osobą, która umrze.

– Burke, może pan mówić o śmierci, co tylko pan chce. Do tego wszystko się sprowadza, do śmierci. Chce pan zobaczyć moje myszy? Chce pan zobaczyć na własne oczy, co się stanie z pańską żoną, jeśli zostanie zarażona Janusem? Musi mnie pan puścić. Musi mi pan pomóc się stąd wydostać, żebym mógł ostrzec prezydenta.

– Powiedziałem: dość! Za minutę zadzwonię i doktor Gaspar zawiśnie, i to będzie pańska wina. Chcemy, żeby osiągnął pan wyznaczony cel, doktorze Kazimi.

Czego pan potrzebuje, żeby tak się stało? Więcej sprzętu? Więcej pieniędzy? Dostanie pan wszystko, czegokolwiek pan sobie zażyczy.

– Potrzebuję cudu – rzekł Kazimi.

– Mam dla pana wiadomość, kolego. Pan jest tym cudem. A teraz proszę powiedzieć, czego pan potrzebuje.

Mam dla pana wiadomość, kolego. Pan jest cudem.

– Potrzebuję czyjejs pomocy.

Kazimi był zaskoczony, słysząc swoje słowa.

– Bacon już panu zaproponował współpracę z naszymi najlepszymi naukowcami. Ściągniemy ich tutaj tak szybko, jak tylko się da.

– Nie. – Mikrobiolog gwałtownie pokręcił głową. – Nie potrzebuję waszych naukowców. Potrzebuję jednego z moich.

– Nazwisko. Wystarczy podać nazwisko.

– Nazywa się Humphrey Miller.

ROZDZIAŁ 33

Zasiłki dla osób uznanych za pokrzywdzone są demoralizujące, powodują orgię chciwości i zepsucia. Na przykład, wypłacanie rent po wojnie secesyjnej wydawało się prawem moralnym, dopóki nie zrodziło rzeszy pozbawionych skrupułów, domorosłych prawników mających jeden cel: oszukać rząd federalny przez uzyskanie rent dla tych, którzy na nie wcale nie zasłużyli.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

Ulicami obsadzonymi szeregiem drzew jechali do biura terenowego FBI w Atlancie, mieszczącego się w nijakim jednopiętrowym budynku w dzielnicy usługowo-przemysłowej. Vaill zatrzymał samochód przed wjazdem na parking o ograniczonym dostępie, otoczony siatkowym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym i strzeżony przez dwóch uzbrojonych ludzi. Lou w czasach, gdy zażywał narkotyki, wiele razy wchodził w konflikt z prawem. Te zatargi nie były przyjemne i każdy sprawiał, że czuł się tak jak w tej chwili – jak zatwardziały przestępca. Vaill pokazał legitymację strażnikom i brama się otworzyła.

– Po co ten drut kolczasty? – zapytał Lou. – Nigdzie się nie wybieram.

– Dobrze wiedzieć – rzucił McCall. – Ale gdyby zmienił pan zdanie, i tak nie miałby pan dokąd się udać.

Lou ścisnęło w dołku.

Vaill podjechał do parterowej przybudówki z czerwonej cegły na tyłach budynku i zaparkował obok dużej furgonetki z lasem anten na dachu. Lou dostrzegł tabliczkę wskazującą drogę do warsztatu elektrycznego i samochodowego. Dwóch agentów poprowadziło go do bocznego wejścia i w głąb korytarza. Weszli do małego pokoju ze skośnym sufitem i żółtymi ścianami. Światło jarzeniówek odbijało się od białego linoleum na podłodze.

– Witamy w Krainie Czarów – powiedział Vaill bez śladu poczucia humoru.

– Tu spisujemy zatrzymanych.

Na wprost drzwi, pod odległą o niecałe cztery metry ścianą, Lou zobaczył panel dotykowy, aparat fotograficzny na statywie i zestaw do pobierania odcisków palców. Vaill i McCall zaprowadzili go do małej wnęki, gdzie odłożyli broń do kasy pancernej.

– Od zarejestrowania do zatrzymania – wytłumaczył McCall.

– Czy to znaczy, że mnie rozkujecie?

– Podążaj za białym królikiem. Jest pan oczekiwany w pokoju przesłuchań.

– Przez kogo?

– Przez nas, rzecz jasna.

– W takim razie chodzi o pokój zaostrzonych przesłuchań, prawda?

Vaill odpowiedział uśmiechem pełnym samozadowolenia, który przyprawił Lou o ciarki.

– Jak zwał, tak zwał. Ważne są efekty.

Pokój przesłuchań był jeszcze mniejszy niż pierwszy, w którym się znaleźli – ze stołem, trzema krzesłami, pudełkiem chusteczek higienicznych, trzema małymi butelkami wody i w zasadzie niczym więcej. W kącie pod sufitem zamontowano kamerę podłączoną do monitora po drugiej stronie drzwi.

– W Krainie Czarów nigdy nie jesteś sam – dodał Vaill, wskazując kamerę.

Ciasnota, jaskrawe światło, skromne wyposażenie, wisząca w powietrzu woń ciał i kiepska cyrkulacja powietrza zwiększyły poczucie bezsilności Lou. Bez wątplenia te wszystkie elementy stanowiły część planu. Niezła robota.

– To bezcelowe – oznajmił. – Ja nic nie wiem.

Vaill, patrząc nieżyczliwie z ponurą miną, zmusił go do zajęcia miejsca przy stole i gwałtownie zdjął mu kajdanki. Lou próbował przywrócić krążenie, pocierając głębokie pręgi na bolących nadgarstkach. Drewniane krzesło miało drabinkowe oparcie i siedzenie bez obicia. Określenie „niewygodne” byłoby eufemizmem.

Onieśmielić... przerazić... kontrolować...

– Wszystko w porządku, doktorze? – zapytał McCall.

Dopiero wtedy Lou zdał sobie sprawę, że ma mocno przyśpieszony oddech.

– Oczywiście, że nie. Bawicie się ze mną, co mi się wcale nie podoba, i chcę wiedzieć, co tutaj robie.

Mężczyźni usiedli naprzeciwko niego, ich twarze nie wyrażały zainteresowania.

– Proszę posłuchać – zaczął Vaill – nie chcemy tej zabawy. Jesteśmy po pańskiej stronie. Chcemy panu pomóc. Ale żeby to zrobić, pan musi najpierw pomóc nam.

– Jak ma się pański kumpel Duncan? – spytał McCall. – Nazywa go pan Chrup, prawda?

Pytanie było dla Lou ostrzeżeniem. Agenci dużo wiedzieli i mogli przyłapać go na kłamstwie.

– Skąd mam wiedzieć? Jestem tutaj, a nie przy nim, gdzie powinienem być.

– Biegaliście po górach, kiedy spadł. Często pan biega w terenie?

Musieli widzieć akta medyczne Chrupa. To tyle, jeśli chodzi o ustawę o ochronie danych osobowych i o zasadzie poufności.

Będąc w stanie absolutnie najwyższej gotowości bojowej, Lou tylko pokiwał głową.

– Sam o tym myślałem – ciągnął McCall. – To dobre ćwiczenie, prawda?

– Niech pan spyta Chrupa. Słuchajcie. To ta część, kiedy jesteście dla mnie mili. Myślicie, że ułożymy się i pękne? Widziałem dość seriali policyjnych, żeby

znać tę sztuczkę. Cóż, nie zadziała. Po pierwsze, nie wiem nic, co by was interesowało. Po drugie, nie zrobiłem nic złego i nie powinno mnie tu być. Dajcie mi telefon i pozwólcie zadzwonić do adwokata.

– Gdzie się pan zatrzymał? – chciał wiedzieć McCall.

Lou podał nazwę hotelu i dodał, że nie zna adresu.

– Kiedy pan przyjechał?

– Tym razem? Pięć dni temu.

Ci dwaj najwyraźniej mieli upoważnienie do deptania praw obywatelskich, jeśli tylko odpowiadało to ich celom.

– Jest pan prawo- czy leworęczny? – zapytał Vaill.

– A co to ma do rzeczy? Dobra, dobra. Praworęczny. A teraz, do diabła, o co w tym wszystkim chodzi?

Vaill i McCall uważnie spoglądali mu w oczy. Nagle Lou przypomniał sobie książkę z neurofizjologii, gdzie był rozdział poświęcony odróżnianiu prawdy od kłamstwa na podstawie obserwacji ruchów gałek ocznych. Według autorów, jeśli badany mówił prawdę, jego oczy przesunęły się albo skakały w prawo, a jeśli zmyślał, bardziej prawdopodobny był ruch w lewo. W przypadku leworęcznych kierunki były odwrócone. Pytanie o to, którą ręką pisze, sugerowało, że Vaill i McCall wiedzą o tej ciekawostce – pewnie z zajęć w akademii FBI, poświęconych metodom przesłuchania. Dzięki prostym pytaniom zdobywali podstawę do oceny jego fizycznych reakcji.

Trafnie jednak przewidział, że łagodne pytania się kończą.

– Czy ktoś pana zaznajomił z teorią bakteriofagów? – zapytał Vaill.

Jezu!

Przez kilka sekund Lou nie mógł oddychać. Do licha, kim są ci faceci? Nie zdziwiłby się, gdyby zapytali go o Arlene Silver, sympatię z czwartej klasy.

– Sam ją wymyśliłem – odparł tak szybko i spokojnie, jak tylko mógł.

Humphrey! To na niego polują.

Próbował opanować ruchy gałek ocznych, chociaż podejrzewał, że bezskutecznie.

Wyraz twarzy McCalla powiedział mu, że agent przechodzi do ulubionej części przesłuchania.

– Niech pan przestanie nas okłamywać, doktorze. Proszę mi wierzyć, nie tędy droga.

– Wiemy, że sam jej pan nie wymyślił – dodał Vaill. – Skąd wziął pan informacje?

Mówił pewnym, niewzruszonym głosem – Lou używał takiego tonu, gdy musiał uspokoić wyjątkowo nerwowego pacjenta. Wyczuł, że tak jak supermaratończyk może godzinami biec bez zmęczenia, tak Vaill może bez końca przesłuchiwać podejrzanego.

Starszy agent wstał z krzesła i przeszedł na drugą stronę stołu. Zaaranżowana niewygodna klaustrofobicznie małego pomieszczenia oddziaływała coraz skuteczniej. Lou czuł pot spływający po kręgosłupie. Teraz wiedział, na czym im zależy.

– Chce pan wiedzieć, co myślimy? – zapytał McCall.

– Niezupełnie – odparł Lou.

– Myślimy, że jesteście w poważnych opałach. Stworzyliście potwora, ale z jakiegoś powodu straciliście nad nim kontrolę. Teraz wszyscy wasi przemądrzali spece od medycy są zajęci opracowywaniem leku, zanim ten paskudny zarazek naprawdę zacznie siać spustoszenie.

– Co ma pan na myśli, używając liczby mnogiej? – spytał Lou, nagle szczerze zaciekawiony.

– To my zadajemy pytania! – warknął Vaill. – Niebawem będzie miał pan swoją szansę.

– Nie wiemy, jak został pan zwerbowany do Stu Bliźnich – podjął McCall – ale zapewniam, że prędzej czy później pan nam powie.

– Jak długo pracuje pan nad tym ze swoimi koleśkami terrorystami? – zapytał Vaill. – Poruszacie niebo i ziemię, sprawdzając każdą możliwą teorię, szukając lekarstwa, ponieważ bez niego nie możecie skutecznie wywierać nacisku. Jesteście tylko bandą morderców. Masowych morderców.

Stu Bliźnich... Terroryci... Mordercy...

Lou uważnie przyjrzał się twarzom agentów, szukając śladów tego, że to jakiś szalony żart, ale nie znalazł żadnych. Ziemia usuwała mu się spod nóg. Do diabła, skąd oni wzięli te wszystkie informacje? W jednej chwili były ścisłe i rzeczowe, a w następnej zupełnie od czapy.

– Nie należę do żadnej organizacji terrorystycznej – oświadczył z uporem w głosie.

– Oczywiście, że pan należy – powiedział Vaill. – Mamy dowód.

– Jaki dowód? – Lou zareagował z oburzeniem. – Wymyślicie takie rzeczy, żeby wytrącić mnie z równowagi.

– Czyżby? – wycedził McCall.

W tej chwili Lou zrozumiał. Zamierzają mnie tu trzymać w nieskończoność.

Wszyscy słyszeli o terrorystach zatrzymanych nawet bez postawienia zarzutów – więzionych i torturowanych. Z rozmów z Humphreym wiedział, że bakterie mają jakiś związek z terroryzmem, ale nawet jego nowy przyjaciel nie miał pojęcia, o co dokładnie chodzi. Jeśli piśnie cokolwiek, ci faceci tak będą go maglować, aż w końcu doprowadzi ich do Humphreya – prawdopodobnie nie bez uszczerbku na swoim zdrowiu. Przysiągł sobie, że będzie udawać, że o niczym nie ma pojęcia... przynajmniej dopóki da radę.

– Czy zna pan organizację o nazwie Stu Bliźnich? – zapytał McCall.

– Nigdy o niej nie słyszałem.
– Kłamię pan – zarzucił mu Vaill. – Należy pan do nich.
– Zna pan naukowca Ahmeda Kazimiego? – nacisnął McCall.
– Nie – zaprzeczył Lou, krzywiąc się, ponieważ był pewien, że jego oczy śmignęły w lewo.

Vaill na pewno to zauważył.

– Pan i pańska obłąkana grupa chcecie zniszczyć Amerykę, prawda? – dopytywał McCall.

– Nie! Skąd! – krzyknął Lou. – Nigdy bym tego nie zrobił. Kocham ten kraj.

Vaill znów wstał i obszedł stół.

– Nareszcie do czegoś dochodzimy – rzekł łagodniejszym głosem. – To dobrze, naprawdę dobrze, Lou. Kochacie ten kraj. Nie chcieliście wywołać zarazy. Po prostu wymknęła się spod kontroli. Próbujecie naprawić sytuację przez opracowanie skutecznej metody leczenia.

Lou czuł się wytracony z równowagi i tracił pewność siebie. Bez trudu wyobraził sobie przesłuchanie trwające godzinami, wracające do jego wcześniejszych odpowiedzi, gdy z sekundy na sekundę będzie coraz bardziej wyczerpany. Nie miał wątpliwości, że upływ czasu połączony z brakiem jedzenia i snu w końcu zmuszą go do jakiegoś wyznania, może nawet do przyznania się do winy.

– Znam wasze motywy – powiedział McCall. – Poczytałem sobie o nich. Zrobiliście to z miłości do ojczyzny. Myślicie, że wyświadczacie Ameryce ogromną przysługę.

– Ależ skąd – mruknął Vaill. – Sądzę, że akurat ten facet robi to dla władzy. Czy to cię rajcuje?

– Jestem obywatelem amerykańskim jak wy – odparował Lou. – Mam jakieś prawa.

– To już przedyskutowaliśmy – przypomniał McCall. – Wspomnieliśmy o możliwości odstąpienia od praw Mirandy, związanej z bezpieczeństwem publicznym. Słyszał pan o tym?

– O prawach Mirandy? Chyba tak.

– Z mędrkowaniem nie jest panu do twarzy, doktorze. Wyjątek ze względu na bezpieczeństwo publiczne dotyczy terrorystów takich jak pan. Oznacza to, że w obecnej sytuacji przysługuje panu niewiele praw, ponieważ my tak mówimy. Rozumie pan?

– W takim razie traktujcie mnie jak dziennikarza. Oni mają prawo chronić swoje źródła.

– Więc pan przyznaje, że jest jakieś źródło?

Lou się wzdygnął.

– Do niczego się nie przyznaję, tylko mówię, że gdybym miał źródło,

zgodnie z prawem mógłbym je chronić.

Vaill pokręcił głową.

– Powołujesz się na prawo ochrony prywatności informatorów? Poważnie? Tylko to umiesz wykombinować? Wybacz, kolego, ale jeśli jestem na bieżąco, rząd federalny nic takiego nie wprowadził, więc może spróbujmy jeszcze raz. Kto jest twoim źródłem?

– Ktokolwiek naprowadził was na ten trop, nie ma racji – powiedział Lou.

W małym pokoju czuł się jak w saunie.

– Jest dla mnie oczywiste, że nie rozumiesz powagi sytuacji. Terrorysty atakują nasz kraj, który podobno kochasz, a ty masz informacje o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego. Zgadza się? Czy to dla ciebie wystarczająco jasne?

Lou postanowił nie odpowiadać.

– Dla mnie na pewno – stwierdził McCall.

– Wiesz, o co zostaniesz oskarżony? – zapytał Vaill.

– Nie popełniłem żadnego przestępstwa! Prowadzę badania, żeby pomóc umierającemu przyjacielowi.

Vaill zignorował jego uwagę.

– Mówimy o oskarżeniach o poważny spisek. Za działania przestępcze przeciwko Stanom Zjednoczonym dostaniesz pięć lat i wysoką grzywnę, ale za materialne wspieranie znanego ugrupowania terrorystycznego, a to kolejne oskarżenie, które ci grozi, możesz dostać dodatkowe piętnaście.

– Jeszcze więcej, jeśli ktoś umrze – zaznaczył McCall.

Vaill z wdzięcznością pokiwał głową.

– No tak, dzięki. Masz rację. Jeśli ktoś umrze, wtedy możesz siedzieć w więzieniu do końca życia. Ale nie ma obawy. Jestem pewien, że jako lekarz zostaniesz skierowany do więziennego szpitala, przynajmniej dopóki się nie zorientują, że lepiej nie powierzać ci prochów. Wtedy nie będziesz miał żadnej ochrony.

– To obłąd. Nie jestem terrorystą.

– W oczach rządu jesteś. A teraz mów, kto jest twoim źródłem?

Lou nie odpowiedział.

– Nie masz prawa do zachowania milczenia – kontynuował Vaill. – Możesz zostać oskarżony o bardzo poważne przestępstwa. Dlatego pytam jeszcze raz. Kto jest twoim źródłem?

– Pomyśl o swojej córce – wtrącił McCall.

Lou rozbłysły oczy. Vaill mierzył go wzrokiem.

– Emily. Tak ma na imię, prawda? – powiedział takim tonem, jakby sobie gratulował, że pamięta. – Słuchaj, Lou, myślisz, że chcę, żeby jej tata był sądzony jako terrorysta? Lekarz w dzień, masowy morderca w nocy. Wyobrażasz sobie, co

napiszą o tobie w gazetach? – Dramatycznie machnął ręką w powietrzu, jakby podkreślał nagłówek. – Koszmarne przeżycie dla dzieciaka.

– Na pewno zrobi coś strasznego – dodał McCall. – Mam na myśli najgorsze.

– Pewnie rzuci szkołę.

– Najprawdopodobniej zniszczy jej to życie. Jesteście ze sobą blisko, prawda?

– Trzymajcie się z daleka od mojej córki!

Lou czuł, że płonie mu kark. Cała ta taktyka była sztuczką, zagrywką, ale mimo wszystko żądliła niczym rój szerszeni.

– Widzisz, Lou, w tym problem. – Vaill znowu przejął pałeczkę. – Twoja córka będzie kimś w rodzaju przypadkowej ofiary. Nie ma szans na to, żeby ją wykluczyć, chyba że zaczniesz mówić. Pomyśl o tych, których kochasz, na których ci zależy. Wszyscy zostaną przesłuchani. Twoja sprawa znajdzie się na pierwszym miejscu na rządowej liście rzeczy do zrobienia, na naszej liście priorytetów. Zaangażujemy więcej ludzi, żeby dokładnie prześwietlić każdą bliską ci osobę. Będziemy kopać w ich przeszłości tak głęboko jak w twojej.

Agenci kontynuowali przesłuchanie, pracując zespołowo.

McCall zastąpił w końcu partnera.

– Twój kumpel, Chrup. Jak jego podatki? Jeśli przeżyje, jak sądzisz, czy wciąż będzie miał swoją salę treningową, kiedy z nim skończymy? A co z twoją eks, Renee? I jej mężem Steve'em? Czy mają w szafie jakieś szkieleciki, które chcieliby ukryć przed FBI? Ta jego kancelaria prawna nie wygląda na taką, która wyjdzie obronną ręką, gdy Biuro weźmie ją pod lupę. Lou, naprawdę chcesz narazić wszystkich, których najbardziej kochasz?

– Zginęli ludzie, Welcome – odezwał się Vaill głosem o pół oktawy wyższym i głośniejszym o kilka decybeli – i dopóki nie powiesz nam tego, co chcemy usłyszeć, to ty pociągasz za spust.

Lou zwrócił uwagę, że twarz mężczyzny wykrzywił prawdziwy ból. Przypomniał sobie, że już w Niebieckim Wole Vaillowi przyświecał jakiś ukryty cel, niezupełnie zbieżny z planem McCalla.

– Czy zginął ktoś, kogo kochasz? – zapytał. – Czy dlatego jesteś taki bezwzględny?

– Zamknij się – warknął Vaill.

Lou postanowił naciskać.

– Twoja córka? Syn? Może żona?

Vaill błyskawicznie złapał go za koszulę. Lou był pięć czy siedem kilogramów cięższy, ale adrenalina zrobiła swoje i Vaill potężnym szarpnięciem poderwał go z krzesła. McCall przyskoczył, żeby powstrzymać partnera. Ten zgarbił się i opadł na krzesło. Zadyszany, patrzył z mordem w oczach.

– W porządku – oznajmił McCall. – Zaczynamy taniec od początku. Skąd

masz te informacje?

ROZDZIAŁ 34

Kiedy sprawa jest słuszna i sprawiedliwa, zwycięstwo jest nieuchronne.
Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Jennifer Lowe wiedziała, że umrze.

Nie pewnego dnia, ale wkrótce.

Był to jej piąty dzień w izolatce, tyle że tym razem była pacjentką, nie pielęgniarką. Pamiętała, jak jedna z jej ulubionych nauczycielek w szkole pielęgniarskiej mówiła, że najlepszym sposobem na to, żeby stać się dobrą pielęgniarką, jest przebywanie w szpitalu w roli pacjentki. Obecna hospitalizacja z pewnością by jej w tym pomogła, tyle że szanse na to, że będzie jeszcze kiedyś pielęgniarką, były znikome. Prześcieradła wydawały się szorstkie jak papier ścierny, posiłki nie zawierały niczego, na co miałyby ochotę, a czasochłonne procedury izolacji utrudniały zaspokajanie potrzeb fizjologicznych i miała kłopoty ze zdążeniem do łazienki, choć opiekowały się nią koleżanki i były w tym niezrównane. Najgorsze ze wszystkiego, że lewa ręka – spuchnięta i pulsująca – wyglądała tak, jakby zaraz miała odpaść, co w takiej czy innej postaci prawie na pewno było nieuniknione.

Nawet cudowna panorama Bostonu stawała się męcząca.

Jennifer, odkąd pamiętała, zawsze była optymistką. Kiedy w dzieciństwie trafiła do szpitala z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego i po raz pierwszy spotkała pielęgniarkę, w głębi duszy postanowiła, że zostanie jedną z nich. Dowiedziawszy się więcej o tym zawodzie, zdecydowała, że nie zwykłą pielęgniarką, lecz pielęgniarką w części szpitala wymagającej wyższych kwalifikacji, jak sala operacyjna czy OIOM.

Zakochała się w fizjologii układu oddechowego i najpierw dostała pracę na OIOM-ie w White Memorial, a potem w nowym izolowanym oddziale szpitala. Teraz, co było szczytem ironii, miała tam umrzeć – tam albo na sali operacyjnej, jak Becca Seabury.

To obłąd. Absolutny obłąd. Była młoda i zdrowa. Nie zrobiła absolutnie nic złego. Głęboko wierzyła w Boga i z poświęceniem pomagała tym, którzy mieli mniej szczęścia niż ona. Mimo to, ponieważ sytuacja rozwijała się tak, a nie inaczej, nadzieja gasła z godziny na godzinę.

Chciała przesunąć rękę, wielką jak torpeda, ale powstrzymał ją palący ból i obrzęk od czubków palców do ramienia. Wcisnęła guzik sterujący kroplówką, żeby więcej morfiny wpłynęło przez cewnik centralny z dostępu obwodowego. Za każdym razem odkrywała z zaskoczeniem, że jeszcze nie nastawiła urządzenia na podawanie maksymalnej dawki narkotyku. Cóż, cholera, przecież na to zasłużyła.

Jennifer zrozumiała, że ma problem, na drugi dzień po tragicznej śmierci Bekki, pacjentki i przyjaciółki. Przypadek nastolatki zaczął się od dość paskudnego złamania łokcia, ale rana została zakażona przez nadzwyczaj odporne bakterie, nazwane przez prasę Mikroblem Sądnego Dnia. Mimo amputacji ręki infekcja opanowała pozostałe kończyny i narządy wewnętrzne i na koniec doszło do zatrzymania akcji serca na stole operacyjnym.

Pielęgniarka była przekonana, że jest jej pisany dokładnie taki sam los.

Gdy teraz spoglądała wstecz, wiedziała, że była zarażona Mikroblem Sądnego Dnia już wtedy, gdy stała na podwyższeniu w sali operacyjnej i patrzyła na ostatnie chaotyczne i burzliwe minuty życia Bekki. Bakterie – możliwe, że nawet jedna, jak powiedzieli jej ludzie z zakaźnego – dostały się do jej organizmu przez mały wyprysk egzemy albo drobne skaleczenie na ręce, a może, jak na ironię, przez zadrażnienie spowodowane zakładaniem i zdejmowaniem zaręczynowego pierścionka z brylantem.

Pierścionek przypominał o Andym Gullim, jej narzeczonym, a Andy z kolei był odpowiedzią na jej modlitwy. Przystojny, atletycznie zbudowany, bystry, zabawny i troskliwy, spełniłby marzenia niejednej.

Kropłówka pisnęła, sygnalizując nowy wlew morfiny, i po kilku sekundach Jennifer poczuła w piersi krzepiący, ciepły ucisk. Straszliwy ból zaczął ustępować – nie zniknął, nigdy w pełni nie zniknął, ale przynajmniej zelżał. Uśmiechnęła się do siebie, gdy przez mgłę w jej głowie przebił się dodający otuchy głos Andy'ego. Wiedziała, że tak naprawdę go tam nie ma, ale halucynacje z pewnością były najlepszym skutkiem zażywania morfiny.

– Jenn...? Kochanie?

Umieram, Andy. Przyjdź, przytul mnie, uchron przed śmiercią.

– Jenn...? Słyszysz mnie?

Był tam, naprawdę tam był, ubrany w fartuch i rękawiczki, w czepku na włosach, z maską na twarzy i ochraniaczami na butach. Otworzyła oczy i ujrzała go jak przez mgłę. Wyglądał niczym przybysz z kosmosu. Czy pocałowała go po raz ostatni?

– Myślałam, że mi się śnisz – powiedziała.

– To przez morfinę. Dawali mi trochę, kiedy miałem plastykę kolana. Czasami zastanawiałem się nad uszkodzeniem drugiego, żeby dostać więcej. Zamiast tego poszedłem jednak na fizjoterapię i zrezygnowałem z koszykówki. Jak ręka?

– Na skali od jeden do trzech, proporcjonalnie do ilości antybiotyków, jakie dostaję, byłoby trzy. Kocham cię, Andy.

– Ja ciebie też, skarbie.

– Wciąż chcesz mnie poślubić?

– Oczywiście. Bardziej niż kiedykolwiek.

– Nawet jeśli będę miała tylko jedną rękę albo wcale, i ani jednej nogi?

– To nie jest zabawne.

– Wybacz. Po prostu się boję. Ci ludzie są najlepszymi lekarzami na świecie, ale chyba nie mają pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Ręka coraz bardziej puchnie i coraz bardziej boli. Jutro chcą przeciąć skórę od pachy po czubki palców, żeby zmniejszyć ciśnienie obrzęku i zapobiec uszkodzeniu mięśni i nerwów.

– Zajrzę do pielęgniarek i dowiem się, o której. Będę z tobą, kiedy zaczną. Bądź silna.

– Becca... Nie mogę przestać o niej myśleć.

– To zrozumiałe.

– Czasami naprawdę słyszę, jak woła, żebym przyszła i była z nią.

– To tylko leki i ból, skarbie. Wszystko będzie dobrze.

Nie wierzył w swoje słowa. Słyszała to w jego głosie. Nie wierzył ani przez chwilę.

– Andy?

– Tak, kochanie?

– Szybko tracę rękę, ale jeszcze szybciej wiarę.

ROZDZIAŁ 35

Ustawa o ubezpieczeniach społecznych odziera nas z pionierskiego ducha, będącego fundamentem Ameryki, i bez wątpienia doprowadzi do powstania nowych programów ubezpieczeniowych, które ostatecznie spowodują bankructwo kraju – to pewne jak wschód słońca.

Lancaster R. Hill, korespondencja z Nicole Smith, czerwiec 1936

Siedem godzin.

Lou nie pękł, ale słabł. Każda z tych czterystu dwudziestu minut dała się we znaki jego mięśniom i stawom, a także duchowi. Jedynym plusem wyczerpującego przesłuchania było to, że agenci – szczególnie Tim Vaill – też wydawali się zmęczeni.

Lou stwierdził, że jego przewaga wynikała z lat pracy na nocnej zmianie, pod presją, jaką może zafundować tylko SOR szpitala w podupadłej części śródmieścia. Gdy go maglowali, z uporem trzymał się swojej wersji, w mniejszym lub większym stopniu wymyślanej na poczekaniu. Interesował się sytuacją przyjaciela, za którą czuł się częściowo odpowiedzialny, i dlatego poszukiwał informacji. Chciał potwierdzić coś, o czym przeczytał, więc skontaktował się z doktorem Scupmanem i doktor Banks, których poznał kilka tygodni wcześniej podczas wycieczki do laboratorium w CDC. Parę dni później Vicki Banks zaproponowała mu spotkanie przy drinku w Niebieskim Wole, i to wtedy pojawili się faceci w czerni.

Ze względu na tragiczny stan przyjaciela miał ochotę na drinka, ale skończyło się na coli light.

Mów spójnie. Nie komplikuj.

Niejeden raz podczas przesłuchania Lou prosił agentów o możliwość skorzystania z telefonu. Za każdym razem spotykał się z odmową. Na szczęście pozwolili mu kilka razy skorzystać z łazienki.

Jego prawa, mówiąc krótko, ograniczały się do tego, że miał prawo być przetrzymywany w pokoju przesłuchań, dopóki agenci nie będą zadowoleni z jego odpowiedzi.

Zatem czyje to było prawo?

Raz, kiedy oczy mu się zamknęły i głowa zaczęła kiwać, Chuck McCall dał mu baton proteinowy, butelkę napoju izotonicznego Gatorade i kubek kawy z automatu. Poza krótkimi przerwami na skorzystanie z łazienki siedział uwięziony w miejscu nie większym niż pokoje do badań w Eisenhower Memorial.

Żadnych praw... ani wolności... ani odpoczynku... ani wyjścia...

Gdy zaczęła się ósma godzina, Vaill szepnął coś do McCalla. Chwilę

później, podczas pierwszej prawdziwej przerwy w męczącej rutynie przesłuchania, młodszy agent wstał i wyszedł z pokoju.

– Niech zgadnę – powiedział Lou. – Jesteście w związku i on wraca do hotelu, racja?

– To nie jest zabawne. Myślisz, że podoba się nam to, co robimy?

– Tak naprawdę wcale nie chcesz usłyszeć mojej odpowiedzi.

Lou miał słabszy głos, niż się spodziewał. Łyk napoju Gatorade nie pomógł.

– Przyniesie coś, żeby ci pokazać.

– Mogę wstać? Nogi mi drętwieją.

– Daleko od krzesła i ręce na widoku.

– Nielegalnie przetrzymywany więzień dokonuje śmiałej ucieczki przy użyciu krzesła jako broni. Podoba mi się.

– Mądrała do samego końca.

Już nie przemądrzały dupek, zauważył Lou. Czy to znaczące? Spostrzegł też, że zachowanie i wyraz twarzy Vailla chyba trochę złagodniały. Podniósł się niepewnie i odszedł od krzesła, unosząc ręce. Vaill siedział. Lou zajmował teraz coś w rodzaju pozycji siły, wysoki, patrzył z góry na swojego prześladowcę. Tamten miał nieobecne spojrzenie. Lou odniósł wrażenie, że po raz pierwszy od początku przesłuchania agent nie skupia na nim uwagi.

– Na początku rozmowy – odezwał się Vaill – zapytałeś mnie o żonę.

– Jeśli dobrze pamiętam, próbowałeś mnie za to udusić.

– Wierz mi, doktorze, kiedy chcę kogoś udusić, to duszę.

Łagodnie... A może to tylko zmęczenie?

Vaill oparł łokcie na stole i przez krępującą minutę patrzył w przestrzeń. Kiedy się skoncentrował, Lou wyczuł, że to, co powie, będzie płynęło z głębi serca.

– Moja żona miała na imię Maria – zaczął. – Pracowała w Biurze jak ja i była... i będzie... jedyną kobietą, którą kochałem. Alexander Burke, kret skaptowany przez Stu Bliźnich, a prawdopodobnie jeden z nich, z dwóch metrów strzelił jej między oczy, żeby uprowadzić Ahmeda Kazimiego. Zmarła, zanim kolana się pod nią ugięły. Byliśmy razem na służbie, więc widziałem jej śmierć. Po zabiciu Marii Burke strzelił do mnie dwa razy. Spadałem ze schodów i miałem kamizelkę, i gdyby nie to, trafiłby tam, gdzie celował, w głowę i serce. Dwa centymetry w prawo, a strzał w głowę byłby śmiertelny. Kula weszła pomiędzy czaszkę i mózg i została wyjęta. Jego błąd.

Vaill wskazał dużą, świeżą bliznę nad prawym uchem.

Lou gardził tym człowiekiem, ale nie mógł zbagatelizować jego szczerego smutku. Od początku wyczuwał, że Vaill ma inny cel niż McCall. Chodziło nie tylko o śledztwo w sprawie zagrożenia terrorystycznego – dla niego była to sprawa osobista. Bardzo osobista.

– Naprawdę mi przykro – powiedział. – Ale szczerze, nie miałem nic

wspólnego ze śmiercią twojej żony.

– Posłuchaj, nie twierdzą, że jesteś jednym z nich.

– Więc mi wierzysz?

– Ja tylko próbuję poznać prawdę – odparł Vaill, pocierając oczy.

– A ja próbuję ocalić życie mojego przyjaciela.

Najwyraźniej Lou użył właściwych słów. Wyraz twarzy Vailla przypominał mu miny jego partnerów sparingowych, łącznie z miną Chrupa w te nieczęste dni, kiedy różnica wieku wyrównywała szanse i walka kończyła się remisem. Malowały się na niej zmęczenie i niechętny podziw. Lou usiadł, kiedy zdał sobie sprawę, że niemal podskakuje, szykując się do kolejnej rundy.

– Zapytam inaczej, Vaill – podjął po przerwie. – Tak naprawdę wcale nie uważasz, że jestem terrorystą, czy tak?

– Wierz albo nie, próbuję uchronić cię przed więzieniem. Ale sądzę, że coś przede mną ukrywasz. To nie twoja wojna, Lou, tylko nasza. Musisz dać nam amunicję, którą chowasz, żebyśmy mogli walczyć.

W tej chwili wrócił McCall z cienką tekturową teczką, którą położył na środku stołu. Lou sięgnął po nią, ale Vaill pierwszy wziął ją w ręce.

– Zanim to otworzysz, powiem, co będzie dalej. Przewieziemy cię do aresztu federalnego. Wciąż będziesz podlegać FBI, dopóki nie staniesz przed sędzią w sądzie okręgowym. Nastąpi to wtedy, kiedy zadecydujemy, że mamy cię dość. W sądzie zostaniesz oficjalnie oskarżony o przynależność do znanej grupy terrorystycznej i udzielanie jej materialnego wsparcia. W tym momencie nasza robota się skończy. Dostaniesz obrońcę z urzędu, a amerykański rząd poszczuje cię najbardziej krwiożerczymi psami, badając każdy fragment twojego życia, i zostaniesz skazany.

– Dlaczego mi to mówisz?

Vaill spojrzał na teczkę. W tej chwili Lou dostrzegł dziwne oszołomienie w jego oczach. Agent mrużył powieki, jakby boleśnie raziło go światło. McCall, stojąc za plecami partnera, wydawał się nieświadom, że coś jest z nim nie w porządku. Vaill ostrożnie odsunął rękę. Wyglądał na otumanionego.

Do licha, co się z nim dzieje? – zastanawiał się Lou.

Mężczyzna, silny i pewny siebie przez całą noc, poważnie cierpiał. Działo się coś złego. Vaill zamknął oczy i zaczął uciskać skronie.

Lou zareagował jak lekarz. Udar? Krwotok? Tętniak?

– Vaill, dobrze się czujesz? – zapytał. – Hej, McCall, coś się dzieje z twoim partnerem. Może migrena. Może coś gorszego.

– Nic mi nie jest – wymamrotał Vaill, krzywiąc się z powodu nieznośnego bólu. – Zaraz wrócę. Chuck, miej go na oku.

McCall wciąż nie widział twarzy partnera. Vaill wstał ze łzami w oczach, przewracając krzesło, i chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju.

– Miewa migreny – wyjaśnił McCall.
– Ataki migreny zwykle nie są tak nagłe i często poprzedza je coś w rodzaju ostrzeżenia.

– Nic mu nie będzie.
– To nie był typowy atak migreny. Pozwól mi go zbadać. Obiecuję, nie będę próbował zwiać. Możesz pójść ze mną.

McCall nie krył zdumienia.

– Proszę tu zostać – powiedział. – Vaill miewa takie bóle głowy.

Po pięciu minutach zadzwonił, włączając tryb głośnomówiący.

Vaill odebrał po szóstym sygnale.

– Nic mi nie jest – warknął i rozłączył się.

Minęło pięć minut, i kolejne pięć.

– W porządku – zaczął McCall. – Chodźmy i...

Drzwi się otworzyły i Vaill wrócił, wciąż lekko się słaniając. Oczy miał przekrwione, a otaczający go zapach mówił, że wymiotował.

– Przepraszam – mruknął. – Nic mi nie jest. Miejmy to za sobą.

– Jesteś pewien? – zapytał McCall.

Przez chwilę Lou miał wrażenie, że starszy agent zaraz wybuchnie. Zamiast tego głęboko odetchnął przez nos, ponownie przeprosił i wypił łyk gatorade'a.

– Do roboty.

Lou wypatrywał oznak udaru, ale mężczyzna wyraźnie dochodził do siebie. Podsunął mu teczkę i Lou, wzruszając ramionami, ją otworzył.

Zawierała zdjęcie z Facebooka przedstawiające Emily z dwiema najbliższymi przyjaciółkami, dobrze mu znanymi. Dziewczęta stały objęte przed akademią Carlton.

– O co tu chodzi?! – krzyknął, odsuwając wydruk, jakby się palił.

Dziwne roztargnienie zniknęło z twarzy Vailla bez śladu, jakby do niezwykłego epizodu w ogóle nie doszło.

– O to, co masz do stracenia, Lou.

– Dlaczego mi to pokazujecie? Jak śmiecie wciągać w to szambo moją córkę?

– Nie rozumiesz, prawda? – zapytał Vaill, wstając. – Twoja córka odgrywa w tym wszystkim bardzo ważną rolę. Posłuchaj, Lou. Spotkasz się z poważnymi oskarżeniami. Istnieje ryzyko, że znikniesz na długi czas. Nie rób tego córce. Pomyśl o tym. Nie jesteśmy twoimi wrogami. Powiedziałem ci o mojej żonie. Byłem z tobą szczery, ponieważ naprawdę się przejmuję. Ale mamy robotę do wykonania i, cholera, zamierzamy ją wykonać. Dlatego przyjrzyj się temu zdjęciu. Moja żona nie żyje, ale od tej dziewczyny aż bije życie. Nie chcesz jej zniszczyć ani upokorzyć. Chcesz być w pobliżu, żeby zabierać ją na mecze, odwiedzać z nią uczelnie albo cokolwiek innego. I będziesz mógł to robić, jeśli zaczniesz

współpracować. Podaj mi nazwisko. Skąd masz informacje o bakteriofagach?

Lou spojrział na zdjęcie Emily i musnął je czubkiem palca. Wyobraził sobie, że widuje córkę tylko przez pleksyglas w pokoju odwiedzin w jakimś więzieniu federalnym. Każdy słyszał o niesprawiedliwości, jakiej doznali niewinni mężczyźni i kobiety z powodu kaprysów albo rozmyślnych działań rządu. Wiedział też, że Humphrey niczego nie zdołał bez jego pomocy i że w konsekwencji ucierpi Chrup. Czy może po prostu podać nazwisko?

Wykluczone.

Jak długo będzie w więzieniu? Czy naprawdę mogą go zamknąć? Został uwikłany w scenariusz, z którego dumny byłby Kafka. Teatr absurdu, tylko że ten dramat rozgrywał się naprawdę. I, jak Vaill powiedział o swojej żonie, prawdziwą ofiarą będzie osoba, którą Lou kocha najbardziej na świecie.

Emily...

– Humphrey Miller.

Usłyszał swój zduszony szept. Vaill się pochylił.

– Kto?

– Miller. Humphrey Miller – powtórzył Lou tym razem silniejszym głosem. Kamień spadł mu z serca, lecz wcale nie czuł ulgi. – Jest technikiem farmacji w szpitalu Arbor, a także genialnym mikrobiologiem. Należał do zespołu, który pomagał Kazimierzowi opracować sposób na zwalczanie drobnoustroju.

– I co się stało?

– Starli się i rozeszli, ponieważ Kazimierz nie wierzył, że teoria Humphreya się sprawdzi. Humphrey albo został wyrzucony z zespołu, albo sam odszedł.

– Myślę, że z nami pogrywasz.

– Myślcie sobie, co chcecie. Nie sądzę, żeby znali się osobiście. Humphrey nie jest naukowcem. Jest zwykłym pracownikiem szpitalnym, cierpiącym na poważne mózgowo-porażenie dziecięce. Od lat kontaktowali się przez internet, lecz chyba nigdy się nie spotkali.

– To niedorzeczne!

– Ale taka jest prawda. Humphrey z nikim w szpitalu nie rozmawiał o swoich zdolnościach, ponieważ ludzie często go wyśmiewają i mają kłopoty ze zrozumieniem go, i ponieważ chełpliwy dupek kierujący oddziałem chorób zakaźnych nigdy nie traktował go serio. Mnie jednak Humphrey zaufał, a ja rozumiem, co mówi, i szanuję jego teorie. Wierzę, że może zwalczyć tę infekcję, używając zabójczych bakteriofagów. Jeśli sprawdzaliście, wiecie, że to możliwe. Stosują tę metodę w Rosji i innych krajach.

– Jezu... – mruknął Vaill. – Dlaczego wcześniej nam o tym nie powiedziałaś?

– Bo Humphrey jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Ma praktycznie bezwładne ręce i nogi. Chciał, żebym mu pomógł założyć laboratorium

w piwnicznym magazynie szpitala, żebyśmy mogli przeprowadzić eksperymenty dowodzące słuszności jego teorii, a mnie zależało, żeby zrobić to szybko.

– Nielegalne laboratorium?

– Tak, w piwnicy. Humphrey włamał się do szpitalnego systemu komputerowego, zamówił całe potrzebne wyposażenie i zwierzęta doświadczalne. Dzięki mnie wszystko jest przygotowane. Proszę, stawką jest życie Chrupa. Nie możecie teraz powstrzymać Millera.

– Jezu... – powtórzył Vaill, kręcąc głową.

Zwrócił się do McCalla:

– Chuck, dzwoń do Beth i przekaz jej dane. Humphrey Miller, technik farmacji w szpitalu Arbor. Zapytaj, co chce zrobić.

– Rozumiem. Spotkamy się w samochodzie. – McCall zawahał się przy drzwiach i machnął ręką w stronę Lou. – Tim, wierzysz temu facetowi?

– Nie sądzę, żeby był stuknięty, jeśli o to ci chodzi. Ale nie jestem pewien, czy mogę to samo powiedzieć o tym Millerze.

Vaill pomógł Lou wstać i znów założył mu kajdanki.

– Co teraz? – zapytał Lou.

– Teraz ty się zdrzemniesz w sypialni z kratami w areszcie federalnym, a my zrobimy, co trzeba.

– Powiedziałem wam, co chcieliście. Nie puścicie mnie?

– Hm, zastanówmy się... Nie.

Słowo zabrzmiało jak uderzenie młotka sędziego.

Vaill poprowadził go za drzwi i obok McCalla, który już rozmawiał przez telefon, prawdopodobnie z szefową.

Lou wiedział, że popełnił błąd, wyznając prawdę. Rząd słynął z zawalania sprawy w takich sytuacjach. Niemożliwe, żeby odstąpili i pozwolili Humphreyowi pracować. Chrup nie miał szans.

Vaill wyprowadził go z budynku w chłodną noc. Niebo było usiane gwiazdami.

– Która godzina? – spytał Lou.

– Wpół do trzeciej – odparł Vaill, spoglądając na zegarek.

Lou wziął głęboki wdech, nie mając pewności, czy jeszcze kiedyś odetchnie świeżym powietrzem jako wolny człowiek.

ROZDZIAŁ 36

Bliźni często potrzebuje społeczności, żeby osiągnąć swój cel. Tym samym może wynajmować albo werbować innych do konkretnych zadań, jeśli uzna ich za wiarygodnych, lecz nie powinien nikomu oferować numeru, chyba że w organizacji jest wolne miejsce i kandydat zostanie zaaprobowany przez prezesa.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Vaill rzadko współczuł przestępcom, zrobił jednak wyjątek dla Lou Welcome'a. Jego zdaniem Welcome wyglądał na przyzwoitego faceta, troskliwego ojca i oddanego lekarza, który w niewłaściwym czasie wpłatał się w śmiertelnie groźną sytuację. Ale prawo jest prawem i nie brakuje ludzi, którzy człapią w pomarańczowych kombinezonach z numerami na plecach dlatego, że podjęli złe decyzje.

Odkładając na bok uczucia, Vaill robił to, co musiało zostać zrobione. Jako agent FBI miał obowiązek prowadzić poufne śledztwa dotyczące bezpieczeństwa narodowego i egzekwować setki federalnych przepisów. Lou Welcome, niezależnie od tego, co taił, był zamieszany w sprawę, którą rząd uważał za priorytetową, i on, Vaill, zrobił, co do niego należało, i zrobił to dobrze. Ciąg dalszy należał do prokuratury, która oficjalnie postawi doktorowi zarzuty. Tymczasem on dołoży wszelkich starań, żeby wspierać te wysiłki, jednocześnie potajemnie je podkopując.

Była czwarta rano, kiedy w końcu wyszedł przez boczne drzwi miejskiego więzienia w Atlancie. McCall postanowił zostać w biurze FBI do rana i napisać to, co z pewnością będzie długim raportem o wydarzeniach, które doprowadziły do spotkania z Lou Welcome'em w Niebieskim Wole, i o tym, co nastąpiło później. Potem pojedzie do hotelu i spotkają się przed południem.

Nie zamienili ani słowa o incydencie w pokoju przesłuchań. Jak wcześniej, Vaill okłamał nowego partnera, że miał atak migreny, i jak wcześniej, o ile się orientował, McCall mu uwierzył.

Okolo dziewiątej miał zabrać Welcome'a z celi i zawieźć go do sądu na przesłuchanie. Gdy Temida będzie decydować o losie tego człowieka, on dołączy do partnera i razem wrócą do tropienia Alexandra Burke'a.

Podczas krótkiego spaceru na parking więzienia Vaill bez powodzenia próbował chłonąć spokój wczesnego poranka. Coś było nie w porządku z jego mózgiem, bóle głowy stawały się coraz silniejsze i coraz bardziej dezorientujące. Kiedy tylko przygwoździ Burke'a, umówi się na wizytę u doktora Guntera, swojego neurochirurga. Może zrobią mu kolejny rezonans. Ale dopiero wtedy, gdy zabójca Marii trafi za kratki... albo umrze.

Komórka zadzwoniła kilka razy, zanim dźwięk wdarł się do jego myśli.

Spojrzał na ekran i nie był zaskoczony, gdy zobaczył nazwisko szefowej.

– McCall przekazał mi najważniejsze wiadomości – powiedziała Beth Snyder – przystąpiliśmy do działania. Dobra robota, Tim.

– Dziękuję.

– Myślisz, że ten Humphrey naprawdę jest tu graczem?

– Możliwe. Doktor Lou Welcome będzie siedział bezpiecznie pod kluczem, dopóki za kilka godzin nie pojedzie do sądu. Mam nadzieję, że w tym czasie znajdziemy coś na Millera.

Vaillowi zastrzykały kolana i plecy, gdy na parkingu wsiadał do samochodu, a burczenie w brzuchu podsunęło mu myśl o mrożonym burito z pierwszego napotkanego całodobowego sklepu spożywczego. Ale najpierw musi wstąpić gdzieś indziej.

– Masz już adres Millera? – zapytał. – Pojadę tam od razu.

– Nie – odparła Snyder może ciut za szybko. – Odpocznij, dopóki nie przyjdzie pora na odebranie Welcome'a. Chcę uzyskać nakaz przeszukania tego tajnego laboratorium. Jeśli faktycznie istnieje, uzyskanie nakazu rewizji mieszkania Millera pójdzie jak z płatka. Lepiej mieć wszystko zapięte na ostatni guzik, kiedy na niego ruszymy. Nie chcę, żeby się wykręcił z powodu jakichś uchybień formalnych, zwłaszcza jeśli jego upośledzenie jest tak poważne, jak mówi McCall. Chuck nie sądzi, żebyśmy musieli się śpieszyć, i ja się z nim zgadzam. Poza tym mam wrażenie, że nie zaszkodzi ci trochę odpoczynku. Na wypadek gdybyś zapomniał, wiele przeszedłeś.

Nie spocznę, dopóki nie znajdę Burke'a.

Vaill zachował tę myśl dla siebie. Od wielu lat pracował dla Snyder i wiedział, jaka byłaby jej reakcja: „W FBI nie ma miejsca na osobiste porachunki. Gdy agent rusza na prywatną wojnę, umiera”. To, w jaki sposób kazała mu odpocząć, skłoniło go do zastanowienia się, czy McCall powiedział jej o bólach głowy. Nie chciał ujawniać powagi problemu, robiąc wokół niego aferę, ale uznał, że może najlepiej pogadać z Chuckiem.

– Szczerze mówiąc, mam zaskakująco dużo energii – skłamał. – Szybki przejazd i sprawdzenie miejsca zamieszkania Millera, przynajmniej z zewnątrz, to żaden problem. Takie rozeznanie może ułatwić przedstawienie nakazu, kiedy go dostaniesz.

– Odmawiam, Tim. Jesteś napompowany adrenaliną po bardzo długim, męczącym przesłuchaniu. Obiecałeś, że będziesz o siebie dbać, jeśli pozwolę ci wziąć tę sprawę. Odpoczynek jest formą dbania o siebie. Muszę chronić moich żołnierzy, szczególnie tych, którzy niedawno przeszli operację głowy. Dlatego odpowiedź brzmi „nie”. Masz kilka godzin. Wróć do hotelu i zdrzemnij się. Czy w to wierzysz czy nie, właśnie tego ci potrzeba.

– Pani każe, sługa musi – mruknął, wiedząc, że tej bitwy nie wygra.

– Oto stary, dobry duch Biura. Zamówię dla ciebie proporczyk i kubek w sklepie z upominkami. Słuchaj, Tim, w czasie jazdy do hotelu powiedz mi, co sądzisz o tym doktorze Welcome. Po czyjej stronie stoi? Jak mocno powinniśmy przyprzeć go do muru?

– Wierz albo nie, Beth – zaczął Vaill, wjeżdżając na niemal pustą autostradę – po prawie całonocnym przesłuchaniu uważam, że stoi po stronie swojego przyjaciela.

ROZDZIAŁ 37

Każda przegłosowana przez Kongres, zaaprobowana przez Senat, podpisana przez prezydenta ustawa, która ogranicza wolność, nie może być postrzegana przez Amerykanów jako prawo tego kraju, w rzeczywistości jest bowiem początkiem końca naszego świata.

Lancaster R. Hill, wspomnienia (nieopublikowane), 1940

Do Humphreya Millera w tygodniu przychodziło czworo opiekunów, trzy kobiety i mężczyzna. Inni pomagali mu w weekendy. Zwykle pracowali przez dwie godziny, po czym wychodzili albo towarzyszyli mu w drodze do furgonetki, która odwoziła go do pracy w szpitalu Arbor. Opiekun mający dyżur wieczorem przygotowywał kolację, zmywał, pomagał mu się wykąpać, przebrać w piżamę i przenieść z fotela na regulowane łóżko.

Gdy spał, wiele symptomów MPD drzemało wraz z całą resztą organizmu, zapewniając mu krótkie, ale miłe wytchnienie po codziennym fizycznym mozole.

Rankiem w powszednie dni do mieszkania wchodziła jego ulubiona opiekunka, Cassie Bayard, żeby mu pomóc w przygotowaniu się do pracy. Zawsze żałował, że nie zostaje z nim dłużej. Cassie była wyjątkowo piękną, wysoką, długonogą Jamajką o hebanowej skórze i troskliwych oczach, i to wokół niej kręciła się większość jego fantazji. Często żartobliwie nazywał ją Matką Teresą, ale rzeczywiście był to trafny przydomek. Niezawodna jak wschód słońca, samotna matka trojga dzieci, zawsze podnosiła go na duchu. Jak dla wielu osób z MPD, większość prozaicznych zadań była dla niego minigórami, na które wciąż musiał się wspinać. Entuzjazm Cassie sprawiał, że codzienne mozolne wspinaczki na Górę Życia były nieco łatwiejsze.

Humphrey cierpiał na mieszaną postać mózgowego porażenia dziecięcego, co oznaczało, że występowały u niego objawy typu spastycznego i atetoidalnego. Miał mimowolne ruchy twarzy, rąk, nóg i tułowia, trudności z przelknięciem, ślinił się i mówił niewyraźnie, a do tego napięcie mięśni zupełnie ograniczało jego ruchy. Cassie ratowała go przed użalaniem się nad sobą.

Wiedziała, że jest mądry, i za to go szanowała. Humphrey nigdy nie próbował jej pokazać, że ma nieprzeciętną inteligencję. Wstydził się takich popisów i bał się, że to by ją onieśmieliło i odstraszyło. Teraz, dzięki pomocy Lou Welcome'a, nie będzie musiał nikomu na siłę udowadniać swojej inteligencji. Spotka się z powszechnym uznaniem, kiedy rozejdzie się wieść o jego dokonaniach i roli w pokonaniu Mikroba Sądneho Dnia.

Jak co ranka Humphrey siedział przy specjalnie zaprojektowanym biurku. Podczas gdy Cassie zmywała naczynia po śniadaniu, on za pomocą joysticka

obsługiwał komputer, który pozwalał mu zbierać materiały i pisać z prawie taką samą prędkością jak sprawna fizycznie osoba. Przed zawarciem porozumienia z Lou codziennie rano wykorzystywał czas na to, żeby potwierdzić swoje teorie bakteriofagów i tworzyć modele komputerowe. Obecnie, skoro jego laboratorium miało zacząć funkcjonować, przygotowywał się do pierwszej rundy poważnych eksperymentów, które miały szybko doprowadzić do powstania leku zwalczającego śmiertelne bakterie – a także do zyskania sławy, która przysłoni jego kalectwo.

Cassie wyszła z kuchni z dzinsową kurtką na ramieniu, co znaczyło, że ich wspólnie spędzany czas się kończył. Śpieszyła się, ponieważ jeśli w porę nie zjadą na dół, furgonetka odjedzie bez niego.

– Od kilku dni jesteś wyjątkowo radosny, Humphrey – powiedziała z jamajskim akcentem, melodyjnym jak śpiew ptaka. Przystanęła przed drzwiami, jakby nagle coś wpadło jej do głowy. Z filuternym uśmiechem zapytała: – Masz dziewczynę, którą przede mną ukrywasz?

Uśmiechnął się promiennie.

– Żadna nie umywa się do ciebie – odparł.

Cassie wsparła się pod boki. Popatrzyła na niego z namysłem, wcale nie dlatego, że miała kłopoty ze zrozumieniem wypowiedzianych przez niego słów.

– Lepiej, żeby tak było, bo inaczej mogę się zrobić zazdrosna.

Otworzyła drzwi i Humphrey, który obrzucał ostatnim tęsknym spojrzeniem drugą miłość swojego życia, komputer, usłyszał dwa dziwne pyknięcia. Odwrócił się i zobaczył, że Cassie leci do tyłu, wymachując rękami w powietrzu. Upadła na plecy. Szkarłatne plamy wokół dwóch dziurek w jej białej bluzce były coraz większe.

Krew zaczęła spływać na podłogę, gdy do mieszkania wszedł mężczyzna i po cichu zamknął za sobą drzwi. Dopiero wtedy Humphrey krzyknął – był to słaby, zduszony krzyk. Patrząc z głębokim niedowierzaniem na nieruchome ciało kobiety, która kochała go bardziej niż ktokolwiek inny, zaczął się dusić. Wysoki, chudy mężczyzna o jasnych włosach i o bladych oczach zimnych jak lód ostrożnie przestąpił przez Cassie, starając się za wszelką cenę nie wejść w powiększającą się kałużę krwi.

– Cześć, Miller – powiedział. – Przepraszam, jeśli wyglądam na zaskoczonego. Nikt mnie nie uprzedził, że jesteś, kurwa, kaleką. Nazywam się Burke, Alexander Burke, i zamierzam cię zabrać z tej nory... natychmiast.

Humphreya ogarnął strach, który spowodował reakcję łańcuchową w jego ciele. Emocje często nasilały objawy MPD i teraz stracił resztki panowania, jakie miał nad kończynami. Jego ręce i nogi podrygiwały chaotycznie, mięśnie twarzy napięły się, wykrzywiając rysy i miał mętlik w głowie.

– Mój Boże... – wykrztusił. – Dlaczego to zrobiłeś?

Burke spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Nie rozumiem, co mówisz – powiedział, sięgając po wózek.

Humphrey odruchowo pociągnął joystick i cofnął się, ale przecież w małym mieszkaniu nie miał dokąd uciec. Burke z rozbawieniem i jednocześnie z odrazą obserwował jego wysiłki. Gdy Humphrey skrobął palcami przycisk komórkowego alarmu na nadgarstku, zabójca ruszył, żeby go powstrzymać, ale zaraz stanął i wyszczerzył zęby. Jego ofiara, przynajmniej w tej chwili, była zupełnie bezradna. Krew Cassie, połyskująca obok Humphreya na podłodze, wypełniała pokój mdlącym, miedzianym zapachem.

– To musi być koszmarnie – stwierdził Burke. – Wystarczy wcisnąć guzik, żeby wezwać pomoc, ale nawet tego nie możesz zrobić. Do licha, dlaczego Bliźnim tak bardzo na tobie zależy?

Podszedł, chwycił bransoletkę alarmową i mocnym szarpnięciem zerwał ją z nadgarstka.

– Kto za to wszystko płaci? – zapytał, unosząc bransoletkę, wskazując nią pokój i martwą kobietę na podłodze. – Kto płaci, żeby ta dziwka tu przychodziła i cię niańczyła? Czekaj, nie opowiadaj. Już wiem.

– Czego... czego... chcesz? – Humphrey wciął dygotał.

Burke zignorował pytanie, być może dlatego, że go nie zrozumiał.

– Gdzie jest twoja rodzina? Dlaczego się tobą nie zajmują? Czekaj, nie odpowiadaj. Dlatego, że wygodniej, żeby Wuj Sam płacił rachunki, oto dlaczego. Pierdolone pijawki. Świadczenia. Dlatego ten kraj schodzi na psy. Twoja matka chlała, paliła albo ćpała, albo wszystko naraz, kiedy była w ciąży, i wszyscy musimy za to płacić do końca twojego żalosego życia. Biliony dolarów. Tyle nas kosztują te wasze programy pomocowe. Biliony!

– Czego chcesz?

– Czego chcę? To powiedziałaś? Wreszcie zrozumiałem. W porządku. Powiem ci, czego chcę. Chcę, żebyś zabrał ze sobą materiały związane z bakteriami Janus i zrobił dla nas skuteczny antybiotyk. Czekają na ciebie nasi naukowcy i nasze laboratorium.

– Nie... nie wiem...

Burke trzasnął go w twarz. Jasna krew spłynęła Humphreyowi z nosa po wardze do ust. Chwytnąjąc rączkę i joystick fotela, Burke przyciągnął go do biurka, obok którego leżała duża torba sportowa. Wyraźnie tracąc cierpliwość i panowanie nad sobą, wyrzucił ubrania z torby i zgarnął do niej stos papierów i artykułów z zagraconego biurka. To samo zrobił z zawartością szuflady i szafki na dokumenty. Torba była pękata, gdy skończył.

– Dobra, co chcesz wydrukować z tego komputera? Mam adres e-mailowy jednego z naszych naukowców, na wypadek gdybyś chciał to wysłać. Lepiej zabierz wszystko, co potrzeba, bo jak zawalisz i nie zrobisz potrzebnego nam antybiotyku, czeka cię śmierć. Będziesz umierać powolutku. Powiem ci, że lubię to

robić. Rozumiesz? Pytam: ro-zu-miesz?

Burke złowieszczo uniósł rękę, przymierzając się do ciosu, gdy zauważył joystick obok monitora i go przysunął. W normalnych okolicznościach Humphrey posługiwał się nim bez wysiłku i w miarę szybko. Tym razem miał kłopoty. Zapach krzepnącej krwi Cassie sprawiał, że nie mógł się skupić. Bez powodzenia próbował odgadnąć, kto przysłał tego zbira. W tej chwili ręka Burke'a opadła na jego kark. Palący, przejmujący ból przeszył mu ramiona i kręgosłup. Zrobiło mu się białło przez oczami.

– Mogę nacisnąć na ten nerw mocniej, jeśli chcesz – powiedział Burke. – Nie zemdlejesz. Nigdy, przenigdy. Możesz mi wierzyć.

Humphrey wiele razy w życiu był znieważany słownie, ale po raz pierwszy ktoś rozmyślnie zadawał mu fizyczny ból. Bał się tego człowieka bardziej niż czegokolwiek i kogokolwiek.

Pliki w komputerze zawierały niewiele rzeczy, których nie znałby na pamięć. Zdawał sobie sprawę, że jego los zależy od tego, żeby nikt ich nie zobaczył. Miał kopie zapasowe, ale jedyny wydruk przekazał swojemu nowemu asystentowi laboratoryjnemu.

Ostrożnie złapał joystick i wczytał specjalny program, który opracował dla ochrony swojej pracy przed nielegalnym skopiowaniem – program nazwany Wyłącznikiem. Uruchomienie go miało spowodować skasowanie nie tylko wszystkich plików, ale również kopii zapasowych. Jeśli użyje Wyłącznika, będzie mógł polegać tylko na swojej pamięci.

Zajęło to trzy sekundy.

Obserwowany przez Burke'a, wcisnął sekwencję klawiszy i monitor komputera zamigotał, jakby nastąpiła przerwa w dostawie prądu, po czym szybko się wyłączył. Wyczuwając kłopoty, Burke pochylił się i wlepił oczy w ekran. To, co wcześniej na nim widział, zniknęło bez śladu.

Humphrey, śmiertelnie przerażony, mówił tak szybko i bełkotliwie, że Burke nie miał szansy go zrozumieć. Ledwie panując nad ręką, otworzył pustą stronę w edytorze i napisał:

*Zabiłem aplikację wszystkie dane skasowane kopie na serwerach też
PIERDOL SIĘ!*

– Ty głupi kaleki kutasie!

Stękając z wysiłku, Burke pchnął zaskakująco ciężki wózek. Humphrey upadł w kałużę na wpół skrzepniętej krwi i na zwłoki Cassie. Burke pozwolił, żeby leżał tak przez minutę, jak krab pustelnik wyrwany ze skorupy.

– Teraz – powiedział po odzyskaniu odrobiny panowania nad sobą – dowiesz się trochę więcej o tym, co spotyka ludzi, którzy ze mną pogrywają.

Postawił nogę na palcach lewej ręki Humphreya i nacisnął całym ciężarem

ciała.

– Z tego, co słyszałem, jesteś wybitnym naukowcem. Ale jesteś też bardzo głupi. Mam rozkaz sprowadzić cię do laboratorium w Red Cliff, lecz nikt mi nie kazał sprowadzać wszystkich twoich palców.

Wreszcie uniósł nogę i poszedł do maleńkiej kuchni, skąd wrócił z wielkim nożem do krojenia mięsa. Ostrożnie omijając krew, przykląkł i przycisnął czubek noża do kostki jednego ze zdeptanych palców.

– Jedno małe pchnięcie i nigdy więcej nie użyjesz tego palca do dłubania w nosie.

– P-proszę, przestań!

– W takim razie słuchaj, i to słuchaj uważnie. Znam naukowców. Naukowcy zawsze gdzieś zostawiają kopie swoich danych. Musisz mieć kopię. Masz kopię.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Czubek noża przebił skórę i wniknął w staw.

Humphrey, wrzeszcząc bezgłośnie, skinął głową.

– Dobrze – mruknął Burke, przekręcając ostrze. – W porządku. Powiedz mi, gdzie trzymasz kopię zapasową, bo inaczej stracisz palec. A ja wciąż będę miał dziewięć do zabawy. Rozumiesz? – Gdy Humphrey skinął głową, zapytał: – Gotów do współpracy bez robienia czegoś głupiego?

– T-tak.

Burke podniósł wózek, dźwignął swoją ofiarę i rzucił ją na siedzenie jak szmacianą lalkę. Humphreyowi zagrzechotały zęby i zatrzasnęły się na boku języka. Spieniona krew wystąpiła mu na usta. Burke pchnął zakrwawionego mężczyznę w stronę komputera i przysunął joystick.

– Dobra, gdzie jest kopia?

Humphrey, wypluwając krew na rękaw koszuli, niezdarnie zaczął manipulować joystickiem i na ekranie pojawiły się litery.

Nie ma kopii.

Burke przyłożył nóż do skaleczonego palca.

– Mówiłem, żebyś ze mną nie pogrywał! Gdzieś musi być kopia. Gdzie? Masz ostatnią szansę, zanim kawałki twojego ciała zaczną latać w powietrzu. I lepiej się pośpiesz. Czas ucieka.

Humphreyowi za bardzo trzęsły się ręce, żeby mógł pisać.

– Proszę, zabierz nóż – wymamrotał.

Burke nie posłuchał.

– Jezu... Ledwie rozumiem, co gadasz – rzucił, gdy Humphrey mu powiedział. – Kiwaj głową. Ten facet jest w Atlancie? Dobrze. Możesz mi powiedzieć gdzie? Nie wiesz? Dobra, pisz, co wiesz. Pamiętaj. Jedno kłamstwo i pożegnasz się z palcem, a ja uwielbiam to robić... Szpital. Jest w szpitalu? Tym,

w którym pracujesz? Doskonale. Jeśli tam jest, to go znajdę. Jeśli nie, ten nóż i ja złożymy ci kolejną wizytę. Jeszcze raz napisz jego nazwisko... Dobrze. Teraz bierz wszystko, czego potrzebujesz, bo nie wrócisz tu przez długi czas. I nawet przez chwilę nie miej nadziei, że ten doktor Lou Welcome nie odda mi twojej pracy. O ile nie jest większym kaleką niż ty, będzie miał dla mnie mnóstwo palców.

ROZDZIAŁ 38

Kiedy chodzi o oddanie sprawie, albo angażujesz się w pełni, albo wcale, bo nie ma kompromisów. Półśrodki nic nam nie dadzą.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Dzwonek komórki wyrwał Vailla z głębokiego snu. Zanim odebrał, spróbował zorientować się w otoczeniu. Sztywne prześcieradła, nieznamy materac, telewizor LG na komodzie w nogach łóżka. Był w hotelu – jakiś Marriott w centrum Atlanty. Zasłony przypominały ołowiane tarcze i trudno było osądzić, czy słońce już wstało. Komórka wciąż dzwoniła. Wyciągnął rękę, szukając jej na oślep, i przewrócił pudełko Tylenolu.

– Słucham, Vaill – powiedział zaspanym głosem.

– Tim, to ja, Chuck.

Vaillowi poprawił się humor.

– Cześć, stary, co się dzieje? Która godzina?

– Wybacz, że cię budzę, śpiąca królowo. Szczerze mówiąc, myślałem, że już wyszedłeś. Jest wpół do dziewiątej.

– Cholera.

Vaill usiadł i poczuł ukłucie za oczami, ale na tym koniec. Miał przecież przed dziewiątą zawieźć Welcome'a do budynku Richarda B. Russella, do sędziego sądu okręgowego. Teraz z trudem wyrobi się na dziesiątą. Ale to żaden problem, jak przypuszczał.

– Akurat tym nie musisz się przejmować – pocieszył go McCall. – Może będzie lepiej, jeśli Welcome chwilowo nie zmieni miejsca pobytu.

– Dlaczego?

– Przed chwilą dostałem telefon od ludzi, których Snyder wysłała z nakazem do mieszkania Millera. Zostało zdemolowane, a na środku podłogi, w kałuży skrzepniętej krwi, leżą zwłoki. Humphrey zniknął. Agenci chodzą po sąsiadach, lecz jak na razie nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Ofiara to Cassie Bayard. Pracowała dla firmy, która świadczy domowe usługi opiekuńcze. Dwa strzały w pierś z niewielkiej odległości.

Burke!

– Cholera – mruknął Vaill. – Kiedy zginęła?

– Technicy kryminalistyki na podstawie temperatury i sztywności zwłok ocenili, że pomiędzy piątą trzydzieści a siódmą trzydzieści dziś rano, ale lekarz sądowy powinien ściślej określić czas zgonu.

– Co powiedziała Snyder?

– Jest zdenerwowana, podobnie jak ja. Posłuchała mojej rady, żeby najpierw

postarać się o nakaz przeszukania laboratorium, po czym wykorzystać go jako powód do wystąpienia o nakaz rewizji mieszkania i przesłuchania Millera. To kosztowało nas kilka godzin. Teraz naciskają na nią z góry.

Vaill nie uważał, żeby decyzja Snyder była zła – w sprawie Millera trzeba było postępować ostrożnie. Szefowa nigdy nie działała impulsywnie i dlatego krążyły o niej żarty, że sypia z podręcznikiem procedur FBI pod poduszką. Zawsze trzymała się zasad i prawdopodobnie dlatego awansowała, podczas gdy on wciąż pracował w terenie.

Na przekór sobie zaczął roztrząsać wszystkie wyjaśnienia tej najnowszej katastrofy, które przyszły mu do głowy – przede wszystkim możliwość, że Burke nie był w agencji jedyną osobą, która pracowała dla Stowarzyszenia Stu Bliźnich.

Lou Welcome wspominał o Humphreyu Millerze i jego związkach z Ahmedem Kazimim o wpół do trzeciej nad ranem i McCall prawie natychmiast przekazał tę wiadomość Beth. Nie wiadomo, z kim później rozmawiała. Teraz Miller zniknął, w jego mieszkaniu leżała martwa kobieta, a w powietrzu wisiał ciężki smród sposobu działania Burke'a. Nawet po wyczerpującym odtworzeniu wydarzeń nikt nie miał pojęcia, jak zabójca zinfiltrował organizację. Czy miał pomoc z wewnątrz? Jeśli tak, to ktoś jeszcze z agencji figurował na liście płac Stu Bliźnich.

– Chuck, czy po rozmowie z Beth wrzuciłeś nazwisko Humphreya Millera do MD? – zapytał.

Skrót MD oznaczał magazyn danych, gdzie agenci umieszczali wszystkie tropy powiązane z aktualnie prowadzonymi sprawami. Vaill z rozmysłem oględnie formułował zdania w rozmowie z partnerem. Pracowali razem od niedawna. Ile tak naprawdę wiedział o tym człowieku? A jeśli McCall wkręcił się do grupy dochodzeniowej tak samo jak Burke do ochrony Kazimiego?

Kręciło mu się w głowie.

Byłoby to drugie poważne naruszenie bezpieczeństwa. Do diabła, komu mógł ufać?

– Zaraz po telefonie do Snyder przesłałem informacje z komórki – odparł McCall.

Więcej możliwości przecieków. Magazyn działał krótko, a już mówiono, że jest dziurawy jak sito.

Vaill rozsunął zasłony. Jasne słońce uderzyło go niczym cios prosto w twarz. Zmrużył oczy, broniąc się przed blaskiem i powracającym łupaniem w głowie, i łyknął trzy dodatkowe tylenole bez wody. Przez chwilę rozważał, czy nie podzielić się swoimi podejrzeniami z wydziałem spraw wewnętrznych. Odrzucił ten pomysł, bo jeśli wtyczką okaże się ktoś stojący wyżej w hierarchii, prawdopodobnie w ciągu kilku godzin odsuną go od śledztwa, o ile w ogóle nie wyrzucą z Biura. Zdecydował, że przynajmniej na razie największe szanse na

pomszczenie Marii daje mu działanie w cieniu, bez wyjawiania braku zaufania do FBI.

– Więc co sądzisz o tym – ciągnął McCall – żeby pozwolić Welcome’owi na trochę dłuższe dojrzewanie w więzieniu? Moglibyśmy razem zajrzeć do mieszkania Millera.

Zasady określały czas przetrzymywania aresztowanego bez procesu, ale, jak w przypadku wszystkich spraw powiązanych z terroryzmem, można je było naginać lub nawet łamać. Jednak McCall nieświadomie poruszył jeszcze jedną kwestię. Jeśli Stu Bliźnich chciało zabić lub porwać Humphreya, rozsądnie było przyjąć, że mogą wziąć na cel również Lou Welcome’a. Ci dwaj byli kimś więcej niż przelotnymi znajomymi. Vaill stracił zaufanie do FBI i wiedział, że musi sam chronić doktora, przynajmniej dopóki nie uzyska więcej wiarygodnych informacji.

– Mam drugą rozmowę, Chuck – skłamał. – Nie rozłączaj się.

Oślonił słuchawkę i powoli policzył do dwudziestu. Maria często chwaliła jego zdolność do kreatywnego myślenia. Choć był wyczerpany, nie stracił tej umiejętności.

– Chuck, jesteś tam? – zapytał w końcu.

– Jestem.

– Dzwonił Welcome. Najwyraźniej wie coś więcej o Bliźnich i chce pójść na układ. Nie znam powodu, ale zaznaczył, że będzie rozmawiać tylko ze mną i nie tam, gdzie jest. Pojadę do niego.

– A później co zamierzasz? – dopytał McCall. – Potrzebujesz pomocy?

– Nie, dopóki są kajdanki na świecie. Zabiorę go do aresztu prewencyjnego i dowiem się, co ma do powiedzenia.

Było to dobre kłamstwo, ponieważ McCall nie będzie miał powodu, żeby powiadomić Snyder... chyba że ci dwoje byli powiązani w inny sposób.

– W porządku – powiedział McCall. – Będę u Millera. Zadzwoń albo dołącz do mnie.

Podał adres.

– Dobrze. Zjawię się tam jak najszybciej.

Vaill wziął szybki prysznic i ubrał się, rozmyślając, czy zdołałby zastrzelić McCalla, gdyby ten okazał się kretem.

ROZDZIAŁ 39

Tam, gdzie nie ma świadczeń pomocowych, tam nie ma niesprawiedliwości.
Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Zabrzmiał brzęczyk, drzwi się otworzyły. Dwóch krzepkich strażników, którzy wcześniej skuli Lou, zaprowadziło go do małego holu przy tylnym wejściu do więzienia. Zaznajomiony z listą procedur, jakich się może spodziewać, był lekko zaskoczony, że nie skuto mu kostek na podróż do budynku sądu. Drugą niespodziankę stanowił brak eskorty. Jediną czekającą na niego osobą był agent specjalny FBI, Timothy Vaill.

– Znajoma twarz – powiedział Lou. – Czy już gdzieś pana nie widziałem?

– Ci faceci przyzwoicie cię traktowali?

– Nie wyglądaliby jak na sterydach, gdyby musieli się tutaj stołować, ale tak, byli w porządku. Dzięki za troskę. Chciałbym pomówić o adwokacie, do którego nie miałem okazji zadzwonić.

– A, tak. Sąd przydzielili ci obrońcę, żaden problem. Wciąż jesteś moim więźniem, a ja muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Nawet w przyćmionym świetle Lou widział napięcie w jego oczach. Z pewnością stało się coś złego.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze – stwierdził.

– Ani ty.

– I tu mnie masz – powiedział Lou z szerokim uśmiechem.

Widział się w lustrze, gdy przechodzili obok dyżurki strażników. Popołudniowy zarost urósł, a ubranie, które włożył na spotkanie z Vicki – ciemne dżinsy i elegancka koszula – wyglądało jak wyciągnięte z kosza na stacji benzynowej. Powiedziano mu, że pomarańczowy kombinezon dostanie po powrocie do celi, gdzie będzie czekać na akt oskarżenia. Tak naprawdę nawet najgorsze czasy na ulicy nie przygotowały go na takie doświadczenia.

Jednak wyglądało na to, że wizyta w sądzie tak szybko się nie odbędzie. Na pewno stało się coś złego. Może bardzo złego. Jego pierwsza myśl dotyczyła Chrupa.

Vaill skinął głową i krzepki strażnik, noszący plakietkę z nazwiskiem Gomes na jasnobrązowej koszuli, zdjął mu kajdanki. Zaraz potem agent skuł go tymi, które ze sobą przyniósł.

– Jesteś moim więźniem do czasu złożenia aktu oskarżenia – ostrzegł – więc lepiej się nie wygłupiaj, żebyś nie musiał robić ci krzywdy.

– Ładnie to ująłeś – skomentował Lou. – Bardzo ładnie.

– Cały twój, przyjacielu – oznajmił strażnik. – Jeśli nie będzie

współpracować albo zacznie brykać, przywieź go na resocjalizację.

– Dzięki, chłopaki. Mam nadzieję, że tym razem zacy doktor będzie bardziej chętny do współpracy.

Vaill podpisał papiery, chwycił Lou za łokieć i go wyprowadził. W pobliżu stał znajomy, niczym się niewyróżniający samochód. Lou usadowił się z tyłu, odwrócił głowę i patrzył, jak więzienie znika z pola widzenia. Zdarzało się, że amerykański system sprawiedliwości był dla niego miły. Ostatnie osiemnaście godzin odbiegało jednak od tamtych doświadczeń.

– Nie wrócisz tutaj, doktoru – powiedział Vaill, patrząc na Lou w lusterku wstecznym.

Lou obrócił się w jego stronę.

– Nie będzie sądu? – zapytał.

– Nie będzie. Sytuacja się zmieniła.

Vaill gwałtownie zahamował, otworzył tylne drzwi i rozpiął mu kajdanki.

– Czuję się tak, jakbym wchodził do Krainy Czarów – zakpił Lou.

– Chcesz usiąść z przodu?

– Aha, kapuję. To nowa forma tortur zamiast podtapiania na desce, zgadza się? Wyznanie za wyznanie. Zacznę pierwszy, ale dopiero wtedy, gdy mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

Vaill westchnął.

– Twój kumpel Humphrey Miller zaginał. W jego mieszkaniu znaleziono martwą kobietę, a on sam przepadł jak kamień w wodę. Mam przeczucie, że zastrzelił ją ten sukinsyn, który zabił Marię. Jeśli tak, to oznacza, że Bliźni mają i Kazimiego, i Millera. Zdaje mi się, że w nocy wymieniłem nazwisko tego łajdaka, Burke, Alexander Burke. Słuchaj, doktoru, już nie jesteś więźniem, więc siadaj obok mnie, jeśli chcesz.

– Powiedz mi wszystko – poprosił Lou, sztywno opadając na fotel obok Vailla.

– Wysłaliśmy agentów do mieszkania Millera i do waszego laboratorium w piwnicy szpitala Arbor. Znaleźli laboratorium tam, gdzie powiedziałeś. Dziś rano Miller nie zjawił się w pracy. Teraz mamy zwłoki i kolejnego zaginionego mikrobiologa. Tak to wygląda.

Lou schował twarz w dłoniach, gdy Vaill włączył się do ruchu.

– Chrup... – szepnął.

Vaill pokręcił głową, nie próbując nawet ukryć współczucia.

– Nie czeka na niego żaden cudowny lek – mruknął. – Przykro mi.

Przez parę minut panowała cisza.

– Więc co myślisz? – Lou w końcu odzyskał głos.

– Myślę, że w FBI doszło do poważnego naruszenia bezpieczeństwa. Jeśli tak, w ten właśnie sposób Burke dostał się do ochrony Kazimiego. Do tej pory

uważałem, że zrobił to na własną rękę, że zebrał o Bliźnich i o ich przekonaniach wystarczająco dużo danych, żeby ich zlokalizować i zaproponować pomoc albo po prostu sprzedać Kazimiego. Ale informacje, które uzyskaliśmy od ciebie, już trafiły do Bliźnich, więc muszę założyć, że w agencji jest ktoś, kto skaptował Burke'a. Tylko nie wiem kto.

Lou uznał, że Vaill jest szczerze przejęty. Jeśli używał podstępu i prowadził nieczystą grę, żeby wydobyć z niego więcej informacji, to robił to po mistrzowsku.

– Nie wiedziałeś o przecieku, kiedy podałem wam nazwisko Humphreya, prawda?

– Nie wiedziałem. Przysięgam.

– Co sądzi McCall?

Vaill na niego spojrzał.

– Widzisz go tu z nami? – zapytał.

– Myślisz, że McCall macza w tym palce?

– Nie wiem, co myśleć ani komu ufać. W tej chwili kieruję się instynktem.

Być może przeze mnie zginęły już dwie osoby i nie mam zamiaru dopuścić, żeby to samo spotkało trzecią.

– Chodzi ci o mnie.

Vaill zamilkł, co było wystarczającą odpowiedzią.

Wydając Humphreya, Lou wiedział, że popełnia błąd. Ale talent rządu do zawałania ważnych spraw przeszedł jego wszelkie oczekiwania i teraz Humphrey albo był więźniem Bliźnich, albo już nie żył. Została mu w ręce jedna karta – notes Humphreya. Dopóki nie znajdzie powodu, żeby postąpić inaczej, będzie trzymać tę kartę w ukryciu.

Chrupowi kończył się czas.

– Nie powinienem wyjawiać jego nazwiska – powiedział trochę do siebie, trochę do Vailla.

Agent popatrzył na niego.

– Hej, jesteśmy w naszym fachu równie dobrzy jak ty w swoim, doktorze.

Nie miałeś z nami szans.

Ta uwaga trochę zmniejszyła poczucie winy Lou.

– Co teraz? – spytał.

– Szkoda, że podałeś nam nazwę swojego hotelu. McCall pewnie zamieścił ją w raporcie i kret, kimkolwiek jest, zakładając, że w ogóle istnieje, będzie miał do niej dostęp.

– Tyle że skłamałem.

– Co?

– Zmyśliłem hotel. Gdy zapytałeś, postanowiłem niczego więcej wam nie ułatwiać.

Vaill potrząsnął pięścią i zacisnął zęby.

– Dobrze! W takim razie prawdopodobnie nikt nie wie, gdzie się zatrzymałeś. Najpierw sprawdzę, czy ktoś nas nie śledzi, potem pojedziemy do twojego hotelu. Zamkniesz się na cztery spusty i urządzisz sobie maraton filmowy z Jamesem Bondem albo co tam chcesz.

– Naprawdę myślisz, że jestem w niebezpieczeństwie?

– Słuchaj, rozumiem, co robiliście z Humphreym – odparł Vaill. – Chciałeś uratować życie przyjacielowi, bez względu na wszystko, nawet gdyby oznaczało to współudział w kradzieży mienia o dużej wartości i założenie nielegalnego laboratorium. Do diabła, pewnie postąpiłbym tak samo. Jednak czy ci się to podoba, czy nie, prawda jest taka, że zostałeś powiązany z Bliźniami. Możemy zaryzykować, odstawiając cię z powrotem do więzienia, ale ci ludzie dysponują ogromnymi pieniędzmi i są bardzo pomysłowi. Jeśli zechcą, nie będziesz bezpieczny nawet za kratkami.

I mam coś, na czym być może naprawdę im zależy, pomyślał Lou. Notes Humphreya.

– Niech się zastanowię – zaczął – pokój w hotelu albo powrót do więzienia... Trudny wybór. Co zamierzasz zrobić w tym czasie?

Vaill spojrział w lusterko wsteczne i boczne, po czym zaczął skręcać w kolejne ulice, sprawdzając, czy mają ogon.

– Szkoda, że nie znam lepiej tego miasta – mruknął, w ostatniej chwili zjeżdżając na wjazd na autostradę. – Bogu dzięki za GPS, tyle powiem. Gdy cię podrzucę, zabiorę parę rzeczy z hotelu i spotkam się z McCallem w mieszkaniu Millera albo w biurze, w zależności od tego, gdzie będzie. Na razie on i moja szefowa, Beth Snyder, myślą, że jesteś ze mną. Powiadomię ich, że wycofałem oskarżenie przeciwko tobie i kazałem ci się ukryć w hotelu, dopóki nie rozpracujemy, jak duże zagrożenie stanowi dla ciebie Burke.

– A co z McCallem?

– Po prostu powiem mu prawdę, że według mnie w agencji jest kret i że mam go na liście podejrzanych. Nigdy nie oszczędzałam uczuć ludzi, jeśli uważałam, że ułatwi mi to wykonanie zadania.

– Pozwól, że ci pomogę – poprosił Lou. – Potrzebuję Humphreya, żeby uratować Chrupa. Nawet z nim, jak się obawiam, szanse mogą być niewielkie. A bez niego...

Nagle zamilkł.

– Daj mi dwa dni na znalezienie kreta – powiedział Vaill. – Gdy będę go tropić... albo ją, przynajmniej będę wiedział, że jesteś w miarę bezpieczny.

– Muszę się dostać do szpitala. Już i tak straciłem mnóstwo czasu. Potem ci powiem, jak długo będę siedział w hotelu.

Vaill znowu skręcił i zerknął na niego.

– Mówiłem, te dranie są przebiegłe. Pewnie jednak nie jestem w stanie

przekonać cię do odłożenia wizyty w szpitalu choćby o jeden dzień.

– Otóż to.

– Mogą tam na ciebie czekać.

– Nie dopadną mnie. Może i są dobrzy, ale nie aż tak.

– Niech ci będzie – ustąpił Vaill. – Mam w bagażniku zapasową wiatrówkę FBI i czapkę. Włóżysz jedno i drugie, i okulary, kiedy wejdziemy do Arbor.

Lou obrzucił go pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Czy to oznacza, że teraz jesteśmy partnerami?

Vaill zachował kamienny wyraz twarzy, gdy spojrział w lusterko wsteczne i wcisnął gaz, żeby jako ostatni przejechać na żółtym świetle.

– Nie – odparł, skręcając w kierunku, jak Lou miał nadzieję, szpitala Arbor.

– To oznacza, że odkładam na bok mój paranoiczny brak zaufania do ciebie, dopóki nie dasz mi powodu, żebym zmienił zdanie.

ROZDZIAŁ 40

Rząd potrzebuje ludzi do rządzenia i dlatego tworzy służalczą kastę, dzięki której może prosperować i którą może dyrygować.

Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

Od początku ich przyjaźni Lou nie miał żadnych tajemnic przed swoim sponsorem. Opowiedział mu o sekretnym życiu ekscentrycznego Humphreya Millera i o swojej decyzji, że pomoże w stworzeniu piwnicznego laboratorium. Teraz żałował, że to zrobił. Chrup miał dość zmartwień, a odbieranie mu nadziei tylko ich przysporzy.

Minęło mniej niż dwadzieścia cztery godziny od ostatnich odwiedzin, ale w tym czasie nastąpiła znacząca zmiana. Zmiana na gorsze.

Lou i Vaill stali w maleńkim przedpokoju. Obaj zastąpili służbowe czapki i wiatróvky wymaganymi strojami szpitalnymi. Lou wbrew sobie czuł się zupełnie inaczej, gdy paradował w ciemnych okularach, z literami FBI na plecach. Wyjątkowo. Jak twardeł. Potem pomyślał o ludziach, z jakimi Vaill i inni prawdziwi agenci codziennie mieli do czynienia – o ludziach, którzy żyją z ciągłą świadomością, że mogą zostać zabici.

Nie, dzięki.

Sprawdził, czy Vaill włożył wszystko jak trzeba, zanim mocno pociągnął za drzwi, zasysane przez panujące po drugiej stronie podciśnienie. Agent chciał poczekać na zewnątrz, ale Lou poprosił, żeby mu towarzyszył. Jak na SOR-ze, osobisty kontakt zawsze był bardziej motywujący.

To człowiek, o którym tyle słyszałeś. To jego życie próbujemy ocalić.

Jak na agenta przyzwyczajonego do walki z niebezpiecznymi przestępcami, Vaill wydawał się mocno wstrząśnięty od chwili, gdy otworzyli drzwi do pokoju Chrupa. Może z powodu widoku przesiąkniętych krwią i ropą bandaży, może z powodu nieprzyjemnego zapachu, który wisiał w powietrzu.

– W porządku? – szepnął Lou na tyle cicho, żeby nie zbudzić Chrupa, który donośnie chrapał, leżąc na wznak z rozłożoną na piersi książeczką z łamigłówkami sudoku.

Vaill skinął głową.

– Tak, tylko nie cierpię szpitali. Niedawno z jednego wyszedłem. Wierz mi lub nie, był to mój pierwszy raz.

Lou wskazał półkolistą siną bliznę.

– Przypuszczam, że jesteś w mniejszości w swoim fachu, skoro tak długo cię to omijało.

– Refleks albo niewiarygodne szczęście. Pewnie jedno i drugie, w połączeniu

z kamizelkami z kevlaru.

Odkąd zaczęła się męczarnia Chrupa, właściciel klubu Kontra systematycznie tracił na wadze, przechodząc z kategorii ciężkiej, przez lekkociężką, prawie do półciężkiej, co odbiło się na jego przystojnej twarzy. Ale gdy w końcu zamrugał powiekami i otworzył oczy, widać w nich było niezaprzeczalny hart ducha.

Dla Lou nie było to żadną niespodzianką.

– Cześć, stary – powiedział Chrup, stękając, gdy sięgnął do pilota, żeby podnieść zagłówek łóżka.

Lou się wzdrygnął, jak podczas każdej wizyty. Serce mu się krajało, gdy patrzył, jak jego trener i najlepszy przyjaciel ma kłopoty z wykonaniem najprostszych czynności. Chrup wcisnął przycisk i silnik zajęczał, podnosząc łóżko pod takim kątem, żeby pacjentowi było wygodniej, choć z nogą na wyciągu wygoda z pewnością była pojęciem względnym.

Chrup wskazał ręką Vailla, ale był za słaby, żeby ucisnąć mu dłoń. Lou zauważył rumieniec na policzkach agenta i wyczuł, że za słabo go przygotował, zbyt ogólnikowo opisując stan przyjaciela.

– Wyglądasz całkiem nieźle – wykrztusił.

– Nie chrzań, Welcome – powiedział Chrup, po czym dostał krótkiego ataku kaszlu. – Z takim samym powodzeniem możesz próbować mi sprzedać bagienną parcelę na Florydzie. Na stoliku jest lusterko, pamiętaj. Wyglądam fatalnie i obaj o tym wiemy. Nawet zadecydowali, że jestem zbyt niebezpieczny, żeby zabierać mnie na terapię hiperbaryczną.

– Zawsze miałeś o sobie marne zdanie, człowieku. Więcej mityngów. Tego ci potrzeba. Chrup, poznaj Tima Vailla z FBI. Wczoraj po południu aresztował mnie za utrudnianie śledztwa, nad ranem wpakował do więzienia, ale kilka godzin później zmienił zdanie na temat tego, czym właściwie jest sprawiedliwość.

Mężczyźni przywitali się wzrokiem i skinieniem głowy.

– Lepiej, żebyś mi nie podawał ręki, nawet w tych gumowych rękawiczkach – ostrzegł Chrup. – Wedle doktora Puchalsky'ego, mojego czarującego przedsiębiorcy pogrzebowego, który okazał się lekarzem chorób zakaźnych, to draństwo we mnie znowu zmutowało. Puchal jest specem od zakażeń, które się łapie przez samo leżenie w szpitalu. Czy chcesz mi wierzyć, czy nie, naprawdę jest na to nazwa. Nie jestem wielkim fanem przemądrzalców, nawet kiedy faktycznie są mądrzy.

– Zgadzam się. Świetszy od papieża to mało powiedziane.

– Zastanawia się, czy nie przenieść mnie do jakiegoś specjalnego zakładu w Wyoming, Nebrasce czy jakimś innym z tych kanciastych stanów, żeby jeszcze bardziej mnie odizolować. Powiedział to tak, jakby oznajmiał, co zamierza mi dać na deser.

– To mówi o nim wszystko, co trzeba wiedzieć.

– Wierz lub nie, na samym wstępie zapytał mnie o rodzaj ubezpieczenia, żeby sprawdzić, czy szpitalowi przysługuje refundacja za pewne eksperymentalne antybiotyki.

– Dziwne, że zwrócił się z tym do ciebie. Co powiedział, kiedy usłyszał, że nie masz?

– Byłem tak wkurzony jego pytaniem i tonem, że odesłałem go do ciebie.

– Pewnie to przemyślał, bo mi o tym nie wspomniał.

– Martwi się, że zarazę innych pacjentów, i o to nie mam do niego pretensji. Ale to będzie później.

– Kiedy? – zapytał Lou.

– Może o tym nie mówmy. Co robisz z FBI? Znowu wszedłeś w zatarg z prawem? Litości, ani na chwilę nie wolno spuścić cię z oka. Tylko mnie w nic nie wkręcaj, stary. Mam dość własnych problemów.

– Żaden zatarg – zaprzeczył Vaill. – Jestem tu, ponieważ ten twój zarzek został odkryty przez pewnych bardzo złych ludzi i rządowi zależy na unieszkodliwieniu ich.

– Sprawa dotyczy naszego przyjaciela Humphreya – dodał Lou.

– Farbowany lis? Wyglądał na równego gościa.

– Tak, to równy gość. Problem w tym, że zaginał. Ktoś zabił opiekunkę, która szykowała Humphreya do pracy, i go uprowadził.

– Rany...

– Wiemy o laboratorium w piwnicy, Chrup – wtrącił Vaill. – Doktorek powiedział, że ty też o nim wiesz. Uważamy, że Millera porwali z powodu badań, jakie chciał tam prowadzić.

– Cholera... – mruknął Chrup, wyraźnie rozumiejąc, co to oznacza. Żadnych cudów.

– Chyba wiemy, kto to zrobił, i zamierzamy go znaleźć – dorzucił Vaill.

– Lepiej się pośpieszcie.

Słowa Chrupa zabrzmiały złowieszczo.

Lou położył rękę na czole boksera, czując gorąco przez lateks.

– Chrup, co się dzieje? O co chodzi z tą złą rzeczą, o której wspomniałeś?

Vaill cofnął się o krok, zapewniając przyjacielom odrobinę prywatności.

– Paskudna sprawa, Lou – odparł Chrup.

Jego głos przypominał syk powietrza uchodzącego z przebitej opony. Jak w czasie każdej wizyty, Lou nalał z plastikowego dzbanka wody do kubka i zgiął słomkę, żeby Chrup mógł się napić.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że wczoraj dostałem wiadomość od Puchalsky'ego i chirurga. Nic dobrego.

- Mów, chłopie, co powiedzieli?
- Zostało mi kilka dni, Lou. Najwyżej tydzień...

Głos Chrupa załamał się w połowie zdania.

- Jak to tydzień? Tydzień na co?

– Bakterie atakują resztę mojego ciała. Jeśli nie zapanują nad infekcją, odejmą mi nogę. Doktor Standish, chirurg, mówi, że będą cięć u samej góry. Chciał czekać, ale ten kutas Puchalsky... przepraszam za wyrażenie... nie omieszkał dodać, że amputacja nie musi się skończyć na nodze.

ROZDZIAŁ 41

Uwolnienie człowieka od odpowiedzialności nie różni się od zakucia go w kajdany.

Lancaster R. Hill, wykład w college'u Marietta, Ohio, 1 maja 1938

Lou oparł się o samochód Vailla i spojrział w niebo, wykorzystując chwilę na odpoczynek i zastanowienie się nad skręcającymi trzewia nowymi wiadomościami. Mężczyzna leżący w izolatce był cieniem wojownika, który kiedyś wytrzymywał piętnaście rund ze stojącymi wysoko w rankingu zawodowymi bokserami. Po kwadransie rozmowy Chrup zaczął przysypiać. Lou wyszedł z obietnicą rychłego powrotu, ale nie powiedział, kiedy to nastąpi.

Wrzucili wiatrówki FBI do bagażnika i Vaill włożył marynarkę.

– Tim, to wszystko zmienia – powiedział Lou. – Nie mogę siedzieć w zamknięciu, ani w pokoju hotelowym, ani nigdzie indziej. Nie wtedy, gdy w każdej chwili mogą operować Chrupa. Co ważniejsze, muszę odszukać Humphreya albo znaleźć kogoś takiego jak ludzie z CDC. Potrzebny mi ktoś, kto zdoła zastosować jego teorię w praktyce.

Vaill spojrział na niego z dezaprobatą.

– Nie możesz, Lou. Cokolwiek teraz zrobisz, może zaszkodzić mojej pracy. Muszę prowadzić śledztwo i niestety, ponieważ nie mogę zaufać nikomu w agencji, najważniejsze rzeczy muszę robić sam.

– Słuchaj, wiem, jak...

Lou umilkł. Tim Vaill nie słuchał. Patrzył na fasadę budynku ze stali i szkła, rytmicznie mrużąc powieki. Miał ten sam roztargniony wzrok, co w pokoju przesłuchań.

– Boże... – jęknął.

Oddychając szybko i głęboko, osunął się na kolana i przycisnął ręce do oczu.

Lou przykląkł obok niego.

– Kolejny atak bólu głowy?

Vaill przytaknął.

– Zabiorę cię na pogotowie.

– Nie!

Lou sprawdził puls na tętnicy szyjnej.

– To samo, co dzisiaj nad ranem?

Vaill lekko skinął głową.

Lou otworzył drzwi po stronie pasażera i pomógł mu wsiąść. Hiperwentylacja stała się jeszcze wyraźniejsza.

– Jezu... – mruknął Vaill, trzymając się za głowę, jakby samym naciskiem

chciał zmusić ból do ustąpienia.

Stojąc przed otwartymi drzwiami, Lou delikatnie rozchylił mu powieki i sprawdził źrenice. Były za bardzo rozszerzone, ale takiej samej wielkości i symetrycznie reagowały na światło.

Prawie na pewno nie udar, nie wylew, nie skrzep.

– Jeśli zbiera ci się na wymioty, Tim, po prostu to zrób. Na pewno nie chcesz, żebym sprowadził pomoc i zabrał cię na pogotowie?

– Nic... mi... nie... będzie.

W ciągu lat pracy na SOR-ze Lou poznał ból każdego rodzaju i o każdym natężeniu. Kamienie w nerkach i ostra skaza moczanowa zajmowały wysokie miejsca na jego liście dolegliwości, których wolałby uniknąć, i oczywiście, co znał tylko ze słyszenia, poród. Na liście znajdowały się też potworne bóle głowy – migreny albo jeszcze gorsze, spowodowane przez tętniaki mózgu. Ból Vailla zdawał się do nich pasować, chociaż w nocy atak nastąpił szybciej niż w przypadku typowej migreny. Gdyby nie to wcześniejsze zdarzenie, Lou wezwałby pomoc. Teraz mierzył puls to na tętnicy szyjnej, to na promieniowej i czekał.

Na podłodze po stronie kierowcy leżała duża szara koperta. Lou wysypał zawartość i jak najszczelniej przykrył kopertą usta i nos Vailla, żeby mężczyzna wciągnął trochę dwutlenku węgla, który wydychał.

– Spokojnie, kolego. Spokojnie.

Przyśpieszony oddech stopniowo zwalniał. Lou sprawdził, ile czasu upłynęło od początku ataku. Dwadzieścia minut.

Dwoje starszych ludzi, którzy obserwowali ich, stojąc w pobliżu, podeszło z pytaniem, czy mogą pomóc. Vaill, już z otwartymi oczami, odprawił ich ruchem ręki.

– Pomóż mi wstać.

Lou pomógł mu wysiąść i przez kilka minut agent stał oparty o dach samochodu.

– Nie jestem pewien, co powoduje te bóle głowy – powiedział Lou – ale nie chciałbym czegoś takiego doświadczyć.

– Wierz mi, że nie. Już dobrze. Dzięki.

– Tim, słuchaj, naprawdę nie jesteś w stanie sam szukać Humphreya czy Burke'a, zwłaszcza jeśli codziennie masz ataki. Potrzebujesz partnera, a skoro nie ufasz nikomu, z kim pracujesz, jadę z tobą. Mam do tego tyle samo powodów co ty.

– Nie. Absolutnie...

– Cholera, Tim, musisz mi zaufać i pozwolić, żebym ci pomógł.

– A właściwie co mógłbyś robić, jak myślisz?

Czas stawał się równie wielkim wrogiem jak Stu Bliźnich i Mikrob Sądnego Dnia. Ukrywanie w tajemnicy istnienia notesu Humphreya już nie wydawało się

ważne, więc Lou mu o nim powiedział.

– Rozumiem znaczną część pracy Humphreya. Pod tym względem mogę pomóc. Czy mógłbyś się podzielić ze mną tym, czego jak dotąd się dowiedzieliście?

– Wszystkim? Mamy całe tomy raportów i wywiadów.

– Gdzie?

– Nie wierzę, że to robię – mruknął Vaill. – Dobra, słuchaj, mamy nowy system MD, czyli magazyn danych, gdzie wprowadzamy wszystkie informacje i tropy dotyczące danej sprawy. Ma podnieść wydajność naszych grup zadaniowych. W magazynie są sygnatury dowodów rzeczowych przechowywanych w specjalnych pomieszczeniach, dzięki czemu wiemy, gdzie ich szukać. Ładujemy tam nawet zdjęcia dowodów, żeby móc je zobaczyć bez konieczności brania ich do ręki. Do MD trafiają też wszelkie dowody elektroniczne, zdjęcia, nagrania i tak dalej.

– A ty masz kody i hasła do tego magazynu?

– Oczywiście, doktoru. Przecież właśnie o to chodzi.

– Racja. Z jednej strony Chrup, z drugiej ty, więc jestem trochę rozkojarzony.

– Dobra, sprawdzę, co obaj z McCallem wrzuciliśmy do magazynu.

– Wypal na płytach DVD tyle, ile zdołasz, i razem to przejrzymy.

– Co będziesz robić w tym czasie?

– Skorzystam z twojej rady, wrócę do hotelu i jeszcze raz przeczytam notatki Humphreya. Potem zacznę dzwonić do znajomych lekarzy chorób zakaźnych w Waszyngtonie. Jeśli nie znajdziemy Humphreya, może uda mi się namierzyć innego mikrobiologa, który pomoże urzeczywistnić jego teorie.

– Musimy trzymać się z daleka od rządowych naukowców, dopóki nie rozpracuję, gdzie może być przeciek. Jeśli nie dowiem się tego w ciągu dwóch dni, ty zostaniesz szefem. To wszystko, doktoru.

– I jak, dobrze się czujesz?

– Mgła niezupełnie się rozproszyła, ale nic mi nie jest. Pilnuj tego notesu.

– Jasne.

– Uda nam się, Lou.

Zamiast niedawnej dezorientacji i bólu w oczach Vailla było już widać jedynie furję – i żądzę zemsty.

– Masz to jak w banku – powiedział Lou. – Spędzę w hotelu tylko tyle czasu, żeby wziąć prysznic, zadzwonić do Emily, spakować się i jak najpełniej zrozumieć badania Humphreya. Ty zajrzyj do tego magazynu, wypal płytę i może poszukaj jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie nie znajdzie nas McCall ani nikt inny, dajmy na to, ktoś z rodziny czy jeden z moich byłych pacjentów, którzy mogą wiedzieć, gdzie się zatrzymałem.

- Dobry plan. Wystarczą ci dwie godziny?
- Niech będą trzy. I zachowaj ostrożność, wybierając dla nas miejsce.

Nowi partnerzy wymienili uścisk dłoni, wsiedli do samochodu i odjechali.

Gdyby po przybyciu na parking spojrzeli w kierunku odległego o trzysta metrów zbocza, może któryś z nich dostrzegłby błysk światła odbijającego się w soczewkach potężnej lornetki polowej 30-160x70 Sunagor.

Jeśliby spojrzeli teraz, zbocze byłoby puste.

ROZDZIAŁ 42

Cywilizacja ma szansę przetrwać tylko wtedy, gdy istnieje zaufanie pomiędzy ludźmi i rządem.

Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania* 1937

Alexander Burke bardziej niż zabijanie lubił podchodzenie zwierzyny.

W pracy często wyobrażał sobie, że jest tygrysem, bezszelestnie stąpającym w zaroślach na wielkich łapach, z sekundy na sekundę podchodzącym coraz bliżej, żeby zadać gwałtowną śmierć...

Przybył do szpitala ogólnego Arbor przygotowany na długą obserwację, z plecakiem, w którym oprócz lornetki i noktowizora miał zapas batonów energetycznych i wody. Jak się okazało, niepotrzebnie zabierał noktowizor. Opuścił lornetkę, żałując, że nie kupił mikrofonu laserowego, żeby podsłuchać rozmowę swojego byłego partnera Tima Vailla i mężczyzny, którego rozpoznał ze zdjęć. Był to doktor Lou Welcome – zwierzyna, na którą tak naprawdę polował.

Obserwował parking i główny wjazd do szpitala z idealnego miejsca na wzgórzu górującym nad obiektem. Obecni w Atlancie współpracownicy Stu Bliźnich bez chwili przerwy pracowali nad zlokalizowaniem Welcome'a, sprawdzając wszystkie tutejsze hotele. Burke uznał, że szpital daje największe szanse na znalezienie zguby, więc postanowił osobiście obserwować to miejsce.

Wymagało to dalszej pracy nad palcami Humphreya Millera, ale w końcu żalosny kaleka podał dodatkowe i przydatne informacje, łącznie ze szczegółami dotyczącymi tajnego laboratorium w piwnicy szpitala i nazwiskiem hospitalizowanego przyjaciela Welcome'a, Hanka Duncana. Ten był w złym stanie i przebywał na którymś oddziale. Jeśli Welcome i Duncan przyjaźnili się tak bardzo, jak powiedział Miller, były duże szanse, że wkrótce doktor zajrzy z wizytą – Burke był gotów się o to założyć.

Teraz bez trudu wypatrzył dwóch agentów FBI, gdy szli do głównego wejścia. Od razu rozpoznał Vailla. Miał wyrytą w pamięci twarz jedyne go człowieka, którego chciał zabić, a nie zdołał. Po chwili zrozumiał, że towarzyszącym mu agentem, też w okularach, wiatrówce i czapce FBI, jest nie kto inny, jak doktor Lou Welcome. Najwyraźniej postanowili zastosować środki ostrożności.

Nie tylko doktor Welcome zmienił wygląd. Burke wiedział, że on sam figuruje na liście osób najbardziej poszukiwanych przez FBI – właściwie zajmował pierwsze miejsce – dlatego wyposażył się w sztuczną brodę, żeby zamaskować zarys szczęki, i podkreślił kontury twarzy makijażem, który dodał mu lat. Podróżował już w różnych przebraniach, ale to obecne – brązowa peruka, brązowe

soczewki kontaktowe i lateksowa nakładka zmieniająca kształt nosa – zupełnie zwiodło agentów FBI, którzy kilka godzin temu tłumnie przybyli do szpitala. Zszedł za dwoma z nich do piwnicy, choć powstrzymał się od zbliżania do laboratorium, o którym z pewnością usłyszeli od Welcome’a.

Zaintrygował go widok Welcome’a w towarzystwie Vailla. Chciał się dowiedzieć więcej o związkach doktora z FBI. Czy ci dwaj znali się wcześniej? Dlaczego wydawali się tacy zaprzyjaźnieni? Czyżby Vaill działał na własną rękę? Czy dlatego przesmuglował Lou do szpitala w przebraniu agenta? Jeśli tak, w jakim celu? Na razie ich niezwykła znajomość miała być informacją do zaraportowania Baconowi i niczym więcej. Wątpił, żeby ten niespodziewany rozwój wypadków zagroził jego misji. Jeśli Bacon każe zabić, tygrys z przyjemnością wyeliminuje ich obu. Mimo że naprawdę lubił Tima Vailla, w grę nie wchodziły żadne sentymenty.

Inaczej było z Cassie, którą załatwił w mieszkaniu Millera. Tu był emocjonalnie zaangażowany. Dla niego ta kobieta stanowiła symbol marnowania funduszy na pomoc społeczną, którą Bliźni przysięgli zniszczyć. Chciał zabić także tego pasożyta Millera za wszystkie pieniądze, które rząd kradnie uczciwie zarabiającym obywatelom, żeby dawać kalekom tak zwane świadczenia. Zrobiłby to, ale jego misja wymagała innego sposobu działania.

Kiedy Vaill i Welcome wreszcie odjechali, Burke włączył się do ruchu kilka pojazdów za nimi i na każdy z manewrów Vailla odpowiadał własnym. Ulice były dość szerokie i zmiany świateł trwały w miarę długo, co ułatwiało śledzenie. Burke przyspieszył, żeby uniknąć żółtego światła, kiedy zabrzączał telefon.

Bacon.

– Widzę Lou Welcome’a – powiedział Burke.

– Ciebie też miło słyszeć – wycedził Bacon lodowatym tonem.

Burke często zapominał, że Bacon jest dżentelmenem z Południa, nawet w najdziwniejszych okolicznościach wymagającym uprzejmości i odpowiedniej etykiety.

– Witaj, B-38 – poprawił się Burke. – Siedzę mu na ogonie.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że namierzaliśmy jego hotel. Zatrzymał się w Miralux Towers przy Grand Street, pokój sześćset siedemdziesiąt pięć.

Burke wpisał adres do nawigacji satelitarnej, pilnując, żeby nie stracić z oczu samochodu Vailla.

– GPS mówi, że właśnie jadą w tamtą stronę.

– Dobrze. Ufam, że zdołasz załatwić tę sprawę do końca.

Bacon w ten sposób zlecał zabójstwo.

– Najpierw zabiorę notes, który Miller dał Welcome’owi. Co ciekawe, pojawił się w szpitalu z Timem Vaillem.

Zapadła cisza.

– Dlaczego ci dwaj są razem?

– Nie mam pojęcia. Vaill dał Welcome'owi wiatrówkę FBI, zanim weszli do szpitala. Musi być jakiś powód.

– Ty decydujesz – zaznaczył Bacon.

Burke wiedział, że B-38 tak oznajmia, że do niego należy decyzja, czy pozwolić Vaillowi żyć; czy go zabić.

– Rozumiem. Miller jest bezpieczny?

– Tak. Niezła robota. Gulfstream wylądował kilka godzin temu. Zapakowaliśmy Humphreya do awionetki i przywieźliśmy go do Red Cliff. Oczywiście, byłby dla nas bardziej przydatny, gdyby miał ze sobą swoje materiały, ale przecież niedługo je zdobędziesz. Obecnie to najważniejsza część naszej misji, B-45. Masz do odegrania znaczącą rolę i wierzę, że gdy zwyciężymy i zachodnie społeczeństwo na zawsze się zmieni, historia obsypie cię zaszczytami, na jakie zasługujesz.

– Z dumą robię to, co do mnie należy.

Burke przyspieszył i znalazł się trzy pojazdy za autem Vailla, który przeskakiwał z pasa na pas i niespodziewanie skręcał, ale tygrys za kierownicą bordowego buicka lacrosse umiał przewidzieć jego ruchy. Nawet gdyby ich zgubił, wiedział, że Vaill zmierza w kierunku Grand Sreet. Notes Millera i życie Welcome'a – za jednym zamachem. Decyzja dotycząca losu Vailla może zaczekać.

Tak jak przewidywał, piętnaście minut później Vaill zatrzymał się na podjeździe hotelu Miralux i został w samochodzie z włączonym silnikiem, a Welcome minął portiera w uniformie i wszedł do niewielkiego holu. Pięć minut później Vaill odebrał telefon i odjechał po dwóch minutach rozmowy. Oczywiście Welcome był bezpieczny w swoim pokoju.

Do roboty.

Burke przykręcił tłumik Gemtech do lufy sig sauera MK25 9 mm – ulubionej broni oddziałów Navy SEALs. Wsunął pistolet do torby sportowej, włożył do tylnej kieszeni stary dobry składany nóż Strider SJ75 i wysiadł z buicka. Nóż był tak lekki i płaski, że łatwo było o nim zapomnieć.

Jeśli będzie to możliwe, zabije Welcome'a nożem. Była to potężna broń, szybka i cicha. Jeśli jednak pistolet okaże się bardziej praktyczny, to nim załatwi sprawę.

Tak czy siak, doktorowi Lou Welcome'owi zostały minuty życia.

ROZDZIAŁ 43

Ubóstwo nie jest uzależnieniem, więc jako takie daje się uleczyć. Ale leczenie tego stanu zdecydowanie nie jest płatnym urlopem od życia.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Z małego balkonu na piątym piętrze Lou miał widok na znajdujący się prawie pod nim basen w kształcie nerki. Gdy jechał z Vailem do Miralux, kolor nieba z jasnego błękitu zmienił się w stalowoniebieski. Złowieszcze chmury gromadzące się na zachodzie zapowiadały nadciągającą burzę. Zgodnie z radą agenta Lou przeszedł powoli przez mały hol do wind, mając oko na każdego, kto siedział, czytał albo po prostu się błakał.

Nie dostrzegł niczego podejrzanego.

W pokoju zajrzał do szafy i do łazienki z kabiną prysznicową zamiast wanny. Stwierdził, że podwójne łóżko jest za niskie, żeby ktoś mógł się pod nie wcisnąć. Notes Humphreya leżał tam, gdzie go zostawił, zamknięty w zaskakująco pojemnym sejfie.

Zanim Lou wysiadł z samochodu, Vaill wręczył mu wizytówkę z numerem komórki na odwrocie, dodając, że przynajmniej on będzie pamiętać, że mu ją dał. Lou odpowiedział niewesołym uśmiechem. Niemożność przewidzenia ataków Vailla trochę przypominała grę w rosyjską ruletkę.

Agent próbował też dać mu swój pistolet, zapewniając, że drugi weźmie sobie z biura terenowego. W ciągu lat praktyki lekarskiej Lou znacznie częściej opatrywał rany postrzałowe, niż trzymał w ręce pistolet.

– Broń wywołuje u mnie o ciarki – wyjaśnił, odmawiając przyjęcia podarunku. – Istnieje ryzyko, że sam się postrzelę albo jakiegoś Bogu ducha winnego gapia, zanim trafię kogoś, w kogo będę celować.

– Jak chcesz – skwitował Vaill. – Nie mam czasu cię namawiać ani szkolić.

– Wierz mi, Tim, bez tego świat będzie lepszy i bezpieczniejszy.

Po starannym przeszukaniu pokoju Lou zadzwonił i potwierdził, że wszystko w porządku.

– Dobra – powiedział Vaill. – Teraz zacznij maraton filmowy i zobacz, jak James Bond posługuje się bronią.

– Myślałem, że filmy z Bondem to hollywoodzkie wymysły.

– Tak, ale on nigdy nie chybia.

Lou w końcu się przeciągnął i rozluźnił. Podłączył komórkę do ładowarki, rozebrał się i padł na łóżko, zmęczony, rozgrzany i spocony po dwudziestu czterech godzinach, które prawdopodobnie były najgorszymi w jego życiu, choć nie brakowało im silnej konkurencji. W głowie legła mu się myśl, żeby na chwilę

wskoczyć do basenu, ale szybko zrezygnował z pomysłu.

Wynik inspekcji: najpierw prysznic.

Jakby stawiając wykrzyknik po wyniku jednoosobowego głosowania, w pobliżu uderzył piorun. Lou zerknął pomiędzy zasłonami drzwi balkonowych. Osiemnaście metrów niżej ludzie uciekali z basenu.

Dzięki prysznicowi pokój zyskał wysokie oceny w jego rankingu hoteli, bo wystarczyło lekko przesunąć rączkę i bez ostrzeżenia leciała lodowata woda. Lou się wytarł, włożył dżinsy i koszulkę polo i z nawyku wsunął portfel do lewej kieszeni spodni. Chwilę później kolejny błysk i dudnienie zapowiedziały deszcz.

Krzyki dzieci wbiegających do holu i pokoi uświadomiły Lou, że od dwóch dni nie rozmawiał z Emily. Kiedy był w Waszyngtonie, w najgorszym razie dzwonił co drugi dzień, a gdy wyjeżdżał, co nieczęsto się zdarzało, codziennie.

– Miej ją na oku – powiedział jego ojciec Dennis, kiedy Emily była noworodkiem. – Mrugniesz, a już siadają za kółkiem. I czasami, jak twój brat Graham, gdy wjechał moim plymouthem przez drzwi garażu, mają wtedy tylko dwanaście lat.

Zamknięty w mrocznym, przytulnym pokoju Lou dumiał, ile razy biegał, żeby wyciągnąć córkę z wody przed burzą. Wspomnienie wywołało zmęczony uśmiech na jego ustach. Sięgnął po komórkę. Będzie mówiła głównie Emily, i dobrze, ale naprawdę musiał usłyszeć jej głos, by się upewnić, że jest w domu w Wirginii i, co ważniejsze, że jest bezpieczna, jak dzieci, które uciekły z basenu.

Przez otwarte drzwi balkonowe wpadały świeże podmuchy nadciągającej burzy, chłodzące duszny pokój. Lou sprawdził, czy deszcz nie pada na dywan, po czym usiadł na brzegu łóżka i wybrał numer córki.

W jednej chwili raczkują, a w następnej umawiają się na randki.

Tak jej powie, kiedy urodzi pierwsze dziecko.

– Tato! – pisnęła Emily.

– Cześć, maleńka. – Jej głos brzmiał jak symfonia w jego uszach. – Jak moja ulubiona chiquita radzi sobie we wszechświecie? Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też, tato. Co u Chrupa?

– W porządku, skarbie. Trzyma się.

– To znaczy, że nie jest z nim zbyt dobrze.

– To paskudne zakażenie, ale wiesz, ile ma siły i odwagi. Da sobie radę.

Lou zdusił nagły przypływ emocji. Jego serce przepelniała bezgraniczna miłość do córki. Dobrze, że uległ pod wpływem maglowania i pogróżek Vailla i McCalla. Nie wyobrażał sobie, że siedzi gdzieś w zamknięciu, z dala od niej, i nie może obserwować, jak jej życie rozkwita.

– Tato, nic ci nie jest? – zapytała.

Milczał zbyt długo.

– W porządku, skarbie. Powiedz, co u ciebie. Czego dokonałaś?

Po prostu mów do mnie... Muszę słyszeć twój głos.

– Robię wszystko, co mogę, żeby zebrać więcej pieniędzy dla Chrupa – odparła. – Idzie nieźle. To znaczy wciąż mamy przed sobą długą drogę, ale ludzie naprawdę popierają ten pomysł.

– General Mills wciąż się dokłada?

– Jasne! – oznajmiła z dumą. – W dodatku do tamtych pięciu setek przysyłają wszelkiego rodzaju mieszanki, więc możemy urządzać wielki kiermasz ciastek. Uliczne grupy wolontariuszy nabierają rozpędu, a dzięki założonym przeze mnie stronom zebraliśmy dwa tysiące dolarów.

– Dwa tysiące – powtórzył Lou. – Cudownie! Gratulacje, skarbie. Brawo. Wielkie brawa!

– Dzięki, tato. Na pewno nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku, kotku. Jestem tylko trochę...

Przerwało mu ostre pukanie do drzwi.

– Lou, tu Vaill. – Usłyszał nagłą, nieco stłumioną głos. – Musimy pogadać.

– Skarbie, zadzwonię później.

Wstał z łóżka.

– W porządku, tato. Kocham cię.

– Ja ciebie też – powiedział w drodze do drzwi. – Porozmawiamy niebawem. Superdzieciak.

Lou się zastanawiał, jakie wiadomości przynosi Vaill – na pewno coś zbyt poważnego na rozmowę przez telefon. Przekręcił gałkę i ledwie uchylił drzwi, odskoczyły w jego stronę, pchnięte przez kogoś. Straciwszy równowagę, zatoczył się do tyłu. Był zdumiony nagłą agresją Vailla, dopóki nie zrozumiał, że to wcale nie Vaill. Człowiek, który stanął w drzwiach, miał brodę, ciemnobrązowe oczy, brązowe włosy i trzymał pistolet z tłumikiem wycelowany w środek jego piersi.

– Cisza, ani piśnij, bo umrzesz – ostrzegł intruz.

Wystarczyło jedno spojrzenie w płaskie, martwe oczy, żeby Lou nie miał wątpliwości, że groźba jest prawdziwa. Mężczyzna wszedł do pokoju, nogą zamykając za sobą drzwi, i wyciągnął rękę do tyłu, żeby je zaryglować. Lou wiedział, że na zewnątrz automatycznie pojawi się napis NIE PRZESZKADZAĆ.

– Trzymaj ręce wysoko, żebym je widział – polecił mu mężczyzna.

– Kim jesteś? Czego chcesz?

Lou czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, a serce łomocze o żebra. Nie był to człowiek, z którym warto zadzierać.

– Nieważne, kim jestem – odparł intruz. – Ważne, że masz coś, czego potrzebuję.

Brakujące fragmenty układanki szybko trafiały na swoje miejsca.

– Ty porwałś Humphreya. Ty jesteś Burke. Zabiłeś żonę Tima Vailla.

Na zewnątrz wiatr i ulewa przybierały na sile. Lou, zajęty desperacką oceną sytuacji, był ledwie tego świadom.

Alexander Burke w odpowiedzi obojętnie wzruszył ramionami.

– Owszem – mruknął. – Ale powtarzam, masz coś, czego potrzebuję. Notes, który dał ci twój przyjaciel Miller.

Zabójca podszedł bliżej, robiąc jeden ostrożny krok, potem drugi. Ręka z pistoletem była nieruchoma, jak wykuta ze stali. Lou stał po jednej stronie dwuosobowego łóżka, Burke po drugiej, lecz kule w magazynku bardzo skracały dzielącą ich odległość.

Błyskawica, grzmot, wiatr, deszcz.

Zasłony powiewały, ale żaden z nich nie podszedł, żeby zamknąć drzwi. Burke zapalił lampkę nocną przy łóżku.

Lou szukał przewagi, jakiegokolwiek przewagi. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i odnosił wrażenie, że w walce wręcz miałby szanse – gdyby nie pistolet.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział.

Burke parsknął.

– Naprawdę nie chcemy grać w tę grę.

– Nie wiem, o czym...

– Daj spokój, Welcome. Po prostu skończ na tym. Masz jedną szansę, żeby ocalić życie. Teraz. Tylko jedną. Strzelę, jeśli krzykniesz... albo będziesz grać na zwłokę. Masz moje słowo, że to zrobię. Uprzedzam, strzelę więcej niż raz, i to tak, żeby cię nie zabić. Strzelę, jeśli będziesz uciekać, jeśli zakaszlesz, kichniesz, zaczniesz dyskutować albo zrobisz cokolwiek innego niż podanie mi tego, po co tu przyszedłem, czyli notesu Humphreya Millera. Czy to jasne?

– Proszę...

– Liczę do pięciu, potem się zacznie.

– Mam go. Mam.

– Cztery. Nie obchodzi mnie, czy go masz. Chcę, żebyś mi go dał. Trzy...

– Tu jest, tutaj! – krzyknął Lou.

Wszelki ślad spokoju i opanowania zniknął z jego głosu. Ten człowiek nie miał duszy. Bez mrugnięcia okiem zabił żonę Vailla, a zastrzelenie opiekunki Humphreya pewnie sprawiło mu przyjemność. Przemawianie mu do rozsądku miało się z celem.

– Nie strzelaj! Zaraz ci go dam.

Desperacko próbował wymyślić, co zrobić albo powiedzieć, żeby zapobiec temu, co wydawało się nieuchronne, i żeby choć o milimetr zmienić bieg lawiny grożącej zmieceniem go z powierzchni ziemi.

– Jest zamknięty w sejfie – dodał, wskazując ręką.

Kolejny podmuch i grzmot. Deszcz padał przez otwarte drzwi balkonowe na

wyłożoną dywanem podłogę. Zasłony wydymały się jak spinakery.

Burke przeszedł na drugą stronę łóżka. Dzielilo ich półtora metra – łatwy strzał, ale odległość wciąż zbyt duża, żeby Lou mógł rozsądnie zaatakować. Kolejne spojrzenie w puste oczy mężczyzny powiedziało mu wszystko, co musiał wiedzieć.

Zabije mnie. Kiedy tylko dam mu notes, będę trupem.

– Otwórz sejf – polecił Burke.

Czas się kończył. Lou zdecydował, że nie podda się bez walki. Nie zamierzał czekać, aż Burke go zastrzeli. Przykucnął, nie przykląkł, po czym otworzył drzwiczki szafki i głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. Burke nie pójdzie na to, żeby samemu otworzyć sejf, wykluczone. Zależało mu na notesie, nie chciał się rozpraszać podczas wystukiwania kombinacji.

Rozproszenie uwagi...

Lou popatrzył na drzwi balkonowe, w jego głowie wykiełkował pewien pomysł... i zaczął rosnać. Szybko, ale precyzyjnie zaczął wciskać kolejne cyfry – 03051009, połączenie daty urodzin jego i Emily, jedyna kombinacja, która nigdy nie wyleciałaby mu z głowy. Gdy sejf się otworzył, wyjął z niego gruby oprawiony dokument. Wstał i odwrócił się w stronę Burke'a.

Czy notes zatrzyma kulkę? – zastanawiał się.

Potrzebował czasu. Tylko sekundy, może dwóch.

Kolejny błysk pioruna przyciągnął jego uwagę do drzwi, za którymi krople deszczu spadały na wyłożony kamiennymi płytkami balkon.

– Przysuń mi książkę – powiedział Burke, machając pistoletem.

Wyraźnie nie chciał, żeby Lou podszedł na wyciągnięcie ręki. Lou z trudem przełknął ślinę.

Jedna szansa... Mam jedną szansę... Co człowiek czuje, gdy dostaje kulkę?

Pochylił się i pchnął notes po dywanie w taki sposób, żeby wsunął się pod łóżko.

Twarz Burke'a pozostała jak wyrzeźbiona z lodu, ale oczy przemieniły się w sztylety.

– Zapłacisz za to – warknął.

Nie spuszczać go z oczu, macał stopą pod łóżkiem. Bliźni mieli w rękach Humphreya Millera, a Burke miał im dostarczyć jego notatki. Notes stanowił zabezpieczenie, na wypadek gdyby Miller nagle odmówił współpracy... albo umarł.

Lou się spał. Ustawił się jak sprinter w bloku i czekał, aż wypali pistolet startowy.

Bliźni prawdopodobnie zrezygnowali z podejścia Kazimiego, który pracował nad antybiotykiem, a ich naukowcy nie nadążali za mutacjami Mikroba Sądnego Dnia. Ogarniała ich coraz większa desperacja. Dobra wiadomość była taka, że

Humphrey mógł mieć rację ze swoją teorią bakteriofagów. Złą wiadomością było to, że Lou znalazł się w sytuacji praktycznie bez wyjścia. Jego jedyna nadzieja, bardzo nikła, wiązała się z pozostawieniem notesu w rękach Burke'a.

No dalej, odwróć wzrok. Odwróć... wzrok.

Lou wpatrywał się w człowieka zdecydowanego go zabić.

Spójrz w dół. Teraz, cholera...! Teraz!

Burke wsunął stopę kawałek dalej pod łóżko. Cień uśmiechu przemknął po jego okrutnych ustach. Namacał notes.

Stojąc na ugiętych nogach, Burke nie odrywał wzroku od Lou i celował w jego pierś.

Przygotuj się...

Burke na dwie sekundy skierował spojrzenie w dół, żeby sięgnąć ręką pod łóżko. Kiedy podniósł wzrok, Lou już był w ruchu. Chwilę wcześniej pomyślał o rodzicach wypędzających dzieci z basenu. Zrobił dwa wielkie kroki i wyskoczył na balkon. Za jego plecami padły dwa stłumione strzały, ciche pyknięcia, jakie towarzyszą otwieraniu butelek szampana. Czuł kule przelatujące obok jego głowy. Jedna być może roztrzaskała szklane drzwi.

O to chodziło.

Nie było czasu na wahania, kalkulowanie... ani na przemyślenie skoku. Postawił bosą stopę na balustradzie i płynnym ruchem odepchnął się z całej siły.

Życie albo śmierć.

Szybko spadał z piątego piętra. Zbliżający się w zawrotnym tempie widok był krystalicznie jasny. Niezapomniany. Nie ma dzieci. Pęd powietrza zupełnie go zatkał. Lou nie mógł zrobić wdechu.

Wymachiwał nogami, jakby jechał na niewidzialnym rowerze. Jego ręce obracały się jak śmigła, gdy próbował przyjąć w locie pozycję kuczną. Gdzieś słyszał, że upadek na pośladki jest najbezpieczniejszy. A może stopami do przodu? Pamiętał, żeby pozostać rozluźnionym. Napięte mięśnie zmniejszają poduszkę chroniącą kręgosłup, co przyczynia się do złamań kompresyjnych.

Oczywiście, żaden manewr ani trochę nie pomoże, jeśli nie trafi do basenu.

Basen zbliżał się w oszałamiającym tempie. Lou widział już, że wpadnie do wody. Jego ostatnią myślą przed zderzeniem z taflą było to, czy wyląduje na samym dnie i czy w ogóle ten basen jest głęboki. Siła powietrza ścisnęła mu klatkę piersiową i brzuch.

Wiatr wył mu w uszach, piekący deszcz smagał twarz.

Czas. Albo przeżyje, albo umrze.

Leciał stopami i pośladkami w dół – bomba z piątego piętra – absolutnie nie mając pojęcia, co poczuje w chwili zderzenia z powierzchnią basenu ani czy nie rozbije się o dno. Uderzenie było potężne i towarzyszyło mu wystrzelenie gejzera, godnego bomby. Resztki powietrza uciekły mu z płuc. Ścisnął nos w porę, żeby

woda nie wdarła mu się do nozdrzy i nie wystrzeliła przez czubek głowy.

Chwilę później walnął o dno. Wstrząs był silny, ale nie zabójczy. Zdezorientowany, młócił wodę rękami i jak idiota próbował zaczerpnąć tchu, wciągając do płuc chlorowaną wodę. Zupełnie spanikowany, ponownie uderzył w dno basenu. Tym razem odepchnął się nogami i wystrzelił w górę. Krztusił się, gdy głowa przebiła powierzchnię. Adrenalina i świadomość, że prawdopodobnie żyje, poniosły go do brzegu.

Trzymając się wyłożonej kafelkami krawędzi, wciąż kaszląc, spojrzął na balkon swojego pokoju. Burke stał tam i mierzył do niego z pistoletu. Nagle opuścił broń, gdy z holu wybiegła grupa przejętych rodziców z dziećmi, śpiesząc z pomocą topielcowi. Burke dwoma palcami wskazał najpierw swoje oczy, a potem Lou, po czym zniknął w środku. Stękając z wysiłku, Lou wyciągnął się z wody i podniósł. Wiedział, że Burke już jest w drodze na dół. Trzęsąc się z powodu szoku, powiódł wzrokiem po zgromadzonym wokół niego tłumie.

– Dzieciaki – powiedział – nie próbujcie robić tego w domu.

ROZDZIAŁ 44

Program „Dzielmy się Naszym Majątkiem” senatora Hueya Longa symbolizuje nieudaną politykę pomocową Ameryki. Wyrzekanie się rolniczego pochodzenia i masowe odwracanie od rodziny wielopokoleniowej w zamian za życie w mieście i stawanie się zależnym od zasiłków ograniczających samodzielność powinno się spotkać z surową krytyką, nie z nagrodami.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

Niedoszli ratownicy i dobrzy samarytanie rozstąpili się jak Morze Czerwone, żeby przepuścić przemoczoną, bosą zjawę. W drodze do holu Lou wyjął z wielkiego kosza suchy ręcznik i wykasłał w niego litry chlorowanej wody. Jest jeszcze czas, myślał, żeby złapać Burke’a w hotelu, zanim ucieknie z notesem Humphreya. Potem przemknął mu przez głowę podany przez Vailla opis brutalnego morderstwa opiekunki Humphreya i żony agenta.

Było możliwe, a nawet wielce prawdopodobne, że z łupem w ręku Burke nie będzie go szukać. Ale też wydawało się pewne, że jeśli nadarzy się okazja, z przyjemnością dokończy zadanie. Lou uznał, że najbezpieczniej dla niego i dla osób postronnych będzie, jeśli powiadomi ochronę i policję. Zaczął się zastanawiać, czy ochroniarze w hotelu są jak ci w centrum handlowym i czy noszą broń. Stwierdził zaraz, że nawet jeśli noszą, napuszczenie ich na Burke’a równałoby się wydaniu na nich wyroku śmierci.

Wciąż kaszląc w ręcznik, Lou oparł się o biurko recepcji. Woda ściekała z jego twarzy na granitowy blat. Recepcjonista, młody mężczyzna w okularach z czarnymi oprawkami, ubrany w ciemny garnitur z plaketką z imieniem Reynaldo, starł kałużę szmatką i sięgnął do klawiatury.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, zimny jak lody na patyku.

Lou zatkało.

Nie dostrzegłeś niczego niezwykłego? – chciał powiedzieć. Właśnie skoczyłem do basenu na bombę z piątego piętra, ponieważ do mojego pokoju wdarł się facet z gnatem i chciał mnie ukatrupić. Czy raczysz łaskawie wezwać ochronę i policję?

Potem pomyślał, że Vaill kazał mu się ukryć, bo przecież nie ufał FBI. Najgorsze, co mógł teraz zrobić, to wciągnąć w to władze, jakiegokolwiek władze. Musi uciec Burke’owi i skontaktować się z Vailem.

No tak, i zabrać ubrania i buty.

Reynaldo stał, cierpliwie czekając.

– Pryszyć w moim pokoju jest zepsuty – oznajmił Lou, wycierając ręcznikiem włosy. – Zajrzałem do kabiny, żeby zobaczyć, czy szampon jest na

półce, i prysznic sam z siebie się włączył. Na maksa, bez ostrzeżenia.

Improwizowane kłamstwo. Był w tym mistrzem, gdy pił i ćpał. Wydawało się, że jak alkoholizm, umiejętność wymyślania kłamstw na poczekaniu nigdy do końca go nie opuściła.

– Jest mi bardzo przykro – powiedział Reynaldo. – Myślałem, że może zaskoczył pana deszcz. Jaki jest numer pańskiego pokoju? – spytał, jakby Lou po prostu poprosił o dodatkową poduszkę. – Natychmiast pošlę tam konserwatora.

Młody recepcjonista wyraźnie był stworzony do wyższych celów.

Lou znowu zaczął się zastanawiać, jak Burke ucieknie z hotelu i czy ruszenie za nim w pogoń byłoby mądrym posunięciem. Wewnętrzna debata szybko się zakończyła. Alexander Burke był człowiekiem, od którego należało trzymać się jak najdalej, chyba że w grę wchodziłoby życie Chrupa albo Humphreya.

– Nie ma potrzeby – odezwał się do mężczyzny. – To jednorazowe zdarzenie. Po prostu chciałem, żeby pan wiedział.

Kątem oka zobaczył, że niedoszli ratownicy wracają znad basenu, i odszedł śpiesznym krokiem. Wbrew sobie zignorował myśl o marnych szansach na wygraną w starciu z uzbrojonym zabójcą i skręcił do wind. Były cztery, po dwie po obu stronach wnęki, wszystkie zajęte, ale żadna nie stała na piątym piętrze. W tej chwili do głosu doszedł zdrowy rozsądek. Wątpliwe, żeby Burke był gdzieś w pobliżu piątego piętra. Mógł zejść schodami albo uciec wejściem dla personelu. Tak czy siak, miał notes. Bliźni chcą zapewne jak najszybciej dostać te materiały, a on trafi na jego listę spraw do załatwienia.

Omijając recepcję i Reynalda, pośpieszył do obrotowych drzwi. Deszcz osłabł, lecz wiatr nie stracił siły, a gęste, wilgotne powietrze sprawiało, że przemoczone ubranie ciążyło mu jak zbroja. Nie zwracając uwagi na portiera, wsiadł do taksówki, która stała na kolistym podjeździe.

Taksówka ruszyła i kierowca, Afroamerykanin o sympatycznym uśmiechu, zerknął przez ramię.

– Do akwarium? – zapytał.

– Całkiem zabawne.

– Czasem mi się uda.

Taksówkarz zwolnił, czekając na instrukcje.

Lou, uparty do końca, wciąż wypatrywał Burke'a.

– Proszę jechać – powiedział w końcu.

– Pan płaci.

Jest powód, żeby nie tracić nadziei, myślał Lou. Choć było to straszne, podnosił go na duchu fakt, że Burke zabił opiekunkę, ale nie Humphreya. Stu Bliźnich odchodziło od zmysłów. Według lekarzy Chrupa bakterie zmutowały. Możliwe, że Bliźni stracili kartę przetargową w negocjacjach z Waszyngtonem, ale będą to ukrywać tak długo, jak dadzą radę. Jeśli rzeczywiście ich leki nie są już

skuteczne, zabijanie Humphreya nie miałoby sensu.

Lou wyjął z kieszeni spodni przemoczony portfel i podał taksówkarzowi adres biura terenowego FBI w Atlancie.

– Pożycz mi pan komórkę? – poprosił.

Kierowca spojrział na niego w lusterku wstecznym.

– Nie zamierza pan dzwonić do dziewczyny w Kanadzie?

Jego śmiech brzmiał szczerze.

– Nie, tylko do mojego brata w FBI – odparł Lou z kamienną twarzą.

Mężczyzna spoważniał.

– No tak, w takim wypadku...

Podał mu telefon. Numer nagryzmołony przez Vailla na odwrocie wizytówki wciąż był czytelny, chociaż rozmyty. Lou nie chciał jechać do biura FBI, ale nie miał planu B. Jak się okazało, nie musiał go wymyślać. Sekundę po wbiciu ostatniej cyfry Vaill odebrał telefon.

– Vaill, słucham.

– Tu Lou.

– Co to za numer?

Żadnych uprzejmości, żadnej pogawędki. Rozmówca był rzeczowy i podejrzliwy.

– Pożyczyłem od taksjarza. Jadę do ciebie.

– Tylko nie od frontu – przykazał mu Vaill. – Zaparkuj po drugiej stronie ulicy, przecznicę dalej. Wierz albo nie, właśnie chciałem zadzwonić. Wypaliłem materiał na DVD, jak prosiłeś. Myślę, że powinniśmy razem obejrzeć nagranie, które Burke'a przygotował dla żony. Sprawdzili je analitycy dowodów, ale może warto zrobić to jeszcze raz.

– Ja też się trochę dowiedziałem o Burke'u – powiedział Lou. – Złożył wizytę w moim pokoju. Podał twoje nazwisko, żebym otworzył drzwi. Potem próbował zrobić swoje.

– Jak mu się wymknął?

– Powiedzmy, że za skok dostałbym siedem punktów na dziesięć.

Lou usłyszał, jak Vaill ze świstem wciąga powietrze.

– Skoczyłeś?

– Na bombę. Bomba z piątego piętra. Jestem obolały, ale poza tym w porządku. Tim, on ma notes Humphreya.

– Ważne, że nie ma twojego skalpu. Potrzebujesz czegoś?

– Ubrania i new balance'y numer czterdzieści dwa.

– Zaraz znajdziemy sklep. Każ taksówkarzowi stanąć w pobliżu Starbucksa po drugiej stronie ulicy. Spakuję się i podjadę. Gdzie teraz jesteś?

Lou zapytał kierowcę i przekazał namiary Vaillowi.

– To jakieś piętnaście minut stąd. Wiesz co, doktorku?

- Co?
- Teraz razem ze mną należysz do wyjątkowej grupy.
- Co to za grupa?
- O ile wiem, jesteśmy jedynymi osobami, które Alexander Burke próbował zabić i mu się nie udało.

ROZDZIAŁ 45

Utrzymanie tajemnicy i dyskrecja są dla każdego taktycznego ruchu rewolucyjnego ważniejsze niż liczebność.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Wizyta Burke'a w hotelu tylko pogłębiła paranoję Vailla i utwierdziła go w przekonaniu, że w agencji działa kret. Chwilę po zakończeniu rozmowy z Lou agent zadzwonił do niego jeszcze raz, żeby przenieść miejsce spotkania dwie przecznice dalej.

Gdy taksówka minęła biuro terenowe i zbliżyła się do wyznaczonego miejsca, Lou rzucił dwie mokre, zmięte dwudziestki na przednie siedzenie i wyskoczył, zanim taksówkarz zahamował. Tak szybko, jak mu pozwoliły wciąż wilgotne dżinsy, przykucnął i przemknął do samochodu Vailla niczym człowiek obawiający się strzału snajpera, co właściwie tak bardzo nie odbiegało od prawdy.

Alexander Burke dowiódł swoich umiejętności jako agent, a także brutalności i absolutnego braku skrupułów. Nadszedł czas, żeby Vaill objął dowodzenie i poprowadził ich do kontrataku. Były tylko dwa problemy: nawet w szczytowej formie miał małe szanse na dorównanie zabójcy, a obecnie, niedługo po operacji, ze świeżą blizną i niedającymi się przewidzieć atakami obezwładniającego bólu głowy, jego forma zdecydowanie nie była najlepsza.

– Zapnij pasy, kolego – powiedział. – Jeśli złapię ogon, będziemy musieli trochę pokombinować, żeby go zgubić albo, co byłoby znacznie lepsze, znaleźć się za nim. Jak piloci myśliwców.

– Nie sądzę, Tim, żeby tu był. Przynajmniej nie teraz.

– Dlaczego?

– Ma to, czego chcą Bliźni, notes Humphreya, i teraz musi go dostarczyć, prawdopodobnie jak najszybciej.

– Fakt.

– Co nie znaczy, że należy o nim zapominać, ale zaryzykuję stwierdzenie, że odłoży ruszenie za którymś z nas do zakończenia misji. Wtedy może zacznie na nas polować, zamiast jechać na zasłużone wakacje na Karaiby albo coś w tym stylu. W ten sposób daję znać, że muszę ściągnąć te przekłete ciuchy i włożyć coś suchego.

– Może najpierw znajdziemy jakieś lokum?

– Może najpierw wstąpimy do jakiegoś sklepu po tenisówki i dresy? Moje pośladki nie zniosą niczego innego.

Po raz pierwszy Vaill się uśmiechnął.

– Załatwione.

Trzeba przyznać, że w sklepie Richie's Sporting Goods nikt z obsługi nie zareagował niegrzecznie na widok rozczochranego, przemoczonego, bosego klienta z „dr med.” przed nazwiskiem na karcie kredytowej, która, nic dziwnego, nie zadziałała po kąpieli. Zanim sprzedawca zaczął ręcznie wbijać numer karty, Vaill szybko wyjął plik gotówki. Po piętnastu minutach zakupów Lou wyszedł ze sklepu z dresami, elegancką parą butów sportowych marki New Balance, spodenkami, skarpetami, bielizną, koszulką, kurtką Atlanta Falcons, czapką Atlanta Braves, bluzą Atlanta Hawks i długim w wysokości dwóch tysięcy siedemset dziewięćdziesięciu dolarów u swojego nowego partnera.

– Moje delikatne półdupki są ci dozgonnie wdzięczne – powiedział, gdy ruszyli w drogę.

– W ciągu prawie miesiąca wspólnej pracy Chuck McCall nie kosztował mnie ani centa – wyburczał Vaill. – I ani razu nie wspomniał o delikatnych półdupkach. A teraz sprawdźmy, czy Burke nie jest lepszy, niż przypuszczamy. Potem znajdziemy jakieś miejsce, żeby obejrzeć przywiezione przeze mnie dowody.

Po prawie półgodzinnym kręceniu się, żeby zgubić ewentualny ogon, zajechali pod skromny motel Great Southern Inn & Suites. Było to dokładnie takie miejsce, jakie Lou by wybrał, gdyby w poprzednim hotelu nie mógł wykorzystać punktów rabatowych. Z ironią zauważył, że najprawdopodobniej te punkty ocaliły mu życie. Piętrowy motel miał tylko mikroskopijny basen i żadnego balkonu, z którego mógłby skoczyć.

Vaill zameldował się jako Gregg Campbell z Houston. Miał prawo jazdy i karty kredytowe na to nazwisko.

– Mam sześć takich kompletów – powiedział do Lou, po teksańsku przeciągając samogłoski. – Paszporty, karty kredytowe, zaświadczenia o zatrudnieniu. Gregg Campbell należy do moich ulubionych, choć prawda jest taka, że prawdopodobnie nigdy by się tu nie zatrzymał. Siedzi w ropie, kapujesz.

– Teraz już wiem, na co idą pieniądze z naszych podatków – skomentował Lou.

Lubił, kiedy Vailla opuszczał ponury nastrój, ale doskonale rozumiał, dlaczego nie dzieje się to często.

Motel Great Southern stał niecałe pół kilometra od mało uczęszczanej autostrady. Znaleźli go dzięki wielkiemu znakowi na słupie, który był wysoki chyba na pięć pięter. Po wynajęciu pokoju na piętrze Vaill przez dłuższy czas czekał w cieniu w pobliżu wejścia, obserwując podjazd i parking. Wreszcie, w miarę usatysfakcjonowany, zaprowadził Lou do pokoju.

– Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten łajdak zostawił gdzieś samochód i przyszedł pieszo, żeby się podkraść od tyłu – powiedział.

Przyciągnął małe biurko przed złożoną amerykankę, położył na nim laptopa i wsunął do napędu jedną z płyt DVD.

– Pomyślałem, że zaczniemy od tej, którą żona Burke’a dała mnie i McCallowi. Pokazałem jej pośmiertne zdjęcia Marii i wtedy pękła. W zasadzie niczego tam nie ma, ale od czegoś trzeba zacząć. Przynieść ci popcorn?

– Nie wiem, czy pamiętasz, co się stało ostatnim razem, gdy zostawiłeś mnie samego w pokoju hotelowym.

– W porządku, zero popcornu, zero rodzynek w czekoladzie.

– Więc na nagraniu nie ma nic interesującego?

– Burke przysłał je swojej żonie. To wyciskacz łez z mordercą w roli głównej. Nie można go nawet zaliczyć do filmów oglądanych za zgodą rodziców. Zostało przeanalizowane przez jednego z naszych najlepszych ludzi, a właściwie przez absolutnie najlepszego z naszych analityków. Jak mówiłem, niewiele wykombinował. Ale nawet jeśli nic tam nie ma, zyskamy pełniejsze wyobrażenie o tym człowieku.

Vaill wcisnął klawisz i Lou zlodowaciał. Na ekranie pojawił się Alexander Burke, choć wyglądał inaczej niż wtedy, gdy zaatakował go w hotelu.

– Miał nadzwyczajne przebranie – skomentował.

– A tak wygląda naprawdę.

Mężczyzna na filmie, gładko ogolony, przystojny, miał szare oczy, inny kształt nosa i włosy koloru słomy. Siedział rozluźniony na wysokim stołku barowym ustawionym na brązowozielonym trawniku. Za nim rozciągał się bezkresny stalowy ocean, a zarośla widoczne po bokach tworzyły ramy starannie zaaranżowanej sceny. W ręce trzymał małe plastikowe urządzenie, pilota, jak przypuszczał Lou. Kamera, nieruchoma jak skała, stała zapewne na statywie. Nie wyglądało na to, żeby zabójca korzystał z czyjejś pomocy w nagrywaniu.

Cześć, Lolu, moje słodkie maleństwo.

Głos w niczym nie przypominał tego, który Lou słyszał w pokoju hotelowym. Tembr był ciepły i pełen miłości i zupełnie nie pasował do zimnych oczu i brutalnego zachowania Burke’a.

Przez kilka miesięcy nie dam znaku życia, ale prędzej czy później o mnie usłyszysz. Nie będą to pochlebne opinie. Chciałbym być z tobą, kiedy to nastąpi, żeby cię pocieszać w trudnych chwilach. Niestety nie mogę. Muszę być tu, gdzie jestem, i zrobić to, co robię.

Vaill zatrzymał nagranie.

– Jak powiedziałem, materiał został przeanalizowany przez najlepszego z naszych ludzi. Ale to dobrze, że zaczęliśmy od początku. Zwracaj uwagę na głos, zachowanie, postawę. Najcenniejsze byłyby jakieś wskazówki dotyczące miejsca nagrywania, chociaż pewnie proszę o zbyt wiele.

– Rozumiem – powiedział Lou. – Dalej.

Burke ożył.

Rozumiesz naszą sprawę – mówił tonem znacznie spokojniejszym niż spienione fale oceanu za jego plecami. – Wiesz, o co toczy się gra. Chodzi nie tylko o naszą przyszłość, ale o przyszłość tego kraju. Ktoś musi tupnąć nogą i postawić na swoim. Politycy mieli swoją szansę. Nadszedł czas, żeby moja organizacja przystąpiła do działania i doprowadziła do prawdziwych zmian.

Kiedy się poznaliśmy, powiedziałem ci, że nie chcę mieć dzieci, ponieważ nie chcę ich wychowywać w tym zepsutym, słabym społeczeństwie. Ale codziennie żałuję, że nie mamy całej gromadki. Byłabyś nadzwyczajną matką, a ja byłbym najszcześniejszym mężczyzną pod słońcem. Skoro o tym mowa, jestem szczęśliwy. Czuję się pobłogosławiony, ponieważ mam okazję sprawić, żeby inni ludzie mogli mieć dzieci i wychować je w kraju, który będzie tak silny i finansowo stabilny jak podwaliny, na których zbudowali go nasi przodkowie.

Tęsknię za tobą, Lolu, i kocham cię całym sercem i duszą. Chcę ci powiedzieć, że przyjdę po ciebie, kiedy będzie bezpiecznie. Możliwe, że nigdy się to nie zdarzy. Najpewniej będę poszukiwany – ścigany za zrobienie czegoś, co w głębi duszy uważam za słuszne. Ale wiedz jedno: moje serce jest czyste, moje sumienie jest czyste, a moja wiara w słuszność naszej sprawy jest niezachwiana jak miłość do ciebie.

Burke podniósł pilota i ekran ściemniał.

Lou siedział w milczeniu, oszołomiony tym, co przed chwilą obejrzał. Nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi poza tym, że emocje zarejestrowane przez kamerę były szczerze – jasne jak pochodnia, która wciąż płonęła w jego sercu dla Renee, matki Emily. Co więcej, zrozumiał, że Burke nie jest pospolitym zabójcą do wynajęcia. Wierzył w idee Bliźnich. Ich sprawa była jego sprawą i był gotów dla niej zabijać.

Lou podzielił się z Vailem tymi spostrzeżeniami.

– Coś jeszcze? – zapytał agent. – Jakies dodatkowe informacje, a może inne spojrzenie na tego człowieka albo wskazówka, gdzie zrobił nagranie?

Lou pokręcił głową.

– Widziałem tylko ocean, drzewa, trawę, stołek i kilka wielkich skał tkwiących w ziemi.

– Śmiało, doktorku. Dalej. Dobrze ci idzie.

– Głupio mi to mówić, ale czuję, że był wysoko.

– Na klifie – dodał Vaill. – Jakby wybrał najbardziej malownicze, romantyczne miejsce w okolicy. I jego twarz była dobrze oświetlona, żadnych cieni.

– Dobrze. I cień, gdy siedział na stołku, nie był zbyt długi i ciągnął się w kierunku wody, więc prawdopodobnie siedział zwrócony twarzą ku zachodowi.

– Wczesne popołudnie, przodem ku zachodowi. Tak jest, partnerze. To już coś.

– Nie rozpoznałem drzew na prawo od niego, ale liście są żółtozielone i tylko kilka leży na ziemi. Nie wygląda na zimę.

– Ani na lato, sądząc po jego ubraniu. Na niebie widać kilka strzępiastych chmur i woda jest lekko wzburzona, więc po pół punktu przeciwko latu i zimie.

– Zgadzam się. Stawiam na jesień, może pół roku temu. Wybacz, Tim, ale w tej chwili nic więcej nie wymyślę.

– Zrobimy zatem to, co każdy przyzwoity agent zrobiłby w tej sytuacji.

Lou obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem.

– Co?

– Najpierw obejrzymy pozostały nagrany przeze mnie materiał, żebyś szybko zorientował się w całej sprawie. Potem wrócimy do tego nagrania i będziemy je oglądać, dopóki oczy nie spłyną nam krwią albo nie znajdziemy czegoś pożytecznego. W tej chwili to naprawdę wszystko, co mamy.

– W takim razie – zaczął Lou – zanim się usadowimy na pięciokrotną powtórkę seansu, może sprawdzisz, czy mają tu automat z rodzynkami.

ROZDZIAŁ 46

Wolności nie można zdobyć bez poświęcenia, a z poświęceniem wiąże się cierpienie. Zostanie przelana krew, lecz cierpienie jednostek w końcu ocali ogół – to ból, jaki jesteśmy zobowiązani znieść.

Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

Martwiło go wyczerpanie Tima Vailla.

Na studiach medycznych i podczas męczącej rezydentury Lou przywykł do intensywnej nauki i długich dyżurów, nic więc dziwnego, że wciąż czuł się dobrze po pięciu bitych godzinach przeglądania dowodów z magazynu danych i późniejszego powrotu do nagrania Burke'a.

Myślał, że Vaill, mniej więcej w jego wieku, jest podobnie przygotowany, bo przecież miał za sobą mordercze testy w Quantico i godziny spędzone w różnych furgonetkach podczas obserwacji. Ale w tej chwili po prostu wysiadał.

Lou spojrzął na bliźnię na prawej skroni Vailla, zastanawiając się, jak rana i późniejsza operacja mogły wpłynąć na jego wytrzymałość. Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny agent zasnął w fotelu w czasie odtwarzania filmów. Lou pozwoliłby mu odpocząć, tyle że tym razem Vaill zaczął chrapać, co utrudniało mu wsłuchiwanie się w słowa wypowiedane przez Burke'a, choć już na pamięć znał każde i każdy odcień intonacji.

Sprawę pogarszała klimatyzacja – nawet jeśli się ją podkreśliło, w pokoju w Great Southern Inn & Suites było wilgotno i duszno. Lou zajął się składaniem pustych pudełek po pizzy Domino's, zginiataniem puszek po coli i opakowań po słodyczach z motelowych automatów. Gdy wyrzucił śmieci do kosza, trochę się porozciągał, zrobił sto brzuszaków i wreszcie poklepał Vailla po ramieniu. Agent zbudził się z drgnieniem.

– Nic mi nie jest – powiedział, trąc oczy. – Co mnie ominęło?

Lou przyglądał mu się z zadumą.

– Tylko sto powtórek nagrania Alexandra Burke'a. Chcesz zrobić prawdziwą przerwę? Położyć się i zdrzemnąć?

Vaill jeszcze raz potarł powieki i zwilżył usta językiem. Oczy wciąż miał szkliste, więc Lou podał mu napoczętą puszkę ciepłej coli. Vaill wypił duszkiem.

– Nie – rzekł z naciskiem. – Chcę oglądać dalej.

Była to żmudna praca, ale Lou wierzył, że zrobili pewne postępy, chociaż „Eureka!” jeszcze nie krzyknęli. Skupiony na wszystkim, co mówił Burke – na każdym słowie, każdej drobnej zmianie intonacji – spisał całą żarliwą wypowiedź i teraz ją analizował, szukając ukrytych wskazówek, wiadomości w wiadomości.

– Jeśli zostało tu coś zaszyfrowane, dlaczego Lola wam o tym nie

powiedziała, kiedy przekazywała płytę? – zapytał.

– Wewnętrzny konflikt? Może poczucie winy powstrzymało ją od ułatwienia nam zadania.

Lou siedział na rozkładanym fotelu, a Vaill na krześle za biurkiem i znowu oglądali zabójcę – powtórka numer sto jeden. Lou zgniótł jedną z kartek, które dostał w recepcji, i z frustracją wrzucił ją do kosza, gdzie jego strzał został zablokowany wystającym skrajem pudełka po pizzy.

Pomimo ostatniego rozczarowania nadal wierzył, że litery każdego słowa Burke'a zostały użyte do sformułowania nowych, więcej wnoszących zdań. Na razie wychodził mu bełkot. Zgodnie z sugestią Vailla skrupulatnie zaznaczyli każde mrugnięcie zdrajcy, sądząc, że może używał alfabetu Morse'a albo innego szyfru, żeby przekazać Loli, gdzie się znajduje. Jeśli w nagraniu była jakaś ukryta wiadomość, okazała się dla Lou równie nieosiągalna jak szóstka z chemii organicznej.

– W porządku? – spytał Vaill.

– Może trochę przesadziłem z pizzą, ale jest dobrze.

– W takim razie obejrzymy jeszcze raz. Za parę godzin zamówimy chińszczyznę.

Podczas sto piątej powtórki powieki i podbródek Vailla znowu opadły.

– Szczerze, Tim, czas na przerwę – zarządził Lou.

Agent uniósł głowę i Lou w jego oczach zobaczył ogień, który znał z pokoju przesłuchań.

– Nie zamierzam się poddać, ponieważ Burke gdzieś tam jest – powiedział Vaill, stukając długopisem w wizerunek zabójcy. – Ten łajdak zamordował moją żonę, odbiera życie twojemu największemu przyjacielowi i śmieje się z naszych starań, ponieważ jest przekonany, że nigdy go nie złapiemy... chyba że sam podsunie nam taką możliwość, gdy będzie chciał nas zabić.

Siła Vailla przywróciła Lou determinację i już miał ponownie odtworzyć film, kiedy ktoś głośno zapukał do drzwi.

– Cześć, Tim. – Lou natychmiast rozpoznał głos. – To ja, McCall. Otwieraj.

Lou zamarł. Zwykle umiał zachować zimną krew, ale teraz puls skoczył mu jak przerażonemu zającowi. Vaill, przeciwnie, wydawał się niewzruszony.

Dotychczasowe zmęczenie przepadło bez śladu i agent w jednej chwili przystąpił do działania, szybko i skutecznie. Takie sytuacje są jego SOR-em, pomyślał Lou. Jest jak lekarz, który musi się zająć licznymi ofiarami wypadku samochodowego. Agent zupełnie spokojnie przyłożył palec do ust, stopą przesunął kosz na śmieci w kąt, wskazał ręką laptopa i na koniec łazienkę. Niewypowiedziana wiadomość była jasna: możliwe zagrożenie.

Gdy Lou szedł z laptopem do maleńkiej łazienki, zobaczył, że Vaill umiejętnie sprawdza pistolet, a następnie wsuwa go za pasek dżinsów na plecach

i chowa pod koszulką.

– Czego chcesz, Chuck?! – zawołał agent bez urazy. – Nie jest to pora dobra na rozmowy.

– Co tutaj robisz? – zapytał McCall. – Daj spokój, Tim. Wpuść mnie!

Lou zamknął za sobą drzwi łazienki i wrzucił suszące się ubrania do wanny. Wszedł na nie, ugniatając je kolanami, ściskając laptopa i zaciągając foliową zasłonkę. Ciasnota mu przypominała, dlaczego woli kabinę prysznicową, chyba że ma do wyboru dużą wannę jacuzzi.

Starł się zapanować nad oddechem i słuchał, używając wyobraźni i uszu, żeby uzupełnić to, czego nie widział. Było jasne, że Vaill wpuści partnera. Lou wyobraził sobie, jak idzie przez pokój i patrzy przez wizjer. Usłyszał szcęk i ciche skrzypienie nienaoliwionych zawiasów, gdy drzwi się otwierały i zamykały. Chuck McCall, który według Vailla mógł być kretem współpracującym z Burkiem, wszedł do pokoju.

– Bierzesz narkotyki? – spytał McCall.

– Co tu robisz, Chuck? Jak mnie znalazłeś?

– Kiedy nie mogłem się do ciebie dodzwonić, sprawdziłem, czy ktoś używał twojej karty kredytowej albo jednej z naszych fałszywek, i zobaczyłem ruch na koncie Gregga Campbella. Nietrudno cię było wytropić.

– Następnym razem będę ostrożniejszy.

Lou postanowił wyciszyć laptopa, na wypadek gdyby zabrzmiał ton e-maila albo jakiś inny sygnał. Ostrożnie podniósł pokrywę i wyłączył głośnik. Z ekranu patrzyła na niego nieruchoma twarz Burke'a.

Gdzie jesteś? – zapytał go Lou. Dokąd zabrałeś notes?

Zabiłeś Humphreya? Torturowałeś go?

– Do licha, co się z tobą dzieje? – dopytywał McCall. – Gdzie jest Welcome?

– Puściłem go. Zadzwoń do Beth i jej o tym powiedziałem.

– Co zrobiłeś?

– Puściłem go. Myliliśmy się co do niego. Nie jest zamieszany w żaden sposób, o jakim już byśmy nie wiedzieli.

Lou nie miał kłopotu z wyobrażeniem sobie pełnej niedowierzania twarzy partnera Vailla.

– Nie mogłeś tego zrobić.

– Dlaczego nie? Pracuję dla FBI. Przez cały czas podejmujemy takie decyzje.

– Przecież jestem twoim partnerem! Powinieneś podejmować je ze mną.

– Skoro o tym mowa, sądzę, że wezmę kilka tygodni wolnego. Pójdę na urlop zdrowotny. Bóle głowy się pogarszają.

– Tak, a ja myślę o wystawieniu listu gończego za Lou Welcome'em. Nie chce mi się wierzyć, że go puściłeś.

– Nie rób tego, Chuck. Jako twój partner proszę, żebyś dał sobie spokój. Miller i Welcome nie są terrorystami. Lekarz i naukowiec, to wszystko. Są ofiarami Stu Bliźnich, nie ich sprzymierzeńcami. Myślę, że morderstwo w mieszkaniu Millera jest na to wystarczającym dowodem.

Zapadła cisza. Lou błędniał wzrokiem po nieruchomym obrazie. Bez dźwięku czy ruchu mógł się skupić na innych szczegółach – szaroniebieskie niebo ucięte przez szarość morza, cienie na twarzy Burke’a i włosach w kolorze słomy, dywan z trawy rozciągający się od zabójcy do krawędzi urwiska.

Po raz pierwszy od ponad stu powtórek jego wzrok przyciągnęło coś innego. Jak widzowie oglądający występ magika, który odwraca ich uwagę, żeby wykonać sztuczkę, tak Lou zdał sobie sprawę, że nie dostrzegł wcześniej tego obiektu, ponieważ był zbyt skupiony na innych szczegółach – na brzmieniu głosu Burke’a, jego słowach, mruganiu. To nowe odkrycie, zamrożone w tle tuż poniżej linii horyzontu, mogło być prawdziwe, pod warunkiem że nie było wytworem wyobraźni ani skutkiem uszkodzenia płyty w wyniku ciągłego odtwarzania.

– Słuchaj, Tim – odezwał się McCall. – Wiem, że nigdy nie zastąpię Marii, ale to wcale nie znaczy, że nie zależy mi na tobie jako na partnerze i przyjacielu.

– Dobrze wiedzieć. Skoro ci zależy, wyjdź.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– A co z robotą?

– Wezmę trochę wolnego. Już powiadomiłem Snyder. Potrzebuję odpoczynku.

McCall umilkł.

– Jest tak źle?

– Biorę urlop, to wszystko.

– Obiecuj mi, że pójdziesz do lekarza.

– Jeśli ty mi obiecasz, że odczepisz się od Welcome’a.

Lou zaczynały boleć plecy. Rozpaczliwie chciał zmienić pozycję, ale bał się hałasu. Skupił uwagę na obrazie, żeby oderwać myśli od niewygody. Obiekt nie zniknął, ledwie widoczny wśród fal i rozproszonych chmur nad horyzontem.

Może, tylko może...

– Musisz już iść, Chuck – powiedział Vaill. – Proszę. Potrzebuję czasu i miejsca, żeby dojść do siebie. Możesz to dla mnie zrobić?

Młodszy agent głośno wypuścił powietrze.

Lou wyobraził sobie jego zniechęconą minę. Czuł przyśpieszające tętno. Sekundy dzielą McCalla od wyjścia.

– Mogę najpierw skorzystać z łazienki? – zapytał nagle agent.

Lou wstrzymał oddech i zaparł się o brzegi wanny. Mógł tylko trwać w bezruchu i powoli, bezszelestnie oddychać.

– Jasne – odparł Vaill. – Ale potem musisz iść.

Drzwi się otworzyły. McCall wszedł i zamknął je za sobą. Lou zastanawiał się, czy nie zostawił na umywalce czegoś, co zdradziłoby jego obecność. Przyciskał laptopa do piersi jak koło ratunkowe i wbijał oczy w prysznic, gdy agent załatwiał się pół metra dalej.

McCall spuścił wodę i umył ręce, stojąc tak blisko, że dzieliła ich tylko grubość plastikowej zasłonki. Lou wstrzymał oddech. Gładka porcelanowa wanna wydawała się wyłożona pineskami, a wilgotne ubrania były twarde jak kamienie.

Drzwi łazienki otworzyły się i zamknęły.

– Naprawdę się o ciebie martwię, Tim – odezwał się McCall.

– Dzięki, doceniam twoją troskę.

– Jeśli zmienisz zdanie i nie weźmiesz wolnego, zadzwoń.

– Jasne. Niebawem się zobaczymy, Chuck. Nie martw się o mnie, dobrze? Nic mi nie będzie.

Drzwi na korytarz otworzyły się i zamknęły z piskiem i cichym szcęknięciem. Minęły dwie nieskończenie długie minuty, zanim Vaill się odezwał.

– Właśnie odjechał. Nie sądzę, żeby coś podejrzewał, ale musimy pomyśleć o przeniesieniu się gdzieś indziej. Naprawdę zrobiłem cholerną głupotę, płacąc tą kartą, zwłaszcza że mam jedną, o której agencja chyba nie wie.

Lou wygramolił się z wanny, wszedł do pokoju i spiorunował go wzrokiem.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś mu skorzystać z tej cholernej łazienki. Nie mogłeś powiedzieć, że sedes jest zapchany?

– Nie pomyślałem. Następnym razem. Dobrze ci poszło. Masz zadatki na przyzwoitego agenta.

– Tak naprawdę dzięki wizycie twojego partnera być może dokona się przełom.

– Dlaczego?

Lou położył laptopa na biurku.

– Spójrz na to. Ponieważ wyłączyłem dźwięk i zatrzymałem nagranie, po prostu leżałem w wannie i patrzyłem na ekran. Nie chce mi się wierzyć, że za każdym razem to przegapialiśmy. U góry pośrodku.

Vaill przez kilka sekund patrzył na ekran.

– Jezu... – mruknął. – To statek.

– Chyba tankowiec. Wygląda na wielki.

– Niech mnie licho. Nasz analityk też go nie zauważył. Nie wspomniał ani słowem.

Lou kilka razy cofnął nagranie. Tankowiec płynął z prawej strony na lewą, widoczny tuż poniżej linii horyzontu.

– Dobra, coś znaleźliśmy – powiedział Vaill. – Jak to nam pomoże?

– To zależy.

- Od czego?
- Od tego, jak dobry jest wasz analityk w powiększaniu obrazu. Jeśli jest naprawdę dobry, może zdoła zidentyfikować statek.

ROZDZIAŁ 47

Nowy Ład Roosevelta wymaga przeciwnika o równie rozbuchanych aspiracjach, inaczej nie wymusi się jego odwrotu po początkowym marszu naprzód. Pod tym względem Stu Bliźnich będzie potężniejszych niż jakakolwiek armia, ponieważ nasze środki prowadzące do celu nie będą podlegać żadnej z zasad rządzących wojną.

Lancaster R. Hill, korespondencja z Carlem Lagrecą, wrzesień 1936

Vaill i Lou spakowali swoje rzeczy i pojechali do motelu Wendover Suites, osiem kilometrów na wschód od Great Southern. W połowie drogi pogrążony w zadumie Vaill z szacunkiem w oczach spojrzał na swojego pasażera.

– Zdajesz sobie sprawę, co właśnie zrobiłeś? – zapytał.

– Wiem, że zauważyłem coś, czego nie spostrzeżliśmy w ciągu wielu godzin oglądania nagrania. Coś więcej?

– Zdumiewające jest to, mi amigo, że nie tylko nam to umknęło.

– Masz na myśli analityka?

– Nie byle jakiego analityka. Pokonałeś samego Pałkarza.

Lou ściągnął brwi.

– Kogo?

– Pamiętasz, jak mówiłem, że nagranie zostało umieszczone w magazynie jako dowód i dokładnie przeanalizowane przez jednego z naszych najlepszych ludzi? Naszego najlepszego człowieka?

– Pamiętam, jak mówiłeś o analityku, ale nie przypominam sobie żadnego pałkarza.

– Itsuki Sakura – powiedział Vaill. – Nie jakiś pałkarz. Pałkarz przez wielkie P.

– Wciąż niewiele mi to mówi.

– To przydomek tego faceta. Sakura grał w japońskiej drugiej lidze krótko przed przeprowadzką do Stanów i stał się legendą w Biurze. Jest fanem baseballu i to nie byle jakim. To chodząca encyklopedia amerykańskich i japońskich ciekawostek, faktów i statystyk baseballowych. Jest nadzwyczajnym analitykiem danych, ale czasami ludzie szukają u niego pomocy dopiero w ostateczności, ponieważ bywa ciut... Jak to ująć? Męczący, ponieważ miewa problemy ze skupieniem uwagi. Kiedy jest sam i nic go nie rozprasza, potrafi dostrzec najmniejszy szczegół.

– Pałkarz. Podoba mi się – rzucił Lou.

– Ciekawe, czy powiesz mi to samo, gdy go poznasz. Tak czy siak, Pałkarz obejrzał wideo, ale nie dostrzegł niczego wartościowego.

– Mnie jednak dopisało szczęście.

Vaill zbył te słowa ruchem ręki.

– Nic takiego. W Biurze się uczysz, że szczęściu trzeba pomagać. Tym razem FBI nie zdało egzaminu i kiedy Pałkarz jeszcze raz obejrzy nagranie, pierwszy się z tym zgodzi.

– Nie był przygotowany na wypatrywanie statku, to wszystko. Sami obejrzelśmy nagranie ponad sto razy.

Będąc zagorzałym fanem drużyny Washington Nationals, dwa czy trzy razy w roku zabierającym córkę na mecze, Lou czuł potrzebę obrony honoru Pałkarza.

– Mów, co chcesz – odparł Vaill – ale rozumiem, o co ci chodzi. Kiedyś mieliśmy w Quantico wykład poświęcony umiejętności obserwacji i uwadze selektywnej. Puścili nam film, na którym sześć stojących w kręgu osób rzucało sobie piłkę do koszykówki. Kazano nam policzyć, ile razy piłka przejdzie z rąk do rąk. Jedni podali właściwą odpowiedź, inni nie. Potem instruktor zapytał, kto widział goryla. Nikt nie podniósł ręki. Kiedy ponownie odtworzył nagranie, zobaczyliśmy faceta, który przebrany za małpę wszedł do środka kręgu w trakcie przekazywania piłki, zatańczył i odszedł. Byliśmy tak skupieni na liczeniu rzutów, że nikt nie zauważył małpy.

– Świetny przykład. Dokładnie tak było z nami, i prawdopodobnie z Pałkarzem. Byliśmy do tego stopnia skoncentrowani na tym, co robi i mówi Burke, że nie dostrzegaliśmy goryla płynącego w tle. Na studiach medycznych, gdy odczytujemy zdjęcie rentgenowskie, powiedzmy, klatki piersiowej pacjenta z zapaleniem płuc, uczy się nas, żeby najpierw sprawdzać wszystko z wyjątkiem płuc, ponieważ skupienie uwagi na głównym obiekcie może spowodować przeoczenie zmian w sercu albo złamanego żebra.

Po dwudziestu minutach względnie spokojnej jazdy kupili chińskie dania na wynos za czterdzieści dolarów i zameldowali się w Wendover Suites, motelu o standardzie odrobinę niższym niż w Great Southern.

Zaraz po wejściu do pokoju Vaill zadzwonił do biura Itsukiego Sakury w San Diego, żeby przekazać mu instrukcje. Lou słyszał tylko strzępy rozmowy, lecz wiedział, że analityk nie był ani trochę zadowolony ze swoich wyników. Przez kilka godzin jedli, odpoczywali, wymieniali się opowieściami o swoim życiu i czekali na wiadomość od Pałkarza, tym razem na Skypie.

Chińszczyzna okazała się całkiem przyzwoita, ale dla Lou rozmowa z Vaillem była jeszcze lepsza. Jak należało się spodziewać, większość z tego, co mówił, prowadziła do Marii. Za każdym razem jego oczy robiły się przymglone, a ból głowy stał się trzecim obecnym w pokoju. Lou zaczął się zastanawiać, czy kiedyś poczuje coś takiego do innej kobiety niż Renee. Opowiedział Vaillowi o nieprzemijającej miłości do swojej eks, obecnie zameżnej eks, o krótkim związku z przebojową prawniczką Sarah Cooper, a nawet o coraz większym pociągu do

Vicki Banks. Czy kiedyś pokocha kobietę tak, jak Vaill kochał Marię? Doszli do wniosku, że nie da się tego rozstrzygnąć.

Poderwał ich dzwonek Skype'a. Vaill podbiegł do komputera i po kilku sekundach Lou został przedstawiony Itsukiemu Sakurze alias Pałkarzowi. Lou był zaskoczony młodym wyglądem analityka, bo wyobrażał sobie chudego, pomarszczonego mężczyznę o mądrych oczach. Pałkarz miał strzechę ciemnych, zmierzwionych włosów, okulary w złotych oprawkach, drobny nos i delikatne usta. Ubrany w białą koszulę z czarnym krawatem, bardziej przypominał studenta niż doświadczonego analityka FBI.

Siedząc na rozkładanym fotelu, Lou przysunął się bliżej Vailla, żeby obaj byli widoczni przez kamerę. Kiedy zajęli miejsca, Pałkarz pokazał im uniesione kciuki.

– Jesteś bystrym facetem, skoro to zobaczyłeś – powiedział.

Vaill wspomniał, że Sakura dostał obywatelstwo zaledwie dziesięć lat temu.

– Dopisało mi szczęście – odparł Lou.

– Wiesz, kto uważał się za człowieka mającego największego farta na Ziemi?

Vaill pochylił się, na chwilę zasłaniając Lou widok.

– Pałkarz, musimy się skupić.

– Lou Gehrig, oto kto. – Pałkarz sam odpowiedział na swoje pytanie. –

Powiedział to, gdy żegnał się z baseballlem. Ale tak naprawdę nigdy nie zostawił gry. Wciąż jest jednym z najbardziej uwielbianych graczy wszech czasów. Może faktycznie miał szczęście, jak ty, ale to nie umniejsza ani twojego, ani jego dokonań.

Lou natychmiast polubił tego człowieka. W ciągu lat pracy w medycynie akademickiej miał do czynienia z wieloma osobami o ego wielkości nosorożca i nauczył się doceniać tych, którzy nie czuli się zagrożeni przez konkurencję i potrafili pracować w zespole.

– Świetnie, Pałkarzu – pochwalił Vaill. – A teraz mów, co dla nas masz.

– Lou Welcome? Tak się nazywasz? Welcome?

– Zgadza się – przytaknął Lou.

– Dobrze. Dobrze. Nie jesteś spokrewniony z Welcome'em Gastonem?

Może prawnuk?

– Z kim?

– Miotał dla Brooklyn Bridegrooms od tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego do dziewięćdziesiątego dziewiątego. To przodkowie Brooklyn Dodgers. Założę się, że nie wiedziałeś!

– Teraz wiem. Co za perełka.

– Pałkarz, nagranie!

– Tak. Jest bardzo dobrej jakości. Przepraszam, że tak kiepsko się sprawiłem.

Teraz, gdy wiemy, że jest tam statek, łatwo go powiększyć i odczytać numer IMO.

– IMO? – zapytał Lou.

– IMO, Międzynarodowej Organizacji Morskiej. Każdy statek ma przypisany numer. Dzięki temu można dojść do armatora. Statek z nagrania należy do Exceed Maritime, z siedzibą w New Haven, Connecticut. To MT Sustinet.

– Brawo! – krzyknął Vaill, a Lou energicznie pokiwał głową.

– Przez przeoczenie statku wciąż czuję się jak Bobby Richardson.

– Jak kto? – spytał Vaill.

– Bobby Richardson – odpowiedział Lou. – Drugi bazowy Yankees. Jedyny zawodnik, który zdobył nagrodę MVP, grając dla przegrywającej drużyny.

– Bardzo dobrze, Lou Welcome! Pamiętasz Billa Mazeroskiego? W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym zdobył decydującego home runa, zapewniając Pirates zwycięstwo w World Series. Wielki, wielki szok. Ale Richardson zaliczył trzysta sześćdziesiąt siedem uderzeń z dwunastoma RBI. Zdobyl też grand slama.

– Pałkarz, możemy wrócić do nagrania? – poprosił Vaill. – Możesz zlokalizować to miejsce?

Młody człowiek się uśmiechnął.

– Nagranie umożliwia zaliczenie drugiej bazy. Nie home run.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Lou, już oswojony z baseballowym żargonem analityka.

– Znam porę dnia dzięki pozycji słońca i cieniom. Nagranie zrobiono około pierwszej po południu.

Ważna informacja. Znając godzinę, będą mogli skontaktować się z armatorem i na podstawie dzienników pokładowych określić, gdzie statek był o trzynastej. Następnie, posługując się mapami, zlokalizują miejsce, gdzie Burke nagrał film.

– Wciąż jest problem. Wprowadzcie dane pozwalają na zdobycie trzeciej bazy, ale nadal brakuje kluczowego elementu.

– Jakiego? – zapytał Vaill.

– Jaki to był dzień – odparł Pałkarz. – Znamy godzinę, około trzynastej, lecz nie znamy dnia. Położenie słońca zależy od miejsca i daty. Poza tym statek ma wiele dzienników. Musimy znać dzień, przynajmniej w przybliżeniu, żeby równanie się zgadzało.

Entuzjazm Lou przygasł.

– Lou Welcome! – krzyknął Pałkarz. – Masz taką minę, jakbyś został wyautowany przy trzech zajętych bazach. Nie ma obawy. Wrócimy jak Cleveland pokonujący Seattle w siódmym inningu. Może być?

Lou, którego ojciec mógłby konkurować z Pałkarzem pod względem znajomości tej dyscypliny, natychmiast zrozumiał nawiązanie do jednego z największych comebacków w historii baseballu. W 2001 roku drużyna Cleveland

Indians przegrywała z Seattle Mariners czternaście do dwóch, ale wróciła do gry, żeby wygrać piętnaście do czternastu w jedenastu inningach.

– Wybacz, Pałkarzu, ale statek był moim ostatnim rzutem. Nie jestem pewien, czy mogę tu być Johnem Rockerem.

Pałkarz błysnął promiennym uśmiechem.

– Rocker! Tak, dobrze! Wariat, ale cholernie dobry miotacz. John Rocker wygrał grę. Piekierne szczęście! Ale nie był ani leśnikiem, ani analitykiem danych.

– Co rozumiesz przez leśnika? – zapytał Vaill.

– Zwróćcie uwagę na listowie w tle – powiedział Pałkarz. – Leśnicy nazywają to pełnią sezonu, gdy jesienne kolory są najintensywniejsze. Spytałem eksperta i to potwierdził.

– Ale to nam nie powie, gdzie była ta pełnia – zaznaczył Lou.

– Na podstawie słońca i drzew wiemy, że to wschodnie wybrzeże. Zadzwoiłem do specja od roślin i podesłałem mu zrzuty ekranu. Żadnych rewelacji. Mieszanka drzew liściastych i iglastych: świerk srebrny, sosna zachodnia, klon, cedr i drzewo balsamowe, co może wskazywać na Downeast Maine albo hrabstwo Washington z Calais, pierwszym miastem w Stanach, gdzie wschodzi słońce. Wiedziałeś o tym, Lou Welcome?

– Nie, nie wiedziałem. Zdumiewająca robota, Pałkarzu.

– Jak Teddy Ballgame Williams, ostatni człowiek, który zaliczył czterysta uderzeń w sezonie. Czterysta sześć dla Red Sox w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Ale będzie lepiej, Lou Welcome. Pełnia jesieni w Downeast Maine zależy od letniej pogody, ale ponieważ na wybrzeżu klimat jest cieplejszy i nie ma zabójczych przymrozków, w hrabstwie Washington trwa mniej więcej od czternastego do dwudziestego piątego października.

– Co oznacza, że można sprawdzić w Exceed Maritime, gdzie w tym czasie był MT Sustinet – powiedział Vaill.

Pałkarz pokiwał głową, doceniając przenikliwość agenta.

– Ścisłej mówiąc, zadzwoniłem i zapytałem, czy statek był w odległości kilometra od wybrzeża hrabstwa Washington o godzinie trzynastej w dniach pomiędzy czternastym i dwudziestym piątym października.

Lou zaschło w ustach.

– I?

– I był – Pałkarz odparł tak rzeczowo, jakby odhaczał pierwszą pozycję na liście zakupów spożywczych. – Dwudziestego października. Określiłem miejsce na podstawie współrzędnych statku. Więc wiem, gdzie zostało zrobione nagranie, ale nie wykombinowałbym tego bez pomocy Lou Welcome’a.

– Itsuki, nie wolno nikomu o tym mówić – przykazał Vaill z naciskiem. – Proszę, to wysoce poufne.

– Rozumiem.

– Gdzie? – zapytał Lou. – Gdzie to nagrał?

– Według mapy i innych źródeł, film nagrano na terenie prywatnej posiadłości, w wielkiej rezydencji zwanej Red Cliff. Tu są ładne zdjęcia z Google Earth i jednego z naszych satelitów.

Lou i Vaill spojrzeli najpierw na jedno, potem na drugie zdjęcie czegoś, co wyglądało na wielki średniowieczny zamek z fosą, stojący na szczycie urwiska nad oceanem.

– Home run – powiedzieli prawie jednocześnie.

ROZDZIAŁ 48

W pewnym momencie, gwarantuję to, osoby nadzorujące finanse opieki społecznej wydadzą raport informujący Amerykanów, że fundusz jest bankrutem.

Lancaster R. Hill, wykład na Uniwersytecie Duke'a, Karolina Północna, 21 maja 1947

Elektronicznie zniekształcone twarze siedmiu Bliźnich zamigotały na ekranach wypełniających jedną ścianę imponującego gabinetu Bacona. Finansista, B-38, był zarumieniony z podniecenia, przy czym jego stan miał niewiele wspólnego ze szklanką dwudziestoletniego glenlivet. Zwycięstwo znów było w zasięgu ręki. Wciągnął nosem aromat szkockiej i wypił łyżeczek, większy niż zwykle, rozkoszując się dymnym posmakiem. Zostało wiele gór do zdobycia, wiele przeszkód do pokonania, ale z każdą godziną, z każdym strzępem informacji czuł się coraz bardziej pewny siebie. Prezes Stowarzyszenia Stu Bliźnich uznał, że nadszedł czas na podzielenie się najnowszymi wiadomościami o projekcie Janus z członkami rady.

Co więcej, dobrymi wiadomościami.

– Jesteśmy wszyscy, B-80 – powiedział. – Proszę przekazać najświeższe informacje na temat badań.

Chirurg akademicki doktor Carlton Reeves, znany Baconowi z nazwiska, ale innym tylko jako B-80, był koordynatorem projektu Janus. To on początkowo prowadził badania nad bakteriami odkrytymi przez B-71, on dostrzegł związane z nimi możliwości i stworzył komisję doradczą składającą się z kilku członków stowarzyszenia, mających doświadczenie mogące pomóc w realizacji planów. Bacon zaaprobował doradców, wybranych na podstawie osiągnięć i zdolności, i podporządkował ich B-80.

Teraz postukał w klawiaturę i wysłał zniekształcony wizerunek lekarza reszcie rady. Oprócz niego każdy znał Reevesa tylko z numeru, chyba że ich ścieżki przypadkiem się skrzyżowały. Tak było od czasu powstania organizacji.

Dochowanie tajemnicy i dyskrecja, napisał Lancaster Hill w 1939 roku, są dla każdego taktycznego ruchu rewolucyjnego ważniejsze niż liczebność.

– Witam wszystkich – odezwał się B-80. – Z powodu nieprzewidywalnej mutacji szczepu Janus rządowe wysiłki mające na celu opracowanie skutecznej terapii antybiotykowej okazują się bezowocne. Obserwujemy w szpitalach wzrost liczby zakażeń spowodowanych przez bakterie, które media nazwały Mikrobem Sądnego Dnia. Obecne wcielenie Janusa znacznie się różni od mikroba odkrytego przez naszego naukowca, B-71. Popraw mnie, B-9, jeśli się mylę, ale jest jasne, że

nasze wcześniejsze oceny tempa szerzenia się zakażenia były zaniżone, naprawdę bardzo zaniżone.

Bacon zapamiętał, żeby wrócić jeszcze do B-9, stratega analityczki, która, zgodnie z zasadami, kilka lat temu, kiedy została przyjęta do stowarzyszenia, otrzymała numer zmarłego poprzednika. Nawet bez jej potwierdzenia wszyscy w radzie wiedzieli, że B-80 ma rację. Ale Bacon najpierw chciał wysłuchać raportu na temat reakcji rządu na coraz większą liczbę zakażeń i tego, czy rządowi naukowcy już wywnioskowali, że leczenie gwarantowane przez stowarzyszenie przestało być skuteczne.

– B-44, możesz przedstawić informacje o rządowych wysiłkach walki z Janusem? – zapytał.

Ekran zamigotał i pojawił się na nim zniekształcony wizerunek B-44. Starszy senator z Rhode Island nie tylko pośredniczył w zakulisowych rozmowach o zakończeniu ataków Janusem, ale także odgrywał kluczową rolę w kontaktach z prezydentem oraz sekretarz Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej.

– Jak wiecie, Waszyngton powołał globalną radę – powiedział B-44 – złożoną z naukowców różnych dyscyplin, ale jak dotąd nikt nie jest zadowolony z postępów. Dobra wiadomość jest taka, że odkąd pracuje dla nas doktor Kazimi, działania rządu są koordynowane przez CDC, dzięki czemu B-71 może rozmyślnie wprowadzać radę w błąd, gdy zachodzi taka potrzeba. Jesteśmy przekonani, że możemy kontynuować ten sabotaż bez ryzyka ujawnienia, że B-71 współpracuje z nami.

– Wątpię, czy te wysiłki będą konieczne, kiedy zostaną zlikwidowane programy pomocowe – wtrącił się B-26, specjalista od psychologii mas. – Gdy przestanie działać system opieki społecznej i ubezpieczeń zdrowotnych dla osób starszych i tych o najniższych dochodach, nastąpi mnóstwo zmian. Tę teorię potwierdziły moje badania, a także dowody dostarczone przez kilku czołowych ekonomistów. Oczywiście dojdzie do zamieszek, ale Amerykanie natychmiast odczują ulgę podatkową i niedługo później będą świadkami ogromnego zmniejszenia deficytu. Nasza gospodarka zostanie odciążona, co zaowocuje wyższym poziomem zatrudnienia i szybko rosnącym produktem narodowym brutto. Nasz kraj znów będzie silny i kiedy świadczenia odejdą w niebyt, nie minie wiele czasu, a wszyscy się o tym przekonają. Innymi słowy, Janus przestanie być nam potrzebny. Obywatele zaczną żądać coraz mniejszego ingerowania rządu w ich codzienne życie. Ujrzą i zrozumieją pasożytniczą naturę Waszyngtonu, nakładającego na nas wszystkie podatki, żeby troszczyć się o tych, którzy odmawiają troszczenia się o samych siebie.

– Tak, to prawda – potwierdził Bacon. – Zbyt długo byliśmy zakuci w łańcuchy strachu. Wiemy, co jest konieczne, ale jak narkoman nie możemy się uwolnić od tego, co nam szkodzi. Celem naszego stowarzyszenia jest, i zawsze

było, przecięcie kajdan łączących nas z tym nieudolnym systemem i zdjęcie społeczeństwu klapek z oczu, żeby wszyscy w końcu mogli ujrzeć prawdę.

– Jeśli B-26 się nie myli – dodał B-80 – musimy spowalniać działania rządu tylko do czasu, aż zostaną wprowadzone nowe prawa. Ale bez leczenia antybakteryjnego nic nie jest pewne. Nie mamy przewagi. Wisi nad nami widmo grożącej krajowi pandemii.

Bacon się uśmiechał.

– Nasz Bliźni w CDC jest jednym z najgenialniejszych umysłów w dziedzinie mikrobiologii – oznajmił. – Zapewniono mnie, że teoria bakteriofagów zaproponowana przez Humphreya Millera nie tylko sprawdzi się w praktyce, ale, co więcej, członkowie nowo powstałej globalnej rady są dalecy od wzięcia pod rozwagę trzech typów fagów potrzebnych do leczenia. Dzięki zabiegom numeru B-45 nikt inny nie posiada tych informacji. Żaden z was nie miał okazji poznać najnowszego nabytku naszego laboratorium, więc chciałbym pokazać wszystkim pana Humphreya Millera przy pracy. Proszę nie zwracać uwagi na jego wygląd ani brak akademickich referencji. B-71, a także doktor Kazimi zapewniają, że jest błyskotliwym naukowcem, który od jakiegoś czasu nieszablonowo rozmyślał nad dręczącym wszystkich wyzwaniem.

Bacon pstryknął przełącznik i pośrodku ekranu każdego członka rady ukazało się wewnątrz imponująco wyposażonego laboratorium. Ahmed Kazimi i Humphrey Miller, obydwaj w dobrych nastrojach, rozmawiali w trakcie mieszania pożywki agarowej dla kultur tkankowych, odnosząc się do siebie z sympatią.

– Jak widzicie – kontynuował Bacon – ci ludzie są na dobrej drodze do odzyskania kontroli nad szczepem Janus, co zapewni nam przewagę, jakiej potrzebujemy dla odniesienia spektakularnego zwycięstwa. Byłem i jestem nadzwyczaj pewny naszego sukcesu i wiem, że podzielacie moje odczucia. Wprawdzie nie mamy jeszcze opracowanej terapii antybiotykowej, ale mogę was zapewnić, że wszystkie elementy układanki są na swoich miejscach.

– Jaki jest obecnie status B-71? – zapytał B-80.

– Kilka godzin temu przybył do Red Cliff z kulturami tkankowymi trzech typów bakteriofagów, które zostaną wykorzystane do przywrócenia kontroli nad szczepem Janus. Wirusy niedawno przekazano Kazimiu i Millerowi, którzy, jak widzicie, razem pracują nad przygotowaniem fagów do decydującego ataku na Janusa. Może już jutro albo pojutrze będziemy mieli nowy skuteczny środek antybakteryjny.

– Ale ilu zakażonych może umrzeć do czasu wprowadzenia leku? – chciała wiedzieć B-97, inżynier mechanik i matematyczny geniusz z MIT.

Jej zatroskanie było wyraźne pomimo zniekształcenia głosu.

B-9 jak zwykle miała dane w pogotowiu.

– Przewidujemy, że od momentu udoskonalenia terapii do odwołania

programów pomocowych upłynie niespełna sześć miesięcy. Biorąc pod uwagę mutację i szybkość rozprzestrzeniania się bakterii, szacujemy, że w tym czasie umrze pięć tysięcy ludzi. Zaznaczam, że przewidywana liczba może być zaniżona.

– Pięć tysięcy? – powtórzyła B-97. – Dużo. Czy możemy coś zrobić, żeby obniżyć tę liczbę?

Bacon ostro zareagował.

– Nie powinniśmy nic robić i nic nie zrobimy, dopóki programy pomocowe nie zostaną zlikwidowane. – Trzasnął czubkiem łaski w kamienną podłogę, jakby stawiał wykrzyknik. – Lancaster Hill wyraził to najlepiej: „Wolności nie można zdobyć bez poświęcenia, a z poświęceniem wiąże się cierpienie. Zostanie przelana krew, lecz cierpienie jednostek w końcu ocali ogół – to ból, jaki jesteśmy zobowiązani znieść”.

Zapadła cisza. Większość, jak Bacon, mogła z pamięci cytować wiekopomny traktat Hilla, lecz wyrecytowanie fragmentu przez człowieka rangi Bacona przykuwało uwagę i robiło niemałe wrażenie. Było wezwaniem do działania i potwierdzeniem przysięgi, którą złożył każdy Bliźni.

– Rozumiem twoje obawy, B-97, naprawdę – powiedział Bacon. – Sytuacja jest godna ubolewania, ale w żaden sposób nie powinna wpłynąć na podejmowane przez nas działania. Nigdy nie liczyłem, że nasz projekt nie będzie miał minusów, należy jednak pamiętać, że to kolosalne przedsięwzięcie, które zmieni oblicze tego kraju i spełni marzenia jego założycieli.

– Pozwolę sobie przypomnieć – odezwała się B-9 – że trzydzieści procent ubezpieczeń zdrowotnych jest przeznaczane na pokrycie kosztów opieki nad ludźmi w ciągu ich ostatniego roku życia, a czterdzieści procent tej sumy na opiekę w ciągu ostatniego miesiąca. Ostatniego miesiąca życia! Nasz kraj ma wysoki deficyt budżetowy, a programy pomocowe zabijają nas równie skutecznie jak nowotwór z przerzutami.

W tej chwili drzwi gabinetu Bacona cicho się otworzyły i wszedł kamerdyner Harris. Był jednym z kilku pracowników Red Cliff, którzy nie należeli do Stowarzyszenia Stu Bliźnich. Twarze na ekranach były zniekształcone między innymi po to, żeby ukryć je przed niepowołanymi osobami.

Harris wyszeptał kilka słów do ucha Bacona. Prezes skinął głową, potem niezdarnie wstał, krzywiąc się z powodu sztywności w zdeformowanej stopie.

– Przyjaciele – odezwał się – muszę na chwilę was przeprosić. B-9, nie stracimy czasu, jeśli przekażesz grupie informacje, którymi wcześniej podzieliłaś się ze mną.

Bacon wyszedł za kamerdynerem z gabinetu do sąsiedniego pokoju, który pierwotnie pełnił funkcję kwatery garnizonu, a obecnie służył jako aneks biblioteczny. Przed jednym z okien sięgających od sufitu do podłogi stał mężczyzna o surowych rysach, mający kozią bródkę i ogoloną głowę. Nazywał się

Ron Jessup i był odpowiedzialny za ochronę i monitorowanie Red Cliff. Został wynajęty ze względu na zdolności techniczne, ale był również doświadczonym snajperem i ekspertem w posługiwaniu się większością rodzajów broni.

– Nasz radar wyłapał łódź płynącą wzdłuż wybrzeża z południa – zameldował spokojnym, pewnym głosem. – Przyjrzałem się jej z Collinsem. Mała, może rybacka. Jakies pół kilometra stąd. Prosił pan, żeby powiadamiać o możliwym zagrożeniu, więc chciałem od razu to zgłosić.

– Słusznie, Ronnie – powiedział Bacon. – Wyślij Collinsa, żeby miał na nią oko, i informuj mnie o rozwoju sytuacji.

Jessup wyszedł z Harrisem, a Bacon spojrział przez okno na ciemniejące niebo. Z zachodu napływały szare chmury, niesione wiatrem na tyle silnym, że uginał czubki drzew. Bacon przypuszczał, że grzywacze mają ze dwa metry wysokości. Nie były to warunki odpowiednie do żeglowania dla przyjemności, a zawodowi rybacy rzadko trzymali się blisko linii brzegowej. Jednak mógł to być kuter łowiący kraby albo homary.

Istniała taka możliwość.

Ale Bacon należał do ludzi, którzy nie bardzo wierzą w przypadki.

ROZDZIAŁ 49

Skąd pochodzą pieniądze?

Lancaster R. Hill, korespondencja z Ayn Rand, 1939

Wirująca mgła spowijała imponujące urwisko.

Ze skalistych płycizn Lou widział może na półtora metra w każdym kierunku, również w górę. Brnąc w głębokiej do kostek, lodowatej wodzie, z trampkami w ręce, wyszedł na brzeg. Skały były śliskie i wspinaczka zapowiadała się koszmarne. Usiadł na głazie u podnóża klifu, żeby włożyć trampki. Chwilę później Vaill usadowił się obok niego i zrobił to samo.

Razem polecili samolotem z Atlanty do Portlandu, a stamtąd małym odrzutowcem na regionalne lotnisko niedaleko kanadyjskiej granicy, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od wybrzeża. Po gorączkowych przygotowaniach Lou udało się przespać tylko kilka godzin podczas piętnastogodzinnej podróży z Atlanty do tego odległego miejsca na wybrzeżu Maine. Martwił się, że zmęczenie może mu przeszkadzać we wspinaczce. W przeciwieństwie do niego Vaill tryskał energią. Lou nie miał wątpliwości dlaczego. Prawie na pewno Alexander Burke był w pobliżu.

Z lotniska pojechali taksówką do urokliwej wioski portowej Mount William, niegdyś ludnej, z kamieniołomami, w których wydobywano granit, młynami wodnymi i zakładami przetwórczymi. Z czasem wszystkie te przedsięwzięcia zakończyły działalność i rybołówstwo stało się jednym z niewielu sposobów zarabiania na życie. Coraz mniejsze połowy i zastrzające się przepisy rządowe sprawiły, że Vaill i Lou bez problemów wynajęli kuter do połowu homarów wraz z doświadczonym szyprem, żeby ich przewiózł na ten odludny odcinek plaży, pół kilometra od zamku. Przez większość czteroipółgodzinnej podróży mgła całkowicie przysłaniała wyjątkowo wzburzone morze i bryzgała na nich lodowata woda. Na szczęście dopiero zaczął się odpływ i rybakowi udało się podплыnąć bardzo blisko skalistego brzegu.

– Na Google Earth nie wyglądało tak stromo – zauważył Vaill, gdy spojrzeli w górę, szukając najłatwiejszego podejścia.

– Nie powinniśmy podплыnąć bliżej Red Cliff?

– Urwisko na tym odcinku jest mniej strome niż przy zamku. Potrzebowalibyśmy prawdziwego sprzętu wspinaczkowego, żeby się na nie dostać. Poza tym na południe od posiadłości rosną lasy, które mogą nam zapewnić osłonę.

W samolocie z Atlanty przestudiowali nie tylko mapy wybrzeża, ale też, dzięki Pałkarzowi, plany budynków wraz z kompletną historią Red Cliff. Dowiedzieli się o ekscentrycznym wynalazcy, który nadzorował pieczołowitą,

przeprowadzoną kamień po kamieniu rekonstrukcję zamku sprowadzonego z Niemiec.

Po uważnym przejrzeniu planów Vaill zasugerował, że najlepiej będzie wspiąć się na południe od zamku, a następnie okrążyć go i podejść od północnej strony, gdzie nie było okien. Jeśli mogli wierzyć znalezionym przez Pałkarza planom – spłowiałym i trudnym do odczytania – materiał wybuchowy C-4, który Vaill zabrał z arsenału FBI, pomoże im otworzyć drzwi w miejscu, gdzie nigdy ich nie było. Vaill miał w plecaku zwój liny, szwajcarski nóż oficerski, zapasowy pistolet, kilka batonów energetycznych, latarkę, butelkę gatorade'a i dwa radia, na wypadek gdyby musieli się rozdzielić.

– Sprawdź, czy pistolet jest w kaburze, a kabura porządnie zapięta.

Po dyskusji z Vailem Lou zgodził się wziąć od niego broń. Zdjął plecak i wiatrówkę, żeby jeszcze raz sprawdzić nylonowe szelki, które pozwalały na poziome noszenie glocka G27.

– Jeśli wpadnę w tarapaty, będę liczyć, że mnie uratujesz – powiedział Vaill.

– Wystarczy wycelować i strzelić.

Zacieśniając paski, Lou znów zobaczył w wyobraźni Chrupa biegnącego obok niego w lesie. Jego umysł zaczął jak zwykle przywoływać wspomnienia upadku przyjaciela i przede wszystkim widok jego oczu.

Proszę, trzymaj się... proszę!

Będę cię ubezpieczać, Tim, myślał Lou, gdy drugi raz sprawdzał zatrzaski kabury. Będę.

Stanęli ramię w ramię u stóp klifu, próbując wzrokiem przebić mgłę. Jeśli niebo się przetrze, nie będzie się dało podejść tak, żeby ich nie zauważyli. Jeszcze w samolocie Vaill szorstko odrzucił propozycję Lou, żeby wezwać wsparcie. Nie dość, że w Biurze mógł być kret, to właściciel takiej posiadłości jak Red Cliff mógł mieć w kieszeni pobliskie miasteczko.

Pozostało im tylko jedno. Wspiąć się na klif.

– Od czasu do czasu wspinałem się z Marią – powiedział Vaill. – Boże, była w tym dobra. Idź za mną i nie odchylaj się od ściany. Gdy się zmęczysz, klepnij mnie w nogę i odpocznij. Jeśli nie sięgniesz do nogi, po prostu zrób sobie przerwę. Rozumiesz?

W tej chwili uderzył w nich silny podmuch i Lou zapiekły oczy od rozpylonej morskiej wody.

– Rozumiem – mruknął, próbując wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.

Vaill wyciągnął ręce do góry i macał obłuzowane kamienie oraz poszarpane skały, aż znalazł odpowiedni chwyt. Po chwili jego stopy znalazły się pół metra nad ziemią, a niedługo później wysoko nad głową Lou. Agent zniknął we mgle.

Nadeszła jego kolej. Przywierając do ściany, znalazł palcami szczelinę, wsunął stopę w załom śliskiej skały i podciągnął się jak Vaill.

Jedno odepchnięcie... jedno podciągnięcie...

Gdy podciągnął się o następne kilkanaście centymetrów, w dole rozbiła się kolejna fala, mocząc kamienie i jego ubranie. Ręce stały się zimne i mokre. Zaczął drzeć.

Jeszcze jedno odepchnięcie... jeszcze jedno podciągnięcie...

Nad głową dostrzegł buty Vailla. Oczy szczypały od słonego pyłu wodnego, ale zaryzykował spojrzenie w dół. Ocean zniknął, nad głową zaś wisiała gęsta mgła. Czuł się jak w samolocie przebijającym się przez gęste chmury. Na szczęście, zgodnie z tym, co powiedział Vaill po obejrzeniu zdjęć, skalna ściana okazała się mniej stroma, niż się wydawało. Im więcej czasu spędzali razem, tym bardziej Lou podziwiał tego człowieka i jego umiejętności. Zmusił się, żeby widzieć przynajmniej jego buty, i wspinał się za nim.

Niebawem zdrętwiały mu czubki palców, a płonące igły zaczęły się wbijać w ramiona. Nagle z góry posypał się grad kamyków, który pokaleczył mu twarz. Nawet wysoko nad oceanem skały były śliskie i w każdej chwili wspinaczka mogła się skończyć upadkiem. Z najwyższym trudem znajdował w miarę solidne oparcie dla nóg i rąk, ale przecież nie mógł się zatrzymać w połowie drogi.

Wspinaj się... po prostu się wspinaj.

Pokonał następne dwa, a może cztery metry. Nie był w stanie powiedzieć, jak wysoko się znajduje ani czy Vaill spogląda na niego z góry.

Jedna ręka... druga ręka... spokojnie... spokojnie... urwisko ma koniec... krwawienie w końcu ustanie. Niezawodna formuła na SOR-ze: Krwawienie w końcu ustanie...

Kolejny niespodziewany podmuch o mało nie oderwał go od ściany, ale Lou drapał palcami skałę, aż w końcu znalazł wąziutką szczelinę. Już miał się podciągnąć, gdy nagle zobaczył wyłaniającą się z mgły podeszwę buta Vailla.

Dlaczego przerwał wspinaczkę?

Vaill zgiął się w pasie i Lou dostrzegł jego twarz przez mgłę. Agent przyłożył palec do ust, a potem wskazał w górę. Lou usłyszał płynący stamtąd radiowy szum i chropowaty głos.

– Tu Collins. Jestem w pobliżu.

– Widzisz łódź? – Głos z radia brzmiał całkiem wyraźnie.

– Daj spokój, nie widzę nawet oceanu. Mgła jest cholernie gęsta.

– Zejdź na dół i sprawdź. Straciliśmy ją z ekranu.

– A co ja, kurwa, jestem? Kozica? Nie zejść, nie ma mowy.

Lou wstrzymał oddech, ignorując przenikliwy ból w palcach. Ręce mu się trzęsły, gdy kurczowo przywierał do ściany.

Nie odzywaj się... nie oddychaj...

Po minucie pulsowanie w ramionach stało się nie do zniesienia. Kiedy zmieniał chwyt, ześliznęła mu się noga. Kamień zagrzechotał, odbijając się od

ściany.

– Zaczekaj – powiedział mężczyzna na górze. – Właśnie coś usłyszałem. Sprawdź, co się święci.

Radio zatrzeszczało.

– Jeśli kogoś zobaczysz – pouczył rozmówca – dowiedz cię, co tam robi. Jeśli odpowiedź będzie miała sens, zabij skurwiela. Jeśli nie, wpakuj mu kulkę w nogę, a ja przyjdę i pomogę ci sprowadzić go tutaj. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

Lou spojrział w górę, szukając rady, lecz w gęstej mgle prawie nie widział twarzy agenta. Dostrzegł, że Vaill gestem każe mu podjąć wspinaczkę. Z początku się wahał, ale ręce strasznie go bolały i musiał się ruszyć, więc postanowił zaufać partnerowi i przesunął się w prawo, żeby go ominąć. Trzydzieści centymetrów dzieliło go od szczytu, kiedy zobaczył lufę pistoletu wycelowaną w środek swojego czoła.

Do licha, co jest grane? Czyżby Vaill zapomniał, że ten facet tu jest?

– Właż spokojnie i powoli – rozkazał Collins.

Lou wciągnął się, stękając przy każdym ruchu. Leżąc na krawędzi, ukradkiem spojrział w dół. Zobaczył tylko biel. Ani śladu Vailla.

– Jestem... jestem ranny – wydyszał, improwizując.

– Wstawaj. Kim ty jesteś, do cholery? Co tu robisz?

Lou powoli się podniósł. Twardziel z bliznami po trądziku na twarzy, mający długie, jasne włosy greckiego boga i odpowiednią budowę ciała, celował w niego. Dyskretnie wypatrując Vailla, Lou potknął się, cofając ku krawędzi urwiska.

– Pytałem, co tu robisz – powtórzył Collins. – Jesteś sam?

Lou zaczął odgrywać przedstawienie, mówiąc drżącym głosem:

– Sam. Turysta. Zabierz broń, proszę. Nie rób mi krzywdy.

Collins wykrzywił usta w półuśmiechu.

– Nie zamierzam, kolego, ale będę musiał cię zabić, jeśli nie otrzymam pewnych odpowiedzi. Po raz ostatni: kim jesteś i czego, do cholery, tu szukasz?

Collins uniósł pistolet, lecz zanim pociągnął za spust, z mgły wyłoniła się czyjaś ręka i mocno szarpnęła go za nogę. Kolano się ugięło, mężczyzna przykucnął. Ręka płynnie chwyciła go za kurtkę i ściągnęła z krawędzi. Dwie sekundy – tyle to trwało. Może mniej. Zabójca ryczał, rękami i nogami rozcinając mgłę. Wrzaski ustały w chrzęście pękających kości. Lou bez problemu wyobraził sobie człowieka leżącego na skałach, otoczonego bryzgami krwi i mózgu. Usłyszał krzyk Vailla.

– Lou, pomóż, obsuwam się!

Spanikowany, podczołgał się do krawędzi i wychylił tak daleko, jak mógł. Jego ręka stała się wiosłem wyciągniętym w poszukiwaniu tonącego.

– Jezu, Lou, spadam!

– Vaill, chwyć mnie za rękę, cholera! Łap rękę!
Przez mgłę Lou zobaczył, że ich palce dzieli kilka centymetrów.
– Lou!

Wychylił się jeszcze bardziej, nie wiedząc już, czy środek ciężkości nie znalazł się za krawędzią. To nie miało znaczenia. Na chwilę przed upadkiem Vaill chwycił go za prawy nadgarstek. Czepiając się wilgotnej, kamienistej ziemi, Lou wykręcał rękę, aż złapał nadgarstek Vailla.

– Trzymaj się, bracie! – krzyknął, pewien, że lada chwila spadnie.
Nie puszczaj... na miłość boską, nie pozwól mu spaść...
Nie tym razem, przysiągł sobie. Nie tym razem.

Ciągnął z całej siły, wbijając kolana i sztywne, zziębnięte palce wolnej ręki jeszcze głębiej w błotnisty grunt i szukając podparcia. Oczy Vailla były w mgle oczami Chrupa, błagającymi go o siłę.

Lou z determinacją zacisnął zęby i szarpnął mocniej, czując ogień w płucach i ramieniu.

Jeden centymetr... drugi...

Nie tym razem. Lou wciągał partnera w rytm słów: Nie... tym... razem.

Vaill trzymał się mocno, ale Lou słabł.

Nie tym razem...

Z dzikim okrzykiem wojownika szarpnął po raz ostatni i przekoziółkował do tyłu. Vaill wystrzelił z mgły jak pocisk i wylądował obok niego. Leżeli, łapczywie chwytając powietrze. Agent pierwszy odzyskał oddech.

– Ruszaj się, zawodniku wagi lekkiej – powiedział, dźwigając się na kolana.
– Na pewno już ktoś wywołuje tego tam na dole i zachodzi w głowę, czemu się nie zgłasza.

Wstał, zanim Lou zdążył przekręcić się na brzuch.

– Waga lekka, akurat – zachnął się. – Tobie nikt nigdy tego nie zarzuci.

Podniósł się. Przybili piątkę.

– Jestem ci dłużny – odezwał się Vaill. – Dzięki, przyjacielu.

– Bzdura. Po prostu uznałem, że kiedy indziej nakarmimy mewy.

ROZDZIAŁ 50

Wbrew logice jest wierzyć, że pasożytnicze programy pomocowe istnieją w próżni, drenują one bowiem zasoby służące finansowaniu wartościowych przedsięwzięć, takich jak narodowe siły zbrojne, które zgodnie z Konstytucją jesteśmy zobowiązani utrzymywać.

Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Lou prowadził przez spowity mgłą las w kierunku południowej strony zamku. Wspinaczka mogła być mocną stroną Vailla, ale bieg na przełaj stanowił jego domenę. Był w swoim żywiole, kierując się instynktem i wyczuciem. Mgła utrudniała orientację, ale był dobry w wypatrywaniu niebezpiecznych korzeni i kamieni. Vaill biegł za nim na tyle blisko, żeby widzieć jego ruchy i dostosowywać się do nich. Nierówny teren gęsto porośnięty drzewami pozwalał im niepostrzeżenie zbliżyć się do zamku.

Nie dyskutowali, czy lepiej iść czy biec. Czas mógł decydować o życiu Humphreya i o losie nogi Chrupa, a całkiem możliwe, że także o jego życiu. Mgła przemieniła las w baśniową scenografię. Świadomość, co wkrótce zobaczą, czyniła scenerię jeszcze bardziej niesamowitą. Lou bez przerwy przenosił spojrzenie z ziemi pod nogami na to, co miał przed sobą. Vaill dostał zadyszki, ale wciąż bez większego trudu dotrzymywał mu kroku.

Niebawem Lou dostrzegł w dali rozproszone światło. Drzewa rosły coraz rzadziej. Zwolniwszy do truchtu, przystanął i ukrył się za wysoką sosną. Vaill podbiegł do niego. Ciężko dyszał i pocierał bliznę.

– Boli cię przy bieganiu? – szepnął Lou. – Nic na to nie poradzę.

Koniec dyskusji.

Przemykając od drzewa do drzewa, prowadził ich w kierunku światła. Po prawej stronie słyszał szum łamiących się fal przemieszany z krzykami mew. Wyobraził sobie ptaki krążące we mgle, może pikujące po kęsy ciała człowieka, który niedawno chciał ich zabić. Zniknięcie strażnika z pewnością wywołało alarm w zamku i pozostali, prawdopodobnie łącznie z Burkiem, wyruszyli na jego poszukiwanie.

Biegając, Lou korzystał z osłony zapewnianej przez drzewa. Wyczerpanie zniknęło. Za plecami słyszał przyśpieszony oddech, ale jego towarzysz nie zostawał z tyłu.

Twardy facet.

Po kilku minutach drzewa ustąpiły krótko ściętej, wiosennej trawie. Trzydzieści metrów przed nimi, jakby unoszona przez mgłę, piętrzyła się imponująca południowa fasada Red Cliff. Lou przestudiował plany zamku

i wiedział, że z trzech stron – od południa, zachodu i północy – jest on otoczony przez fosę z dwoma mostami zwodzonymi, a od wschodu graniczy z oceanem. Żadne mapy czy zdjęcia nie mogły oddać w pełni tej wspaniałej budowli. Za kamiennym murem wznosiły się wysokie wieże z krenelażami. Nietrudno było wyobrazić sobie obrońców potężnej twierdzy, lejących wrzący olej na głowy atakującej armii.

Lepiej się przygotujcie, pomyślał Lou. Nadciąga dwuosobowa drużyna.

– Jezu... – stęknął Vaill. – Widzisz to? Ciekawe, jakie podatki płacą od nieruchomości.

Most zwodzony po tej stronie był podniesiony, a woda w fosie, mającej może cztery metry szerokości, połyskiwała jak czarny opał. Za mostem piękna krata z ciężkich kłód i żelaza strzegła południowego wejścia. Dziesiątki wysokich okien łagodziły kamienną ponurość murów; wyglądało na to, że w każdym palą się światła.

Jak wynikało z planów, które oglądali, po południowej stronie było znacznie więcej okien niż po północnej. Lou dostrzegł ruch w pokoju na parterze, najbliższe miejsca, gdzie stali. Na samym dole ogromnej wieży mieścił się półkolisty gabinet albo biblioteka z rzędem wysokich okien ze szprosami. Spektakularne.

Lou, skulony, wskazał pokój, a potem swoje oczy. Vaill skinął głową. Lou odliczył na palcach od trzech, wyskoczył zza drzewa i popędził w kierunku zamku z partnerem deptającym mu po piętach. Kiedy dotarli na brzeg fosy, padli na kolana. Tutaj nie było absolutnie żadnej osłony, tylko starannie przystrzyżony trawnik. Na szczęście okolica wydawała się pusta.

Patrząc z dołu, zajrzeli do eleganckiego pokoju. To, co zobaczyli, kłóciło się z wiekowością kamiennej budowli. Tuż na prawo od wejścia znajdował się supernowoczesny zestaw do wideokonferencji. Wielki ekran był podzielony na kilka części, co najmniej siedem, i niektóre wyglądały na aktywne. W stronę ekranu szedł jakiś mężczyzna. Sądząc po korpulentnej budowie, nie był to Burke. Co więcej, utykał i zapewne wspierał się na lasce.

Lou był pochłonięty kombinowaniem, jak przebyć fosę i wejść do środka przez jedno z wysokich okien, kiedy Vaill trącił go łokciem i wskazał w lewo. Ktoś się pojawił na trawniku piętnaście, dwadzieścia metrów od nich – rosły, barczysty mężczyzna, co najmniej tak duży jak Collins. Nawet w ciężkim powietrzu usłyszeli trzask włączanego radia i głos.

– Tak, tu Drake. Nie widzę niczego podejrzanego. Collins jeszcze się nie odezwał?... Sprawdzę tę stronę i pójdę go szukać. Tak, wiem, że się ściemnia. Nie jestem, kurwa, głupi, Ronnie. Widzę. Mam latarkę.

Na otwartej przestrzeni, nie mając dokąd uciec ani gdzie się ukryć, Lou i Vaill wiedzieli, że sekundy dzielą ich od ujawnienia. Leżeli rozplaszczeni na wilgotnej trawie, pytając się spojrzzeniami, co robić. Według Lou jedyne

rozwiązanie, kiepskie rozwiązanie, polegało na zsunięciu się do fosy. Ale nawet gdyby spróbowali, było wątpliwe, czy zdołają zrobić to niepostrzeżenie.

Strażnik schował radio i ruszył. Jak gdyby był naprowadzany, szedł prosto w ich stronę. Był może sześć metrów od nich, kiedy zatrzymał spojrzenie na czymś, co wyglądało jak głaz.

Po kilku sekundach zrozumiał, że dziwny kształt oznacza śmiertelne niebezpieczeństwo.

Vaill poderwał się na kolana i oddał jeden strzał, stłumiony w gęstym powietrzu. Kula trafiła Drake'a prosto w grdykę i wielki mężczyzna osunął się na ziemię, tryskając szkarłatem z dziury w szyi i z ust. Lou dostrzegł poruszenie w gabinecie. Otyły mężczyzna podszedł do okna i wyjrzał. Drake leżał na wznak w głębokim cieniu i charczał, tonąc we własnej krwi.

Otoczeni smrodem palonego prochu, Lou i Vaill trwali w bezruchu, patrząc nad fosą w majestatyczne okna. Piętnaście sekund... dwadzieścia. Tęgi mężczyzna kręcił głową, spoglądając z boku na bok. Wreszcie się odwrócił i zniknął z pola widzenia.

Okropne charczenie ucichło. Ręce i nogi Drake'a zadygotały i mężczyzna znieruchomiał.

Lou wpatrywał się w trupa jak zahipnotyzowany. Vaill miał rację. Wystarczy wycelować i strzelić. Jak z aparatem fotograficznym. Zastanawiał się, czy miałby dość zimnej krwi, żeby w razie czego to zrobić, gdy nagle zdał sobie sprawę, że Vaill szarpie go za rękaw wiatrówki.

– Nie może ich być zbyt wielu, bo inaczej któryś z nich już by tu był. Ale myślę, że mimo wszystko powinniśmy przejść na północną stronę.

W tej chwili z radia zabitego mężczyzny popłynął szum i głos.

– Drake, ty pawianie, gdzie się podziewasz, do cholery? Drake, tu Ronnie. Znalazłeś Collinsa?

– W rzeczy samej.... – powiedział Lou, gdy biegli przez szeroki trawnik, z daleka omijając przynębiające zamczysko – znalazł.

Po zachodniej stronie zamku Red Cliff znajdowało się drugie główne wejście. Kolisty żwirowy podjazd graniczył z wyspami trawników zdobionych kamiennymi fontannami, betonowymi donicami w kształcie greckich amfor, grządkami kwiatów i krzewami przyciętymi w wyszukane kształty. Na podjeździe stało kilka luksusowych samochodów. Widocznie bogactwo nie stało w sprzeczności z filozofią Stowarzyszenia Stu Bliźnich, z pewnością w przeciwieństwie do podatków progresywnych.

Podjazd z zamkiem łączył drugi most zwodzony, też podniesiony, i wąska kładka przerzucona nad fosą. Wielka rdzewiejąca krata w bramie wyglądała tak, jakby mogła wytrzymać atak taranem, rodem z hollywoodzkich filmów. Vaill przez małą lornetkę przyjrzał się masywnemu portalowi i potwierdził pierwsze wrażenie.

– Jesteśmy zbyt odsłonięci, żeby przejść po kładce i podłożyć ładunek – stwierdził. – Nawet gdybyśmy zdołali wysadzić tego potwora bez zabijania siebie, równie dobrze moglibyśmy zapowiedzieć nasze przybycie przez megafon. Jak mówiłem, przenosimy się na północ.

Fosa praktycznie czyniła z Red Cliff w wyspę, ze wschodnią fasadą na szczycie imponującego urwiska, od którego zapewne pochodziła nazwa rezydencji. Lou, choć był dumny ze swojej umiejętności rozwiązywania skomplikowanych problemów, nie mógł wymyślić, jak dostać się do środka. Tymczasem ciemniejące niebo stawało się ich sprzymierzeńcem.

Podczas skradania się przez las po północnej stronie dopisało im szczęście. Lou wypatrzył niewielki budynek z jedynym oknem od zachodu, stojący jakieś trzy metry od skraju gęstwiny.

– Dawna wartownia – wyjaśnił, prowadząc Vailla wokół kamiennej budowli. – Zdeptana trawa i połamane gałęzie świadczą o tym, że jest używana, chociaż nie mam pojęcia do czego. I patrz, ślady opon prowadzą w kierunku zamku.

Zaświecił latarką przez okno i Vaill podszedł, żeby też spojrzeć. W zakurzonej wnętrze z pajęczynami po kątach zobaczyli kinkiety, ekspres do kawy i kubki, mały drewniany stół z dwoma krzesłami, pudełka z ciastkami, kuchenkę elektryczną i duży radiomagnetofon.

– Do licha, jak myślisz, do czego to wszystko? – zapytał Vaill.

– Stoi daleko od zamku... bez sensu.

– Może wartownia istniała w szesnastym czy którym tam wieku i wynalazca po prostu sprowadził ją z całością.

– Może – mruknął Lou – ale takie wyjaśnienie wydaje się naciągane i... Bingo! Tim, spójrz na podłogę za tamtym krzesłem.

Agent wziął latarkę i skierował snop światła na zarys kwadratu o boku sześćdziesięciu centymetrów w drewnianej podłodze. Z jednej strony były zawiasy, a pośrodku żelazne kółko.

– Zgadza się, bracie – powiedział. – Jakies wątpliwości, co jest pod klapą?

Lou pokręcił głową.

– Żadnych. Absolutnie żadnych. Teraz musimy tylko się tam dostać.

Drzwi kamiennego domu, prawdopodobnie stalowe, wychodziły na południe. Lou bez żadnej zachęty wyjął glocka, cofnął się o dwa kroki i oddał trzy celne strzały w dziurkę od klucza. Każdemu towarzyszyły iskry. Echo potoczyło się jak spieniona fala. Vaill obejrzał zamek, nacisnął grubą metalową klamkę i pokręcił głową. Zdjął plecak.

– Pora wypuścić dobermana – oznajmił. – Wabi się C-4, ale reaguje prawie na każde imię. Cofnij się, przyjacielu.

Lou nie znał się na plastycznych materiałach wybuchowych. Wiedział, że można im nadać pożądany kształt, ale nie miał pojęcia, jakie procesy chemiczne

powodują eksplozję. Vaill rozwinął foliowe opakowanie, przełamał kostkę białawej masy, po czym przykleił kawałki wokół zamka i wzdłuż zawiasów.

– Jak w przypadku większości przyzwoitych materiałów wybuchowych – powiedział – do zainicjowania reakcji chemicznej potrzebna jest duża energia. Po to są zapalniki. – Wcisnął po jednym w każdą bryłkę masy i zaczął rozwijać kabel, aż znaleźli się w bezpiecznej odległości. – Możesz przez cały dzień strzelać z pistoletu w C-4 i nie wybuchnie. Przyłóż zapalną, a będzie się spalać powoli. My potrzebujemy mniejszej eksplozji, żeby spowodować większą.

Podniósł detonator, czarne metalowe pudełko wielkości talii kart. Pstryknął włącznik i zapaliło się zielone światełko. Przymocował trzy przewody do szpulki, po czym zawiesił kciuk nad czerwonym przyciskiem.

– Gotów? – zapytał.

– Jesteśmy wystarczająco daleko?

– Zaraz się dowiemy. Stań za drzewem i zakryj uszy, kolego.

Lou wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano. Jego partner nacisnął guzik. Trzy jednoczesne wybuchy były głośniejsze, niż się spodziewał, biorąc pod uwagę wielkość ładunków. Stał za drzewem, lecz mimo to fala uderzeniowa cofnęła go o krok i miał wrażenie, że na chwilę zatrzymała mu pracę serca. Drzazgi, kawałki metalu i okruchy kamienia poleciały we wszystkie strony. Lou wyrżał zza pnia, gdy chmura dymu się rozproszyła. Zdumiewające, drzwi stały na swoim miejscu.

– Co się stało? – spytał oszołomiony.

Vaill też był skonsternowany. Podszedł do drzwi, przez chwilę się im przyglądał, po czym chwycił klamkę w dwa palce i lekko pociągnął. Stalowy prostokąt przechylił się w jego stronę, jakby mdlał, i ze stłumionym hukiem runął na ziemię.

Vaill odwrócił się do Lou z miną wyrażającą dumę i zarazem kompletne zdumienie.

– Do Red Cliff – zarządził.

– Nie musisz prosić dwa razy – odparł Lou.

ROZDZIAŁ 51

Jeśli niepokoi nas wypłacalność państwa, to programy pomocowe pana Roosevelta powinny budzić poważne obawy.

Lancaster R. Hill, wykład w college'u Williama i Mary, Wirginia, 22 lutego 1937

Lou stał na podłodze z grubo ciosanych, kilkusetletnich desek, patrząc w głąb otworu pod klapą, równie dobrze mogącego być bramą do piekieł. W tej chwili, w czasie jednego uderzenia serca, zdał sobie sprawę z kilku rzeczy.

Wróg wie o ich obecności.

Nie mogli już go zaskoczyć.

Niedługo prawdopodobnie umrze – bolesną i gwałtowaną śmiercią.

Sparaliżowała go panika. Może dlatego, że widział śmierć dwóch strażników. Może zrozumiał wreszcie, o jaką stawkę toczy się gra – o ile istnień ludzkich. Może już nigdy nie zobaczy Emily... ani Chrupa...

Minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd czuł się równie spanikowany, i gdy spoglądał w głąb otchłani, wspomnienia tamtej nocy wypełniły mu głowę.

Był drugi lipca. Kończył ostatni rok rezydentury na internie i podjął decyzję, że w przyszłym roku przeniesie się na medycynę ratunkową. Jednak najpierw musiał przepracować pewien okres jako szef rezydentów w wielkim szpitalu dla weteranów. Dzień debiutu w roli szefa mijał gładko. Kochał weteranów i wyzwania, z jakimi wiązała się opieka nad nimi, i z godziny na godzinę nabierał pewności siebie, zajmując się tym, na czym się dobrze znał.

Nadeszła noc.

W szpitalu z setkami pacjentów, z których wielu było ciężko chorych, zapadła cisza. Większość personelu skończyła pracę i poszła do domu. Odpowiedzialność za pacjentów spadła na dwoje rezydentów, czyli na niego i początkującą lekarkę. Do tej pory, kiedy w napiętej sytuacji spoglądał przez ramię, zawsze widział kogoś starszego, kto nie szczędził mu słów otuchy i służył mądrą radą. Tej nocy nikogo takiego nie było. Stał w drzwiach OIOM-u, patrząc na monitory i obserwując, jak stażystka podczas swojego pierwszego dyżuru lekarskiego zabiera się do pracy.

Wtedy ogarnęła go uzasadniona panika, skręcająca żołądek i ściskająca gardło.

Zrobiło mu się niedobrze. Zalała go fala mdłości i wiedział, że zwymiotuje. Ledwie wczoraj był młodszym rezydentem. Teraz będzie odpowiedzialny za wszystko, co w ciągu najbliższych godzin spotka setki pacjentów pokładających wiarę w swoich opiekunach. Nikt nie spoglądał nad jego ramieniem. Nikt nie

potwierdzał, że postępuje właściwie, że podejmuje odpowiednie decyzje. Panika utrzymywała się ponad godzinę i dwa razy rzeczywiście zwymiotował. Ale gdy tylko pojawiła się informacja, że życie jednego z pacjentów jest zagrożone, strach nagle zniknął i rozpoczął się nowy etap w jego karierze.

W wartowni stał sparaliżowany tak jak wtedy.

– Hej, stary, co się dzieje?

Głos Vailla, jak na ironię płynący znad ramienia, przywołał go do rzeczywistości.

Lou powoli się odwrócił, zastanawiając, czy teraz też zwymiotuje, jak w szpitalu dla weteranów.

– Nic mi nie jest.

– Nie wyglądasz na kogoś, komu nic nie jest – powiedział Vaill, przenosząc snop światła rzucanego przez latarkę z jego twarzy na szyb, gdzie metalowe schody zniknęły w ciemności. – Dziwię się, że nie dopadło cię wcześniej. – Położył rękę na jego ramieniu. – Doskonale sobie radzisz, doktorcu. Lepiej, niż przypuszczałem. Słuchaj, nie mam pojęcia, co nas czeka na dole. Zmartwiłbym się, gdybyś się nie bał. Nie spodziewałeś się czegoś takiego, lecz ani razu się nie cofnąłeś. A mogłeś. Było mnóstwo okazji. Do licha, nawet teraz. Obiecuję, że nie pomyślę o tobie źle, jeśli postanowisz ruszyć do miasteczka i zaryzykować szukanie pomocy u miejscowych.

– Bez obaw, wchodzę w to – zapewnił go Lou. – Dzięki za propozycję.

Odwrócił się, gotów zejść po schodach, ale Vaill pociągnął go za łokieć. Oczy mu się iskrzyły.

– Jeśli wchodzisz w to, to na całego. Ktoś może być tam na dole i czekać na nas z zasadzką. Jeśli tak, nie chcę wahania. Ani chwili wahania.

Lou wyjął glocka z kabury i poprawił kevlarową kamizelkę. Boże, pragnął jeszcze raz przytulić Emily.

– Jestem gotowy – oznajmił.

– Rób jedną rzecz po drugiej, doktorcu. Rób bez wahania, a nic nam się nie stanie.

Stopnie, może dziesięć, prowadziły do zaskakująco szerokiego, wilgotnego i czarnego jak węgiel tunelu, wydrążonego w skale i przesiąkniętego charakterystycznym zapachem oceanu. Nierówny strop był tak niski, że musieli iść zgarbieni. Ślady stóp sugerowały, że tunel jest używany.

– Będziemy przechodzić pod fosą – stwierdził Lou.

Vaill omiół snopem światła strop, wzdłuż którego ciągnął się rząd lamp. Na drugim końcu tunelu znajdowały się zardzewiałe metalowe drzwi. W odróżnieniu od poprzednich, te zamiast klamki miały gałkę.

– Dziwię się, że jeszcze nikt na nas nie poluje – szepnął Vaill. – Albo nie słyszeli wybuchu, albo po śmierci dwóch strażników zostało ich tak niewiele, że

zamierzają czekać, aż sami do nich przyjdziemy. Właśnie to chcę zrobić.

Lou pierwszy dotarł do drzwi.

– Zajmę się tym – rzucił przez ramię.

Vaill zajął miejsce po prawej stronie, stając plecami do ściany, z bronią w pogotowiu.

– Jeśli się otworzą, to w naszą stronę – zapowiedział. – Użyj ich jako osłony. Jeśli są zamknięte, będziemy musieli znów spuścić dobermana ze smyczy. Bez wahania, dobrze?

– Bez wahania.

Z sercem walącym jak młot Lou przekręcił gałkę. Gdy drzwi gładko się otworzyły, przywarł do nich, wykorzystując je jako prowizoryczną tarczę. Vaill przykucnął i skoczył przed siebie z bronią wymierzoną w ciemność.

– Jesteśmy w środku – powiedział Lou podekscytowany.

Nikt nie czekał po drugiej stronie, więc nie było do kogo strzelać. Vaill miał rację. Pozostali strażnicy czekali na nich w fortecy.

Lou był kłębkim nerwów. Światłem latarek przepędzili ciemność. Z lewej strony dochodził wyraźny szum fal.

– Słyszysz fale?

Vaill pokiwał głową.

– Jak blisko jesteśmy oceanu? Tunel biegł prosto i poziomo. Ocean musi być zatem na dole po lewej stronie.

Przesunął latarę, rozpraszając ciemność. Zatrzymał snop światła na prostokątnej metalowej platformie, znajdującej się nie więcej niż trzy metry dalej. Po drugiej stronie pięć metalowych stopni prowadziło na podwyższenie z poręczą z metalowej rurki. Vaill minął platformę i wszedł po schodach. Lou podążył za nim. Pod nimi były wykuty w skale szyb, prowadzący daleko w dół, prawie na pewno do oceanu.

Lou oświetlił szereg częściowo skorodowanych krążków i kabli i nagle rozkład zamku stał się jasny. Ze zdjęć satelitarnych wiedzieli, że u stóp stromego klifu znajduje się hangar na łodzie. Platforma była elementem windy, a szyb służył do wwożenia zaopatrzenia dostarczanego drogą morską. Razem stanęli przy poręczy, rozłożyli plan i skupili się na tej części zamku.

– Jesteśmy za tym pomieszczeniem – szepnął Vaill. – Może to magazyn na rzeczy przywożone windą. Sąsiaduje z nim drugie, większe pomieszczenie. Stamtąd drzwi prowadzą do czegoś, co jest opisane jako „Wielka Sala”, z oknami wychodzącymi na ocean. Dalej jest korytarz, który łączy Wielką Salę z resztą zamku. Myślę, że będą czekać w tym przewężeniu.

Lou przyznał mu rację.

– Dwa wejścia – powiedział. – Jedno z wartowni, gdzie może ciężarówka dostarcza zaopatrzenie, i drugie z hangaru na dole.

– Jak się tam dostaniemy? – zapytał Vaill. – Nie ma drzwi.

Lou stanął pośrodku podwyższenia i słuchał. Przyłożył ręce do zimnej betonowej ściany.

– Słyszę jakieś urządzenie – szepnął.

– Pomruk. Ja też. Stamtąd.

– Więc prawie na pewno musi być tu jakieś wejście. W przeciwnym razie istnienie tego miejsca nie miałoby sensu. Może w głębi szybu?

Vaill wyjął z plecaka małe, czarne pudełko, mniej więcej wielkości detonatora, i podłączył do niego słuchawki. Z drugiej strony urządzenia znajdował się mały mikrofon.

– To jest prawdziwa przyszłość – wyjaśnił. – To maleństwo pozwala usłyszeć, co się dzieje za półtorametrową ścianą z betonu. Mało brakowało, a bym go nie zabrał. – Przyłożył okrągły odbiornik do ściany i gestem kazał Lou wziąć słuchawki. – Słyszę rozmawiających mężczyzn i jestem pewien, że jeden z nich to doktor Kazimi. Chyba jest tylko dwóch, chociaż trudno zrozumieć, co mówi ten drugi. Trzymaj, posłuchaj.

Lou włożył słuchawki. Pomruk stał się głośniejszy, ale nie zagłuszał głosów. Po jakimś czasie słuch Lou się dostosował.

– Co teraz mam robić? – spytał mężczyzna z obcym akcentem.

– Przynieść agar i napęlić cztery szalki pięć milimetrów.

Urwane, niewyraźnie wypowiedane słowa nie pozostawiały wątpliwości.

Humphrey!

Vaill przejął urządzenie i słuchał.

– Zdaje się, że są sami, zajęci pracą, chociaż nie mam pewności.

– Musimy znaleźć wejście.

– To ryzyko.

– Tchórzysz, agencie Vaill?

Vaill już miał zaprotestować, kiedy małe czarne pudełko wysunęło mu się z ręki i z hałasem spadło po schodach na platformę windy. Sekundy rozbrzmiewającego echa dłużyły się jak godziny.

Lou wyciągnął broń i naprężył wszystkie mięśnie. Jeśli Kazimi i Humphrey nie są sami, zaraz może się zacząć. Po chwili usłyszeli ciche zgrzytanie. Zanim zdążyli zlokalizować jego źródło, ściana się poruszyła, obracając dokładnie wokół własnej osi i odsłaniając przejście szerokie na kilka kroków. Stali z uniesioną bronią, gdy w otworze pojawił się mężczyzna. Mając w pamięci powtarzane przez Vailla słowa, żeby się nie wahać, Lou wycelował w mrok przed sobą i położył palec na spuście.

ROZDZIAŁ 52

Więź rodzinna, gdyby tylko pozwolono jej napiąć mięśnie, okazałaby się silniejsza niż lojalność wobec jakiegokolwiek rządu.

Lancaster R. Hill, *Wspinaczka na szczyt*, 1941

– Nie strzelaj! Nie strzelaj!

Lou, zdecydowany się nie wahać, naciskał właśnie spust, kiedy Vaill przyskoczył i złapał go za nadgarstek.

– Jezu, o mało go nie zabiłeś, Lou. Następnym razem, gdy postanowisz działać bez wahania, skonsultuj się ze mną. Doktor Lou Welcome, doktor Ahmed Kazimi.

Mężczyźni, niedoszły zabójca i niedoszła ofiara, podali sobie ręce.

– Proszę mówić cicho – przestrzegł Kazimi. – W pokoju za nami jest kamera. Spotkamy się z wami przy szybie windy, gdzie nie będą mogli nas zobaczyć ani usłyszeć.

Gdy naukowiec zniknął za ścianą, Lou spojrzał w ślad za nim. Zamiast magazynu zobaczył laboratorium mikrobiologiczne ze stołem sekcyjnym ze stali nierdzewnej, zlewem, kilkoma dużymi chłodziarkami, wieszakiem z kombinezonami ochronnymi i przenośnym prysznicem bezpieczeństwa. Wyciągając szyję, dostrzegł jeszcze plastikowe klatki. Białe myszy skakały, zaniepokojone nagłym poruszeniem.

Lou się cofnął, żeby zrobić miejsce dla Kazimiego. Za nim podjechał Humphrey, którego elektryczny wózek ledwie się mieścił w otworze. Kazimi coś nacisnął i ściana wróciła na swoje miejsce. Sięgnął do włącznika i zapalił trzy porzewiałe kinkiety.

– Jest pan ostatnią osobą, której się tutaj spodziewałem, agencie Vaill – powiedział Kazimi, gdy wymienili uściski dłoni. – Widziałem, co tamtego wieczoru spotkało agentkę Rodriguez. Współczuję, ogromnie panu współczuję.

– Jestem tu, żeby was uratować i ją pomścić – odparł Vaill bez emocji.

– Cóż, cieszę się, że pan żyje. Doktorze Welcome, słyszałem o panu wiele pochlebnych słów od pana Millera.

– Cieszę się, że was znaleźliśmy. Humphrey, obawiałem się najgorszego. Jak dobrze znów cię widzieć.

– Dobrze być znalezionym – wymamrotał Humphrey.

– Przykro mi z powodu śmierci twojej opiekunki. To naprawdę źli ludzie.

– Najgorszy jest ten Burke.

– Nie czas na radosne powitania – zaznaczył Vaill. – Kiedy ci, którzy monitorują was przez kamery, zauważą wasze zniknięcie?

- Nie mam pojęcia – odpowiedział Kazimi – ale pewnie niedługo.
- Ilu strażników?
- Nie wiem. Ale jest tu Burke. Tyle wiem.

Lou spodziewał się gwałtownej reakcji Vailla na tę wiadomość, lecz twarz agenta straciła jakikolwiek wyraz. Widział coś takiego na parkingu szpitala Arbor i wcześniej w pokoju przesłuchań. Miał nadzieję, że jeśli rozboli go głowa, to lekko albo na krótko. Bał się jednak, że może być inaczej.

- To ważna informacja – powiedział. – Może pan dodać coś więcej?
- Powinien pan wiedzieć, że pan Miller jest tutaj z mojej winy. Burke zmusił mnie do podania jego nazwiska, dowodząc, że jest gotów skrzywdzić albo zamordować moich przyjaciół i rodzinę.

Vaill nagle się ożywił, najwyraźniej dotarło do niego, co właśnie usłyszał.

- To pan powiedział Burke’owi o Humphreyu? – zapytał. – Myślałem, że w FBI jest informator.

– Burke był jedynym informatorem, o ile mi wiadomo – odparł Kazimi – ale jeden wystarczy, to brutalny człowiek.

Lou i Vaill wymienili porozumiewawcze spojrzenia. W FBI nie było drugiego kreta. Lou pod presją podał nazwisko Humphreya Vaillowi i jego partnerowi, podczas gdy Kazimi, uwięziony dwa i pół tysiąca kilometrów dalej, te same informacje przekazał Alexandrowi Burke’owi.

- Musiał pan to zrobić, doktorze – stwierdził Lou i zerknął na Vailla. – Obaj nie mieliśmy wyboru.

– Wygląda na to, że obecność pana Millera może się okazać kluczowa dla rozwiązania tego kryzysu. Od wielu lat kontaktowaliśmy się przez internet. Nigdy się nie spotkaliśmy, więc nie miałem pojęcia że jest niepełnosprawny. Ale doceniłem jego inteligencję. Zignorowałem jego dobrą radę wyłącznie przez arogancję.

- Już pan to wynagrodził – wtrącił Humphrey.

– Miło mi to słyszeć. Wierzyłem w moje podejście do walki z tym drobnoustrojem. Myliłem się. Na szczęście doznałem oświecenia, że tak powiem. Jestem przekonany, że teoria pana Millera o połączeniu bakteriofagów może być skuteczna. Jeśli nasze próby potwierdzą jego gruntownie przemyślane koncepcje, zniszczymy Janusa, jak nazywa się tutaj tę zabójczą bakterię, bez szkodenia pacjentom.

Zamiast wyglądać na zastraszonego czy osłabionego ciężkimi przejściami, Humphrey promieniał z dumy.

- Smutno z powodu Cassie, ale uznanie, jakie zasługuję, wiele znaczy.
- Co powiedział? – spytał Vaill, wyraźnie zniecierpliwiony.
- Że się cieszy, że wszystko dobrze idzie.
- Powiedz mu, że jeśli teoria się sprawdzi, zostanie bohaterem narodowym.

– Tim, on cię słyszy i rozumie – powiedział Lou, powstrzymując się od uśmiechu. – Tylko niewyraźnie mówi.

– Bardzo pewny, że sprawdzi – podkreślił Humphrey. – Nie potrzeba laboratorium Arbor, Lou. Jesteśmy bliscy leku!

Oczy mu się skrzyły.

– Mówi... – zaczął Lou.

– Rozumiem – Vaill wszedł mu w słowo. – Teraz musimy ruszać. Spytałem panów po raz ostatni: czy jest tu ktoś poza Burkiem?

– I tym Ronem, który obsługuje radio w biurze ochrony – przypomniał mu Lou.

– Wiem, że poza Burkiem jest dwóch ochroniarzy – odparł Kazimi. – Jeden wielki blondyn, Collins, i drugi jeszcze większy, Drake. Wyglądają na bardzo niebezpiecznych.

Vaill i Lou znowu wymienili spojrzenia.

Już nie...

– Ktoś jeszcze?

– Doug Bacon, następny zły człowiek. Myślę, że kieruje całą organizacją. Utyka i chodzi o lasce, i chyba ma problem z alkoholem. Ale jest bardzo bystry i nie wolno go lekceważyć.

– Dobra, ostatnia szansa. Ktoś jeszcze?

– Kamerdyner Harris, starszy człowiek. O nikim więcej nie wiem. Powiedziano mi, że do zamku przybył mikrobiolog, który jako pierwszy zidentyfikował szczep Janus. Przywiózł kultury tkankowe do rozmnażania trzech szczepów bakteriofagów, według pana Millera stanowiących klucz do rozwiązania problemu. Jeszcze nie zostaliśmy przedstawieni. To wszystko.

Vaill miał żar w oczach.

– Gdzie jest Burke? – zapytał.

Dobrze, pomyślał Lou. Fałszywy alarm. Jest jednak z nami.

– Nie wiem, gdzie jest teraz – odrzekł Kazimi. – Często tu zagląda.

Vaill wyjął z plecaka plany Red Cliff i rozłożył je na cementowej podłodze.

– Proszę mi pokazać drogę do Bacona. Jeśli Burke tu jest, będzie strzec głowy smoka.

Kazimi pokazał palcem najlepszą trasę z laboratorium do wideokonferencyjnego gabinetu w północnej części zamku.

– Szczegóły na mapie są zatarte, ale jak mi się zdaje, tędy prowadzi droga.

– Wy dwaj zostaniecie w laboratorium. Wrócimy po was.

Vaill wyciągnął dodatkowy pistolet – glocka takiego jak ten, którego dał Lou – i próbował go wręczyć Kazimiemu.

– Strzelał pan kiedyś? – spytał.

Kazimi uniósł ręce na znak odmowy.

- Studiuję mikroby i Koran, agencie Vaill. Przecież pan to wie.
- Jak pan chce.
- Schylcie się i trzymajcie blisko ściany, gdy będziecie przechodzić przez myszarnię i główne laboratorium. W Wielkiej Sali są kolejne dwie kamery, ale nie wiem, jak je ominąć.

Vaill skinął głową i schował pistolet. Lou poszedł po urządzenie podsłuchowe, które spadło na platformę windy. Kazimi otworzył tajne przejście. Posuwając się na kolanach pod samą ścianą, Vaill i Lou przeszli za nim do głównego laboratorium. Robiło wrażenie, wymownie świadcząc o przedsiębiorczości i możliwościach Bliźnich.

Zostawiwszy naukowców, Vaill i Lou przekradli się korytarzem do Wielkiej Sali. W tym samym momencie dostrzegli zamontowane tam kamery i obaj postanowili wstać. Wiadomość była jasna: czas podchodów się skończył. Chodźcie po nas!

Vaill ruszył pierwszy. Lou czuł, że ściska go w dołku, ale glock w ręce naprawdę podnosił go na duchu. Kazimi i Humphrey zostali w laboratorium, więc wszyscy inni, których napotkają, będą wrogami.

Tym razem nie będzie wahania.

Lou pamiętał, żeby panować nad oddechem – powolny wdech, powolny wydech – gdy starał się zdusić narastający w nim niepokój. Ramię w ramię weszli do Wielkiej Sali. Lou mimo woli przystanął, patrząc na imponujący rząd okien we wschodniej ścianie. Nie miał wątpliwości, że roztaczający się za nimi widok musi być równie spektakularny jak wystrój ogromnego pomieszczenia.

Byli w połowie sali, gdy usłyszeli fragment prowadzonej przez radio rozmowy, niosącej się z korytarza po prawej stronie – głównego korytarza zamku.

Burke.

– Przed chwilą wyszedłem od Jessupa. Wezwał mnie na dół, bo zobaczył ich na ekranie – mówił. – Dwóch, do wyważenia drzwi wartowni użyli czegoś, co wygląda na C-4. Nie dostrzegłem ich w ciemności. Robota profesjonalistów. Prawdopodobnie FBI. Jakies wiadomości od Drake’a albo Collinsa? Jeśli ci intruzi są z FBI, oni już nie żyją.

Vaill nie zareagował.

– Jest tam, w korytarzu – szepnął nagłaco Lou.

Mocno szarpnął agenta za rękaw, żeby się cofnął i znalazł miejsce na urządzenie zasadzki. Vaill stał jak sparaliżowany, jakby nogi wrosły mu w ziemię. Mrużył powieki, a łyzy bólu rosły w kąciakach jego oczu.

Tym razem to nie był fałszywy alarm.

– Tim, kryj się! – ponaglił go Lou.

Agent stał sztywno wyprostowany, z pistoletem w opuszczonej ręce. Miał prawie zamknięte oczy.

– Sytuacja z pewnością jest niebezpieczna – kontynuował Burke. Głos stawał się coraz donośniejszy, w miarę jak się zbliżał. – Sądzę, że powinniśmy zatrzymać Millera i Kazimiego w laboratorium. Zaraz do nich zajrzę. Sprowadzę ich do pańskiego gabinetu na spotkanie z gościem, gdy tylko posprzątam ten bałagan.

Burke z radiem przy uchu wmaszerował do Wielkiej Sali i natychmiast spostrzegł najpierw Vailla, a potem Lou, obu bez żadnej osłony. Błyskawicznie sięgnął po broń. Vaill, trzymając pistolet u boku, wyraźnie był zbyt otumaniony przez ból, żeby się ruszyć.

Lou złożył się do strzału, ale stał krok za Vaillum, który częściowo zasłaniał cel.

– To Burke! – krzyknął. – Cholera, Tim, strzelaj!

Sekundy dłużyły się jak wieczność. Nawet nie próbując się ukryć, Burke spokojnie uniósł broń i strzelił, trafiając Vailla prosto w pierś, raz i drugi. Z pewnością założył, że agent ma kamizelkę, i rozmyślnie strzelał tak, żeby ogłuszyć, nie zabić. Siła uderzenia zbiła Vailla z nóg i agent upadł na podłogę. Lou skoczył w prawo i schował się za wielkim fotelem, zastanawiając się, jaką ochronę zapewni mu tapicerka. Burke stał sześć metrów dalej od strony masywnych okien, ogarniając wzrokiem scenę przed sobą. Wtedy Lou zdał sobie sprawę, że mężczyzna musi się uśmiechać.

Wyjrzał zza fotela i oddał kilka strzałów, wszystkie niecelne.

Od jasnych błysków oczy zaszyły mu łzami, gryzący zapach prochu zaatakował nozdrza, a huk na chwilę go ogłuszył. Strzelać uczył się w pojedynku z wyszkolonym zabójcą. Niedobrze. Trzymając nisko schyloną głowę, strzelił prawie na ślepo tam, gdzie według niego stał mężczyzna. Trafił w okno, tłukąc szybę, i w końcu zmusił Burke'a do ukrycia się za skórzaną kanapą.

Zobaczył, że na lewo od niego Vaill niezdarnie sięga po pistolet i wstaje. Wciąż miał przymglone oczy. Lou dostrzegł dziury w miejscu, gdzie dwa pociski rozdarły koszulę i wbiły się w kuloodporną kamizelkę.

Dzięki Bogu za kevlar, pomyślał. Ale wiedział, że zostało im mało czasu – bardzo mało. W tym stanie Vaill mógł konkurować z Burkiem nie bardziej niż on.

– Tim, padnij! – krzyknął.

Strzelił, tym razem zachowując większą cierpliwość i kontrolę. Trzecia kula trafiła Burke'a w udo. Zabójca zaklął i natychmiast odpowiedział strzałami, prując solidny mebel centymetry od jego ucha. Burke zatoczył się do tyłu, ale nie upadł, co świadczyło o tym, że pocisk zranił mięsień albo tylko rozerwał skórę, nie uszkadzając kości.

Nie zwracając uwagi na ranę, z której krew już przesiąkała przez spodnie khaki, Burke zmienił magazynek i pokuśtykał w prawo. Stał przed wielkimi oknami, niecałe pięć metrów od Vailla, który jeszcze nie podniósł broni. Z niemal pogodnym wyrazem twarzy wycelował w człowieka, który nie tak dawno temu

uniknął śmierci z jego rąk.

Osiem metrów dalej, niemal bezpośrednio za Vailem, Lou obserwował straszną scenę, jakby rozgrywała się w zwolnionym tempie.

– Maria... – Usłyszał szept Vailla i znowu: – Maria.

Wstał i szybko skoczył w lewo, żeby mieć możliwość czystego strzału. Był wsparciem dla Vailla. Byli partnerami. Wycelował w Burke'a i nacisnął spust.

Szczęk iglicy w pustej komorze zabrzmiał głośno jak strzał.

Chwilę później Wielka Sala eksplodowała. Więcej hałasu, więcej błysków, więcej smrodu prochu. Jedna kula z pistoletu Burke'a trafiła Vailla w szyję. Druga uderzyła w ramię, nieosłonięte przez kevlar. Gejzer krwi trysnął z rany na szyi agenta, zalewając mu twarz i ubranie, tworząc szkarłatną kałużę na podłodze u jego stóp.

Lou stał bezradnie, gdy Vaill upuścił pistolet i cofnął się chwiejnie o krok. Jakimś cudem trzymał się na nogach.

– Maria – powiedział głośniejszym głosem niż dotychczas. – Kocham... cię.

Potem, ku zdumieniu Lou, ranny agent, bardziej martwy niż żywy, rzucił się przed siebie, z krwią groteskowo bryzgającą z ran na szyi i ramieniu. Zabójca oddał kolejny strzał z odległości nie większej niż trzy metry. A potem strzelił znowu. Pierwszy pocisk strzaskał przedramię Vailla. Drugi wszedł mu przez usta i wyszedł policzkiem. Nie zatrzymując się, Vaill pokonał ostatnie półtora metra.

Burke szeroko otwierał oczy, unosząc pistolet do strzału w środek czoła, gdy krwawa zjawa opuściła bark i uderzyła go z całej siły. Vaill opasał go w talii i pchnął do tyłu jak szarżujący zawodnik podczas meczu futbolowego.

Dwóch wrogów, jeden praktycznie martwy, drugi bliski śmierci, uderzyli w wielkie okno i wypadli przez nie w hebanową noc.

Lou gotów był przysiąc, że w brzęku szkła spadającego na podłogę usłyszał, jak Vaill po raz ostatni wykrzyknął imię żony.

ROZDZIAŁ 53

Głupotą jest sądzić, że pieniądze na przesadnie rozbudowane, pasożytnicze programy pomocowe wydawane są w próżni, ponieważ każdy taki wydatek utrudnia realizację innych wartościowych celów, takich jak rozwój sił zbrojnych, które zgodnie z Konstytucją jesteśmy zobowiązani utrzymywać.

Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

Silny wiatr wpadał przez rozbitą szybę, podrywając luźne papiery ze stołu i na krótko przemieniając Wielką Salę w śniegową kulę. Lou podbiegł do okna. Światło potężnej latarki nie przebiło się przez zalegającą wokół zamku mgłę, a nawet gdyby tak się stało, z pewnością nie dotarłoby do podnóża klifu. Nasłuchiwał potwierdzenia tego, co – jak wiedział – było prawdą, ale słyszał tylko szum wiatru i fal. Oszołomiony, spojrział na makabryczny szlak krwi – wszystko, co zostało po Timie Vaillu. Zważywszy na uszkodzenia układu nerwowego, było wątpliwe, żeby kiedykolwiek mógł jeszcze pracować jako agent. Ale biorąc pod uwagę jego ból i nienawiść, osiągnął to, do czego dążył.

Dostałeś to, po co przyszedłeś, przyjacielu, pomyślał Lou, patrząc w noc. Teraz możesz odpocząć.

Usłyszał za plecami mruczenie silnika wózka Humphreya, odwrócił się i zobaczył dwóch naukowców.

– Agent Vaill? – zapytał Kazimi.

– Odszedł. Umarł za nas i zabrał ze sobą Burke’a.

– Niech Allah sprawi, żeby jak najszybciej połączył się w raj z swoją ukochaną żoną.

– Obiecuję dla niego skończyć moją pracę – dorzucił Humphrey.

– To jeszcze nie koniec – zaznaczył Lou. – Wróćmy do strażników.

Kazimi powtórzył to, co wiedział. Burke... Drake... Collins... Bacon... stary kamerdyner Harris. Lou znowu dodał Rona.

– I naukowiec, który odkrył szczep Janus – powiedział Kazimi. – Nie znam jego nazwiska i jeszcze się z nim nie spotkaliśmy, więc nie mam pojęcia, czy stanowi zagrożenie.

– Jak bardzo niepełnosprawny jest ten Bacon? Widziałem go przez okno gabinetu i wyglądało na to, że jest zdolny podjąć walkę.

– Zwłaszcza jeśli ma pistolet – wtrącił się Humphrey.

Czy to wszyscy? Lou przypuszczał, że nie mogło ich zostać wielu, w przeciwnym razie już by tu byli. Ktoś na pewno przez kamery obserwował strzelaninę.

– Jest ktoś jeszcze – podjął Humphrey. – Widziałem go w pokoju pełnym

monitorów.

– To z pewnością ten, którego słyszałem przez radio, ten o imieniu Ron.
– Wielki facet. Barczysty, łysy, gęste brwi i kozia bródka.
– Gdzie go widziałeś? Gdzie jest ten pokój?
– Chyba na drugim końcu tego korytarza. Blisko głównego zamku.
– Tak, widziałem tamte drzwi – odezwał się ponownie Kazimi. – Ani razu nie były otwarte i założyłem, że za nimi jest po prostu jakiś schowek. Tam musi być Ron.

Lou zrozumiał, że stanęli na rozdrożu. Będzie musiał zdecydować, czy iść dalej w głąb zamku i zneutralizować wszystkie zagrożenia, czy spróbować uciec i wezwać pomoc. Vaill nie miał racji, że w Biurze jest drugi kret, ale istniało ryzyko, że się nie mylił, jeśli chodzi o władzę Bacona nad mieszkańcami Mount William – szczególnie nad policją. Wybór wydawał się jasny.

– Co zrobimy? – spytał Kazimi.
– Idziemy tym korytarzem – odparł Lou. – Jeśli drzwi są otwarte, to ich załatwimy, ktokolwiek tam będzie.
– Może nie najlepszy plan – zauważył Humphrey. – Jeśli jest strażnik, będzie uzbrojony i lepiej wyszkolony niż ty. I przygotowany.

Lou pomyślał, ile razy strzelił do Burke'a, zanim skończyła mu się amunicja, i ile razy chybił.

– Masz lepszy pomysł? – zapytał.
– W istocie – odpowiedział Humphrey z iskrą w oczach – mam.
Kazimi pobiegł do laboratorium i wrócił z niezbędnymi rzeczami. Dopędził Lou i Humphreya, którzy już zmierzali powoli w głąb kamiennego korytarza. Lou zmienił magazynek w glocku.

Doktor przekazał mu to, co przyniósł, i wrócił do laboratorium po notatki Humphreya. Lou przykazał naukowcowi uciec z Red Cliff przez tunel prowadzący do wartowni, na wypadek gdyby coś mu się stało. Jeśli z jakiegoś powodu nie zdoła pokonać Bacona, ktoś będzie musiał przekazać władzom wyniki badań nad Janusem.

Humphreyowi znacznie bardziej zależało na samym ukończeniu badań i nalegał, żeby Kazimi został i kontynuował pracę z nim i tym drugim naukowcem.

Lou przystanął w korytarzu, żeby włożyć gumowe rękawiczki i ponownie przeanalizować plan. Miał złe przeczucia, ale myśl o ponownym przetestowaniu umiejętności strzeleckich też do niego nie przemawiała.

Nikt się nie zdziwił, gdy drzwi do pokoju ochrony okazały się zamknięte.

Humphrey ustawił się przodem do nich, a Lou, z pistoletem za pasem, przywarł plecami do ściany na prawo od niego. W jednej ręce trzymał urządzenie podsłuchowe Vailla, a w drugiej, ostrożnie, przyniesioną przez Kazimiego z laboratorium zlewkę ze skoncentrowanym kwasem siarkowym.

Wsunął słuchawki na uszy. Przyłożył mikrofon do ściany i słuchał.

– Bacon, tu Jessup. Burke nie żyje. Załatwił go jeden z intruzów, o których meldowałem. Wypchnął go przez okno w Wielkiej Sali. Obaj spadli z urwiska. Jestem z powrotem w dyżurce. Ani śladu drugiego faceta i naukowców. Wszyscy byli tam parę minut temu, ale teraz zniknęli. Pamięta pan, kamery mają ślepe pola, a poza tym w tej części jest ich tylko kilka. Więc co mam zrobić? Tak, szefie, zostanę tutaj i będę obserwować monitory. Gdyby pan chciał, żebym na nich zapolował, wystarczy słowo. Tak, proszę pana. Tak. Rozumiem. Za wszelką cenę chronić naukowców, szczególnie tego na wózku.

Lou odsunął urządzenie i zacisnął palce na zlewce.

Był zaskoczony, jaki odczuwa spokój w porównaniu ze stanem głębokiej paniki w chwili, kiedy spoglądał w głąb szybu w kamiennym domku. Widział, jak Vaill oddaje życie, i domyślał się, że to jest źródłem jego opanowania. Tego rodzaju bezinteresowność robi wrażenie.

Lou głęboko odetchnął i dał głową znak Humphreyowi.

Humphrey zdjął z haczyka pręt i zastukał nim w drzwi.

Nawet bez podsłuchu Lou usłyszał dochodzące zza nich szuranie. Wyobraził sobie ochroniarza patrzącego przez wizjer. Dobrze zrobił, rezygnując ze strzelaniny, ale teraz nadeszła decydująca chwila. Jessup musi otworzyć drzwi na tyle szeroko, żeby on mógł wykonać swój ruch. To będzie zależało od Humphreya. Drzwi się uchyliły, po chwili szczelina się rozszerzyła.

– Muszę z panem pomówić – wymamrotał Humphrey jeszcze bardziej niewyraźnie niż zwykle.

Lou był pewien, że zrobił to celowo.

– Co mówisz? Do cholery, czego chcesz?

– Muszę z panem pomówić!

– Pierdolony karzeł – mruknął mężczyzna.

Drzwi otworzyły się na tyle, żeby w szczelinie zmieściła się lufa pistoletu, potem nieco szerzej, w końcu wystarczająco szeroko.

– Czego tu szukasz, kreaturo? – warknął mężczyzna. – Wracaj do roboty. Miałeś być w...

Lou odepchnął się od ściany, by znaleźć się za Humphreym, i rzucił zlewkę z kwasem, mierząc tam, gdzie powinna być twarz Jessupa. Rzut był idealny. Naczynie uderzyło w garb nosa, pękło i ochroniarz zatoczył się z powrotem do pokoju.

Usłyszeli rozpaczliwy krzyk i skwierczenie smażonej skóry. Jessup rzucił pistolet i tarł oczy rękami. W powietrzu zawisł obrzydliwy swąd spalonych włosów i przypiekanego ciała. W pokoju kłębił się toksyczny, zielonkawożółty dym.

Wrzask nie ustawał.

Nie było to coś, co Lou chciał zrobić – i nie sprawiło mu to przyjemności.

Ale ludzie w Red Cliff byli ekstremistami opowiadającymi się za filozofią bólu dla tych, którzy mieli mniej szczęścia niż oni sami. To przez nich Chrup umierał.

W ciągu lat pracy na SOR-ze Lou spotkał się tylko z jednym przypadkiem oparzenia twarzy kwasem. Ofiarą była dziewczyna zaatakowana przez byłego chłopaka, którego obowiązywał sądowy zakaz zbliżania się do niej. Gdyby nawet pracował w służbie zdrowia przez tysiąc lat, nigdy nie zapomniaby widoku jej twarzy. Wiedział, że mężczyzna ma wypalone oczy, a nie sądził, żeby ktoś zabrał go z więzienia na operację plastyczną twarzy. Na pewno przeżyje, ponieważ oparzenia, chociaż straszne, nie były śmiertelne.

Choć zmrożony dźwiękami i obrzydliwym zapachem, Lou wyjął jednak glocka i wycelował w czoło Jessupa. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Patrzył na poparzone, pokryte bąblami resztki czegoś, co kiedyś było ludzką twarzą. Pistolet chwiał się w jego ręce, gdy przez głowę przelatywały mu obrazy wydarzeń, do których doszło, odkąd razem z Chrupem biegał po lesie.

– Może w więzieniu znajdziesz nowy sens życia – powiedział, chowając broń.

Wycofał się z pokoju. Choć dzieliły ich ciężkie drzwi i gruba na trzydzieści centymetrów ściana, wciąż słyszał przeraźliwe jęki ochroniarza.

– Dokąd teraz? – zapytał Humphrey.

– Ty wrócisz do laboratorium i pomożesz Kazimiemu zabrać wszystkie notatki i dane potrzebne do przygotowania leku.

– A ty?

– Ja znajdę Douga Bacona i raz na zawsze położę kres istnieniu Stu Bliźnich.

ROZDZIAŁ 54

Aktywność i ciężka praca są najlepszym lekarstwem na utratę wiary w nasze społeczeństwo.

Lancaster R. Hill, kazanie w kościele baptystów w Highbridge, New Town, Georgia, 21 września 1933

Z planem Red Cliff w jednej ręce i glockiem w drugiej Lou szedł kamiennymi korytarzami oświetlonymi przez latarnie gazowe. Śwąd spalonego ciała Jessupa wciąż zalegał w jego nosie i gardle.

Minął kilka klatek schodowych, jednych prostych, innych spiralnych, wiedząc, że nie musi z nich korzystać. Zmierzał na północ krętym szlakiem korytarzy do gabinetu Bacona. Ujrzał przed sobą prostokąt światła i chwilę później wszedł przez kamienny przedsionek do czegoś w rodzaju cieplarni – na dziedziniec kryty szklanym stropem. Pośrodku znajdował się prostokątny basen otoczony przez piękne fontanny i mnóstwo roślin. Baconowa wersja programu pomocowego.

Potłuczony i zmęczony, okrążył oczko i ruszył dalej w głąb zamku, zostawiając za sobą jedyne wyjście, które znał. Zbliżał się czas, kiedy Kazimi powinien uciec i spróbować dotrzeć do odległego o osiem, dziesięć kilometrów miasteczka Mount William. Humphrey przekonywał, że mikrobiolog musi zostać, ale dyskusja nie została rozstrzygnięta. Lou miał nadzieję, że Kazimi zrobi to, co słuszne. Ale co właściwie jest słuszne? – pytał się w duchu.

Korytarz się zwęził. Lou był pewien, że jest w południowej części zamku, niedaleko gabinetu Bacona. W przeciwieństwie do ataku na biuro Jessupa tym razem nie miał precyzyjnego planu. Postanowił wpaść do środka z pistoletem gotowym do strzału. Jeśli Bacon wciąż bierze udział w wideokonferencji, tym lepiej. Uczestnicy zobaczą początek końca swojego ruchu. Strach, który przeważał przez cały czas od wyładowania z Vaillem, zniknął bez śladu.

Był gotów.

Spojrzał na zegarek. Minęło dwanaście minut. Jeśli Kazimi postąpił zgodnie z planem, to już przedostał się przez tunel, wyszedł z kamiennej wartowni i śpieszył do miasta z jego komórką i numerem FBI w kieszeni. W Red Cliff nie było sygnału. Może bliżej Mount William będzie zasięg.

Zastanawiając się, co robi, jeśli drzwi będą zamknięte, Lou nacisnął klamkę. Usłyszał cichy szcęk mechanizmu. Nabuzowany adrenaliną, powoli otworzył drzwi i wszedł do dużego, owalnego pokoju. Wielkie okna z bordowymi zasłonami wychodziły na zachód. Za nimi zobaczył fosę i pas trawnika, gdzie Vaill zastrzelił Drake'a. Na ścianie wisiał ogromny monitor, który widział z zewnątrz przez okna. Twarze mężczyzn i kobiet na ekranach nie były zwrócone w jego

stronę.

Na wprost niego stał masywny obrotowy fotel z wysokim oparciem, obity brunatnoczerwoną skórą. Lou widział tylko wyglansowane czarne buty i ramię Bacona. Lewa ręka, spoczywająca na podłokietniku, trzymała szklanekę whisky.

Lou wycelował w imponujący fotel.

– W porządku, Bacon, to koniec – powiedział. – Trzymaj ręce na widoku i obróć się grzecznie i powoli.

Minęło kilka pełnych napięcia sekund, zanim fotel się obrócił. Kiedy się zatrzymał, Lou mógł tylko wytrzeszczyć oczy, usiłując zrozumieć to, co widzi. Siedzący w fotelu mężczyzna nie był grubasem, którego widział przez okna. Był stary i pomarszczony. Harris, kamerdyner Bacona. Lou nie zdążył zareagować, zaskoczony przez głos, który odezwał się za jego plecami.

– Zanim się pan ruszy, doktorze Welcome, proszę rzucić broń. Jeśli nie, strzelę panu w tył głowy. Odliczanie zaczyna się od jednego i kończy na dwóch. Jeden...

Lou upuścił pistolet i podniósł ręce. Ludzie na ekranach przed nim milczeli, nieruchomi.

– Dobrze – pochwalił Bacon z wyraźnym południowym akcentem. – A teraz niech się pan odwróci... powoli... dobrze.

Lou odwrócił się i zobaczył, że Doug Bacon celuje laską w jego pierś. Lśniącą złota głowa lwa była opuszczona, odsłaniając wylot lufy.

– Ta ślicznotka kosztowała mnie dziesięć tysięcy dolarów – powiedział Bacon, zwracając się zarówno do swojego jeńca, jak i do uczestników wideokonferencji. – Szwajcarski zegarmistrz złożył mechanizm. Cud techniki. Magazynek zawiera pięć kul. Z tej odległości mogę oddać śmiertelny strzał, więc jeśli będę chciał, zużyję tylko jedną.

Te potwory będą siedzieć i oglądać moją egzekucję, pomyślał Lou.

– Ale dodam drugą, którą jestem ci winien za mojego przyjaciela Alexandra – ciągnął Bacon – i po jednej za ludzi zabitych na zewnątrz i prawdopodobnie następną za człowieka, którego zamordowałeś w pokoju ochrony. Nie żyje, mam rację?

– Martwy jak trup – odparł Lou.

– Powinien się pan modlić, doktorze, nie silić na żarty.

– To dopiero rozgrzewka. Spójrz prawdzie w oczy, Bacon. Przegrałeś. Wszyscy przegraliście. FBI wie, kim jesteś, i agenci już są w drodze. Czy mnie zabijesz, czy nie, gra skończona.

– Nie sędzę. Celowo zagłuszamy sygnały komórkowe, z wyjątkiem sieci mojego telefonu. – Poklepał kieszeń na piersi. – To samo dotyczy nadajników radiowych. Gdyby ktoś naprawdę coś wiedział, byłoby was tu więcej niż tylko dwóch. Kiedy sprawa jest słuszna i sprawiedliwa, zwycięstwo jest nieuchronne.

Właśnie tego się pan dowiaduje.

– Czy to wasz slogan propagandowy? – zapytał Lou. – Pierdoły. Mam coś lepszego: „Możesz myśleć, że masz rację, ale wcale tak nie jest”, Dennis Welcome. To był jego ostateczny argument, gdy się sprzeczałyśmy.

– Dość tego – warknął Bacon już bez śladu dystyngowanego uroku. – Dwa pierwsze pociski tylko cię zranią, doktorze, ale cierpliwości. Wybieram ramię.

Strzelił, nie dodając ani słowa. Lou zobaczył błysk z lufy i usłyszał zaskakująco stłumione pyknięcie. Ból wybuchł tuż nad prawą pachą i na plecach. Lou padł na kolana, wiedząc, że kula przeszła na wylot. Krew już płynęła z rany.

– Ciebie będzie bolało bardziej niż mnie, doktorze Złośliwy. Nie mam racji?

Niedorzeczne, ale w ostatnich chwilach swojego życia Lou mógł myśleć jedynie o anatomicznej drodze, jaką pokonała pierwsza kula. Spróbował bez powodzenia poruszyć ręką. Zaciskając zęby, szybko wciągnął powietrze przez nos i łyzy zasnuły mu oczy. Od Chrupa Duncana i Tima Vailla nauczył się wiele o odwadze i o tym, żeby się nie poddawać, więc chociaż spodziewał się drugiego strzału, wodził wzrokiem dookoła, szukając potencjalnej broni.

Kocham cię, Em...

Kocham... cię... skarbie.

Orientalny dywan pod jego nogami zaczął wirować.

Gdzie mój pistolet? Muszę odzyskać pistolet...

Wiedział, że zostały mu sekundy życia.

Dwa i pół metra od niego Bacon podniósł laskę, tym razem celując prosto w twarz.

– Prędej czy później przegracie – powiedział. – Ty przegrywasz prędzej.

Lou wyprostował się i zwarł wzrokiem ze swoim oprawcą.

– Idź do diabła – wycedził.

– Pan pierwszy – rzucił Bacon. – Wybieram krocze. – Opuścił laskę.

Lou zgrzytnął zębami. Nagle kątem oka dostrzegł ruch w drzwiach po prawej stronie i usłyszał mrozący krew w żyłach wrzask. Dosłownie w tej samej chwili Bacon nacisnął spust. Lou zacisnął powieki i wzdrygnął się. Nie poczuł jednak uderzenia... nie poczuł bólu. Otworzył oczy i zdążył zobaczyć, jak Ahmed Kazimi leci w powietrzu z szeroko rozpostartymi rękami i nogami. Kula z pistoletu Bacona trafiła go prosto w pierś. Z krzykiem cierpienia Kazimi upadł na podłogę.

W chwili ofiarowanej mu przez naukowca, wykorzystując refleks wyćwiczony na ringu pod okiem Chrupa, Lou poderwał się z podłogi i skoczył na Bacona. Grubas nie miał szans zareagować. Lou błyskawicznie pokonał dzielącą ich odległość i lewą pięścią uderzył w ciastowaty brzuch. Praktycznie nie zwracał uwagi na ból, który przeszywał mu prawe ramię. Prezes Stowarzyszenia Stu Bliźnich zgiął się wpół i zatoczył, wymachując rękami, gdy próbował zachować równowagę.

Kombinacje – pouczał Chrup. Zawsze myśl o kombinacjach i nigdy nie poprzestawaj na jednym ciosie, jeśli możesz zadać drugi.

Lou uderzył, zadając mocny cios w pierś, i zaraz potem poprawił hakiem, z całej siły waląc pięścią w podbródek.

Jak ci się podoba taka kombinacja, Chrup?

Głowa Bacona odskoczyła do tyłu. Z zakrwawionych ust mężczyzny wystrzelił biały ząb i wylądował na podłodze. Laska wypadła mu z ręki i zagrzecgotała w pobliżu Lou jak rzucona batuta.

Bacon, ze szklistym wzrokiem i krwią płynącą z nosa, próbował się podnieść. Gdy się obracał, Lou wymierzył mu potężnego kopniaka w twarz. Starszy mężczyzna padł jak worek piasku. Kątem oka Lou widział, że Harris kuli się przy oknach.

Kazimi leżał nieruchomo na podłodze, krew wyciekała z rany na jego piersi.

Procedura.

Lou uspokoił się i rozjaśniło mu się w głowie, tak jak na SOR-ze.

Spokojnie... Wszystko po kolei... Głęboki oddech... Skupienie.

Naukowiec był nieprzytomny, ale oddychał, choć płytko. Ta obserwacja stanowiła pierwszy krok. Krok drugi polegał na wyłączeniu z gry twardego jak skała Bacona, lecz nie na zawsze, żeby przyjaciele Vailla z Biura mogli go wykorzystać do rozpracowania wszystkich Bliźnich.

Ignorując przenikliwy ból w ramieniu, świadom nasilających się zawrotów głowy, podniósł laskę i pokuśtykał do Bacona, który leżał ogłuszony na plecach. Lou nastąpił na mięsiste gardło i wyjął telefon komórkowy z kieszeni na piersi grubasa. Pomanipulował laską za dziesięć tysięcy dolarów i wycelował w udo, dokładnie w to samo miejsce, gdzie na nodze Chrupa złamana kość przebiła ciało.

Ironia. To za ciebie, stary.

– Dość, Lou! – krzyknął ktoś od wejścia.

Kobięcy głos.

To nie może być...

Lou się obrócił. Kobieta stojąca w drzwiach wyglądała jak skromna, fascynująca badaczka, która go pociągała od pierwszego spotkania, ale teraz miała lód w oczach.

Vicki Banks z profesjonalną swobodą trzymała pistolet, celując w jego głowę.

– Tamtego wieczoru w Niebieskim Wole mówiłam, że jestem wybrakowana.

Lou nie zmniejszył nacisku na gardło Bacona. Wielki mężczyzna wił się i charczał.

– Vicki, to nie może być prawda... Ty jesteś naukowcem Bacona?

– Nie należę do Bacona, należę do Bliźnich. Ich sprawa nadała prawdziwy sens mojemu życiu. Odwzajemniłam im się za zaufanie, odkrywając i rozwijając

szczep Janus. I wciąż zamierzam się odplacać. A teraz zabieraj nogę i postaraj się uratować tamtego faceta, żeby mógł nam pomóc, gdybyśmy go potrzebowali. Jak nie, zabiję cię bez wahania. Pamiętaj, wychowała mnie ulica. Od dziecka mam kontakt w bronią. Spójrz na mnie, Lou, a zrozumiesz, że mówię poważnie. Zabiję cię, a później wyskoczę na lody.

Po sekundzie Lou się podporządkował i podszedł do Kazimiego. Doug Bacon leżał nieprzytomny za jego plecami. Na prawo od niego mrugały ekrany – widowisko nad widowiskami.

– Możesz mieć mnie za popychadło Scupmana – podjęła Vicki, gdy Lou sprawdzał drogi oddechowe i tętno Kazimiego, a potem rozdzierał koszulę, odsłaniając paskudną ranę nad lewym sutkiem – ale jestem znacznie zdolniejszym mikrobiologiem, niż się wszystkim wydaje, poza moimi ludźmi. Naprawdę jesteś słodki, Lou. Byłam głęboko wzruszona twoją ciężką walką o życie przyjaciela. Szkoda, że grasz po niewłaściwej stronie.

Kazimi miał szanse, lecz czas uciekał. Najgorsze było to, że Lou nie mógł nic zrobić. Kula ominęła serce, ale spowodowane przez nią obrażenia prędzej czy później doprowadzą do śmierci. Oderwał pas tkaniny i przez kilka sekund uciskał ranę. Wiedział, że to niewiele pomoże.

Ogromny smutek w jego piersi szybko ustąpił gniewowi. Spojrzał na ekrany.

– Widzicie?! – krzyknął. – Widzicie, z kim się wszyscy zadajecie? Nie obchodzi mnie, jacy jesteście mądrzy i utalentowani ani ile macie pieniędzy. Każdy z was jest bezduszny i głupi! Taka jest prawda, głupi!

– Dość! – warknęła Vicki. – Usłyszałam już wszystko, co, kurwa, chciałam usłyszeć!

Lekko obróciła głowę, słysząc pomruk silnika za plecami. Humphrey ze zwierzęcym wyciem uderzył wózkiem w tył jej nóg. Uderzenie nie było mocne, ale na tyle zaskakujące i silne, że kobieta straciła równowagę.

Lou w jednej chwili przystąpił do działania. Laska Bacona leżała obok jego ręki. Chwycił ją za dolny koniec i zrobił zamach, z którego byłby dumny sam Pałkarz.

Masz siłę w lewej ręce, Lou Welcome. Takim uderzeniem mógłbyś zaliczyć home run.

Lwia głowa sporo ważyła. Zakreślając złocisty łuk, trafiła Vicki prosto w szczękę, czemu towarzyszyła seria niemiłych dla ucha trzasków pękających kości. Kobieta obróciła się pod wpływem ciosu i wpadła na futrynę. Uderzyła w nią i osunąwszy się na ciężki wózek Humphreya, walnęła potylicą w drugą futrynę. Nieprzytomna upadła na podłogę.

Napędzany gniewem Lou odwrócił się i podniósł laskę na Harrisa.

– Chodź tu, bo jak nie, to zginiesz! – rzucił, walcząc z falą zawrotów głowy.

Kazimi zaczął jęczeć. Przynajmniej żył.

– Uciskaj ranę, natychmiast – nakazał Lou kamerdynerowi.

– Tak jest – powiedział Harris. – Pod biurkiem jest apteczka. Mam trochę doświadczenia, proszę pana.

Bacon też jęczał. Lou nie widział, czy Vicki Banks oddycha. Jej niegdyś interesująca twarz przemieniła się w krwawą miazgę.

Wybrakowana. Czy nie tak o sobie mówiłaś?

Walcząc z osłabieniem i z trudem oddychając, Lou otworzył portfel, wyjął wizytówkę i zadzwonił. Po minucie uzyskał połączenie.

– FBI, Atlanta. W czym mogę pomóc?

ROZDZIAŁ 55

Im dłużej trwają programy pomocowe, tym większe ryzyko, że zaczną się jątrzyć, jak rana wokół drzazgi.

Lancaster R. Hill, wspomnienia (nieopublikowane), czerwiec 1933

Pierwsza próba walki z Janusem – zastosowanie phagecilu, leku nazwanego tak od trzech typów wykorzystanych bakteriofagów – zbliżała się do końca. Tłum zgromadzony w Wielkiej Sali czekał na doniosłe obwieszczenie. Minęły trzy dni, odkąd Lou laską z lwią głową roztrzaskał żuchwę, nos i oczodół Vicki. Kobieta została odwieziona do szpitala w Bangor, a stamtąd przerzucona do Portlandu, gdzie dwa zespoły chirurgów pracowały nad rekonstrukcją jej twarzy.

Kazimi również poleciał do Bangor i pomyślnie przeszedł siedmiogodzinną operację. Ron Jessup, koszmarnie poparzony kwasem, odjechał ambulansem. Lou podejrzewał, że Kazimi przez wiele dni będzie przykuty do łóżka, ale ku jego zdumieniu rząd odesłał go z powrotem do Red Cliff. Wrócił wczoraj, z rurką w piersi, żeby kontynuować pracę z „panem Millerem”, jak z uporem nazywał Humphreya. Teraz obaj naukowcy korzystali z wózków, choć Kazimi mógł o własnych siłach zrobić kilka kroków.

Red Cliff z cichej, lecz ponurej fortecy przemieniło się w tętniący życiem ośrodek badawczy. Śmigłowce często korzystały z lądowiska Bliźnich i na drodze dojazdowej panował bezustanny ruch. Korpus Inżynieryjny Armii Stanów Zjednoczonych z dnia na dzień zbudował centrum łączności, umożliwiając korzystanie z komórek, bez których chyba nikt nie potrafił się obejść.

Lou dostał trzy jednostki krwi w małym szpitalu rejonowym, po czym został przetransportowany drogą powietrzną do Bangor, gdzie badania i operacja diagnostyczna natchnęły go optymizmem. Wprawdzie drętwiały mu palce, miał osłabioną prawą rękę i doznał uszkodzenia nerwu łokciowego, ale nie było to coś, czego czas nie mógłby uleczyć. Dwadzieścia cztery godziny później, z ręką na temblaku, znów był z powrotem w Red Cliff, przekładając na później powrót do Atlanty.

Rozmawiał z Chrupem codziennie, za każdym razem tylko po kilka minut. Według doktora Wina Cartera, szefa szpitala Arbor, jego stan stopniowo się pogarszał. Z chwili na chwilę Lou odczuwał coraz większy strach, że może być za późno na kurację – o ile lek w ogóle okaże się skuteczny.

Lou czekał na wiadomości o wyniku eksperymentów z phagecilem niedaleko zabitego deskami okna, pod którym złożono kwiaty i kartki upamiętniające agenta Tima Vailla. Straż przybrzeżna znalazła zmasakrowane zwłoki Alexandra Burke'a, już nadjedzone przez ryby, zaklinowane pomiędzy dwoma głazami w pobliżu

brzegu, ale ciało Vailla zostało zabrane przez morze.

Beth Snyder przyleciała do Red Cliff na spotkanie ze „zbawcami”, jak nazywała Lou, Kazimiego i Humphreya. Kiedy straż przybrzeżna ogłosiła zakończenie poszukiwań, ona, Lou i Chuck McCall uczcili Vailla minutą ciszy, zapalili świeczkę i rzucili ją z Red Cliff we wzburzone fale. Snyder zapewniła, że Vaill i Maria zostaną upamiętnieni w siedzibie głównej FBI w Waszyngtonie i we wszystkich biurach terenowych, dołączając do trzydziestu sześciu agentów, którzy zginęli w czasie pełnienia obowiązków służbowych.

Lou pił trzeci kubek kawy, stojąc samotnie przy oknie najdalszym od tłumu, gdy podjechał do niego Humphrey. Pomimo kłopotów z wykonywaniem nawet najprostszych czynności Humphrey pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Osobiście nadzorował instalowanie dwóch klimatyzatorów, żeby temperatura w laboratorium wynosiła poniżej piętnastu stopni, bo takie warunki były dla niego optymalne. Kazimi, który najlepiej funkcjonował w cieple, wykazał się hartem ducha i chęcią kooperacji, pracując w skafandrze.

Teraz jednak widać było po nich zmęczenie, głównie w oczach. Ale mieli nadzieję, że ich wysiłek nie pójdzie na marne. Przed powrotem Kazimiego, od momentu, gdy wszedł do laboratorium z wykwalifikowanym asystentem, żeby rozpocząć eksperymenty, Humphrey skupił na sobie uwagę i zyskał poparcie, jakiego nie dało mu dotychczasowe życie na marginesie. Lou był bardzo zadowolony, widząc, że w końcu spotyka go zasłużone uznanie.

Według Humphreya antybakteryjna kuracja miała zostać przetestowana w ciągu kilku dni. Większość krajowych koncernów farmaceutycznych w geście bezprecedensowej solidarności zobowiązała się do jak najszybszego rozpoczęcia produkcji leku.

– Mam wrażenie, że jesteś zdenerwowany, Lou – powiedział Humphrey.

– A ty się nie denerwujesz?

– Tak, trochę. Poświęciłem lata pracy, przygotowując się do tego sprawdzianu. Fagi dostarczone przez Banks były w doskonałym stanie. Zawsze wierzyłem w siebie. Pierwszy raz wierzą we mnie inni.

– Rozumiem. Cieszę się, że w ciebie uwierzyłem, Humphrey. Chrup będzie podekscytowany. Podobnie jak wielu ludzi, skoro o tym mowa.

Humphrey łypnął okiem ze złośliwą satysfakcją.

– Dzwonił Scupman z CDC. Jest w drodze do laboratorium. Mówi, że ma dla mnie miejsce.

– To fantastyczna wiadomość, super!

Zanim Humphrey zdążył zareagować, zadzwoniła komórka. Lou spojrzął na ekran i serce mu zamarło, gdy rozpoznał numer Wina Cartera ze szpitala Arbor. Rozmawiali rano i wtedy stan Chrupa wciąż był krytyczny, ale stabilny. Coś musiało się zmienić.

Lou odchrząknął, z trudem przełknął ślinę i odebrał.

– Win, co się dzieje?

– Lou, niestety, mam złe wieści.

Od razu pomyślał, że Chrup nie żyje, szybko jednak uświadomił sobie, że jest inna możliwość.

– Mów – poprosił, opierając się o skórzany fotel.

– Kilka godzin temu Hank zaczął gorączkować i spadło mu ciśnienie. Skurczowe dziewięćdziesiąt, potem osiemdziesiąt. Groziło mu zakażenie ogólnoustrojowe. Lou, chirurdzy nie mieli innego wyjścia, musieli amputować nogę. Próbowali wszystkiego, żeby temu zapobiec, ale czas po prostu się skończył. Przykro mi, Lou. Strasznie mi przykro, współczuję Hankowi i tobie.

Kolana Lou zamieniły się w galaretę. Oparł się mocniej o fotel.

– Jak on się ma? – zapytał.

– Teraz pora na dobre wiadomości. Chirurg mówi, że przynajmniej na razie temperatura spadła, ciśnienie się podniosło i nerki funkcjonują prawidłowo.

Lou ledwie mógł mówić. Zawiodł. Zawiodł największego przyjaciela i nie mógł nic zrobić, żeby to zmienić.

– Jak wysoko? – wykrztusił.

Wahanie Cartera było wystarczającą odpowiedzią.

– Postanowili ciąć jak najwyżej. Tuż pod miednicą. Zostawili staw biodrowy, ponieważ kikut ułatwia kontrolę protezy.

Protezy...

Żal chwycił go za gardło. Przekazywanie złych wieści zawsze stanowiło część jego pracy i choć nigdy, przenigdy, nie sprawiało mu przyjemności, wiedział, że robi to dobrze, mówiąc wprost i szczerze. Był wdzięczny Carterowi za takie samo podejście.

– Dzięki, Win – wychrypiał. – Jestem wdzięczny za wszystko, co zrobiłeś. Za wszystko.

– Żałuję, że nie mogliśmy zrobić niczego więcej.

– Ja też – powiedział Lou, kończąc rozmowę. – Ja też.

Rozejrzał się i zobaczył, że McCall rozmawia z Beth Snyder. Przywołał go ruchem ręki.

– Muszę jak najszybciej dostać się do Atlanty. Możesz to dla mnie załatwić?

– Jasne, Lou. Cokolwiek ci potrzeba. Wszystko w porządku?

– Nie. Ani trochę. Amputowali Chrupowi nogę.

McCall opuścił ramiona.

– Cholera. Przykro mi, Lou. Nie mogli poczekać? Nie wiedzieli, co się dzieje?

– Wiedzieli. Czekali tak długo, jak mogli. Mieli wybór, albo noga, albo życie. To moja wina. Zawiodłem, Chuck. Zawiodłem przyjaciela.

– Nie mów tak! Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, a nawet więcej.
– Nie zdołałem uratować Tima, nie uratowałem nogi Chrupa.
– Lou...
– Do diabła! Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie zwracaj uwagi na mój bełkot. Słuchaj, Chuck, pomóż mi się stąd wydostać. Możesz to dla mnie zrobić? Muszę iść na mityng, muszę zobaczyć się z Chrupem...

McCall patrzył na niego ze współczuciem.

– Załatwione, Lou. Rozgrzejemy śmigłowiec, a na lotnisku będzie czekać na ciebie odrzutowiec. Bóg mi świadkiem, zasłużyłeś na lot tą ślicznotką.

– Dzięki. Jeszcze jedno. Tamtego wieczoru, gdy przyszlście po mnie z Timem do Niebieskiego Wołu... Skąd wiedzieliście, że wypytywałem o fagi?

– Od Scupmana. Pracował dla nas od samego początku, przekazując nam wszystkie interesujące informacje dotyczące Mikroba Sądneho Dnia. Kazimiemu nie przyszło jednak do głowy, żeby włączyć go do swojego zespołu.

– Scupman nie podejrzewał swojej asystentki?

McCall pokręcił głową.

– W ogóle. Była dobra, Lou. Cholernie dobra we wtapieniu się w tło. Wygląd niewiniątka też jej nie zaszkodził.

Lou westchnął i odszedł. Wędrował samotnie głównym korytarzem, aż znalazł drzwi balkonowe od strony oceanu. Stał na skraju urwiska i patrzył niewidzącym wzrokiem na północny Atlantyk. Za nim, z okien Wielkiej Sali, płynął gwar świadczący o narastającym podnieceniu.

Lada chwila, pomyślał.

Powłócząc nogami, przeszedł wąską żwirową ścieżką do miejsca od północnej strony, gdzie Alexander Burke nagrał swoją pożegnalną wiadomość dla Loli. Słone powietrze sprawiało, że oczy piekły go i łzały, gdy spoglądał na stalowoszarą wodę. Jego myśli były wirem żalu zmieszanego z poczuciem winy. Co by było, gdybym nie zabrał Chrupa do Atlanty? Gdybyśmy tamtego ranka zrezygnowali z biegania, jak chciał? Gdybym go zdołał utrzymać? Gdybym spadł zamiast niego...?

– Chciałbym, żeby to była moja noga, stary – powiedział do morza. – Chciałbym zamiast ciebie leżeć w tym szpitalnym łóżku. Chciałbym, żeby było inaczej.

W Wielkiej Sali wybuchły triumfalne okrzyki, a po nich rozbrzmiała burza oklasków. Chwilę później przyszedł McCall, trzymając ręce w kieszeniach kurtki.

– Śmigłowiec gotowy.

– Dzięki. Te wiwaty oznaczają to, co myślę?

– Wszystkie myszy żyją. Żyje każdy z tych słodkich parszywych gryzoni!

Lou zmusił się do uśmiechu.

– Wspaniale. Wiedziałem, że Humphrey tego dokona.

– Nie tylko Humphrey – poprawił go McCall. – Ty też, Lou. Zaslugujesz na takie samo uznanie.

– Może.

McCall poklepał go po zdrowym ramieniu.

– Niech boli, stary. Nie możesz nic zrobić. Nie broń się przed bólem. Właśnie tak robię, gdy myślę o Timie. I jak tylko spotkasz się ze swoją piękną córką, przytulaj ją tak długo i mocno, jak tylko dasz radę. Wiem, że plotę trzy po trzy, ale naprawdę jestem twoim dłużnikiem, Lou, i naprawdę cię lubię. A co do twojego przyjaciela w Atlancie, w dziwny sposób pomógł ocalić życie tysięcy ludzi, a może milionów.

– Więc dlaczego nie czuję się cudownie?

– Bo nie powinienes. Ale czas uleczy rany... chociaż nie do końca. Po prostu nie zapominaj, że dzięki Chrupowi, tobie i Timowi nasz rząd nie będzie zakładnikiem bandy stukniętych terrorystów z chorymi ideami. I dzięki tobie ten łajdak Bacon siedzi w areszcie, przesłuchiwany przez ludzi, którzy są w tym dziesięć razy lepsi ode mnie i starego Vailla.

Chuck wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Lou poczuł się trochę lepiej.

– Może wpadniemy na siebie w Atlancie – powiedział.

– Mam nadzieję. Będę tam tkwił sto lat, próbując się uporać z pieprzonym raportem, który przez ciebie muszę napisać. Ty stawiasz piwo.

– Byle nie w Niebieskim Wole. Dzięki za pomoc w wydostaniu się stąd i za rozmowę.

Ruszyli do wyjścia. Usłyszeli kolejny wybuch okrzyków i strzelające korki szampana.

– Żałuję, że nie udało się wcześniej. – McCall westchnął.

– Tak... ja też.

– Beth Snyder chce się z tobą pożegnać.

– Chuck, naprawdę mi przykro, że nie ma tu Tima.

– Kto wie? Może jest.

– Słuchaj, chciałbym się wymknąć niespostrzeżenie, jeśli nie masz nic przeciwko. Powiedz Humphreyowi, że spotkamy się w szpitalu, a Beth, że będziemy w kontakcie.

– W porządku, stary.

Lou poszedł na podjazd i na lądowisko. Kilka minut później był w powietrzu, z głową pełną żywych wspomnień z lotu śmigłowcem znad rzeki Chattahoochee. Patrzył, jak Red Cliff maleje, aż została tylko plamka.

W mgnieniu oka i ona zniknęła.

ROZDZIAŁ 56

Wspinanie się po drabinie sukcesu jest niemożliwe, ponieważ nasz rząd usunął ostatnie szczeble.

Lancaster R. Hill, inskrypcja na nagrobku, cmentarz Wszystkich Świętych, 7 maja 1945

Biała furgonetka wjechała na kolidy podjazd i zatrzymała się przed lśniąca szklaną fasadą szpitala Arbor. Lou, wciąż z ręką na temblaku, czekał na chodniku i gdy tylko zobaczył, że kierowca wysiada, podszedł, żeby pomóc wyładować pasażera. Humphrey uśmiechał się od ucha do ucha, gdy platforma opuszczała wózek na ziemię. Uścisnęli sobie ręce.

– Kopę lat, stary – powiedział Humphrey z błyskiem w oczach. Podziękował kierowcy i ruszył do wejścia.

Lou szedł obok niego.

– Całe trzy dni – rzucił. – Ale jestem wdzięczny za wszystkie e-maile i SMS-y. Wygląda na to, że po moim wyjeździe wszystko poszło tak dobrze, jak mieliśmy nadzieję, że pójdzie.

– Teraz w rękach zakładów farmaceutycznych. Pierwsza partia phagecylu gotowa do wysyłki. Szkoda, że późno dla Chrupa.

– Dzięki, Humphrey. Twój lek uratuje mu życie.

Automatyczne drzwi się otworzyły i Lou wszedł za wózkiem do przestronnego marmurowego holu. Spędzając w szpitalu dużo czasu, zaprzyjaźnił się z kilkoma wolontariuszami w łososiowych strojach i był po imieniu z wieloma ochroniarzami.

Choć polubił ich wszystkich, zależało mu na powrocie do Waszyngtonu i chciał to zrobić, gdy tylko zapewni Chrupowi rehabilitację na najwyższym poziomie. Poza tym mógł wrócić do dawnej pracy. Filstrup zadzwonił i narzekał na nawal zajęć i – ponieważ nie znalazł dobrego następcy – na pełne złości reakcje klientów OOL-u. Zupełnie nie w swoim stylu zaproponował mu to samo stanowisko. Lou oczywiście się zgodził, ale najpierw poprosił Filstrupa o dodatkowy tydzień urlopu rocznie dla siebie i Babs Peterbee, a także o miły datek na rzecz powołanej przez Emily Fundacji Chrupa Duncana.

Ale zanim Lou mógł zacząć planować dalej, musiał zakończyć pewną bardzo ważną sprawę w szpitalu.

– Słyszałem, że niedługo zniosą blokadę informacyjną – wspomniał, gdy szedł do rozstania z Humphreym.

– Rząd powie o Bliźnich?

– Według Chucka McCalla i Beth Snyder tak. Kongres jest zaniepokojony

przeciekami i chce wykazać się inicjatywą, informując amerykańskie społeczeństwo, co się stało, zwłaszcza że Doug Bacon wydał wszystkich członków stowarzyszenia. Prezydent przygotowuje orędzie, w którym zamierza powiadomić naród o istnieniu Bliźnich i o tym, że rozprzestrzeniający się w szpitalach Mikrob Sądno Dnia był bronią biologiczną opracowaną przez amerykańskie ugrupowanie terrorystyczne. Słyszałem, że będziesz jednym z nielicznych, którym prezydent publicznie podziękuje za udział w zwycięstwie nad terroryzmem.

Humphrey wypiął wątlą pierś.

– Nie do wiary.

– Twoje życie się zmieni, przyjacielu. Gdy tylko ludzie się dowiedzą, czego dokonałeś, trafisz na okładki wszystkich najważniejszych czasopism i pewnie będziesz miał swoją godzinę w programie Sześćdziesiąt minut.

Szeroki uśmiech Humphreya stał się jeszcze szerszy.

– Jeśli dopuszczą mnie do głosu, być może zmienią nazwę na Dziewięćdziesiąt minut. Dobrze, że rząd wysprzątał moje mieszkanie. Nadzieja, że pomogli rodzinie Cassie.

– Myślę, że tak. Chuck McCall powiedział mi, że forsują w Kongresie ustawę o utworzeniu funduszu rekompensacyjnego dla ofiar Stowarzyszenia Stu Bliźnich. Jego ogłoszenie zbiegnie się w czasie z przemówieniem prezydenta. Przypuszczam, że rodzina Cassie zostanie objęta programem.

– Dobrze. Zostawiła dzieci, niewiele pieniędzy.

Lou nie próbował wyjaśnić Humphreyowi, ile sam będzie mógł zrobić dla dzieci Cassie i innych osób, kiedy firmy farmaceutyczne spełnią złożone mu obietnice.

– Z tego, co słyszałem, fundusz będzie podobny do tego powołanego przez Kongres po atakach jedenastego września – dodał. – Moja córka Emily doskonale sobie radzi, zebrała dla Chrupa tysiące dolarów, ale to powinien być ułamek sumy, jaką nasz przyjaciel otrzyma z nowych środków.

– Wspaniała wiadomość. Wiesz, zostanę w Arbor trochę dłużej.

– Ale nie w aptecę.

Humphrey wybuchnął nadzwyczaj radosnym śmiechem i klasnął w dłonie.

Przez jakiś czas miał kontynuować pracę w piwnicznym laboratorium z technikiem od Sama Scupmana. Obiecano mu, że niedługo przeniesie się do CDC. Scupman, orędownik potęgi bakterii, zmienił front i przyznał, że atakowanie bakterii Janus zabójczymi dla nich wirusami w znaczącym stopniu zmniejszy ryzyko mutacji.

W końcu, obiecując, że zawsze będą ze sobą w kontakcie, przyjaciele uściskali się i rozstali. Lou odprowadzał wzrokiem tego nadzwyczajnego człowieka, dopóki ten nie wjechał do windy towarowej. Gdy drzwi zamknęły się za Humphreym, Lou ruszył do pokoju przyjaciela.

Została ostatnia sprawa.

Chrup z obandażowanym kikutom przybił mu piątkę na powitanie. Decyzja o operacji zapadła w tragicznym i jednocześnie odpowiednim momencie, bo stracił nogę, ale zachował życie.

– Masz idealne wycucie czasu, doktoru – powiedział.

Był w coraz lepszej kondycji, co poprawiało Lou humor bardziej niż cokolwiek innego z wyjątkiem myśli o chwili, kiedy znów uściska córkę.

– Mów – zachęcił go Lou, dolewając trochę wody do plastikowego kubka.

– Przed chwilą wyszła protetyczka. Przedstawiła mi możliwości dotyczące mojej nowej nogi. Człowieku, dzisiejsza technika jest naprawdę niesamowita. Protetyczka uważa, że mam duże szanse na coś, co się nazywa ukierunkowaną reinerwacją mięśniową.

– Chyba coś o tym słyszałem, ale powiedz więcej.

– To przekierowanie nerwów do kontrolowania protezy z wykorzystaniem zdrowego mięśnia z innego miejsca w ciele. Protetyczka ma znajomego rehabilitanta w Waszyngtonie, który robi takie rzeczy. Chciałbym się do niego wybrać.

– Nadzwyczajne. Byłoby super.

– Z tego, co mówiła, może nawet znowu będę mógł uprawiać boks. Do licha, choćby dlatego zostanę na ochotnika królikiem doświadczalnym.

– Jestem gotów się z tobą zmierzyć – powiedział Lou. – Ale musisz obiecać, że nie będzie kopania.

– Dobra, bez kopania. Tak czy inaczej, kiedy wrócę do domu, będę miał przymiarki protezy. Mówią, że trzeba czekać tylko kilka dni.

– To naprawdę wspaniała wiadomość!

– Już byli u mnie ludzie z tego nowego funduszu. W ostatecznym rozrachunku Kontra wyjdzie na prostą i zostanie mi nawet na projekty, o jakich dotąd mogłem tylko marzyć. Poza tym zacznę pracę z niepełnosprawnymi. Nie tylko z tymi po amputacji, ale ze wszystkimi upośledzeniami.

– Z przyjemnością ci pomogę. Podobnie jak Emily.

– Świetnie. Im częściej będę ją widywać, tym lepiej.

Lou sprawdził godzinę na zegarku, który dostał od córki.

– Myślę, że nasz przyjaciel będzie tu lada chwila. Gotów?

– Bardziej niż przed walką z Rafaelem Marquezem.

– A jak ci wtedy poszło?

– Znokoutowałem go w trzeciej rundzie... Chrup! – Strzelił kostkami palców dla podkreślenia.

– Ha, tym razem nie musisz czekać do trzeciej rundy.

Jakby na dany znak, bez pukania, do pokoju wszedł Ivan Puchalsky w długim do kolan białym fartuchu, tak wykrochmalonym, że mógłby sam stać,

bez właściciela. Lekarz powitał Lou i Chrupa i może zauważył – a może nie – że żaden z nich nie wyciągnął do niego ręki.

– Pielęgniarki mówią – odezwał się – że pański stan się poprawia. Doskonała wiadomość.

– Dzięki – burknął Chrup.

– Doktorze Welcome, zostałem powiadomiony, że chce się pan pilnie ze mną spotkać. Za kilka minut mam obchód po zakaźnym, więc spotkanie naprawdę musi być krótkie.

– Będzie – zapewnił go Chrup. – Obiecuję. Doktorze, czy zna pan niejakiego Douglasa Bacona?

Tępa mina Puchalsky'ego mogła być szczerą.

– Niestety nie.

– Nieważne – rzucił Chrup. – On pana zna i to się liczy. Co więcej, w dokumentach podpisanych pod przysięgą wymienia pana jako jednego z pracowników szpitali w całym kraju, którzy zostali zwerbowani przez kierowaną przez niego grupę, nazywającą się Stowarzyszeniem Stu Bliźnich.

– Nie rozumiem.

Ale Lou mógł teraz powiedzieć, że rozumie.

– Był pan opłacany, sownie opłacany, za wykorzystywanie swojej fachowej wiedzy w dziedzinie zakażeń szpitalnych do powolnego wprowadzania szczepu Janus, zwanego Mikrobem Sądnego Dnia, do Arbor.

– To niedorzeczne. Dlaczego miałbym to robić?

– Lista możliwych powodów zaczyna się od mnóstwa pieniędzy i obejmuje nagły wzrost znaczenia pana dziedziny. Bacon mówi, że nie mieli kłopotu z pozyskaniem pana, zwłaszcza do pomocy w walce z bakteriami po tym, jak zaczęły mutować. Dlatego do naszej listy możemy dodać pamięć potomnych i światową sławę. Następnie powinniśmy wspomnieć o licznych dotacjach od prawicowych organizacji, z których część w mniejszym lub większym stopniu jest biurami werbunkowymi Stu Bliźnich.

Puchalsky, z rumieńcami na policzkach, spiorunował go wzrokiem.

– Przez pana straciłem nogę – powiedział Chrup i nawet jeśli w jego głosie słyhać było gniew, to tamten zasłużył sobie na znacznie większy. – Chciałbym spotkać osobę, która odebrała od pana przysięgę Hipokratesa czy jak tam nazywa się to, co składają lekarze. Wynocha z mojego pokoju. Myślę, że za drzwiami czekają nasi przyjaciele z FBI. Będę z utęsknieniem wyglądać dnia, kiedy stanie pan przed sądem, a ja złożę przeciwko panu zeznanie.

Puchalsky wyglądał tak, jakby miał zamiar splunąć. Nagle odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

Lou zobaczył, że w korytarzu czeka na niego Chuck McCall z kajdankami.

– Teraz my się nim zajmiemy! – zawołał.

– Zróbcie to – odparł Lou prawie szeptem. – Zróbcie. – I zwrócił się do Chrupa: – Dobrze, że zadziałało to, czego nauczyłeś się na odwyku. Ja bym go znokautował.

– I może odzyskałbym nogę, co?

– Duncan, jesteś nadzwyczajny, wiesz o tym?

– Poza tym nie lubię myśleć o nodze, której nie mam. Wolę się skupić na tych piętnastu centymetrach, które zostawili chirurdzy. Ale powiem ci, że wciąż czuję całą resztę. Mam bóle fantomowe. Powiedziano mi, że to normalne, więc może noga będzie ze mną przez dłuższy czas.

– Tylko ty jesteś w stanie w ten sposób o tym myśleć. Wiesz, słyszałem, że nad Potomakiem działa klub wioślarski, który przyjmuje ludzi po amputacji. Myślisz, że moglibyśmy pływać w dwójce?

Chrup zamknął w rękach jego dłoń.

– Kiedy następna olimpiada? – zapytał.

„Boston Globe”

List otwarty z podziękowaniami dla pielęgniarek, lekarzy i pozostałego personelu szpitala White Memorial i wszystkich tych, którzy się przyczynili do pokonania Mikroba Sądnego Dnia, szczególnie dla twórców PHAGECILU.

Mało brakowało, a niedawne zakażenie by mnie zabiło, ale jedynie umocniło moją wiarę i wdzięczność.

Śmierć mojej pacjentki i przyjaciółki Bekki Seabury, a także moja własna wyniszczająca choroba i długa rekonwalescencja pomogły mi pełniej doceniać każdy dzień życia i piękno pomagania innym. Nie mogę się doczekać powrotu do pracy.

Pamiętając o tym wszystkim, chcę ogłosić mój ślub, który odbędzie się sześć miesięcy wcześniej, niż planowaliśmy, z ANDYEM GULLIM z Cambridge w Massachusetts, nazajutrz po wypisaniu mnie ze szpitala.

Niech Bóg błogosławi Was wszystkich.

Jennifer Sarah Lowe, pielęgniarka dyplomowana

Przypisy

¹ Centers for Disease Control and Prevention.

² *Święty Koran: tekst arabski i tłumaczenie polskie*, Islam International Publications, Tilford 1990.

